

PROJEKT: DMITRY GLUKHOVSKY

UNIwersum
METRO
2033

ANDRIEJ BUTORIN
MUTANT



ANDRIEJ BUTORIN
MUTANT

przekład
PAWEŁ PODMIOTKO

 **Insignis**

Tytuł oryginału
Метро 2033: Мутант

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2013–2019

Copyright © Andriej Butorin, 2014

All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Pomysł serii Uniwersum Metro 2033 © Dmitry Glukhovsky, 2009–2019

Przekład z języka rosyjskiego

Paweł Podmiotko

Redakcja

Piotr Mocniak

Korekta i skład

Pracownia 12 A

Projekt okładki

Ilja Jackiewicz

Projekt logotypu serii

Jacek Doroszenko, www.doroszenko.com

Mapa

Leonid Dobkacz

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN pełnej wersji 978-83-66360-71-6



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 2519

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

[@insignis_media](https://twitter.com/insignis_media)

[@insignis_media](https://instagram.com/insignis_media)

Spis treści

Karta tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

ROZDZIAŁ 1. Przebudzenie

ROZDZIAŁ 2. W stronę ludzi

ROZDZIAŁ 3. Iljinskoje

ROZDZIAŁ 4. Decyzja

ROZDZIAŁ 5. Ucieczka

ROZDZIAŁ 6. Saszka

ROZDZIAŁ 7. Rekonesans

ROZDZIAŁ 8. „Rusalka”

ROZDZIAŁ 9. „Moskwa”

ROZDZIAŁ 10 . Ucieczka raz jeszcze

ROZDZIAŁ 11. Mikromutanty

ROZDZIAŁ 12. W gościnie u „Baby Jagi”

ROZDZIAŁ 13. Powrót nad rzekę

ROZDZIAŁ 14. Zbawienna wyspa

ROZDZIAŁ 15. Przeprowadzenie powrotne

ROZDZIAŁ 16. Nad brzegiem północnego południa

ROZDZIAŁ 17. Narada wiosenna

ROZDZIAŁ 18. Wiosieczka

ROZDZIAŁ 19. Ostatnie kilometry

ROZDZIAŁ 20. Wielki Ustiug

ROZDZIAŁ 21. Spotkanie z Dziadkiem Mrozem

ROZDZIAŁ 22. Wotczina

ROZDZIAŁ 23. Po raz pierwszy sam

ROZDZIAŁ 24. Wniebowstąpienie

ROZDZIAŁ 25. Błędna decyzja

ROZDZIAŁ 26. W norze

ROZDZIAŁ 27. Spotkanie z cerkiewnymi

ROZDZIAŁ 28. Nowe znajomości ze starymi znajomymi

ROZDZIAŁ 29. Kolacja ze Świętą

ROZDZIAŁ 30. Dwie doniosłe rozmowy

Epilog

Od Autora

Mapa

Chcę wyrazić ogromną wdzięczność:

- mojej ciotecznej siostrze Lubie Kuzniecovej za konsultację w sprawie akcji powieści;*
- mojej koleżance Oli Teterinie za podarowanie wiersza;*
- mojej koleżance Poli Kurdiaszowej za to, że popędzała mnie i nie dawała mi się obijać;*
- mojej żonie Marinie oraz synom Maksimowi i Denisowi za natchnienie i oparcie.*

*W drogę kochani albo kopcie grób,
Wybór jest żaden mówiąc między nami.
Na śmierć powolną nas skazano tu,
Wszystkich tu nas do skał przykuto łańcuchami.*

*Ktoś tam w pośpiechu uwierzył, bo chciał,
Tak bez namysłu, brednią namaszczony.
Po co ma ktoś w łańcuchach żyć jak rab,
Czy jest tu wybór gdyś skuty, skazany¹.*

*

*Dobrze odróżniam podłość od świętości,
Od dawna wiem, czym dobroć jest, czym zło.
Drogę mam jedną, jedną wśród podłości,
Wyboru mi na szczęście nie dał los².*

W.S. Wysocki
tłum. Henryk Rejmer

ROZDZIAŁ 1

PRZEBUDZENIE

Wiatr cicho szumiał w wierzchołkach rozłożystych, oszpeconych przez radiację sosen. Ale niżej, nad ziemią porośniętą wysokim zmutowanym mchem o białawym odcieniu, było niemal bezwietrznie. Ciepłe letnie powietrze pachniało żywicznym aromatem sosnowym. Jaskrawe promienie słońca, przebijając się przez korony drzew, malowały ich pnie odświętną pożłotą.

Ale klęczący przy jednej z sosen wąły mężczyzna w połatanej kurtce zdawał się zupełnie nieporuszony całą tą leśną wspaniałością. Marszczył z troską rzadkie wyblakłe brwi i poruszał cienkimi spierzchniętymi wargami, jakby zadając sobie bezgłośne pytania, na które nie znał odpowiedzi. Mężczyzna co chwila nerwowo drapał się wszystkimi sześcioma palcami lewej dłoni po ozdobionej rzadkimi płowymi włoskami głowie, to znowu gładził ją prawą, całkiem ich pozbawioną.

Blisko i głęboko osadzone bladoszare oczy mężczyzny patrzyły przy tym w dół, na leżącego na wznak u jego kolan, zatopionego w wysokim mchu człowieka. Choć człowieka przypominał on mało. Jego klatka piersiowa i ramiona były niemal dwa razy szersze niż u zwykłego, przeciętnie zbudowanego mężczyzny. Muskularne włochate ręce ciągnęły się wzdłuż jego ciała i dotykały kolan koniuszkami grubych prostych palców o czarnych, podobnych do szponów paznokciach. Ale najpotworniej wyglądała twarz tej istoty: niemal całkowicie porośnięta grubą czarną

szczecina, która nawet z daleka sprawiała wrażenie sztywnej jak drut, zaś wolne od niej górne fragmenty policzków, szeroki mięsisty nos i czoło pokrywała ciemna, jakby przyprószona sadzą skóra. Łuki brwiowe zwisały niczym daszek nad głębokimi oczodołami, co upodabniałoby oblicze tego straszego stworzenia do twarzy neandertalczyka, gdyby nie wysokie czoło, jakim nie mogliby się raczej pochwalić nawet obdarzeni największymi głowami przedstawiciele współczesnego gatunku człowieka. Resztę czaszki zdobił ten sam krótki i ciemny „drut”, przez co głowa przypominała kosmatą czarną kulę z jaśniejszym wzorem w kształcie przerażającej maski.

Za to ubrany był ów stwór zupełnie jak człowiek. Mało tego, jego odzież była nowsza i lepszej jakości niż pierwszego z mężczyzn. Spodnie i kurtka z grubej, wysokogatunkowej ciemnoszarej bawełny zdecydowanie nie były ręcznie szyte. Przy jego głowie leżała wysoka czapka z daszkiem z tego samego materiału. Na nogach tkwiły porządne skórzane buty z cholewami. Obok, w mchu, walał się plecak w kolorach maskujących, też szyty fabrycznie.

Wszystko to wskazywało, że straszliwy stwór należał jednak do rodzaju człowiek z rodziny człowiekowatych w rzędzie naczelnych, natomiast kwestia, czy można go było przypisać do gatunku *homo sapiens*, pozostawała otwarta. Pewnie jednak tak, ale w takim razie, jeśli określenie „mutant” do kogoś pasowało, to ta istota zajmowała na ich liście jedną z czołowych pozycji.

Kłęczący mężczyzna skrzywił się z niezadowoleniem, westchnął, jeszcze raz podrapał się po umęczonej łysinie i bojaźliwie wyciągnął w stronę mutanta sześciopalczystą dłoń. Nagle tamten, jakby wyczuwając jego ruch, rozdał i bez tego szerokie nozdrza i głośno wciągnął powietrze.

Łysy podskoczył jak oparzony. Zerwał się na równe nogi i rzucił w stronę rosnącego nieopodal krzaka. Przesadził go, padł i znieruchomiał, przylegając do ziemi. Potem jednak uniósł głowę, żeby nie spuszczać z oczu mutantą, ale nie mógł go teraz dojrzeć – przeszkadzały mu zarośla i fakt, że

leżące ciało całkowicie zasłaniał wysoki mech.

Tymczasem śpiący lub pogrążony dotąd w omdleniu małpolud zaczął dochodzić do siebie. Mutant jeszcze raz głośno powęszył i otworzył oczy. Jego tęczęwki okazały się tak ciemne, że trudno było dojrzeć ich kolor, zdawały się niemal czarne, jak przedłużenie źrenic. I jeszcze jedno – z tych oczu wprost biło światło, jeśli oczywiście światło może być czarne.

Istota obróciła głowę w jedną stronę, potem w drugą, a następnie jednym szarpnięciem usiadła i uważnie zaczęła się rozglądać dookoła. Wtedy jej wzrok padł na własne ręce i dziwny stwór wzdrygnął się, jakby zobaczył coś zupełnie nieoczekiwanego i strasznego. Mutant zaczął się gorączkowo obmacywać, przesunął dłoń po szczeciniastej twarzy i drgnąwszy, znów zajęczał. Powoli, jak lunatyk, wstał i powiódł zaskoczonym wzrokiem po otaczającym go lesie. Między drzewami błysnęła lustrzana tafla małego jeziora. Było do niego nie więcej niż pięćdziesiąt–sześćdziesiąt kroków i nieszczęsny małpolud rzucił się w stronę wody niczym zdecydowany na ostateczny krok samobójca. Jednak mutant wcale nie zamierzał się topić, podbiegł tylko do czarnej stojącej wody i spojrzał w nią jak w lustro.

Po lesie, odbijając się wielokrotnym echem, poniósł się dziki ryk rozpacz i bólu. Zdawało się, że nawet wiatr ucichł w koronach drzew, zmrożony tym pełnym beznadziei i przerażenia krzykiem.

Stworzenie zamachnęło się i uderzyło pięścią w wodę. Fale zniekształciły odbicie, robiąc z niego groteskowo-absurdalną ilustrację nocnego koszmaru.

– Mutant!... – wyjęczał właściciel przerażającej twarzy. – Jestem mutantem...

Jego głos, niski i ochrypy, brzmiał jednak całkiem ludzko. Być może to właśnie przywróciło mutantowi panowanie nad sobą. Wziął kilka głębokich oddechów, potrząsnął głową i nachylił się, żeby zaczerpnąć dłonią wody i ochłodzić pałającą ze wzburzenia twarz.

Ale małpolud nie zdążył tego zrobić. Powierzchnia jeziora ukazała nie tylko jego samego, ale jeszcze coś dużego i ciemnego, co leciało na niego zza pleców. Refleks mutanta okazał się bez zarzutu. Było już za późno, by uskoczyć w bok, więc po prostu gwałtownie przysiadł. Nad głową przemknął mu jakiś cień i jęcząc z przerażenia, wpadł z pluskiem w wody jeziora, ochlapując małpoluda.

Nie czekając, aż nieznanne stworzenie dojdzie do siebie, mutant wskoczył do jeziora. Natychmiast nabrał wody w buty – a co tam! – i nie zatrzymując się, dobrnął do szamoczącego się trzy metry od brzegu brudnoszarego kawała żywego mięsa. Dobrnął... i zamarł przerażony, widząc błysk bezlitosnych żółtych ślepiów drapieżnika. Które zresztą patrzyły na niego z tak szpetnego pyska, że sam mutant w porównaniu z tym wybrykiem natury był niemal przystojniakiem. Nie miał jednak czasu na rozważania, co właściwie ma przed sobą. Wiadomo, że to też był mutant, tyle że przynależny do królestwa zwierząt, najprawdopodobniej wilk, który rozpaczliwie młóćąc łapami, podpłynął do niego i rozwarł przerażającą najeżoną zębami paszczę.

– A masz! – wysapał małpolud, opuszczając pięść na łeb drapieżnego potwora.

Wilk, czy co to było, bezgłośnie poszedł pod wodę.

Mutant odwrócił się w stronę brzegu i zobaczył, że tam, obawiając się wejść do wody, czekają na niego kolejne dwa „wilki”, a trzy inne nadbiegają w kierunku jeziora od skraju lasu.

Teraz mógł dobrze się przyjrzeć drapieżnikom. To chyba rzeczywiście były zmutowane wilki. W procesie zmian straciły niemal całą sierść – jej skąpe resztki porastały pomarszczone, białawe ciała całe we wrzodach i strupach – a przy tym i ogony. Za to sam ich tułów stał się dłuższy i bardziej gibki, łapy również się wydłużyły, a do tego stały się grubsze, przy czym na przednich pojawiło się coś w rodzaju krótkich szponiastych palców. Natomiast na widok pysków tych „mutowilków” robiło się wprost

niedobrze. Przede wszystkim zapewne dlatego, że całkowicie bezwłose, na łysych czaszkach, bardzo przypominały twarze ludzi. Ale ludzi okropnie szpetnych, chorych na trąd albo poparzonych w strasznym pożarze. Mutant nie mógł się im już bardziej przyjrzeć, bo zdawał sobie sprawę, że zaraz zwymiotuje. Ale nie zamierzał też stać po pas w wodzie i czekać, aż mutowilki się stąd zabiorą. Po pierwsze, nie wiadomo, kiedy to się stanie ani czy w ogóle, a po drugie, z jakiegoś powodu wstydził się tak stać: mokry, zapędzony do tego leśnego bajora przez byle łyse kundle. Zdawałoby się, że co za różnica, i tak nikt nie widzi – a jednak to wstyd, i tyle!

„Ech, żeby tak jakiś dobry nożyk!” – pomyślał mutant i machinalnie uderzył się w bok po pasie. O dziwo, jego dłoń natrafiła na coś twardego. Małpolud uniósł połę kurtki i zobaczył przytroczoną do paska pochewkę.

– Cuda się zdarzają – mruknął mutant, wyciągając doskonały nóż myśliwski. – Może jeszcze o czymś pomarzę, na przykład o jakimś zapomnianym karabinie maszynowym?...

Ale żaden karabin maszynowy nie spadł mu z nieba. Trzeba było sobie radzić tym, co miał pod ręką. A dokładniej: tym, co pod ręką, i samą ręką też. I poradził sobie nieźle: energicznie wyskoczył na brzeg i nie zastanawiając się, ciachnął nożem gardło skaczącego na niego mutowilka. Drugi, podkradający się z boku, widząc to, bojaźliwie się cofnął, ale mutant dosięgnął go pięścią – ręce na szczęście miał długie. Mutowilk zaskomlał, upadł, podkurczając przednie łapy, ale od razu się zerwał i rozwścieczony bólem rzucił się do ataku. Wyciągając wnioski z niefrasobliwości pobratymcy, nie skoczył, tylko celował zębami w nogi, zamierzając przegryźć ofierze ścięgna. Tym bardziej że ta akurat patrzyła w drugą stronę, na zbliżające się do niej trzy inne osobniki. Ale ofiarą okazał się sam niby-wilk – mutant, pozornie nawet nie patrząc, kopnął go od dołu w szczękę tak mocno, że praktycznie oderwał mu czaszkę od kręgosłupa, i mutowilk poleciał do wody niczym sprana porwana szmata.

Mutant nie certował się też z kolejną trójką. Skok w stronę pierwszego, zamach, cios nożem w grzbiet, pogardliwy ruch buta – na bok, ścierwo! Obrót na pięcie w stronę drugiego, potężny kopniak w brzuch – miłej kąpieli, zdechlaku! Trzeci jednak skoczył – z desperacji czy co? No to masz za swoje! Zalśniła zimna błyskawica i ostrze noża rozpruło śmiałka od pachwiny do gardła.

Małpolud ani trochę się nie zasapał, wrócił do jeziora i starannie – przecierając nawet piaskiem – umył nóż. Nie zdążył go jednak włożyć do pochewki, gdy usłyszał z lasu przenikliwy krzyk:

– Ratunku! Aaaaa!!! Na pomoc!...

Wołanie dobiegało z miejsca, w którym całkiem niedawno mutant odzyskał przytomność. Żeby tam dobiec, potrzebował zaledwie dziesięciu–dwudziestu sekund. Zatrzymał się i powiódł wzrokiem wkoło – w pobliżu nie było nikogo widać.

– Ma ponoc! Aj!...

Głos dobiegał z góry. Małpolud zadarł głowę i prawie na samym czubku sosny dostrzegł człowieka, który obejmował pień rękami i nogami. Przy tym jedną nogą bezskutecznie próbował zepchnąć przywierającego nieco niżej do drzewa... mutowilka!... Drapieżnik wczepił się pazurami w pień i kłapał paszczą, starając się złapać dokuczliwą nogę.

„No ładnie! – westchnął w myślach mutant. – To te stwory łażą też po drzewach?!”

Okazało się, że jeszcze jak! Małpolud opuścił nieco wzrok i zobaczył, jak z dołu po sośnie wdrapuje się kolejny mutowilk. Na zmienionych pod wpływem radiacji sosnach gałęzie zaczynały wyrastać już u samej podstawy pnia, jak na świerkach. I pozbawiony owłosienia drapieżnik wykorzystywał tę okoliczność z wyjątkową zręcznością. Chwytając się krótkimi palcami gałęzi, wdrapywał się w górę szybko i z dużą łatwością, jak po szczeblach. Jeszcze trochę i nieszczęsnej ofierze nic nie pomoże – obrona przed dwoma mutowilkami jednocześnie będzie po prostu niemożliwa.

Małpolud, ściskając w ręku nóż, podbiegł do sosny i zamarł, zastanawiając się, co począć. Wspiąć się na górę? Przecież pod jego ciężarem górne cienkie gałęzie na pewno się złamią. Może się złamać i sam wierzchołek, a wtedy zarówno on, jak i uwięziony na nim człowiek runą z samej góry i połamią sobie kości... Nawet jeśli pozostaną przy życiu, to nie na długo – mutowilki skrócą ich męczarnie w jednej chwili. Ściąć jakiś grubszy konar i strącić nim wilki?... Ale zanim to zrobi, te zdążą już zjeść biadolącego człowieka.

Mutant patrzył z nienawiścią na szczerzące zęby monstra. Złość zmieszana z rozpaczą ogarnęły go z zaskakującą siłą. Na kilka chwil oczy przesłonił mu ciemny woal. A kiedy małpolud odzyskał wzrok, zobaczył, że sosna... płonie jak potarta o niebo zapałka.

Krzyki nieszczęsnego mężczyzny stały się jeszcze bardziej przeszywające. Dołączyło do nich żalosne wycie poparzonych mutowilków, które po kilku chwilach jeden za drugim posypały się na ziemię, łamiąc po drodze płonące gałęzie.

– Skacz! – krzyknął mutant, zadzierając głowę w stronę zasnutego gęstym dymem czubka sosny.

– Neeee!!! – dobiegło stamtąd, po czym wołający zakasłał i czy to zdając sobie sprawę, że naprawdę nie ma innego wyjścia, czy to nie będąc już w stanie wytrzymać żaru i dymu, też poleciał w dół, sypiąc iskry ze strącanego po drodze płonącego igliwia.

Mutant złapał go tuż nad ziemią. Nie utrzymał się na nogach i zwałił się w wysoki miękki mech, ale natychmiast się zerwał i przyciskając do siebie nieznanego człowieka, odbiegł daleko od płonącej sosny, i dopiero wtedy padł na kolana i rozluźnił chwyt, wypuszczając z rąk ocalonego. Chociaż czy na pewno ocalał?... Mężczyzna leżał z zamkniętymi oczami bez jakichkolwiek oznak życia. Ubrudzona sadzą twarz była nienaturalnie blada. Jego marynarka dymiła w paru miejscach. Małpolud kilkoma ostrożnymi – żeby tylko biedaka nie dobić! – klepnięciami ugasił tłącą się tkaninę

i przytknął ucho do piersi mężczyzny.

Nie zdołał usłyszeć bicia serca – za głośno huczała mu w skroniach krew – za to usłyszał coś innego.

– Łaskocze... – wymamrotał mężczyzna, nie otwierając oczu.

– Co?... – Mutant poderwał głowę.

– Mówię, że mnie łąsko... tało. Przez twoje włosy. Masz tam plotkę czy co? – Mówiący nadal leżał bez ruchu i był wciąż tak samo blady. Jego oczy pozostawały zamknięte.

– Jaką... plotkę? – Małpolud zmarszczył brwi, sądząc, że nieszczęśnik majaczy. – Bądź cicho, oszczędzaj siły, zaraz przyniosę ci wody.

Zaczął się podnosić, zamierzając podbiec do jeziora i zaczerpnąć wody choćby do buta, ale mężczyzna znów się odezwał:

– Nie, nie plotkę. Jaką znowu plotkę?... O... szczotkę. Tak, tak, szczotkę. Twoje włosy są jak szczotka. Czasem mylę słowa, wyracz.

– Wybacz – machinalnie poprawił mutant. – Jak się czujesz?

Poszkodowany otworzył w końcu oczy i uniósł głowę. A kiedy ujrział swojego wybawcę, krzyknął tak, że temu aż zadzwoniło w uszach.

– Nie bój się – burknął małpolud. – Nawet cię nie dotknę.

– Jjjż to zrobiłeś – jękając się i drżąc, wydusił mężczyzna. Spróbował usiąść, ale nie dał rady. Udało mu się tylko przewrócić na bok, plecami do mutantu.

– I co teraz? Niepotrzebnie ci pomogłem? Podrzucić cię znów na drzewo i zawołać pieski?

– Nnie ttrzeba pie-piesków... Ttylko ty... cze-czemu ty taki?...

– Taki już jestem! – odgryzł się małpolud. – Lepiej ci – to idź w swoją stronę! A ja w swoją.

– A dokąd idziesz? – Poparzony przekrzywił głowę, przestając się jękać.

– Idę tam, gdzie idę – odparł mutant i pomyślał: „Rzeczywiście, dokąd mam iść? No i kim ja w ogóle jestem?...”.

Jakby słysząc jego myśli, mężczyzna zapytał:

– A... kim ty jesteś?...

– Mutantem, nie widzisz czy jak?!

– Dobrze już, dobrze, nie złość się. Ja po prostu... no... tak z braku przyzwyczajenia. Jak na ciebie popatrzyłem, to mnie strach oblał.

Mutant, choć wciąż rozdrażniony, nie wytrzymał i roześmiał się:

– Oblał cię i co teraz? Masz mokro w spodniach?... Ostrożnie z tym strachem!

– Nie, tylko znów... tego... poplątałem słowa. Chciałem powiedzieć „obleciał”.

– Jak się boisz, to nie patrz. – Małpolud znów spochmurniał.

– Dobrze już, nie bądź taki. Trochę się już przyzwyczaiłem.

– A po co masz się przyzwyczajać? Idź swoją drogą!

– Tak, tylko... ja nie mam dokąd iść... – Pogorzelec odwrócił się. Potem jednak usiadł, zaczął się obmacywać, wzdychając żałośnie, kiedy odkrywał kolejne dziurki wypalone w kurtce.

Mutantowi rzuciła się w oczy jego pozbawiona palców dłoń. Przy czym było widać, że niegdyś je miała – na ich miejscu pozostały krótkie kikuty z nieregularnymi purpurowymi bliznami.

– Dlaczego nie masz dokąd? Co ty, w lesie żyjesz?

– Można i tak powiedzieć... – Mężczyzna spuścił wzrok. – Nie mam już domu. Pozostałem przy życiu – to i tak dobrze. Chociaż... Może i lepiej, gdyby mnie zapili. – Machnął ręką zakończoną sześciopalczystą dłonią.

Ten nadmiarowy palec też nie umknął uwadze małpoluda.

– Czy to za to? – Skinął głową w stronę ręki rozmówcy. – Za mutację?

– Nie tam... U nas wszyscy mają mutacje. Po prostu wszędzie wokół są zamrażalcy.

– Jacy znowu zamrażalcy?... – Małpolud się zastanowił. W głowie zaświtało mu pewne skojarzenie z tym słowem, ale choćby nie wiadomo jak próbował, nie mógł go uchwycić. Nie wiedzieć czemu przypomniawszy mu się tylko nazwa miasta: Wielki Ustiug³. Dlatego spytał niepewnie: – Jesteś

z Ustiuga?

– Nie, z Łuzy. Słyszałeś o tym miasteczku? Obwód kirowski, ze czterdzieści likometrów stąd. A zamrażalcy to nie zamrażalcy, nie. Tylko... Jak oni się nazywają?... Zamrażalniki. Nie... O, wiem: zwyrodnialcy!

I w pośpiechu, połykając i nieustannie płacząc jedne słowa i przestawiając głoski w innych, zaczął opowiadać, że spędził całe życie w Łuzie, nikomu nie wadził, nie założył nawet rodziny („nie wyłożyłem”, mówił początkowo i mutant nie od razu zrozumiał, co ma na myśli, zaś do głowy przychodziły mu dziwne skojarzenia). Natomiast od dziecka lubił słowo pisane, ciągle coś pisał, prowadził dziennik, tworzył nawet powiadomienia (jak się wyjaśniło, opowiadania). A potem wpadł na pomysł wydawania miejskiej gazety. No, gazety jak gazety – była to pisana ręcznie kartka w liczbie dwudziestu–trzydziestu egzemplarzy, która ukazywała się raz na miesiąc. Opisywał w niej różne lokalne wydarzenia i rozlepił kopie na mieście. A jakie to były wydarzenia? Kogoś zabili, innego obrabowali... W sumie to właśnie za tę gazetę zapłacił. Ci, o których po raz kolejny napisał, przyszli do niego, pobili, odrąbali palce (którymi miał niby pisać – nie wiedzieli, na szczęście, że od urodzenia był mańkutem) i wyrzucili go z miasta, obiecując, że zabiją go, jeśli jeszcze raz go tam zobaczą.

– No i tak się błąkam, tulę się po lasach – zakończył mężczyzna swoją opowieść. – Dobrze jeśli przygarną mnie na noc w jakiejś wioseczce, nakarmią kartoflem czy dwoma. I proszę cię!... – Nagle padł na kolana i złożył ręce jak do modlitwy. – Nie przeganiaj mnie! Wszystko mi jedno, dokąd idziesz – pójdę za tobą jak sęp... znaczy jak pies... Będę ci we wszystkim pogamać! Proszę, jaki z ciebie bohater, uratowałeś mnie z ognia! Będę zapisywał wszystkie twoje wyczyny, zostanę twoim pistoletem!

– Kim?... – Oczy mutanta zrobiły się wielkie jak spodki. Chociaż zaczął już przywykać do oryginalnego stylu wysławiania się swojego rozmówcy, tym razem nie potrafił znaleźć odpowiednika tego, co usłyszał. Ten uciekinier z Łuzy nie proponuje chyba, żeby z niego strzelać! A kim ma

być – nie chciało mu się nawet domyślać.

– Pistole... To jest tym... Jak on się nazywa?... Latopisem. Kronikarzem. Mam przy sobie gruby notatnik i owótek, nie myśl sobie! – Sięgnął za pazuchę „pistolet”.

– Zaczekaj – mutant zatrzymał go z uśmiechem. – Wybacz, ale nie mogę zrozumieć, jak ty zamierzasz coś pisać, jeśli nie potrafisz sklecić choćby dwóch słów na krzyż?

– Ustnie nie umiem, pewnie taka mutacja. A na piśmie to ho, ho!

– Czyli tak... – Małpolud znów sposepniał. – Żadnego latopisa ani pistoletu mi nie trzeba. Nie zamierzam dokonywać już żadnych bohaterskich czynów, nie mam też dokąd iść.

– Dlaczego?

– Dlatego że nie wiem dokąd! – ryknął mutant. – Dlatego że w ogóle nie wiem, kim jestem! Niczego nie pamiętam, rozumiesz?! Ocknąłem się pod tą sosną jak jakiś bezmózgi grzyb!...

– Podsosnówka... – wymamrotał uciekinier.

– Podchujówka!... – zaklął małpolud, ale jego wybuch gniewu natychmiast zgasł i ogarnęło go tylko nagłe zmęczenie.

– No to tym bardziej – powiedział mężczyzna.

– Co?...

– Tym bardziej powinniśmy trzymać się razem. Im nas więcej, tym sewelej. I mniejszy strach... A pamiętasz, jak się nazywasz?

– Mówię ci przecież, że grzyb... – burknął apatycznie mutant.

– W takim razie Gleb. Serio, może zostaniesz Glebem?

– Niech będzie, wszystko mi jedno. A ty, pistolecie, masz jakieś imię?

– Cóż... Sam przecież powiedziałeś: Pistolet. Więc nazywaj mnie tak dalej.

– Co, nie ufasz mi? Myślisz, że pobiegnę do tej twojej Łuzy, żeby cię wydać „zamrażalnikom”?

– Nie, nie. – Pistolet pokręcił głową. – Po prostu moje dawne życie się

skończyło. Chcę zacząć nowe. Od sera!

– No nie... – Nowo mianowany Gleb skrzywił się. – Może jednak bez sera, jakoś nie przepadam.

– Czyli zgadzasz się?! – Mężczyzna się zerwał.

– Zobaczymy. Jak będziesz się zachowywał. Ale i tak nie wiem, co mamy dalej robić.

– Osobiście to na początek coś bym zjadł... – Pistolet skromnie spuścił wzrok.

ROZDZIAŁ 2

W STRONĘ LUDZI

Glebowi i Pistoletowi udało się zjeść, i to nawet całkiem nieźle. Sam Gleb w pierwszych chwilach po „przebudzeniu” był tak oszołomiony, że nawet nie zauważył leżącego obok plecaka. Jak się okazało, widział go za to i powiedział o tym mutantowi jego nowy towarzysz. Obok plecaka znalazła się też bawełniana czapka z daszkiem, którą Gleb natychmiast włożył na głowę.

Zawartość plecaka ucieszyła ich obu. Znaleźli w nim bochenek chleba, duży kawałek wędzonego mięsa, woreczek z ugotowanymi w mundurkach ziemniakami, manierkę z kompotem z borówek oraz dwie zmiany czystej bielizny, grube wełniane skarpety, małą siekierkę w futerale i opakowanie zapalek – całe dziesięć pudełek.

– Oho! – Pistolet wytrzeszczył oczy na widok zapalek. – No, pięknie! Takie bogactwo! – Widać był przejęty, bo nie pomylił ani słowa. – Skąd ty się w ogóle wziąłeś?...

– Mówię ci przecież, że nie pamiętam! – rzucił z irytacją Gleb. – I gdzie ty tu widzisz bogactwo?

– Zapalki. U nas w Łuzie to ze śmiecią takich szukać! Za jedno takie dupelko można dostać tyle jedzenia!... Więc nie marnujmy ich bez potrzeby. Oj, wybacz, to twoje, więc rób, jak chcesz. Ale ja bym je oszczędzał.

– A ja bym nie oszczędzał! – burknął mutant. – Urządzą fajerwerki

z całego tego bogactwa za jednym razem.

– Po co?!... – jęknął Pistolet z malującym się w oczach bólem.

– A po to, że nie trzeba mi dawać dumnych rad! Ja pamięć straciłem, a nie mózgownicę.

Pistolet ucichł przestraszony i upodobił się do przepełnionego poczuciem winy psa z podkulonym ogonem. Wisząca w powietrzu kłótnia – w sumie o nic – w końcu jednak nie nadeszła, czemu sprzyjała apetyczna woń unosząca się z plecaka.

Kiedy podjedli, obaj poweseleli.

– No cóż – powiedział Gleb. – Skoro już wprosiłeś się do mnie na przewodnika, to prowadź.

– Dokąd?... – Pistolet zamrugął.

– A wszystko jedno. Nie będziemy tu przecież tak tkwić! Sam mówiłeś, że obszedłeś całą okolicę, więc główkuj, dokąd teraz iść. Może do jakiejś wsi, do ludzi. Porozmawiamy, popytamy.

– No cóż... pamiętasz chociaż, że tutejsi ludzie to mutanty?

– Nawet gdybym nie pamiętał, mógłbym się domyślić. Jaka tu może być ochrona przed promieniowaniem?

Gleb powiedział to i zaczął się zastanawiać. Okazuje się, że jednak dalece nie wszystko zapomniał. Pamięta o radiacji, wie też o tym, że we wsiach i osadach w tym rejonie mieszkają tylko „dzikie” mutanty. Zaraz, stop!... Dlaczego właśnie „dzikie”? Czyli są też jakieś inne?... Na przykład on sam – jest „dziki” czy nie? Sądząc po ubraniu i zawartości plecaka – wygląda na to, że nie. A na co wygląda? Niech to licho, kim on jest i skąd się wziął?! I dlaczego znalazł się w tym lesie?... A swoją drogą, jeśli wie, że we wsiach żyją tylko mutanty, to czy gdzieś jeszcze mogą mieszkać niezmutowani ludzie? Gdzie? I czy nie stamtąd właśnie pochodzi?... Co prawda on jest akurat mutantem, ale przecież przypuszczalnie nie „dzikiem”... Może tam, skąd przyszedł, żyją zarówno „niedzikie” mutanty, jak i zwykli ludzie? Całkiem możliwe... Tak, tak, pewnie tak właśnie jest!

No, dalej, przypominaj sobie!

Gleb ze wszystkich sił wyteżył pamięć. Aż zmrużył oczy z wysiłku. I... coś rzeczywiście sobie przypomniał! Ponure ceglane ściany. Słabe elektryczne światło. I półki z książkami. Dużo, dużo książek! O, książki!... Dobre, mądre, wierne przyjaciółki...

– Ej, co ty, ogłupieś? – Niespokojny głos Pistoleta przywrócił Gleba do rzeczywistości.

– Grzeczniej! – burknął niezadowolony mutant. To rzeczywiście przykre, przecież zaczął już coś sobie przypominać, a tu ten natrętny wymoczek!...

– Nie, nie, ja nie to... Po prostu się przestraszyłem. Wołam cię, wołam, a ty milczysz. I oczy masz zamknięte. Myślałem, że ramnie się czujesz. To znaczy marnie. Żle.

– Ech, trzasnąłbym cię, to dopiero byś się źle poczuł! No dobra, dokąd to mnie wołałeś, gadatliwy cymbale?

– Jeszcze z tamtego, poprzedniego... nie, przedostatniego życia pamiętam, że gdzieś tu powinna być duża wieś o nazwie Iljinskoje. Kiedyś była tam i szkoła, i skrzepy, i poczta, a nawet cerkiew. Wprawdzie zburzona.

Zburzona cerkiew?... Gleb się zasepił. Gdy usłyszał to sformułowanie, w mózgu znów zaczęła mu się jakaś reakcja, ale żadne trwałe skojarzenie się nie pojawiło.

– To nie ja! – wypalił Pistolet.

Mutant nie wytrzymał i prychnął.

– Ajajaj! Jak my sobie teraz poradzimy bez cerkwi? Mam nadzieję, że chociaż pocztę oszczędziłeś? A i szkoła jest nam teraz absolutnie niezbędna!

– Naprawdę niczego nie zburzyłem!... A po co nam cerkiew? I poczta? I szkoła?... Nie sądzę, żeby teraz ładziały, nawet jeśli są całe.

– Jak to po co? Żeby je zburzyć! W głowie się nie mieści, jak ja lubię

niszczyć poczty razem ze szkołami.

– Pppo co?...

Mutant rozpostarł ramiona i zgiął je w łokciach, zacisnął dłonie w pięści, napiął mięśnie.

– Popatrz tylko. Przecież prawdziwy ze mnie burzyciel!

Pistolet zrobił tak głupią minę, że Gleb nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Żartuję, żartuję – powiedział, kiedy skończył się śmiać. Ale nie powstrzymał się przed dodaniem: – Niszczę tylko to, co żyje. Prowadź do tego swojego Iljinskoje.

*

Wieś Iljinskoje, jak się okazało, leżała naprawdę blisko. Najpierw wędrowcy wyszli na mocno zarośniętą trawą i zakrzaczoną drogę. Pistolet ucieszył się i zaczął trajkotać, że to na pewno ta droga, której potrzebują, że zawsze tu była tylko ona, że teraz można uznać, że są już na miejscu, że będzie doskonale i przepięknie, i jeszcze jakieś nieistotne i niezrozumiałe rzeczy – Gleb przestał wnikać w sens tej paplaniny. Szedł i myślał o swoich sprawach. Starał się przypomnieć sobie, kim jest i dlaczego się tu znalazł. Nic z tego nie wyszło. To jest, tak jak wcześniej, z pamięci wypływały ciemne ceglane ściany i książki, mnóstwo książek. I jeszcze, że te ściany stanęły mu przed oczami po tym, jak Pistolet wspomniał o zburzonej cerkwi. Na pewno nie bez powodu! Ale o czym to może świadczyć – czy naprawdę o tym, że żył w takiej zniszczonej cerkwi? Mało prawdopodobne. Jeśli jest zburzona, to jak można w niej mieszkać?... Dobra, co jeszcze? Nazwa Wielki Ustiug przypomniła mu się po tym, jak Pistolet powiedział o zamrażalnikach. Może właśnie z Ustiuga pochodzi? Kto go tam wie, wszystko jest oczywiście możliwe. Ale co do tego mają jakieś zamrażalniki? Kolejna zagadka bez rozwiązania.

Glebowi przypomniała się też nagle płonąca sosna. Co to było? Na niebie nie widział wtedy nawet chmurki, więc piorun można było od razu wykluczyć. Pistolet zaprószył ogień? Przecież nawet nie ma zapalek, a poza tym jak od jednej zapalki może od razu zapłonąć całe drzewo? A może pod wpływem radiacji powstała tam jakaś anomalia? Ale czy takie rzeczy się zdarzają?... Krótko mówiąc, bardzo dziwna sprawa. Chyba nie mniej zagadkowa niż tajemnica jego własnego pochodzenia. I ani jednej wskazówki, jak te zagadki rozwiązać!

Tymczasem droga doprowadziła wędrowców do celu. Widząc przed sobą domy, Gleb stanął.

– Co ty? – Pistolet, który szedł przodem, obrócił się do niego.

– Tak się zastanawiam, czy aby nie popełniamy błędu...

– Błędu? Dlaczego?

– Że tam idziemy. Gdyby chociaż wioseczka była mała, a to, jak widzę, naprawdę spora osada. A nuż nie lubią tu obcych? Z całym tłumem sobie nie poradzę.

– Przecież jesteś mutantem! I ja też, choć daleko mi do ciebie. A tu też mieszkają mutanty. Dlaczego mieliby nas nie lubić?

– A dlaczego mieliby lubić? Obcy to obcy. Poza tym tu mieszkają „dzikie” mutanty, a my...

Gleb zaciął się i popadł w zadumę. No bo faktycznie, kim oni są dla miejscowych? Przybysz z Łuzy to jeszcze pół biedy – powie prawdę, i tyle. Nad uchodźcą powinni się zlitować. Pokaże choćby na dowód swoją pozbawioną palców dłoń – i od razu wzbudzi współczucie. A sam Gleb? Co powie? Prawdę?... Kto w taką prawdę uwierzy? Powiedzieć, że też jest „dzikim” gdzieś z daleka? Na to ma zbyt cywilizowane ubranie. To co, ma się rozebrać i pchać się tam na golasa? Z jego wyglądem wezmą go jeszcze za jakąś bestię i nabiją na widły...

Wreszcie zdecydował się i powiedział:

– Czyli tak... Ja na razie zostanę tutaj, a ty idź do wsi. Pochodź,

poprzyglądaj się. Dowiedz się, u kogo można się zatrzymać – na wszelki wypadek na dwie–trzy noce. Jeśli zaczną wypytywać, kim jesteś i skąd, mów prawdę, niczego nie wymyślaj. Ale w ogóle staraj się jak najmniej gadać. Raczej patrz i słuchaj. I zwróć uwagę, jak wioskowi będą się przy tobie zachowywać. Oczywiście raczej nie zaczną cię od razu obcałowywać, ale jeśli chociaż nie będą chcieli bić, to już dobrze.

– Aha, a jeśli?... – Pistolet symbolicznie przyłożył sobie pięść do policzka.

– To nic, jakoś przeżyjesz. No i po co mają sobie ręce brudzić na tobie?

– A co z tobą? W lesie będziesz conować?

– Swoją drogą, bądź ostrożny z tym swoim „conowaniem”! Kontroluj się. Jeszcze chlapiesz coś niechcący i nie tylko nie wpuszczą nas do wsi, ale jeszcze potraktują nożem po szyi.

– Cóż... – Pistolet rozłożył ręce. – Postaram się...

– A co do mnie... Kiedy znajdziesz kogoś, kto się zgodzi cię przyjąć, powiedz mu o mnie. Też prawdę. I opisz mnie jak najdokładniej i najbardziej obrazowo, żeby mój widok nie zszokował gospodarza. Jeśli wtedy odmówi – nie kłóć się, idź szukać takiego, który się zgodzi. A potem zaczekaj, aż zaczną się zmierzchać, i wracaj biegiem. Ja tymczasem przekimam się tu, pod krzakiem.

Pistolet zawahał się, widocznie zamierzając o coś zapytać, ale potem machnął ręką o sześciu palcach i szybkim krokiem ruszył w stronę wsi.

Spostrzegłszy się, Gleb zawołał w ślad za nim:

– Tylko nie przedstawiaj się jako Pistolet! Ludzi wystraszysz... Powiedz, że masz na imię... Tola.

Efekt był taki, jakby mutant rzucił w swojego towarzysza kamieniem. Tamten jakby się potknął, skulił, zamarł, a potem powoli odwrócił, jakby naprawdę spodziewał się ciosu.

– A ty skąd wiesz – wydusił przestraszony Pistolet – że nazywam się Tola?... Przecież ci nie mówiłem.

– Skoro nie mówiłeś, to jak mogłem się dowiedzieć? Pis-tole... I stąd się wziął Tola! Rzuciłem pierwsze, co mi przyszło do głowy. Czy nadal uważasz, że jestem pacholkiem twoich „zamrażalników”? Czy naprawdę nie zauważyłbyś w swojej Łuzie kogoś tak charakterystycznego jak ja? I czybym cię wtedy uratował?... Czy ty masz nierówno pod sufitem?

– Nie, nie. – Pistolet pokręcił głową. – Po prostu jakoś... się nie podziwiałem... – Znów odwrócił się w stronę Iljinskoje i szybko, prawie biegiem, ruszył naprzód.

– Durny wymoczek!... – wymamrotał Gleb.

Potem poszedł za najbliższy krzak, wyciągnął się na trawie, podłożywszy sobie pod głowę plecak, i naprawdę postanowił przespać się do zmierzchu. Istniało oczywiście ryzyko, że padnie łupem drapieżników, ale, po pierwsze, obok mieszkają ludzie, więc zwierzyna raczej tu stadnie nie grasuje, po drugie, był jakoś pewny, że nawet przez sen usłyszy i wyczuje nadciągające niebezpieczeństwo, a po trzecie, czy ma się teraz wszystkich i wszystkiego bać? Niech lepiej wszyscy i wszystko boi się jego.

Jednak Glebowi nie udało się porządnie pospać. Zdawało się, że dopiero co przymknął powieki, a już jego szósty zmysł wyrwał go ze snu i sprawił, że chwycił za nóż i bezszelestnie zerwał się na nogi. Alarm okazał się fałszywy – to tylko wrócił Pistolet.

– Co tak szybko? Powiedziałem ci przecież, czekaj, aż zrobi się ciemno! Czy jednak cię przegnali?

– Nie, nie przegnali. – Łuzanin rozpromienił się w uśmiechu. – Przeciwnie, wołają nas.

– Kto nas woła? I dlaczego w liczbie mnogiej? Tak dużo tam chętnych, żeby nas przyjąć?

– Aha. Od razu spotkałem dziesięciu, jak nie więcej, siewniaków ze sztafetami.

– A skakali też w dal? – Gleb zainteresował się ponuro.

– Jak to w dal?... – Pistoletowi uśmiech spelzł z twarzy.

– Skoro mają sztafetę, to może i skoki w dal uprawiają. Co ty, pleciugo, od razu wszystkim o mnie wygadałeś? Co ja ci mówiłem?

– Przecież ty sam!... Sam tak, no... żeby opowiedzieć temu, który będzie chciał mnie pościć... spuścić... wpuścić!... A oni wszyscy chcieli! No to wszystkim...

– Naprawdę wszyscy? – Gleb zmrużył oczy.

– No... – Pistolet się zawahał. – Trzech od razu powiedziało: nocuj... Przecież nie mogłem tej trójce pesztać na ucho! Pozostali nabraliby tych... dopejrzeń.

– Za to ja mam teraz dopejrzenie, że lepiej mi było się z tobą nie zadawać. – W oczach mutanty pojawiły się złe błyski. – Teraz pewnie czekają tam na nas z widłami i kijami.

– Nie... – powiedział szybko skulony łuzanin. – Nie z kijami... ze sztafetami.

– Co?!... – zaciął się Gleb. – Z jakimi znowu sztafetami?

– Przecież tak powiedziałem: ze sztafetami. Chcą wydubować komuś dom z płotem.

– Tfu, ty bełkotliwy idioto! Sztafety!... I domyślaj się, człowieku, że u ciebie tak się mówi na sztachety... A ty, jak rozumiem, całej tej bandzie o mnie opowiedziałeś? I co oni na to?

– Nie uwierzyli. Stwardzili, że mały w tych stronach nie występują. Do tego gadające.

– Jeśli ktoś z nas jest gadającą małą, to tylko ty! Gadatliwą, głupią, bełkoczącą małą. Normalnie makak!... Dobra, szybko, spadamy stąd!

– Ale... jak to?... – Pistolet zamachał rękami. – Przecież na nas czekają!...

– Jak na ciebie czekają, to idź. – Gleb zarzucił plecak na ramiona. – A nuż pożałują ubogiego duchem i cię nie stłuką. Za to ja bym jeszcze troszkę pożył.

– To żyj – rozbrzmiał zza krzaka czyjś głos. – I to wiela, czemu troszki?
Zetnie się drew na chatę, starczy dla wszystkich.

– Na trumnę potrzeba jeszcze mniej – burknął pod nosem mutant,
ściskając rękojeść noża i prężąc się do skoku.

ROZDZIAŁ 3

ILJINSKOJE

Mężczyzna, który ukazał się Glebowi, na pierwszy rzut oka wyglądał na zupełnie zwyczajnego człowieka. Niewysoki, krępy – jak to się mówi, nabity – był ubrany w szare spodnie z grubego materiału, na nogach miał łapcie i w potężnej garści trzymał siekierę. Siłacz był obnażony od pasa w górę i tu Gleb nie miał już wątpliwości – jednak miał przed sobą mutanta, gdyż całe ciało nieznajomego pokrywały wielkie plamy nieprzyjemnego, „mięsnego” koloru, skóra łuszczyła się tak, że wyglądała na kosmatą, a do tego była upstrzona krostami i wrzodami. Równie plamista okazała się twarz. Wrażenie łagodziła tylko gęsta ciemna broda i wąsy. Głowę zdobiła bezkształtna zatłuszczona czapka z daszkiem, którą mężczyzna na moment uniósł, po czym znów nasunął na dość dużą, usianą wrzodami łysinę.

– Czego to o trumnach dumać – powiedział, mrużąc oczy – kiedy chceta żyć?

– Można pomyśleć, kiedy człowieka witają siekierą. – Gleb skinął głową na rękę rozmówcy.

– Toć nie wiedzielim, czym cie trza witać, winc... – Plamisty uśmiechnął się pod wąsem, ale od razu urwał. – Dobra. Skond żeś jest? Ktoś ty? Pysk mosz cosik łokropny...

– Taki już jestem – burknął Gleb. – A skąd i kim jestem – tego sam nie wiem. Straciłem pamięć. Co, ten tu ci nie powiedział? – Wskazał głową Pistoleta.

– Powiedzieć powiedział, tyła kto tera w puste bojki wierzy? To je choć dobre, że z was mutanty, bobym nic nie mówił. Tyła że nie „dzikie”... I popatrz no, jakie mosz pikne łubranie! Z miasta żeś.

– Może i z miasta – mówię przecież, że niczego nie pamiętam. – Gleb spochmurniał. – A ty, jeśli nie wierzysz albo się mnie przestraszyłeś, to powiedz tak od razu, pójdziemy dalej.

– Jo już w brzuchu u matuli nikomu żem nie wierzył. A straszyć sie ciebie nie bede. Sam tu żem nie jest. – Mężczyzna ruchem głowy wskazał za siebie. – Sami byśta stracha mieli, jakby co...

– Dobra, krótko mówiąc: dacie nam przenocować? – Gleb zaczął tracić cierpliwość.

– Toć już było Toli powiedziane – dany. Pamientos choć, jak ci na chrzcie dali?

– Gleb – burknął mutant.

– I to dobre. A na mnie mówta Makusin. – Mężczyzna odwrócił się i przywołał ich, machając ręką: – Idziem! Z kumami uradzim, co z wami robić.

– A nie wómiłem?... – szepnął radośnie Pistolet idącemu w ślad za nim Glebowi, ale szybko oberwał łokciem w bok i od razu się przymknął.

Na samym skraju wsi, w pewnej odległości od przecinającej ją na wskroś drogi, rzeczywiście budowano dom. Około dziesięciu mężczyzn, równie przysadzistych i brodatych jak Makusin i tak jak on do pasa rozebranych, stawiało chatę z bali. Widząc wracającego towarzysza, przerwali pracę, wyprostowali grzbiety i utkwili badawczy wzrok w „gościach” – a raczej w „gościu”, gdyż Pistoleta już widzieli, zaś Gleb, cokolwiek by mówić, wyglądał znacznie bardziej egzotycznie od swojego wątego kolegi.

Gleb całym sobą starał się pokazać, że to łupanie jest mu kompletnie obojętne, ale sam przy tym odnotowywał niuanse w nastawieniu miejscowych: chłopci też starali się wyglądać na niewzruszonych, ale

z niektórych spojrzeń promieniowała niepohamowana, niemal dziecięca ciekawość, inne wyrażały wrogość, a nawet obrzydzenie, w jeszcze innych dało się wyczytać jawny strach. Zauważył też, że wszyscy ci mężczyźni, bez wyjątku, byli niewątpliwie mutantami – u niemal wszystkich skóra była w mniejszym lub większym stopniu pokryta takimi samymi jak u Makusina „mięsnymi” plamami, krostami i strupami. Trzech miało dodatkowe palce u rąk, u jednego zamiast prawego oka widniał guz skórny, kolejny prezentował kikut trzeciej ręki wystający ze środka klatki piersiowej.

Gleb i Pistolet zatrzymali się pięć–sześć kroków przed budowniczymi. Natomiast Makusin podszedł do swoich towarzyszy i powiedział, wskazując głową na Gleba:

– To łon. Nic nie pamiento: kto łon ani skond... Co powieta?

– Toć jak łon mo zaczońć pamientać? – odezwał się niepewnie właściciel kikuta. – Toć łon jest ten... małpa...

– Nie, Stiepan, nie oczernioj! – Inny miejscowy pokręcił głową. – Patrzaj, łubraný jest po ludzku, bogato.

– A co, na małpe marynarki i portek nie założysz? – W obronie pierwszego chłopca stanął jeszcze ktoś.

– A kto by taki piniondz marnowoł? Szaleju by sie musioł łobjeść... Patrzajta, materiał jaki ładny!

– No i skond tu wziońć małpe, durnoty? – kolejny mężczyzna dołączył do sporu. – Skond by łuciek? Łogrodu zołologicznego to nawet we Wołodzie nie było.

– Toć i wilki kiesik po drzewach nie łąziły. I korkodyle nie latały po niebie. A i my żeśmy som ładni...

– Przy nim to ładni. – Ten z kikutem roześmiał się nerwowo.

Glebowi przejadła się ta bezsensowna paplanina. Wcale nie było mu przykro, po prostu naprawdę się znudził. Aż ziewnął. I delikatnie się zainteresował:

– Nie zrobiły się wam jeszcze odciski na językach? Będzie was potem

bolało przy jedzeniu.

Wszyscy budowniczy naraz drgnęli i znieruchomieli jak kamienne posągi.

– Łon godo... – wydusił w końcu któryś.

– Ło wy głomby kapuściane! – wybuchł nagle milczący dotąd Makusin. – Chopy, co wy, łoszaleliście? Cy bragi żeście sie łopili, jak mnie nie było? Co, włosów żeście nigdy nie widzieli? No, wiency ich mo niż my, i co? Łon już tero nie cowiek? Som mosz, Martyn, babe łowłosionom i żeś jom nie w żadnym łogrodzie zołologicznym znalaz – sama się taka łurodziła.

– Toć to baba... – mruknął jednooki, jak się okazało, Martyn. – I gymbe mo moja Tańka bez włosów. I cycki tyż...

– Z cyków to żeś jej cheba łoberwoł? – Któryś z chłopów zarechotał i posłużyło to jakby za sygnał – wszyscy pozostali natychmiast to podchwycili, gruchnęli śmiechem z dziesięciu gardeł i od razu się rozluźnili i przeobrazili, przestali wyglądać na szalonych idiotów.

Śmiał się z nimi i Pistolet. A i sam Gleb nie mógł się powstrzymać i rozciągnął usta w uśmiechu.

Po tym, jak się wyśmiali, chłopci wyraźnie złagodnieli. Patrzyli na wędrowców już nie ze zdziwieniem, nie z przestraczem, bez niepokoju, ale z odrobiną jakiegoś poczucia wyższości, czy może raczej protekcjonalności: że niby my tu jesteśmy gospodarzami, wy naszymi gośćmi, więc nam tu za bardzo nie fikajcie, znajcie swoje miejsce, a wtedy i my nie zostawimy was w nieszczęściu.

– Ło tak... – Makusin spojrział na chylące się już ku zachodowi słońeczko. – Z chatom na dziś kuniec, tak czy siak, jako to tera robota... Gleb z Tolą pódóm do mnie – miejsca na powiatce⁴ wystarcy.

– A czymu do ciebie? – Stiepan, właściciel nierozwiniętej trzeciej ręki, wystąpił nagle z szeregu. – U nos tyż som powiatki.

Chłopi zabuczeli z aprobatą, ale Makusin fuknął na nich, podniósł

leżącą w trawie pod krzakiem grubą szarą koszulę, niespiesznie ją włożył i powiedział:

– Wszyscy majom powiatki. Tyla gości i tak na wszystkich nie starcy. Przeca nie bedziem sie tera ło nich bić? No to jo ich wezme do siebie. A wy, jak kto chce, to przydźta do mnie, jak słonecko zajdzie. Moja Mańka nagotuje zimnioków, wy tyż przyniešta co do jedzenia – posiedzim, pogawendzim.

– Brażki mam ciutek, z buraków – bąknął ktoś.

– A przyniešta, wiadomo. – Makusin kiwnął głową. – Jo tyż mom łodrobine. Tylko wiela nie przynošta, po flaszcze na łeb, nie wiency. Bo jutro robić nie bydziecie mogli.

Chłopi włożyli złożone pod krzakiem koszule, zabrali narzędzia i żywo rozeszli się po domach – szykować się na „imprezę”. Widać niezbyt często trafiało im się takie święto, absolutnie wszyscy chcieli też porozmawiać z niezwykłymi gośćmi.

Jak się okazało, dom samego Makusina stał nieopodal – dwie chałupy od miejsca budowy. Nie była to nawet chata w zwykłym rozumieniu tego słowa, nie zrębowa konstrukcja z bierwion, ale kryta pociemniałym od upływu czasu, popękany łupkiem, zbudowana z niemal już czarnych drewnianych bali „willa” z dwoma gankami – powstała z pewnością przed Katastrofą. Właśnie z takich dwurodzinnych „willi” składała się niemal połowa wsi Iljinskoje.

Na podwórzu u Makusina koło pochylonej szopy stał wkopany w ziemię zbitý z desek duży stół z prostymi ławami po obu stronach. Może i nie zdarzało się to często, ale widocznie gospodarz lubił urządzać posiadówki. A może jego rodzina przy cieplej pogodzie wolała po prostu jeść posiłki na świeżym powietrzu.

Po obu stronach stołu w odległości trzech metrów czerniały dwa kręgi z okopconych kamieni. Gospodarz wziął polana ze stosu ułożonego wzdłuż płotu i położył je na paleniskach. Na razie ich nie podpalał – wciąż było

dość jasno, mimo że słońce już zaszło. Wskazał Glebowi i Pistoletowi ławę przy stole, zapraszając, by usiedli, a sam wszedł do domu. Szybko jednak wrócił z drewnianym bukłakiem i trzema aluminiowymi kubkami. Dwa napełnił po brzegi, do trzeciego nalał odrobinę na dno. Pełne postawił przed gośćmi, a sam uniósł napełniony częściowo:

– No to za nowom znajomość.

– Może zaczekamy na pozostałych? – zaproponował Gleb.

– Z pozostałymi tyż zdążyta wypić. Nachodzilišta sie dziś, to ze zmyncynio szybko wom sie milej zrobi... A i roboty jutro ni mota, to i wiency możeta przyjońć.

Gleb domyślał się, do czego zmierza gospodarz: chce spić gości, żeby rozwiązały im się języki – a nuż się wygadają, chlapną coś, co wcześniej zamierzali ukryć. Ale ponieważ Gleb i tak niczego nie pamiętał, to nie miał co się obawiać własnej gadatliwości, za to zdecydowanie chciał uspokoić skołatane nerwy i myśli. Tak więc nie oponował, tylko wziął kubek, stuknął się z gospodarzem i Pistoletem i zaczął chciwie przełykać mocną, pachnącą burakami bragę – właściwie dopiero teraz zdał sobie sprawę, że już od dawna czuje pragnienie, więc trunek był całkiem na miejscu nie tylko w charakterze „środka na uspokojenie”.

Kiedy tylko Gleb i Pistolet opróżnili kubki, Makusin napełnił je na nowo. Sobie nie nalał, ale uniósł kubek zapraszającym gestem:

– Za odzyskanie pamienci.

Gleb uśmiechnął się w duchu: jego domysły się sprawdzały, gospodarzowi faktycznie spieszno było ich upić, żeby rozwiązały się im języki. I chociaż oprócz jutrzejszego kaca nadmiar alkoholu niczym mu nie groził, nie osuszał drugiego kubka, upił może ćwierć, nie więcej. I postanowił, że sam spróbuje rozgadać Makusina.

– Mówiłeś wtedy, że nie jesteśmy „dzicy” – powiedział. – Więc jacy? Jakie są inne opcje?

– Łopcje? – Makusin podrapał się w kostropatą łysinę. – Łopcji wiewa ni

ma. Tola to wiadomo, mutant z Łuzy, tu łopcja jes prosto. Znaczy sie, jak nie łze. – Rzucił Pistoletowi ostre spojrzenie zmrużonych oczu i łuzanin, zakrztusiwszy się bragą, zakasłał, zakręcił się na miejscu i zamachał rękami:

– Khe!... Nie... khe-khe!... Nie źle! Po co? Patrz, co mi zrobili... – Podsunął Makusinowi pod nos swoją pozbawioną palców dłoń. – A ty...

– Dobra, już dobra... – Gospodarz odsunął sobie od twarzy rękę gościa. – Nie rzucoj sie. Jo ino tak, dlo przykładu. – I kontynuował, zwracając się już bezpośrednio do Gleba: – A ty... Ty, brachu, żeś jes z miasta, widać po ryncach i łubraniu.

– Po rękach? – Gleb przyjrzał się swoim dłoniom. – A co takiego w nich widać? Są włochate, tylko wewnątrz dłoni mam bez włosów. No i czarne paznokcie, które bardziej przypominają pazury. Czyżby w miastach wszyscy takie mieli? A jeśli jestem z miasta, to z którego?

– Włochate pewnie nie każdy mo. – Makusin się uśmiechnął. – I pazury cheba nie każdemu rosnom. Tera nikt we wsi ni mo takich gładkich dłoni. Nie robił żeś w polu, Glebuszka, ni siekiery, ni łopaty żeś w ryncach nie trzymał, ziemi żeś nie łoroł, siana nie kosił, zimnioków nie kopoł. Zaś które miasto... To byndzie albo Łuza, albo Ustiug – inne som daleko, a i cy kto tam żyje, nie wiadomo.

– Nie, nie Łuza. – Lekko już podpity Pistolet pokręcił głową. – W Łuzie to bym... bym ja bym... bym... tego... takiego małpoluda nie ten... bym.

– Sam jesteś małpolud! – Gleb szturchnął go w bok. – Jeszcze więcej wypij, bo ci na razie to „bym” za dobrze wychodzi.

– Przepraszam. – Pistolet zamrugał. – Chciałem powiedzieć... tego... wielkolud...

– W ogóle lepiej się nie odzywaj. Bez ciebie może chociaż się czegoś dowiem – burknął mutant i znów spojrzał na gospodarza. – A więc Ustiug?

Makusin wzruszył ramionami, znów znalazł sobie odrobinę bragi i wypił.

– Wiadomo, Ustiug. A skoro tak, to ty żeś jes mrozowiec, nie inacy. Cheba że Świenta zaczyna brać mutantów do kompanii karnych.

– Co? – Gleb zmarszczył brwi. – Jaki znowu „mrozowiec”? Jaka Święta? Możesz mówić jaśniej? Bo teraz to brzmi jak ten tu... – Wskazał głową w stronę posmutniałego Pistoleta. – Plół coś o zamrażalnikach...

I wtedy urwał i znieruchomiał. Więc to takie skojarzenie wzbudzili u niego ci „zamrażalcy” – zwyrodnialcy z Łuzy!... „Mrozowcy”. No jasne, „mrozowcy”! Na pewno słyszał wcześniej to słowo. I to nie raz. Ale kto zacz, tego nie mógł sobie przypomnieć, choćby się starał. Tak jak i tego, czy sam był jednym z nich.

– Co, przypomniałeś sobie? – Makusin zinterpretował jego reakcję po swojemu.

Ale Gleb nie zdążył odpowiedzieć – na podwórko zaczęli ściągać chłopci z budowy. Gospodarz skierował się zaś do przygotowanych na paleniskach drewn – chociaż w pierwszej połowie lata noce na północy nie są ciemne, to jednak szczyt „białych nocy” już minął, więc dla lepszego oświetlenia, a szczególnie w celu odstraszenia rozbestwionych komarów, ogniska były dobrym, a w tym wypadku chyba jedynym środkiem.

Mężczyźni, tak jak im polecono, przynieśli ze sobą jedzenie i picie. A jeśli trunki pito tu tylko jednego typu – co najwyżej w dwóch odmianach: bragę buraczaną i bragę jagodową – to potrawy odznaczały się nieco większą różnorodnością. Przybysze ułożyli na stole wspomniane już gotowane ziemniaki, ale też ugotowaną na parze rzepę, marchew (prosto z grządki, z ażurowymi zielonymi ogonkami), groch w strąkach i luzem, ryby – wędzone i suszone (ktoś przyniósł surową, świeżo złowioną, i Makusin przekazał ją żonie, która wyszła na moment z domu), a jednooki Martyn szarpnął się nawet na połówkę dobrze upieczonego kurczaka, z apetycznie rumianą skórką.

Bragi natomiast, choć Makusin ostrzegał robotników, okazało się więcej, niż potrzeba. W każdym razie tak się wydawało Glebowi, chociaż jego sąsiedzi przy stole mieli z pewnością własną, odmienną opinię na ten temat. Ale jakkolwiek było, chłopci upijali się szybko, a mutant chciał

wyjaśnić i poszerzyć otrzymane od Makusina informacje. A ściślej, wręcz umierał z niecierpliwości, by kontynuować rozpoczętą rozmowę, w której mogło się przecież w końcu wyjaśnić, kim jest i skąd pochodzi. Może i bez „dlaczego”, „po co” i „jak”, ale chociaż cokolwiek...

A więc osuszył duszkiem pół kubka bragi i nie wytrzymał. Wlepił ciężkie spojrzenie w gospodarza i głośno, przebijając się przez bezładny biesiadny harmider, zapytał:

– No to kim ja w końcu jestem, mrozowcem czy karnym?

Przy stole natychmiast zapadła cisza. Napięta i niedobra. W oczach zebranych groźnie połyskiwały płomienie ognisk. Glebowi zrobiło się nieprzyjemnie.

– Co tak wszyscy umilkliście? – zawołał. – Co powiedziałem nie tak? Przecież niczego nie pamiętam, powtórzyłem tylko to, co mówił Makusin.

– Ty żeś mówił? – zwrócił się do gospodarza siedzący obok niego chłop. – Skond wiesz, że łon jes karny?

– Ale jo nic nie wim! – Makusin trzasnął dłonią w stół. – Nastroszyliśta sie jak kury pod kogutem... Jo zem powiedzioł, że z Ustiuga łon przysed, nie inaczy. A skoro tak, to łon jes mrozowiec abo karny, bo kto inszy?

– Nie, łon nie może być karny – wyrzucił z siebie Siemion, któremu kikut trzeciej ręki niezgrabnie wypychał z przodu koszulę. – Toć tam do nich mutantów nie przyjmujom.

– Do samych karnych pewno nie przyjmują. – Makusin zmrużył oczy. – Ale na śpicla ichniego, na śpiega?... Zyrknie taki, nieporzondki wyniucho, i swoim łopowie. A potem i łoni przylezom.

– Ale jacy szpiedzy, jacy karni?! – Gleb zerwał się z miejsca. – A jeśli jestem mrozowcem, to lepiej?... Co wy tu w ogóle pitolicie? Objasnicie mi chociaż, o co mnie podejrzewacie.

– Łobjasnimy? – Martyn mrugnął do gospodarza jednym okiem.

– Sam łobjasnie – burknął Makusin i ryknął na Gleba: – A ty siadoj! Żeś wyskocył jak krostka na dupie!... I bragi se nalej, co byś sie ciutek łuspokoił.

Póki żeś jes mój gość, nikt cie nie rusy, choćbyś był samo Świento z jajcami.

Ktoś zarechotał, pozostali podchwycili. Sytuacja się rozładowała, chociaż napięcie do końca nie zniknęło.

Gleb usiadł, nalał sobie bragi, chciał wypić, ale pociągnął go za rękaw Pistolet i szepnął:

– Mnie też wolej. Trochę strach...

– Nie bój się – szepnął w odpowiedzi Gleb, ale posłał towarzyszowi „wolej”. Mniej więcej na jedną trzecią kubka.

Pozostali też sięgnęli po flaszki, napełnili naczynia, wypili i przygotowali się do wysłuchania Makusina.

Ten zaś tylko zamoczył wąsy, biorąc ledwie parę łyków. Potem objął kubek dłońmi i przemówił, spoglądając w niego, jakby obserwował jakiś ruch na powierzchni alkoholu.

Mówił powoli, poważnie, ale przez skąpe słownictwo i lokalne zniekształcanie słów niezbyt zrozumiałe. Mimo wszystko to, co najważniejsze, Gleb zrozumiał.

Z opowieści Makusina wynikało, że Wielki Ustiug był mocno zburzony, w tym cerkwie. W ich podziemiach i w dawnych tunelach mieszkają niezmutowani ludzie – tak zwani cerkiewni, którym przewodzi niejaka Święta. Na powierzchni jest dla nich zbyt wysoki poziom radiacji, dlatego wychodzą z podziemi rzadko, a i to wyłącznie w ochronnych strojach i maskach. Natomiast na górze, w granicach miasta, mieszkają ludzie mutanty pod przywództwem Dziadka Mroza – również mutanta podającego się za tę legendarną postać, przez co nieoficjalnie nazywa się ich „mrozowcami”. A w rejonie rozsianych jest wiele osad i wsi, dużych, takich jak Iljinskoje, i zupełnie małych, często liczących ledwie dwie–trzy chałupy. Je także zamieszkują mutanty. Przy czym wielu z nich chce żyć w mieście, gdzie w ciągu dwudziestu lat, które upłynęły od Katastrofy, zrobiło się całkiem bezpiecznie i wygodnie. Ale cerkiewni nie życzą sobie

tylu potencjalnych zagrożeń u siebie pod boki. Zabraniają „dzikim” mutantom pojawiać się w mieście. Obawiając się, że „dzicy” będą się łączyć w większe zorganizowane wspólnoty, cerkiewni zakazali im budowy nowych osiedli. „Dzikim” mutantom zabroniono także mieć dzieci i broń palną. Istnieje też szereg innych kategorycznych zakazów. Aby kontrolować przestrzeganie tych „praw”, cerkiewni co jakiś czas urządzają w rejonie obławy, ale mają kłopot, żeby odpowiednio daleko „dotrzeć”. Wyprawy inspekcyjno-karne zasadniczo odbywają się na rzekach za pomocą wiosłowych „galer” – przerobionych z rzecznych kutrów i statków motorowych.

– Zaś kto ty żeś jes – zakończył swoje wystąpienie gospodarz – to na razie nie wiemy.

Gleb powiódł wzrokiem po siedzących przy stole. Jeden przyglądał mu się podejrzliwie, drugi pijacko marszczył brwi, uśmiechów na twarzach już nie było. Widocznie opowieść Makusina każdemu coś przypomniła.

I wtedy niespodziewanie podskoczył Pistolet.

– A niech was gęś kopnie! – zaskrzeczał, wymachując pozbawioną palców dłonią. – Wy tępe łapy! Jeśli ktoś tu jest szpiegiem waszych karcianych, to ja, nie Gleb.

– A to czemu?... – Makusin utkwiał w nim wzrok, ze zdumienia nie obraziwszy się nawet za „tępą łapę”. Zresztą tak jak i wszyscy pozostali, w tym sam Gleb.

– A temu, że szpieg powinien być niewyważalny jak myszka, nie przyciągać niczyjej ugawy... Powinien wydąglać jak swój, i do tego łudzić litość. Tak jak ja. – Pistolet znów pomachał okaleczoną dłonią. – A przed takim szpiegiem – skinął na Gleba – wszyscy będą uciekać i się przed nim usrywać. Co on wam tu wywęszy?

– A toć łon mondrze godo – odezwał się jeden z chłopów.

– Znaczy sie, że tyn szpieg to jes To... la?... – czknął pijacko jeszcze któryś.

Wszyscy znów zaczęli robić harmider, niektórzy z groźnymi minami podnosili się z ławek.

– Cicho być! – Makusin z całej siły wyrzwał pięścią w stół. – Siadajta i słuchajta wszyscy, co powiem. Kto by z nich nie był, teraz to som moi goście. A kielta kto moich gości rusy, to tego ruse jo. Jak jo rusać umiem, to wszyscy wieta. I żodni karni z nich nie som, to jo z durnoty żem palnoł. Mrozowiec jest z Gleba, nie inacy. A mrozowcy to dla nas nie wrogowie. Po temu jo ci powiem, Glebuszka – odwrócił się do mutanta. – Skoro naprawde nic nie pamientos, to pocznij żyć łod nowa. Łod razu u nos poczynaj. Tera u mnie ponocujeta, a potym chałupe wom postawić pomożem – i żyjta se. „Galernicy” rzadko tu sie zapuscajom – co najwyży przy wiośnie, kiedy łód pusco na rzyce, a i to nie co rok, tylo co dwa–trzy... Abo płytko u nos, nie przydom ich łajby. A kto ińszy wos tu rusy? Żyjta i żyjta. Z babami u nos, co prowda, do rzyci, ale jak pomrze jakiś chop – łoni szybci łod bob zdychajom – to weźmiesz tedy wdowe. A potym i dło Toli sie jako trefi.

– Toć i tera je Makaricha – odezwał się Martyn.

– Makaricha je – przytaknął Makusin i chrząknął. – A ty som byś się z niom położył?...

– Tylo kiej mi drugie łoko wykujeta! – Jednooki się wystraszył.

– I mnie tyż wstyd ło ni godać gościom – znów uśmiechnął się gospodarz. Ale od razu znów spoważniał i zapytał Gleba: – To jak, zostanieta?

– Zaczekaj, Makusin. – Gleb zmarszczył brwi. – Dziękuję za propozycję i zaufanie, ale przyszło mi coś do głowy. Jeśli naprawdę jestem mrozowcem, to muszę iść do Ustiuga. Swoi zawsze mnie rozpoznają. Powiedzą mi, kim jestem, pokażą, gdzie mieszkałem, nauczą tego, co robiłem. A może tam, w domu, sam wszystko sobie przypomnę.

– A jak żeś nie jest mrozowiec? – Gospodarz zmrużył oczy. – Toć jo żem nie jest Dziadek Mróz, coby wszystko łodgadywać.

– Co?... – Gleb się ożywił. – Dziadek Mróz potrafi wszystko odgadnąć? I o człowieku też?...

– A kto to wi – Makusin się wycofał. – Wielu ło nim łopowiadajom, tyła któren tera w bojki wierzy?

– Nie, Makusin – potrząsnął głową jeden z chłopów. – Łopowieści o Dziadku Mrozie to nie bojki. Łon wszystko o wszystkich wi. W łocy spojry i migiem wszytko zobocy. Co było, co je, co byndzie... Strach cowieka łoblatuje.

– Dlaczego strach? – zapytał Gleb.

– Jak sie tak paczy w te łocy jak z lodu. Można sie samymu na zawse w lód zmienić.

– A ty żeś paczył? – rzucił ze złością Makusin.

– Jo zem nie paczył, ludzie łopowiadajom...

– No to nie miel łozorem, pyntoku! A ty, Gleb, jego nie suchoj. Toć jak żeś nie jes mrozowiec, to nikt cie do Ustiuga nie wpuści. Toć dokumentu ni mos?...

– Jakiego dokumentu?... – Gleb się zmieszał.

– Żeś jes mrozowiec.

– Nie mam.

– To sie do Ustiuga nie pchoj. Zapomnij. Tu jes twoje miejsce.

– Ale... teraz to już na pewno muszę tam pójść! A nuż Dziadek Mróz faktycznie pomoże mi wszystko sobie przypomnieć?

– Pryndzy cię łobwiesi. A jesce pryndzy psy tobom napasie.

– Ale dlaczego?! – Gleb się zerwał. – Przecież mrozowcy to też mutanty! Nawet jeśli nie jestem jednym z nich, to dlaczego mieliby zabić takiego jak oni?

– Nie taki ty jak łoni, Glebuszka. – Makusin westchnął. – Łoj, nie taki... – A potem powiedział do wszystkich, krótko i kategorycznie: – Rozchodniacka i kuniec! Pora spać, jutro do roboty.

ROZDZIAŁ 4

DECYZJA

W czasie, gdy siedzieli przy stole, niebo zaciągnęło się chmurami i zrobiło się prawie ciemno. Obora Makusina stała z boku, za domem. Na tle jaśniejszego od ziemi firmamentu widać było tylko jej zarys. Kiedy gospodarz zaprowadził do niej gości, Gleb usłyszał, że w środku ktoś jest: jego czułe uszy wyłowiły oddechy i słabe postukiwanie, jakby ktoś w butach z twardą podeszwą przestępował z nogi na nogę. Jednak mutant szybko sobie przypomniał, że obora jest przeznaczona dla bydła, a to z zasady ma kopyta, tak więc natura tych dźwięków stała się dla niego jasna.

– Krowa? – zapytał.

– Nie – zaprzeczył Makusin. – Dla krowy wiewa siana cza przygotować. Mało kto je u nos chowo. To za starych casów chowali, coby mliko było dla dzieciów. A tera, jak dzieciów nie wolno mieć... – Gospodarz splunął z rozdrażnieniem. – Więc prosienta chowom. I koze. Mańka moja tyż lubi mliko... A dlo kozy to już siana jakoś starcy.

– Wyobrażam sobie, jak wygląda ta koza i krosiapy – mruknął cichutko Pistolet.

Gospodarz usłyszał.

– Chceta łobejrzyć?... A uśniesz potem?

– To my już lepiej tego... jutro obejrzymy... – wybełkotał z przestraczem łuzanin.

– No, no – prychnął Makusin, potem nachylił się, pogrzebał w ciemności przy oborze, podniósł coś z wysiłkiem i grzmotnął o ścianę, klnąc pod nosem bez złości.

Zza ściany rozległo się niespokojne beczenie, parę razy zachrumkał prosiak.

– Włazta – powiedział gospodarz.

– Gdzie? – Gleb nie zrozumiał.

– Na powiatkę, a gdzie indzi? Po co żem drabinę postawił?

Dopiero teraz wyjaśniło się, czym walnął o ścianę Makusin. Gleb przeniósł wzrok w tamto miejsce i mimo woli się przyjrzał... Nie, nie liczył nawet, że cokolwiek zobaczy, po przebywaniu w świetle ognisk oczy nie przywykły mu jeszcze do półmroku, ale niespodziewanie, jakby w głowie kliknął mu włącznik i na czole zapaliła się latarka, mutant bez trudu zdołał dojrzeć i Pistoleta z Makusinem, i drewnianą ścianę obory, i oparte o nią dwie grube żerdzie połączone szczeblami. Wprawdzie widział to wszystko tylko w dwóch kolorach, czarnym i białym, do tego bardzo kontrastowo, prawie bez półtonów, ale i tak było to znacznie lepsze niż całkiem nic.

– Włazta – powtórzył Makusin. – Mata tam świeże siano. Ino nie mocno gniećta, kładźta sie z kraja.

Gleb odruchowo kiwnął głową, nie pomyślawszy, że gospodarz nie może zobaczyć tego gestu, ostrożnie wszedł na szczebel, sprawdzając, czy ten wytrzyma jego ciężar, potem szybko wdrapał się po drabinie do kwadratowego wejścia pod samym dachem. Odsunął drewniane drzwiczki i wgramolił się do środka. Na powiatce smakowicie pachniało sianem. Gleb pomyślał, że pewnie będzie się niezwykle przyjemnie spało. Podszedł do „legowiska”, zwałił się na nie na wznak i rzeczywiście od razu ogarnął go sen. Ale po chwili z włazu dało się słyszeć głośnie sapanie, a potem niczym blade widziadło – jak przedstawiał go „noktowizor” mutant – ukazał się w nim sam Pistolet.

– Ej, gdzie jesteś? Gleb, dowezwij się!... Nie psadłeś do dół, do tych

potworów?

– Jakich znowu potworów? – odparł z niezadowoleniem Gleb.

– No, do kozy tumantki... i tych... jak im tam... tych, co robią chrum-chrum.

– Do jakiej kozy?...

– To znaczy... jak to się... oszpeconej przez radiację...

– Tfu ty, bełkocie! Mózg się przy tobie lasuje. Mutantki!

– O tak, mutantki. Nie spadłeś?

– Jasne, że spadłem. Przecież tu nie ma podłogi. Makusin specjalnie zwabił nas w pułapkę, żeby nakarmić nami swoje mutanty hodowlane. Co, nie słyszysz, jak mnie przeżuwiają?

– Żarci sobie robisz!... – Pistolet zachichotał niepewnie.

– To żadne żarci... tfu!... żarty. Kończą jeść drugą nogę.

– Tak nie wolno, Gleb... Ja się boję miećności. A tu jeszcze te stwory na dole...

– Z ciebie to jest cudak. – Gleb westchnął. – Kieruj się moim głosem, miećniaku.

Pistolet wyciągnął ręce przed siebie i ostrożnie, drobnymi kroczkami ruszył w jego stronę. Ale nagle niespodziewanie pisnął, rzucił się w bok i kucnął.

– Ej, co ty? – zdziwił się mutant.

– Tam... – Łuzanin drżącą ręką wskazał w jego kierunku. – Tam coś... Oj!... Niebieskie oczy... Świecą się... To koza! Koza tu wlaźła!... Używaj, Glebuszka, jest gdzieś obok ciebie!

– Co ty pleciesz za bzdury? Nie ma tu żadnej kozy! Sam się zastanów, jak by tu miała wleźć?

– A oczy?... – Pistolet się nie poddawał.

– Zdaje ci się, i tyle.

– Aha, jasne... Mylę słowa i głoski, ale widzę akurat dobrze, nic mi się nie pnącze... O, mrugnęły!... Jeszcze raz!... Ajajaj!

Łuzanin, wciąż na kolanach, cofnął się w stronę wyjścia.

– Czekaj no! – Gleb zaczął się domyślać, w czym rzecz. – To chyba ja.

– Jak to „ty”? – Pistolet się zatrzymał.

– Ja mrugam. Zdaje się, że to moje oczy. No, powiedz, ile razy teraz mrugnęły?

– Trzy...

– A teraz?

– Cięć... Znaczy, pięć. Czyli to naprawdę twoje oczy?! A dlaczego takie są?...

– A dlaczego cały taki jestem? – odpowiedział pytaniem mutant.

– No... tak... – powiedział przeciągle łuzanin, podnosząc się z klęczek. – Ech, gdybyś jeszcze widział w miećności!...

– W miećności to nie wiem – prychnął Gleb – za to w ciemności, jak się okazuje, rzeczywiście widzę.

– O rany! Ale fajnie! To i mnie teraz widzisz?

– A jak! Właśnie wodzisz rękami dookoła. A teraz machasz prawą. Starczy tego sprawdzania, idź w stronę moich oczu, skoro tak je łatwo dostrzec. Chodź, chodź, nie zjem cię. Tu jest miękkie siano.

– Siano – to dooorzbe! – zaintonował Pistolet, kiedy dotarł do „posłania” i wyciągnął się obok mutantą.

– Tylko mi tu bez szemrania! – uciał Gleb. – Będziesz hałasować, to wygonię na podwórko.

– Nie, nie – wystraszył się łuzanin – nie będę!... Zapytam cię tylko o coś i będę cicho...

– A może od razu będziesz cicho, bez pytań? – ze skrywaną nadzieją zapytał mutant.

– Wtedy nie zasnę... – zatrajkotał żałośnie Pistolet. – Zacznę przewracać się z boku na bok, odziubię cię...

– Ja cię zaraz odziubię!... Dobra, zadawaj swoje pytanie, tylko szybko.

– Gleb... – zaczął i od razu zawahał się łuzanin. – Powiedz mi, jak ci się

dywaje: Makusin to mądry człowiek?

– Mądry. Dobranoc.

– Zaczekaj! To jeszcze nie wszystko!...

– Powiedziałaś przecież, że zapytasz i będziesz cicho. Zapytałaś? Zapytałaś. Odpowiedziałem? Odpowiedziałem. Teraz śpijmy.

– Ale nie zapytałem jeszcze o najżabniejsze! – zawołał Pistolet.

Z dołu dało się słyszeć wystraszone chrumkanie i senne beczenie.

– Czyś ty oszalał? – Gleb się rozżłościł. – Zaraz naprawdę zrzucę cię do „potworów” i z nimi będziesz spał, w objęciach!

O dziwo, łuzanin nie zaskrzeczał ani się nie oburzał. Posapał tylko przez chwilę, a potem powiedział cicho, ale bardzo poważnie:

– Gleb, ja naprawdę chcę zapytać o coś ważnego.

Ton jego głosu i fakt, że Pistolet nie zniekształcił ani jednego słowa, tak poraził mutanta, że ten się poddał.

– Dobra, pytaj. Tylko już się nie drzyj.

– Ten Makusin cię zamawiał... odmawiał... nie, namawiał, żeby tu zostać. Na zawsze. Życ tu spokojnie i powoli. To jest, cicho. Cisza i spokój, jak to gubią. I teraz moje główne pytanie: zgładasz się?

Pistolet ucichł. Tak bardzo, że Gleb nie słyszał nawet jego oddechu. Wyglądało na to, że łuzanina faktycznie nurtowało to „proste” pytanie. Tyle że nie miał na nie „prostiej” odpowiedzi. A jedyna, którą miał, nawet jemu samemu zdawała się zbyt szorstka i nierówna. Ale Gleb nie chciał okłamywać swojego towarzysza, nie miało to zresztą sensu – tak czy inaczej nie dziś, to jutro trzeba będzie powiedzieć mu o swojej decyzji.

Mimo to nie odpowiedział od razu, tylko też zapytał:

– A ty chciałbyś zostać?

– Tak! Bardzo! – Pistolet zaszeleścił sianem. – Tu jest tak spokojnie! I ludzie dynamiczni.

– Uważasz dynamizm za najważniejszą ludzką cechę? – zdziwił się mutant. Rzecz jasna w sposób udawany, po prostu mimowolnie zwlekał

z odpowiedzią, na którą wciąż nie mógł się zdecydować.

– Dlaczego?... – Gleb zobaczył, jak trzepocą rzęsy łuzanina, i wydało mu się nawet, że słyszy dźwięk tego trzepotania. – Jaki dynamizm?... Aha! Pewnie znów się mopyliłem! Chciałem powiedzieć, że ludzie są dymna... symna... no, mili.

– Dobra, przepraszam. – Gleb westchnął. – Wszystko zrozumiałem. I słuchaj, co ci powiem. Tak, tu jest zapewne dobrze. I masz rację, ludzie, którzy mieszkają w Iljinskoje, też są niezli. A skoro tak bardzo ci się tu spodobało, to zostań. Będę się tylko cieszył. Naprawdę.

– Jak to zostań?! – Pistolet zerwał się na równe nogi. – A ty?...

– A ja już mówiłem: muszę iść do Ustiuga, do Dziadka Mroza.

– Ale przecież Makusin...

– Co Makusin? Przejęzyczyłeś się wtedy, że mnie odmawiał, tyle że to naprawdę tak wyglądało. Jeśli tu zostanę, to na całe życie odmówię sobie pamięci o tym, kim jestem i skąd pochodzę... A ja tak nie chcę. I zdążyłem się zorientować, że „powolne” życie też nie jest dla mnie.

– Ja się przezajęczyłem! – zawołał Pistolet, ale spostrzegł się i szybko ściszył głos do szeptu: – Cisza – i spokój!...

– Bez różnicy. Spokojnie czy powoli – sens jest ten sam: siedzieć na tyłku i czekać na starość i śmierć.

– Ale tak to długo nie będziesz czekać! Zginiesz już po srodze do Ustiuga! Potwory cię pożrą, zabiją ropsujnicy, złabądzisz w lesie!...

– A kto ci powiedział, że pójde przez las? – Gleb się uśmiechnął. – Popłynę rzeką.

– Przecież to ladeko! Utoniesz! Albo ryby tumanty poodgryzają ci nogi... albo jeszcze co innego... I czładego jesteś taki mewien, że tu jest rzeka?

– Rzeka jest tładego... tfu, zaraziłeś mnie tym bełkotem!... dlatego, że mam uszy. Przecież Makusin opowiadał, że „inspektorzy” cerkiewnych rzadko tu bywają, bo rzeka jest płytką. A mnie głębokiej nie potrzeba.

Tratwa to nie „galera”, pójdzie i po płyciźnie. Jak siądzie na mieliźnie, to ją wyciągnę.

– Tratwa? – Pistolet usiadł obok Gleba. – Skąd masz tratwę?

– Na razie znikąd. Ale las rośnie wokół, zrobię sobie. Chłopi pomogą.

– No bodrze, zrobisz sobie tratwę. – Łuzanin się nie poddawał. – Powiedzmy, że dopłyniesz do Ustiuga, a tam bez kodumentów złapią cię i zabiją. Albo od razu zabiją. Cerkiewni, tładego, że mutant, mrozowcy dlatego, że się będą brali.

– Chciałoby się uściślić, za co się dokładnie będą brali – za łby, czy za... No dobra. W gruncie rzeczy nie bardzo mam ochotę do żartów, bo masz rację.

– Mam rację?! – Pistolet triumfował, ale po tym, jak mutant na niego syknął, ściszył głos: – Czyli zostaniesz?

– Tak, masz rację. Mój plan jest niebezpieczny i szansa jego powodzenie jest faktycznie niewielka. Jednak pójdę do Ustiuga. A ty zostaniesz tutaj.

– Nie!...

– Tak.

– Ale ja już się do ciebie przyziewałem!...

– A ja już się naziewałem – powiedział Gleb i naprawdę ziewnął. – Chcę spać, rozumiesz? I dawno już odpowiedziałem na twoje główne pytanie, a ty mi ich jeszcze całą górę podrzuciłeś!

– Ale...

– Prr!... Koniec. Jutro pogadamy. I jeśli teraz jeszcze choć raz piśniesz, to dam ci w łeb. Serio.

W odpowiedzi Pistolet tylko sapnął z urazą. „Piszczec” jednak się nie odważył.

Mimo że położyli się spać późno, Gleb obudził się, jak to się mówi, z pierwszym pianiem koguta. Chociaż wstał jednak później. Koguty we wsi

rzeczywiście były obecne i udało im się mutanta obudzić, ale widząc przez otwór wejściowy skrawek wciąż zupełnie ciemnego nieba, postanowił jeszcze pospać. Natomiast obudził się ostatecznie, kiedy gospodyni przysłała do obory nakarmić świnie i wydoić kozę. Trudno się dobrze wyspać, kiedy coś pod tobą beczy, chrumka i stuka racicami.

Pistolet wstał razem z Glebem. Spojrzał na niego pytająco – może zmieniłeś zdanie? – otrzymał w odpowiedzi krzywy uśmiech – nawet o tym nie myśl – i jako pierwszy zszedł po drabinie na podwórze. Kiedy w ślad za nim zsunął się Gleb, z domu wyszedł właśnie Makusin. Powiedzieli sobie „dzień dobry”, umyli się po kolei w blaszanej umywalce wiszącej na słupie przy ganku, potem gospodarz zaczerpnął wody ze stojącej obok beczki płynącym w niej czerpakiem, osuszył go kilkoma ogromnymi łykami – widocznie odczuwał jednak skutki wczorajszego picia – i podał czerpak Glebowi. Ten pokręcił głową, brzydził się pić nieznaną wodę – pewnie deszczówka, zatechła, no i kto wie, kto i czym do tej beczki sięgał... Makusin odłożył czerpak i zaprosił gości do stołu.

– Zara Mania skończy z bydłem, to przyniesie herbaty i młycka łód kozy. Z herbatom – pychota!...

Gleb mimowolnie przypomniał sobie smak mleka, ale nie zdoławszy wydobyć z pamięci chwil, kiedy i gdzie go próbował, pomyślał, że jest smaczne samo w sobie, nawet bez żadnej herbaty. Ale koza to nie krowa, jeśli poić gości „czystym” mlekiem, to dla gospodarzy nic nie zostanie. A kiedy doda się trochę do herbaty, zabieli ją, jak tu się mawia – to tak, to można.

A na razie, żeby nie siedzieć jak te głupki, Makusin zaczął rozmowę. Przy czym niechcący kontynuował temat rozpoczęty przez Pistoleta i Gleba wieczorem na sianie.

– To co, zostanieta? – Spojrzał na mutantą.

– On zostaje. – Gleb skinął na łuzanina. – Ja nie.

– W takim razie ja też nie! – Pistolet się poderwał. – Albo lepiej ty – tak.

I ja wtedy też.

– A cymu nie? – Makusin zmrużył oczy, nie odrywając wzroku od Gleba. Jego towarzysza jakby nie dostrzegał i nie słyszał.

– Wiesz dlaczego. Już mówiłem: muszę iść do Dziadka Mroza. I o wszystkim wiem: o niebezpieczeństwie i o małym prawdopodobieństwie sukcesu... Ale muszę. I pójdę. A raczej popłynę.

I Gleb przedstawił Makusinowi swój plan spływu na tratwie do Ustiuga. Poprosił gospodarza o pomoc w jej zbudowaniu.

Makusin spojrział w niebo i z zadumą podrapał się w brodę. Pocmokał, pochrząkał, potem przemówił:

– No, skoro żeś się zdecydował, to łodradzać wincy nie bede. I mondrze żeś pomyślał ło tej tratwie... Zginies marnie i tak, ale popróbować možno.

– Czyli pomożecie mi ją zbudować? Sam sobie raczej nie poradzę. Potrzebuję do pomocy jednego–dwóch chłopów.

– Toć chopy chałupe stawiajom, som żeś widzioł.

– A pozostali? Czyżby we wsi nie było więcej mężczyzn?

– Som, co mo nie być. I to wincy niż ci, co ich żeś widzioł. Tyla że jeden jes słaby, drugi mo jednom rynke, abo i wcale, inny w rozumie powolny...

– Więc co mam robić? Czekać, aż zbudują? – Mutant posmutniał.

– Mozes cekać, a lepi pomóż. Tak to dom szybci zbudujem, a ty rombać siekierom wyucys sie – tratwe łatwi ci bydzie zrobić.

Gleb oczywiście się zgodził. Zabrał też głos Pistolet:

– Ja też pomogę. I z domem, i z tratwą. I do Ustiuga z tobą popłynę, skoro ty już... tego... musisz...

– Nie popłyniesz. – Gleb spochmurniał. – Zostaniesz tutaj. Słyszałeś? Mało tu sprawnych mężczyzn. Chociaż masz tylko jedną rękę, i to niezbyt chwytną, a i żaden z ciebie siłacz, to zawsze lepiej niż bez żadnej.

Makusin kiwnął głową z aprobatą: niech zostanie, do czegoś się przyda, ale Pistolet się uparł:

– Ty mi nie rozkazuj! Ja sam sobie jestem dowódką. Powiedziałem, że z tobą popłynę, to popłynę. Może ja też chcę do Daćka Mroza.

– A po co on tobie?

– A myślisz, że podoba mi się, że tak mówię, że myślę słowa i głoski? – marszcząc brwi zapowietrzył się Pistolet. Gleb chyba jeszcze nigdy nie widział go tak wściekłego. – Myślisz, że lubię, jak ludzie się śmieją i nie wszystko romuzieją?

– I co, myślisz, że Dziadek Mróz ci w tym pomoże?

– A ty myślisz, że pomoże tobie opryskać pamięć? – Łuzanin spojrzał wyzywająco na mutanta.

– Taką mam przynajmniej nadzieję – odparł Gleb, opuszczając wzrok na stół.

– No więc ja też ją mam. Tego nikt nikomu nie może zamazać.

Mutant machnął ręką w milczeniu. Tym bardziej że żona Makusina właśnie przyniosła kubki z gorącą, pięknie pachnącą ziołową herbatą. Potem doniosła i mleko – cały kubek.

ROZDZIAŁ 5

UCIECZKA

Gleb myślał, że budowa domu zajmie dużo czasu. Jednak zrąb był gotowy nad podziw szybko, dosłownie w kilka dni. Tyle samo czasu potrzeba było na dach, kolejny dzień na wykończenie wnętrza – podłogi, okna, drzwi i inne drobiazgi.

Gleb i Pistolet też pracowali z chłopami. Z początku było z nich niewiele pożytku, ale Gleb szybko się przyuczył, nabrał podstawowych nawyków i radził sobie z robotą wcale nie gorzej od pozostałych. A już tam, gdzie była potrzebna siła fizyczna, jego pomoc okazała się wręcz niezastąpiona – średniej długości bierwiona mógł w ogóle podnosić w pojedynkę. Gorzej szło Pistoletowi. Oprócz tego, że w istocie nie wyróżniał się ani siłą, ani posturą, dawał też o sobie znać brak palców u prawej ręki, mimo że łuzanin był mańkutem. Do podnoszenia i przenoszenia bali Pistolet ewidentnie się nie nadawał – nawet gdyby z ogromnym wysiłkiem udało mu się jakiś unieść, to istniało duże ryzyko, że nie utrzyma go w rękach i zmiażdży stopę sobie albo pracującym obok. Dlatego powierzyli mu korowanie bali – trzymać siekiere jakoś się nauczył. A po wzniesieniu zrębu łuzanin wykonał większą część prac związanych z wypełnianiem szczelin mchem.

W ostatnim dniu budowy Pistolet wrócił już do swojej starej śpiewki:

– Widzisz, jak nam bobrze idzie! Może zostaniemy? Będziemy tu podrzewni!

– Jeszcze jedno słowo – ryknął Gleb – i ty na pewno tu zostaniesz, gaduło podrzewna!

Łuzanin przymknął się i już nie poruszał tego tematu. Zdecydowanie nie miał ochoty zostać sam ze swoimi nowymi przyjaciółmi.

*

Chociaż opóźnienie okazało się nie tak duże, jak myślał na początku Gleb, mimo wszystko było irytujące. Nie mógł się doczekać, żeby jak najszybciej wyruszyć do Ustiuga, bardzo chciał się dowiedzieć, kim w końcu jest i skąd to wszystko... I choć szanse, by tak się stało, były wciąż iluzoryczne, a prawdopodobieństwo śmierci ogromne, to było mu wszystko jedno. Bezczytność i wieczna ignorancja wydawały mu się znacznie straszniejsze od śmierci. Ale jedyna rozsądna droga do tajemniczego miasta prowadziła z nurtem rzeki. I by ją pokonać, niezbędna była tratwa. Dlatego trzeba było czekać cierpliwie.

Co prawda zwłoka wymuszona budową domu okazała się niezupełnie pozbawiona sensu. Oprócz tego, że Gleb nauczył się – czy przypomniał sobie? – jak pracować siekierą, poznał też dużo nowych dla siebie rzeczy, które z pewnością pomogą mu w osiągnięciu celu. On sam podczas pracy przeważnie milczał (bo i co miał do powiedzenia?), za to chłopcy młócili językami nie mniej żwawo niż siekierami. Mutantowi pozostawało jedynie od czasu do czasu krótkimi pytaniami i replikami kierować rozmowę na właściwe tory, a potem, jak to się mówi, mieć uszy szeroko otwarte i zapamiętywać zdobywaną wiedzę. Być może nie wszystkie informacje były całkiem wiarygodne, ale nawet w przesadzonych, obrosłych domysłami i fantazjami opowieściach pozostawało ziarno prawdy, a Gleb nieźle, jak mu się zdawało, potrafił „oddzielać ziarno od plew”, choć wciąż nie pamiętał źródeł tej umiejętności.

Ze wszystkiego, co usłyszał i oczyścił w głowie z „łusek”, mutant

przyswoił, co następuje:

Po pierwsze, jak sam skądś pamiętał, skażenie radioaktywne w rejonie Wielkiego Ustiuga wciąż pozostawało dość wysokie. Zwykli ludzie nie mogli długo przebywać na powierzchni bez ubiorów ochronnych. Ale radiację bez szkody dla zdrowia znosiły mutanty – resztki ocalałych ludzi, którzy przystosowali się do promieniowania, a także ich potomkowie. Tacy jak on, Pistolet oraz wszyscy mieszkańcy wsi Iljinskoje. O dziwo, okazało się, że ocalałych jest całkiem sporo. Przyczyny podawano różne: od korzystnych właściwości tutejszej wody po ochronę średniowiecznego „świętego” miasta i jego okolic przez niebiańską wyższą siłę.

Po drugie, i to było dla niego szczególnie ciekawe i ważne, Gleb poznał prehistorię obecnych stosunków cerkiewnych i mrozowców. Jak już wiedział z dyskusji przy stole, w podziemiach pod zniszczonymi świątyniami i w tunelach Wielkiego Ustiuga mieszkali niezmutowani cerkiewni pod przywództwem niejakiej Świętej, a na powierzchni, w granicach miasta – dowodzeni przez Dziadka Mroza mutanty mrozowcy. Teraz zaś wyjaśniło się, że zaraz po Katastrofie pozostali na powierzchni mieszkańcy Ustiuga też chcieli się dostać do podziemnych schronów, ale miejsca i zaopatrzenia nie było tam wystarczająco dla wszystkich, dlatego nie zostali wpuszczeni. Ludzie z powierzchni, mając dostęp do broni, zburzyli praktycznie wszystkie cerkwie, na czym ucierpiało i samo miasto. Jeszcze trochę i dopięliby swego, „wykurzając” z podziemi ukrywających się w nich rywali. Ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego – wybuch jądrowy w sąsiednim mieście o nazwie Krasawino. Cerkiewni odpowiedzialność za to wzięli na siebie, rozgłaszając, że eksplozja miała na celu odstraszenie przeciwników i że podobne ładunki są też ukryte w Wielkim Ustiugu, tak więc jeśli szturm podziemi się nie skończy, miasto zostanie starte z powierzchni ziemi. Jako że mrozowcy nie mieli pewności, czy cerkiewni blefują, postanowiono zawrzeć porozumienie: cerkiewni i mrozowcy więcej się nie atakują, cerkiewni nie detonują ładunków

jądrowych, ale mrozowcy powinni zdać wszystkie swoje „arsenały” oprócz broni służącej do polowania, a także są zobowiązani zaopatrywać cerkiewnych w żywność. Przy czym wszyscy lojalni mrozowcy muszą być zarejestrowani. W dawnej stoczni remontowej stworzono stację odkażania wody i produktów spożywczych dla cerkiewnych, a także regeneracji masek przeciwgazowych, szycia strojów ochronnych, impregnowania ich specjalnymi mieszankami i dalszej dezaktywacji radiologicznej. Pracowali tam mrozowcy pod nadzorem cerkiewnych.

I wreszcie Glebowi udało się też zdobyć informację, która wyraźnie nie była przeznaczony dla wszystkich uszu – któryś z chłopów nie pomyślał i chlapanął, a Makusin nie zdążył w porę powstrzymać gaduły... Chociaż kto wie, być może „przeciek” był przeprowadzony świadomie, z niezrozumiałych na razie dla Gleba powodów. Jakkolwiek było, dowiedział się, że „dzikie” mutanty chcą się zjednoczyć, w miarę możliwości walczyć z „oddziałami karnymi” i próbują nawiązać kontakt z mrozowcami. Co prawda, na razie nie wszyscy – zasadniczo ci żyjący we wsiach i osadach sąsiadujących z Ustiugiem. Ale oczywiście każdy „dziki” się z nimi solidaryzował, ponieważ programem maksimum rebeliantów było znaleźć i unieszkodliwić ładunki jądrowe (albo upewnić się na sto procent, że te nie istnieją), a potem zlikwidować cerkiewnych i żyć bez „białego jarzma” – jako wolni i niezależni.

*

Makusin dotrzymał słowa i następnego dnia dał Glebowi do pomocy dwóch chłopów – tego z kikutem na piersi, Stiepana, i Martyna, z guzem zamiast prawego oka.

Tratwa powstawała na opuszczonych do rzeki żerdziach. Postanowili nie budować zbyt dużej, dla dwóch podróżnych bez ładunku i niedługiego spływu starczyłoby i sześć–osiem bali. Ale za pomocą liny splecionej

z wierzbowej kory związali ich z drewnianymi belkami poprzecznymi aż dziesięć – jak to mówią, na zapas. Na rufie zamontowali ster – długie i grube wiosło, żeby tratwą dało się jakkolwiek sterować. Pośrodku, nieco bliżej rufy, zbudowali niewielki szałas ze świerkowych gałęzi; po przybiciu do brzegu wędrowcy mogliby skryć się w nim przed niepogodą i w ogóle, żeby nie spać pod gołym niebem. Wyciosali też dwa pychy. Krótko mówiąc, zbudowali całkiem solidny, gotowy do pływania obiekt o długości mniej więcej pięciu i szerokości dwóch i pół metra. Przy czym zajęło im to zaledwie jeden dzień, dzięki temu, że chłopci mieli już suche sosnowe kłody, pozostało je tylko okorować i odpowiednio ponacinać.

W czasie pracy chłopci znów co i rusz mełli językami. Co prawda Gleb nie dowiedział się niczego nowego ani o cerkiewnych, ani o mrozowcach, ani zresztą o samych „dzikich”. Zebrało im się nagle na wspominki. Podczas jednej z przerw na odpoczynek Stiepan, patrząc na przeciwległy brzeg rzeki, westchnął:

– Ech, baćka łopowiadał, ile tu kiejsik naroda żyło! Toć jesce zanim bida przysła, wsie mrzeć zacyny jedna po drugi. Toć tu, akuratnie naprzeciw nos, było Ancyfierowo. Dali, ło, tam – Małygino, Słobodnaja, Czum... Jesce dali – Frołowka. A na prawo łod ni Bieliaszkino, Kopyłowo, Charazmino, Mitelewo, Istok... I do casu kiedy przysła bida, nikt sie tam nie łostoł. Starzy pomarli, młodzi jedyn do miasta, drugi do Iljinskoje, jeszcze ińszy do Pierwomajskoje sie przeniós.

– Toć mój baćka tyż był rodem z Kopyłowa – podchwycił Martyn. – Pamientom, jak łopowiadał, że tu, do Iljinskoje, na tańce do klubu biegoł. I jesce w Bielaszkinie był klub – no, baćka był wtedy jesce mały, przyczepił sie do starszego brata, mojego stryjka. Gdzie tamtyn, tam i łon. Do Frołowki tyż biegali – tam już wtedy, łopowiadał, cztery chałupy ino sie łostały: akuratnie cztery baby i jeden chop. Ale i młodzi tam wtedy żyli: Jurka i Kolka z Katią – brat i siostra. I do nich baćka ze stryjkiem moim lotali... Toć łodkond mi to łopowiadał, som już dawno pomar, a jo zem

zapamiętał...

– Po co to przypominacie? – zapytał Gleb, który czuł pewną zazdrość: chłopci pamiętali przeszłość nie tylko swoją, ale nawet swoich ojców, a on... – Tyle czasu minęło.

– A po to – znów odezwał się Stiepan – ze jakby nie uciekło wtedy tyła narodu z wioski, toby nos tera ło ho ho ila było! Żoden by sie nie wtroncoł, żodne karne łoddziały!... A jakby sie który wtroncił, to my tyż byśmy sie im wtroncili.

– A tak – dodał Martyn. – Wtedy ani żodny biedy, ani Kotostrofy nie było, a i tak wioski łopustosowały. Juz i wcześni coś nie tak poszło... Te koatostrofy to nie łod razu sie wydarzajom, nie tak prosto. Pierw pomaleńku, powolutku, a potem ani się łobejrzys, a łone coraz szybci sie tocom... A jak łobocys, jak cie kogut dziubnie w rzyć – to już bedzie za późno. Wcześni trza było rzepke skrobać.

– Ech, tako to tera robota. – Stiepan machnął ręką. – Dożyjem swoje – i kunieć, nic po nos nie bedzie.

Dla mutanta rozmowy te były niby zrozumiałe, ale jednak odległe. Nie przywykł jeszcze patrzeć w daleką przyszłość, a przeszłości po prostu nie pamiętał. Pozostawało mu żyć dniem dzisiejszym. No, najwyżej jutrzejszym.

Gleb był gotów wyruszyć w drogę od razu, nie wracając do wsi. Ale zapadał wieczór, a i plecak mutanta został u Makusina. Poza tym odpłynąć bez podziękowania i pożegnania z gospodarzem wydało się Glebowi nie na miejscu. Postanowili więc wrócić, przenocować, a o świcie ruszyć, gdzie ich rzeka poniesie.

Zjedli kolację niemal w milczeniu – Makusin i Gleb nie mieli już o czym rozmawiać, a Pistolet w ogóle bał się usta otworzyć: a nuż surowy towarzysz naprawdę się rozmyśli i nie weźmie go ze sobą? Po kolacji gospodarz polecił żonie spakować wędrowcom coś do jedzenia na drogę. Ta wyniosła kilka pęczków marchwi, trochę gotowanych ziemniaków

i pieczoną rybę. Zawinęła to wszystko w liście łopianu i podała mutantowi.

Gleb zaczął się wymawiać, ale Makusin syknął, walnął pięścią w stół i warknął, kiwając głową w stronę Pistoleta:

– Jemu bedzies rozkazywoł, na rzece. A tu jo zem jes gospodarz.

Gleb przypomniał sobie coś, chowając prowiant do plecaka:

– *A propos* rzeki i ryby... Moglibyśmy przecież łowić, gdybyśmy mieli czym. A wy czym łowicie?

– Kto co mo, tym łowi. Jeden sieciom, drugi na wyndke, insy łościeniem. Ale sieci ci nie dom, wyboc. Dobrych nici ni mom, sami ledwo kuniec z kuńcem wionżem, sieci sie rwom... Łościeniem se nie poradzita, bošta nienawykli... A hocyków do wyndki tyż ni mom wiela, z gwoździ je robim, a skund tera wzionć gwoździe?... Wionżemy żyłki z kuńskiego włosia, ale w Iljinskoje ino dwie kobyły som, a i tak łogony juz majom powyrywane.

– Więc co mamy robić?

– No... jo ci dom gwóźdz. Dobra, dom dwa. A zamiast żyłki dom nitke. Nie bardzo jes mocno, ale... – Makusin rozłożył ręce. – Małom i średniom rybe wyczymo, a kiej duzo chyci, to znać, że wam sie nie powiodło.

– Nici też macie deficyt? – zainteresował się na wszelki wypadek Gleb.

– Ficyt, ficyt – przytaknął gospodarz, pochmurniejąc. – U nos jes tera wszyckiego ficyt, opróc lasu i nieba. No, Łuza jesce pomogo.

– Łuza?... – Pistolet się poderwał.

– Rzeka – wyjaśnił Makusin. – Toć łona tyz sie Łuza nazywo.

Poszli spać wcześniej, gospodarz obiecał obudzić gości przed wschodem słońca. Ale tylko się położyli, bo Glebowi nijak nie udawało się zasnąć. W głowie wirował mu nieustanny korowód myśli. W większości niewesołych albo w ogóle strasznych. W końcu choćby nie wiadomo jak nadrabiał miną przed Pistoletem i chłopami z Iljinskoje, wcale nie był przekonany, czy postępuje słusznie, decydując się na tę szaloną wyprawę do

Wielkiego Ustiuga. Prawdopodobieństwo, że skończy się szczęśliwie, było naprawdę bardzo małe. A już to, że uda mu się spotkać z Dziadkiem Mrozem i że ten mu pomoże, nawet jemu samemu zdawało się teraz głupią bajką. No i niech nawet ryzykuje sam, w końcu tak czy owak nie chce dalej żyć bez pamięci, ale po co, do cholery, uległ namowom Pistoleta i ciągnie go teraz za sobą na pewną śmierć?... Najlepiej chyba będzie nie czekać świtu i po cichutku zejść ze strychu, pójść nad rzekę i odpłynąć samemu. Tak, to jedyna słuszna decyzja! Tak będzie przynajmniej spokojniej na duszy. Znacznie prościej jest odpowiadać tylko za siebie.

Gleb uniósł się ostrożnie na łokciu i spojrzał na Pistoleta. Ten leżał z zamkniętymi oczami i miarowo posapywał. Mutant, starając się nie szeleścić sianem, zaczął się podnosić. Oczy łuzanina natychmiast się otworzyły, jakby ten w ogóle nie spał.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział Pistolet.

– O czym? – rzucił rozdrażniony Gleb. – Chcę się odlać!

– Idę z tobą! – Jego towarzysz zaczął wstawać.

– Gdzie ze mną? Nie słyszałeś, co powiedziałem?

– Słyszałem. Ja też chcę. Nie widzę w ciemności, poprodiawisz mnie.

Gleb ponownie opadł na siano, sapiąc gniewnie.

– Co ty? – zdziwił się Pistolet. – Chodźmy!

– Nie – burknął mutant. – Odechciało mi się.

– A mnie nie.

– No to idź, lej przez drzwiczki.

– Tak nie można, jeszcze spadnę...

– Będzie o jeden problem mniej – wymamrotał Gleb, odwracając się na bok, plecami do łuzanina.

– Dlaczego taki jesteś? – prychnął z urazą Pistolet. – Przecież wszystko ogdybaliśmy... Przecież wiem, chciałeś odpałować beze mnie, tak?

– Słuchaj! – Mutant się poderwał. – Napatoczyłeś mi się, tak!... O, ja głupi, po co ja cię ratowałem? Pozbawiłem wilki szaszłyka na własną

zgubę...

Gleb mocno zacisnął powieki i w głowie znów pojawił mu się obraz: płonąca niczym zapałka sosna, wrzeszczący na jej wierzchołku Pistolet...

A potem Pistolet wrzasnął już na jawie. I zapachniało pieczonym mięsem... To znaczy nie, jeszcze nie mięsem, tylko po prostu dymem, ale kiedy Gleb otworzył oczy i zobaczył, jak ogień błyskawicznie pożera siano, oblizując już ściany i krokwie, uświadomił sobie, że jeśli on i Pistolet natychmiast stąd się nie zabrają, to pieczonym mięsem z pewnością zapachnie. Ich mięsem.

– Do wyjścia! – zawołał mutant i już chciał sam się do niego rzucić, ale widząc, jak łuzanin zakręcił się w miejscu, uciekając przed płomieniami, w dwóch skokach znalazł się przy nim, podrzucił go na ręce i dopadł drzwiczek prowadzących na zewnątrz.

Pistolet zsunął się po drabinie, niemal nie dotykając szczebelków. Gleb, prawie zapominając plecaka i chwytając go w ostatniej chwili, podążył za towarzyszem. Też szybko, ale nie aż tak – tego jeszcze brakowało, żeby spadł i coś sobie skręcił. Na przykład kark. Wszystkie problemy od razu znikną! Za to teraz do wszystkich pozostałych doszedł jeszcze jeden. I to bardzo poważny. Pożar sam z siebie jest zjawiskiem okropnym, a przecież teraz do Gleba dotarło jeszcze, czyja to wina... Wątpliwości oczywiście pozostały, ale minimalne. A w zbiegi okoliczności nie wierzył. W każdym razie tak mu się wydawało. Przypomniawszy też sobie, jak zapłonęła tamta nieszczęsna sosna. Ogarnęła go wtedy taka złość – na wilki, na tę sosnę... I rozpacz, że nie jest w stanie niczego zrobić. Pamiętał, że aż pociemniało mu w oczach. A sosna pstryk i płonie!... Zupełnie bez przyczyny. I nikt nie mógł jej podpalić. Tak jak i siano teraz. Fakt, tym razem nieszczęśliwie się złościł. Zirytował go oczywiście Pistolet, ale w porównaniu z poprzednim razem nie można nawet było nazwać tego gniewem. Ale właśnie teraz przypomniał sobie tamtą płonąca sosnę... Nie, takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają! W obu przypadkach ogień pojawił się jakby znikąd. Nie było

żadnych jego materialnych źródeł. A co ze źródłami mentalnymi?... Czy jak to jeszcze można nazwać. Glebowi przypomniało się przeczytane lub zasłyszane kiedyś słowo „pirokineza”, to jest zdolność do wzniesienia ognia siłą woli. Zdawałoby się, że to kompletna bzdura, i nawet na chwilę by w to nie wątpił, gdyby nie... Tak, zdaje się, że to właśnie on został najprawdziwszym pirokinetykiem!

Wszystkie te myśli przemknęły Glebowi przez głowę w ułamku sekundy, bo i nie było czasu na rozmyślanie – należało szybko budzić gospodarzy i gasić oborę, żeby ogień nie przerzucił się na dom.

Nie było to jednak konieczne – Makusin w samych kalesonach wybiegał już na ganek.

– Ognisko! – zawołał do niego Pistolet, machając rękami. – Nie, nie ognisko, pożar!

Gleb skrzywił się mimo woli: jak trzeba być nierozgarniętym, żeby informować o tak oczywistych rzeczach! A nuż Makusin pomyśli, iż męczy ich bezsenność i zapalili pochodnię, żeby książki czytać!

Gospodarz, rzecz jasna, tak nie pomyślał. Zakrzyknął za to coś takiego, czego Gleb zupełnie się po nim nie spodziewał:

– Dranie! Bydlaki! Za co?! Już zem myślał, że z was przydupasy cerkiewnych, ale zem wam zaufałem, durny jo!... – Makusin zawył jak zwierzę, zacisnął dłonie w pięści i rzucił się w stronę osłupiałych Gleba i Pistoleta.

Opamiętawszy się, Gleb chciał krzyknąć, że nie mają z tym nic wspólnego, ale przypomniał sobie, że on akurat coś ma... Jednak tłumaczenie, wyjaśnianie gospodarzowi, że jest pirokinetykiem i wszystko to stało się przypadkiem, też nie miało sensu – przecież jeszcze pięć minut wcześniej sam nie uwierzyłby w podobne bajki. A Makusin nigdy nawet nie słyszał takich słów.

Gleb przygotował się do obrony i wysunął przed siebie zgięte w łokciach ręce. Ale wtedy zaczęła głośno zawodzić żona gospodarza, która

tymczasem wybiegła z domu:

– Łoj, Maksia, Maksia! Toć sie spalim!... Łoj, gasić trza, chopów i baby wołać!... – Już chciała popędzić w stronę drogi, ale nagle klasnęła w dłonie i gwałtownie obróciła się do płonącej obory: – Łoj, toć trza wypuścić prosienta z kozom! Spalom sie bydlontka!...

Makusin, któremu do Gleba pozostało jakieś dwa–trzy kroki i zrobił już zamach, drgnął, odwrócił się i pobiegł, żeby przeciąć drogę żonie:

– Stój, durna! Toć sama sie spalisz! Biegnij, ludzi wołoj, ja żywizne wypusce... – powiedział i rzucił się w stronę drzwi do obory, zza których już na całego bił dym.

Gleb też machinalnie zrobił krok w stronę obory, ale poczuł nagle silnego kuksańca w bok. I od razu pociągnął go za rękaw Pistolet, głośno sycząc:

– A ty dokąd?! Oszalałeś?... Uciekamy! Szybko!

– Dokąd?...

– Nad rzekę, a dokąd? Na tratwę i w nogi, póki nas tu nie zatłukli.

O dziwo, Pistolet nie przekłamał ani jednego słowa, ale Gleb nie miał teraz głowy do leksykalnych sukcesów towarzysza. Tym bardziej że rozumiał: Pistolet ma rację! Nikt nie będzie roztrząsał, czy są winni, czy nie. Są obcy, a kiedy zaczął się pożar, byli na strychu z sianem. Po co tu jeszcze jakieś dowody? Było jasne, że rozwścieczeni wieśniacy po prostu się z nimi rozprawią.

I Gleb pobiegł. Przed nim w widmowym świetle północnej letniej nocy majaczyły plecy Pistoleta. Co jak co, ale biegać, jak się okazało, łuzanin potrafił. A dokładniej: zmykać. Dawać nogę. Zresztą sam mutant okazał się wcale nie lepszy od towarzysza. Ogarnął go palący wstyd (prawdopodobnie nie przywykł do salwowania się ucieczką przed kimkolwiek, choć tego nie pamiętał), miał wielką ochotę pobiec z powrotem, spróbować wyjaśnić wszystko Makusinowi, pomóc w gaszeniu pożaru, ale jednak uciekał dalej, rozsądnie zdając sobie sprawę, że nikt nie będzie ich słuchał. W najlepszym

razie szybko ich ukatrupią – i po krzyku. A w gorszym... Nie miał nawet ochoty o tym myśleć, tym bardziej że wyobraźnia Gleba była bardzo bogata.

Dobrze, że choć teraz szczęście wreszcie uśmiechnęło się do uciekinierów. Po pierwsze, na razie chyba nikt ich nie ścigał. Zresztą akurat to nie budziło zdziwienia – wioskowi musieli przede wszystkim ugasić pożar, nie pozwolić płomieniom rozszerzyć się na inne zabudowania. Drugim szczęśliwym trafem okazało się to, że noc była bezchmurna i dlatego całkiem jasna. Nikt nie dałby raczej rady czytać książki, nawet gdyby umiał, ale było chociaż widać, dokąd uciekać. No, a trzecią sprzyjającą okolicznością był fakt, że droga nad rzekę prowadziła w dół, więc trudno się było zmęczyć.

Jednak kiedy dobiegli na brzeg, Gleb zdał sobie sprawę, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło. Przecież tratwa dalej znajdowała się na łądzie, na opuszczonych do wody balach, i trzeba było ją jakoś zepchnąć na rzekę. Przy tratwie leżały dwie długie grube żerdzie, a dokładniej: puchy. Przygotowano je po to, żeby podróżni w czasie rejsu mogli w razie konieczności odpychać się od brzegu albo od dna. Teraz mutant postanowił wykorzystać je w charakterze dźwigni. Podniósł drąg, jeden dał Pistoletowi, a grubszy koniec swojego wsunął pod skraj tratwy.

– Rób to, co ja! – zawołał do łuzanina.

Pistolet, spoglądając na Gleba, wetknął puch pod tratwę tak samo jak mutant i napałł piersią na jego drugi koniec. Rozległ się głośny trzask. Pistolet puścił drąg i podskoczył.

– Strzelają! Niedobrze! Nie zdążyliśmy! – wrzasnął, zamierzając rzucić się do ucieczki.

– Nikt nie strzela, krzykaczu. – Gleb splunął ze złością. – To mój puch się złamał.

– I co teraz? Drugi też może się mazać...

– Jak to co?... A to!

Mutant odrzucił na bok pozostałości swojego drağa, pochylił się, chwycił dłońmi skraj tratwy i prostując się, zaczął z wysiłkiem pchać ją naprzód. Ta ruszyła się z miejsca niechętnie, ale potem ześlizgnęła się po balach i z pluskiem wylądowała na wodzie. Dokładnie w tym samym momencie uciekinierzy usłyszeli zbliżający się od strony Iljinskoje tupot kilku par stóp, a potem okrzyki:

– To łoni, tam som! Zara łodpłynom! Szybci, chopy!...

– Na tratwę, szybko! – rozkazał Gleb.

Podniósł drugi pych, wskoczył w ślad za łuzaninem na platformę z bali i odepchnął się drażem od brzegu. Potem od dna i jeszcze raz, i jeszcze, aż tratwa znalazła się na środku rzeki. Niespieszny nurt Łuzy pochwycił ich i powoli poniósł w noc.

– Uratowani?... – spytał Pistolet, wpatrując się niespokojnie w ciemny brzeg.

– A skąd mam wiedzieć? – burknął Gleb, odkładając pych i chwytając za ster. – Mają przecież łódki. Ale może w ciemności za nami nie pogonią.

– Moim zdaniem – oznajmił po głębokim namyśle łuzanin – nie ma żadnego kensu nas śmigać. Nawet gdyby to była nasza wina, to przecież nie wzruszymy im obory. A przecież nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Tak?

– Nie tak – mruknął Gleb, zdejmując plecak.

– A jak?... – Pistolet cofnął się i prawie spadł do wody. – Przecież to nie ty ją podpaliłeś?!

– Ja.

– Ale dlaczego?!...

ROZDZIAŁ 6

SASZKA

Gleb nie zdążył odpowiedzieć towarzyszowi. Na oddalającym się brzegu, gdzie niemal doścignęli ich chłopci z Iljinskoje, najpierw dały się słyszeć niespokojne krzyki, a potem wrzaski bólu i przerażenia.

– Co tam?... – Pistolet czujnie wpatrywał się w mrok.

– Skąd mam... – zaczął odpowiadać Gleb, nieprzyzwyczajony jeszcze do tego, że całkiem dobrze widzi także nocą, ale zaraz sobie o tym przypomniał i wykorzystał swoje zdolności.

– Co tam? – spytał jeszcze raz łuzanin, widząc, jak oczy mutanta jarzą się błękitem.

– Czegoś nie rozumiem... Mają tam jakąś bójkę czy co? Biegają, kręcą się... A nie! Skacze tam na nich coś dużego... Bardzo dużego.

– Wilk?... – Głos Pistoleta drgnął.

– Jaki tam wilk! Cała krowa – mruknął Gleb. – Tylko skacze jakoś strasznie żwawo.

Przypatrzył się uważniej. Między rozbiegającymi się, padającymi na ziemię mężczyznami naprawdę miało się coś ogromnego. Przy czym, co z początku zdumiało Gleba, dziwny stwór to rósł do wielkich rozmiarów, to jakby ktoś spuszczał z niego powietrze... mimo wszystko „nocny wzrok” mutanta nie był tak doskonały jak zwykły i pewnie jeszcze długo gubiłby się w domysłach, gdyby nieznana bestia nagle... nie wzbiła się w powietrze!... Tak, rozmiary stwora zdawały się zmieniać przez to, że na

przemian rozpościerał i składał skrzydła. A teraz rozłożył je i wzleciał nad chłopami. Ale niedługo przebywał w powietrzu – zatoczył półkole i niczym kania na jagniątko runął na jednego z uciekających mężczyzn. Ten przeszywająco wrzasnął, ale zaraz zachłysnął się, zarzęził i umilkł.

– Atakuje ich jakiś gigantyczny ptak – powiedział Gleb.

– Mmmutant?... – wybełkotał Pistolet.

– No chyba nie utyty gołąb.

– Boję się – wymamrotał łuzanin. – Bardzo. On zaraz ich pożre, a potem nas dogoni...

– Nie sądzę. Przecież będzie już syty. A i my nie stoimy w miejscu, odpływamy coraz dalej. Zaraz miniemy zakole rzeki i już nie będzie nas stamtąd widać.

– Przecież wómisz, że to ptak!

– Tak, ptak. A co?

– To znaczy, że umie latać. A nie jest całkiem cieniem. Podleci i od razu będzie nas dziwił...

– Czym nas będzie dziwił? – Gleb dalej patrzył do tyłu.

– Mówię, że będziemy widoczni. Widział, no!... Zdziwić też nas może. Tym, że szybko lata. Dogoni nas w sekundę i porzę.

– Porżysz? – Mutant zareagował z roztargnieniem; bardziej interesowało go teraz to, co dzieje się na porzuconym brzegu, niż nieskładna paplanina jego towarzysza.

– Nie... nie po... Pożre nas. Nawet nie zdążymy mu przypomnieć, że jest już najedzony.

– Tak... – spał się Gleb. – Włóż do szalasu, połóż się i przykryj szmatami.

– Jak to?

– Leż i nie ruszaj się.

– A czeemu?... – spytał po miejscowemu Pistolet.

– A teemu! – przedrzeźnił go mutant. – Wykrakałeś, „ptaszek” tu leci.

Łuzanin kwiknął przerażony, skrył głowę w ramionach, ale zanim wczuł się do szalasu, nie wytrzymał, obejrzał się za siebie i na tle mglistoszarego letniego nieba zobaczył skrzydlatą sylwetkę, która przysłoniła na parę chwil błądy dysk księżyca. Nie trzeba było go dalej namawiać. Pistolet czmychnął do szalasu i zaskomlał:

– Ty też wejź! On zobaczy, że nikogo nie ma, i odcieli.

– Cicho bądź! – warknął Gleb. – Powiedziałem, żebyś się nie ruszał! Mnie już i tak zobaczył.

W rzeczy samej, skrzydlate plugastwo z rozmysłem i bardzo szybko doganiało tratwę. Mutant przykucnął, wyjął nóż i zacisnął go w lewej dłoni, a prawą położył na pychu, szykując się, by chwycić go, kiedy tylko to będzie konieczne.

„Ptaszek” nie zaczął krążyć wokół tratwy – spadł na nią od razu. Glebowi ledwo starczyło refleksu, żeby zacisnąć dłoń i gwałtownie podnieść pych, opierając jeden jego koniec o bierwiona pokładu. Kiedy olbrzymi ptak zauważył zagrożenie, było już za późno. Hałaśliwie załopotał skrzydłami, starając się osłabić swój pęd, ale drąg wznosił się dość wysoko i zabrakło mu jakichś paru metrów, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Stworowi nie poszczęściło się też w tym, że nadzieją się na pych szyją, która, jak zdążył dojrzeć Gleb, była długa niczym u łabędzia. Zauważył on i coś jeszcze. Na przykład długą, usianą zębami otwartą paszczę potwora, ogromne oczy, w których błysnęło światło księżyca, błoniste jak u nietoperza skrzydła... Gleb dopiero potem analizował to, co zobaczył, w tym momencie nie to mu było w głowie, a wniosek był oczywisty: to nie był żaden ptak, prędzej coś w rodzaju pterodaktyla. Teraz natomiast wbił nóż w tratwę, gwałtownie się wyprostował, wczepił się w pych obiema rękami i ostro nim zakołysał.

Zachłystując się własną krwią, stwór wydał coś w rodzaju bulgoczącego skrzeku, ześlizgnął się z drąga i wciąż wściekle, ale już beładnie bijąc skrzydłami, runął do rzeki. Fala, jaką to wywołało, niemal przewróciła

tratwę. Mokry od stóp do głów Gleb padł na kolana i wczepił się w drewno paznokciami, czy raczej pazurami, które na szczęście miał długie i mocne. A kiedy nurt zniósł tratwę z dala od miotającej się w agonii maskary, mutant wstał i zobaczył siedzącego na tratwie okrakiem przestraszonego i mokrego Pistoleta.

– A ty po co wylazłeś?! – naskoczył na łuzanina Gleb. – Życie ci się sprzykrzyło? A to tchórzy z powodu głupot, a kiedy nie trzeba, to odważny! Ty nie tylko słowa, ty w ogóle wszystko mylisz! Mózgownicę masz przenicowaną.

– Nie bluzgaj – niespodziewanie spokojnie powiedział Pistolet. – Bałem się. Jeszcze jak! O ciebie. Więc nie mogłem tam usiedzieć.

Łuzanin znów nie popełnił ani jednego błędu w dość długiej tyradzie, a to do spółki z jego powszednim tonem podziałało na Gleba otrzeźwiająco.

– Dobra – burknął. – A teraz włącz i spróbuj się przespać.

– Może przybijemy do brzegu i obaj popsimy – zaproponował łuzanin.

– Nie. W nocy wszystkie te paskudy tylko czekają, kogo by tu pożreć! Lepiej już zostać na wodzie, ptaki na niebie jednak łatwiej zauważyć niż jakiegoś tam wężo-niedźwiedzia w zaroślach. Więc na razie się przekimaj, a ja posteruję. Przyjdzie świt, to przybijemy do brzegu. I wtedy ja będę spał, a ty kręcił głową na wszystkie strony.

Do rana nic szczególnego się już nie wydarzyło. Zresztą nieszczęśliwego też nie – senny nurt niósł tratwę w dół rzeki, Gleb z rzadka ruszał sterem, korygując kierunek, i rozglądał się na boki. I, rzecz jasna, rozmyślał o tym, co się wydarzyło, w pierwszej kolejności o swoich niespodziewanie odkrytych zdolnościach. Jeśli jedna z nich, zdolność widzenia w ciemności, okazała się niezwykle użyteczna – szczególnie teraz, w nocy, pod gołym niebem i praktycznie bez żadnej osłony, to druga, „pirotechniczna”, bardzo się Glebowi nie podobała. Z jednej strony, może i ona mogłaby przynosić korzyść – by rozpalić ognisko na przykład albo dla ochrony przed

drapieżnikami, ale z drugiej problem polegał na tym, że mutant nie potrafił użyć tej umiejętności świadomie. A pojawiająca się spontanicznie, mogła przynieść (i już przyniosła) tylko nieprzyjemności i kłopoty. Choć z początku Gleb myślał, że wznieca ogień, kiedy jest mocno poirytowany, to teraz miał już wątpliwości. Po tym jak rozzłościł się na Pistoleta na sianie, miał już okazję wkurzać się i denerwować znacznie mocniej, ale obok niego ani razu nic się nie zapaliło. Widocznie przyczyna kryła się jednak w czymś innym, a najpewniej wcale nie istniała i do zapłonu dochodziło przypadkiem, chociaż nie wiedzieć czemu jego „katalizatorem” okazywał się on sam.

Jak zwykle mutant spróbował przypomnieć sobie cokolwiek ze swojej przeszłości i jak zwykle nic z tego nie wyszło.

Tymczasem niebo na wschodzie powoli zaczęło się różowić. Gleb uważniej przyglądał się pasowi przybrzeżnemu, wybierając miejsce do zacumowania. Wkrótce znalazł całkiem sensowną przystań – zarośniętą gęstą wierzbą na brzegu i skrytą przez szuwały od strony rzeki – i skierował tam tratwę. Przywiązał ją liną uplecioną z kory do wierzbowych pni i zajrzał do szalasu.

– Ej, Pistolet, pobudka!

Łuzanin zerwał się tak gwałtownie, że niemal uszkodził szalasa.

– Hę? Co? Zaatakowali nas?...

– Na razie nie. Po prostu chcę iść spać.

– Uff, jak bodrze! Bo już się przekląłem... A gdzie jesteśmy?

– Tam, gdzie byliśmy. – Gleb się uśmiechnął. – Na rzece. Przybiłem do brzegu i chcę się zdrzemnąć przez kilka godzin. No a ty miej oczy szeroko otwarte. Jeśli zauważysz coś podejrzanego – od razu mnie obudź.

– A może... – zawahał się Pistolet. – Może pierw coś zjemy?

– Zjedz sam, ja nie chcę. – Mutant pokręcił głową, bo naprawdę znacznie bardziej chciało mu się spać niż jeść. – Potem zjem, jeśli cokolwiek mi zostawisz.

– Oczywiście, że zostawię! – Łuzanin się obraził. – Za kogo ty mnie uważasz?... Nałowię nawet ryb, jeśli dasz mi żyłkę, haczyk i nóż, żeby ściąć wędkę.

– Niezły pomysł – powiedział Gleb po przemyśleniu. – Tym bardziej że tak czy owak nie mam pojęcia, jak to się robi. Tylko nie odchódź daleko, żeby mnie coś nie zjadło, kiedy ty będziesz łowił.

– Nie! Tu dębę łowił. Bujdę tylko po kij na wędkę i nakopię boraków.

– Czego nakopiesz?... – Gleb zamrugnął zdziwiony.

– Bora... tych, co żyją w ziemi... o, robaków!

– Po co? Nie chcesz mnie chyba karmić robakami?

– No co ty?! To ty nie wiesz, do czego przy wódkowaniu są potrzebne robaki? – zdziwił się z kolei Pistolet.

– Mówię ci przecież, że nie wiem, jak się łowi ryby! A ty, skoro wiesz, to rób, co trzeba. Tylko jeszcze raz powtarzam: nie daj się ponieść, nie odchódź daleko. Tym bardziej że i ciebie może coś pożreć, w końcu las otacza nas zewsząd i jest mało prawdopodobne, żeby był niezamieszany.

Pobłogosławiwszy w ten sposób swojego towarzysza, Gleb wydał mu podarowany przez Makusina ekwipunek, a także – bardzo niechętnie – nóż, po czym wlaź do szałasu, wyciągnął się jak długi, tak że nogi wystawały mu na zewnątrz, i natychmiast zapadł w długo wyczekiwany sen.

Kiedy mutant się obudził, słońce było już dość wysoko na niebie. Gleb czuł się wypoczęty, ale straszliwie głodny. Wyczołgał się z szałasu. Pistoleta nie było na tratwie.

– Ej, rybaku! – zawołał mutant. Nikt mu nie odpowiedział. Wtedy krzyknął głośniej: – Pistolet! Gdzie jesteś?! Chodź tu!

Gleb tak naprawdę nie zdążył się jeszcze zmartwić, gdy nagle zobaczył na brzegu pod krzakiem starannie złożone ubranie towarzysza.

– Czy ten skończony idiota postanowił się wykapać?... – jęknął mutant. – Przecież tego przygłupa musiał pożreć jakiś rzeczny stwór!...

Ale wtedy jakieś pięć–sześć metrów od miejsca, w którym kończyły się szuwary, rozległ się plusk i nad powierzchnią wody pokazała się łysawa, oblepiona rzadkimi mokrymi włoskami głowa Pistoleta. Łuzanin głęboko i gwałtownie oddychał. Potem zrobił trzy głębokie wdechy i chciał znów zanurkować, ale Gleb zdążył zawołać:

– Dokąd to, zarazo?! Tutaj płyn! Co ty, kompletnie ci odbiło?

– Oj!... – Pistolet się odwrócił, nie zamierzając jednak płynąć w stronę tratwy. – Obudziłeś się?

– Nie, jeszcze śpię. A ty masz po prostu zwidy, bo ci odbiła szajba... Nie słyszysz, co ci powiedziałem? Wiosłuj tutaj, ale żywo!

– Zaczekaj, Gleb... – wymamrotał łuzanin. – Ja tu, rozumiesz, ryżek nałowiłem...

– No i brawo. Płyn tu i przynieś swoje rybki. Jeść mi się chce!

– To zjedz, zostawiłem ci tam... Ziemniaczki, marchewkę... A ja tymczasem poszukam rybki.

– Nie rozumiem... – Gleb zmarszczył brwi. – To nałowiłeś ich czy nie? No i miałeś chyba łowić je na wędkę, a nie rękami pod wodą. Czy coś pomyliłem?

– Nie pomyliłeś. Złowiłem... Zawiesiłem je na nizałce. To taka witka z wikliny... Przyziąwałem ją do tratwy. A ona się... tego... rozziąwała...

– Tfu ty! – Gleb zaczął się złościć. – I nurkujesz teraz, żeby znaleźć swoją nizałkę z rybami?

– No, tak...

– To ona według ciebie poszła na dno? Nawet ja wiem, że zdechła ryba pływa brzuchem do góry. Nurt ją dawno zniósł!

– Tak?... – Pistolet podrapał się w łysinę. – No to może zniosło ją do tych krzaków... – Machnął ręką w dół rzeki w stronę jeszcze jednej kępy zarośli. – Popłynę tam sztywniutko, dobra?

– Żadnego pływania! – Mutant tupnął nogą, przez co tratwa zakołysała się niespokojnie. – Co ty, zupełnie nic nie kojarzysz? W rzece też może być

mnóstwo różnych potworów! Odgryzą ci nogi albo coś... Albo w ogóle cię pożrą. I z wędkarza sam staniesz się ofiarą.

Nawet z daleka było widać, jak Pistolet blednie, usłyszawszy o potworach. Wskoczył z rzeki tak szybko, jakby naprawdę coś go capnęło w tyłek. Nie wszedł jednak na tratwę. Wziął ubranie, podreptał chwilę w miejscu i powiedział:

– W takim razie pójdę pieszo. Wzdłuż grzebu. Tylko do tych krzaków. Dobra?

– A niech cię, idź. – Gleb machnął ręką. – Ale uważaj, jak cię coś zeżre, to możesz nie wracać.

– Ale... jak mam wrócić, jeśli mnie coś zeżre?...

– No to mówię: nie wracaj – mruknął mutant. A widząc, że Pistolet wciąż jeszcze stoi, mrugając oczami, westchnął: – Żartuję przecież! No, idź już. Ale serio, bądź ostrożny. – A pod nosem cicho mruknął: – Bo przywykłem już do ciebie, przygłupie, nudno mi będzie samemu. W każdym razie na początku.

Tymczasem Pistolet ubrał się i dreptał już wzdłuż brzegu w stronę zarośli. Gleb natomiast wyjął resztki jedzenia i usiadł do śniadania. Czy raczej, sądząc po położeniu słońca, do obiadu. Skupiony na jedzeniu – chociaż było tego tyle co nic: dwa kartofle, trzy marchewki i ogon pieczonej ryby – mutant na pewien czas zapomniał o towarzyszu. A nie był to długi czas, bo z krzaków, do których skierował swoje kroki Pistolet, rozległy się jego pełne oburzenia krzyki.

Gleb zerwał się, besztając się w myślach za to, że posłuchał łuzanina i puścił go samego. Chociaż od razu zdał sobie sprawę, że jego towarzysz krzyczy właśnie oburzony i wcale się nie boi, a tym bardziej nie jest zgubiony. Niemniej jednak mutant szybko wy dostał się na brzeg i pobiegł do odleglejszej kępy krzaków.

Obrazek, który tam zobaczył, nie tylko go uspokoił, ale i mocno rozbawił. Gleb aż usiadł na wyrzuconej przez rzekę kłodzie i przyglądał się

dalszemu rozwojowi wydarzeń. A było na co popatrzeć! Pistolet, nie przestając wołać: „Oddaj! To moje! Draniu!”, i innych rzeczy w tym duchu, a czasem po prostu wrzeszcząc „Aaaa!”, wczepił się lewą, sześciopalczystą dłonią w długi, szary od błota i pyłu, podobny do chałata płaszcz chudziutkiego umorusanego chłopaczka. Prawą ręką bez palców łuzanin na próżno próbował wyrwać chłopcu wiklinową nizałkę, na której wisiało sześć niewielkich rybek. Przeciwnik Pistoleta ze wszystkich sił starał się wyrwać, ale nijak mu się to nie udawało. W odróżnieniu od napastnika, walczył w milczeniu, wydając tylko ciche sapnięcia.

Krótkie, niegdyś zapewne płowe, a teraz po prostu brudne włosy chłopca sterczały na boki w niechlujnych strąkach, upodabniając go do jeżozwierz. W każdym razie właśnie takie porównanie przyszło Glebowi do głowy, co go bardzo zdziwiło: nie miał bowiem pojęcia, gdzie i kiedy mógł zobaczyć tak egzotyczne w tych okolicach zwierzę. A potem mutant przyjrzał się małemu uważniej i wzdrygnął się: ten wcale nie był umorusany, jak mu się z początku wydało. Całą twarz i część szyi nieszczęsnego dzieciaka pokrywały podobne do świerkowej kory szarobrazowe strupy. Chłopiec, podobnie jak Pistolet i on sam, zdecydowanie należał do „gatunku” mutantów.

– Wystarczy! – Gleb się podniósł. – Dość tych głupot. Ogłaszam remis.

Chłopaczek, który dopiero teraz dostrzegł „widza” o tak strasznym obliczu, pisnął z przestachem, odrzucił nizałkę, dwiema rękami uwolnił płaszcz z chwytu przeciwnika i rzucił się w stronę rzeki.

– Aha! – zawołał z radością Pistolet, rzucając się w przeciwnym kierunku, tam, gdzie poleciał jego łup.

Gleb zaś wyprawił się w ślad za chłopcem – zaciekawilo go, dlaczego ten wybrał na kierunek ucieczki właśnie brzeg rzeki. Sprawa szybko się wyjaśniła: w wodzie, z dziobem w piasku, kołysała się łódka. Chłopiec właśnie odwiązywał sznur, którym ta była przywiązana do wystającego z ziemi pnia. Widząc nieopodal swojego przerażającego prześladowcę,

błyskawicznie wskoczył do wątego stateczku. Jeszcze kilka sekund i odpychający się wiosłem uciekinier znalazłby się poza zasięgiem Gleba. Jednak mutant, nie zdając sobie sprawy, po co to robi, działając raczej instynktownie – uciekają, to goń! – w dwóch skokach znalazł się nad wodą i chwycił za burtę łódki.

– Nie! Nie zabijaj! – Chłopaczek padł na dno łodzi i zwinął się w kłębek.

Gleb jednym potężnym szarpnięciem do połowy wyciągnął łódkę na brzeg. Starając się, żeby jego głos brzmiał możliwie jak najbardziej przyjaźnie, zawołał:

– Ej, ty ! Nie bój się, nie zamierzam cię zabić. Ani zjeść.

– Naprawdę?... – Chłopiec uniósł głowę, z pewnością zdając już sobie sprawę, że tak czy owak nie ma wyboru.

– Niech skonam!

Młody westchnął, widocznie nie mając nic przeciwko takiemu obrotowi wydarzeń, ale rozumiejąc, że to, co powiedziało to straszycło, było tylko wyrażeniem obrazowym, figurą retoryczną.

– Wyłaź – rzucił Gleb. – Pogadamy.

– Po co? – Chłopiec niechętnie zaczął wstawać.

– Po co gadać?... Dla wymiany informacji.

– Nie ukradłem tych ryb! – wypalił młody. – Patyk przepływał obok, a ja go wziąłem. I potem tamten... przybiegł!...

– A czy ja cię o coś oskarżam? No, wyłaź, nie ruszę cię, przecież powiedziałem.

– Serio?

– Serio.

– A tamten, bez palców? Nie rzuci się na mnie?

– Nie rzuci.

Chłopaczek przełożył nogę przez burtę łódki, zaplątał się w płaszczu i z pewnością by upadł, gdyby Gleb nie zdążył go złapać i postawić na

ziemi. Chłopiec szarpnął się i pchnął mutanta w pierś.

– Co ty? – zdziwił się tamten.

– Czego mnie łapiesz? Obiecałeś, że mnie nie ruszysz!

– Przecież byś się wywalił!

– I co z tego! Obiecałeś nie ruszać, to nie ruszaj.

– Dobrze, nie będę. – Gleb rozłożył ręce. – Teraz naprawdę...

– Właśnie! – odgryzł się chłopak. – Nie lubię, jak ktoś rzuca słowa na wiatr.

– Jesteśmy umówieni. Więcej cię nie tknę, nawet jeśli sam zaczniesz mnie prosić.

– Nie zacznę, możesz być pewny.

– Tfu, ale z ciebie przekora!

– Kto?... – zdziwił się chłopaczek.

– Taki, co się cały czas sprzeciwia. Ty jemu słowo – on tobie dwa.

– A nieprawda!

– Tfu!... – Gleb znowu splunął. – Idziemy, bo Pistolet zaraz spałaszuje wszystkie ryby.

– Kto taki? – Chłopiec zamarł.

– Twój pozbawiony palców przyjaciel. – Mutant się uśmiechnął.

– To nie jest mój przyjaciel.

– I co, nadal będziesz zaprzeczał, że jesteś przekora?

– Ja mam imię – burknął chłopiec.

– Jedno drugiemu nie przeszkadza. A jakie to imię, jeśli to nie tajemnica?

– Saszka.

– Rozumiem. Ja jestem Gleb. Chodźmy szybciej, długo tu jeszcze mamy stać?

Mutant odwrócił się i poszedł tam, gdzie łuzanin ostatnio szukał swoich ryb. Chłopak obejrzał się na łódkę, widocznie ocenił, że szybko nie zepchnie jej na wodę, i niechętnie powłókł się w ślad za nim.

ROZDZIAŁ 7

REKONESANS

Pistolet, który już dwukrotnie odszukał utraconą nizałkę i stał, przyciskając do piersi odzyskany łup, powitał ich chłodno. Przy czym najpierw przekazał swoje niezadowolenie Glebowi:

– Po co go przyprowadziłeś? Przecież to złodziej! Trzeba go było upocić.

Potem przerzucił się na chłopca:

– Gdzie się pchasz? Myślisz, że chociaż nie udało się ukraść, to i tak się usapiesz?

Saszka z początku się zmieszał. Dziwne słowa, których nigdy wcześniej nie słyszał, wziął widocznie za jakiś specyficzny żargon. Ale odparł tak, jakby sam od zawsze tych słówek używał:

– Nie tacy jak ty mnie pocili. Ale sam się nie spociłem ani razu. I to ty się teraz usapiesz. Tak cię upocę, że zobaczysz!

– Dosyć tego sapania! – Gleb nie wytrzymał. – Proszę, jak się zgadaliście, znaleźliście wspólny język. Nie jesteście czasem krewniakami?

– Ja takich wrekników to wiesz, gdzie widziałem? – poderwał się Pistolet.

– Powiedziałem: dość! – zawołał mutant i odwrócił się w stronę chłopaka: – Chcesz jeść?

– Chcę – mruknął tamten.

– O! – Łuzanin się wzburzył. – A nie wómiłem!...

– Jeszcze raz „powómisz” i zostaniesz głodny – powiedział Gleb. – Nie żartuję.

– Ale przecież!... – zaczął Pistolet, ale urwał, przycichł i tylko ze smutkiem pokręcił głową. – Pewnie będę jeszcze musiał togować...

– Jakbyś zgadł. – Mutant skinął głową. – Pójdziemy teraz na tratwę, weźmiesz z mojego plecaka zapalki, rozpalisz ognisko i usmazysz ryby.

– Lepiej by było upiec. – Saszka przełknął ślinę.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zainteresował się Gleb.

– Bardzo prosto: trzeba oblepić je gliną i zapiec na węglach. Wtedy nie trzeba ich też skrobać – wszystkie łuski zejdą potem z gliną.

– To niech on toguje! – ucieszył się Pistolet.

– Nie! Gotował będziesz ty – uciał mutant. – Technika nie wydaje się skomplikowana. A tymczasem ja przeprowadzę z Saszką szczerą rozmowę. Chodźmy do tratwy.

– A łódka? – zaniepokoił się Saszka.

– Na razie niech tu pobędzie. Teraz nigdzie nie odpłynie. A kiedy zjemy i pogawędzimy, to postanowimy, co robić dalej.

Pistolet szybko rozpalił ognisko – widocznie nieraz przychodziło mu to robić. Utyskiwał co prawda, że teraz ktoś zobaczy dym i przybiegnie ich zabić.

– To my wtedy na tratwę i płyniemy! – powiedział Gleb. – I sobie zabijajcie, jak możecie.

– Mogą i strzelać – wyszeptał Saszka.

– Kto i z czego tu może strzelać? – zdziwił się mutant. – Przecież „dzicy” mają zakaz posiadania broni palnej pod groźbą śmierci!

– Kto ich wie... – Chłopak wzruszył ramionami. – I niekoniecznie ze strzelby, można też z łuku albo z kuszy.

Gleb zastanowił się przez chwilę. Potem machnął ręką:

– Musimy jeść. Co, teraz mamy się bać każdego krzaka? Niech oni się

nas boją.

– A ja naprawdę się ciebie przestraszyłem – powiedział cichutko Saszka. – Straszny jesteś, że coś okropnego!

– Aha, a ty to normalnie przynojstacha! – wtrącił Pistolet, oblepiając gliną rybę. – Gleb ma przynajmniej włoski, futerko, nawet przyjemne. A ty o, jakieś zaschnięte łajno na gębie.

Chłopiec opuścił wzrok, a Gleb niespodziewanie zerwał się z miejsca. Podszedł do ogniska i zawisł nad siedzącym w kucki łuzaninem.

– Słuchaj no – zasyczał wściekle mutant. – Jeśli jeszcze raz palniesz coś podobnego, to w łajnie wylądujesz ty. I to wcale nie zaschniętym. I pobiegiesz stąd z powrotem do swojej Łuzy. Zrozumiano?

Pistolet szybciotko pokiwał głową, a Saszka się ożywił:

– Dokąd? Do Łuzy?... A dlaczego do Łuzy? Wy też jesteście z Łuzy, tak?

– Dlaczego „też”? – Gleb wrócił i ponownie usiadł obok niego. – Ty stamtąd jesteś czy jak?

– Aha. – Chłopaczek się uśmiechnął. – Mieszkałem tam przy ulicy Osipienki, obok szpitala. A wy?

– Ja nie jestem z Łuzy. To on jest twoim ziomkiem. – Mutant się wyszczerzył. – A jednak prawie zgadłem: nie krewni, tylko krajanie... A swoją drogą, wołają na niego Pistolet.

– Dziwne imię... A gdzie on mieszkał w Łuzie? Jakoś go sobie nie przypominam...

– A co, wszystkich w Łuzie znasz? – znów odezwał się Pistolet. – Nawiasem mówiąc, ja ciebie też nie mapiętam. A mieszkałem... też niedaleko szpitala.

– Niedaleko czego?... – zamrugął Saszka.

– Nie zwracaj na to uwagi – powiedział półgłosem Gleb. – On ma taką... muta... przypadłość, że myli słowa i przestawia w nich głoski. Ale można się przyzwyczaić.

– A czemu miałbym się przyzwyczajać? – burknął chłopak. – Zaraz zjem, powiem „dziękuję” i powiosłuję dalej.

– Cóż, o tym jeszcze porozmawiamy. A teraz opowiedz mi jeszcze o Łuzie. Czyli mówisz, że gdzie tam mieszkałeś, na jakiej ulicy? Osipienki?... – Gleb obrócił się do towarzysza. – Pistolet, znasz taką ulicę?

– Nie znam – burknął tamten. – Ale przecież moja opinia jest teraz na menzurowanym...

– Skończ tę gadkę! Nie przeginaj. Patrzcie go, obraził się. Cały taki biały i puszysty!

– Puszysty to jesteś tutaj ty – prychnął Pistolet. – A ja jestem bezmózgą pokraką. Lepiej, żeby zamiast palców odcięli mi język, tak?...

– Zaraz naprawdę palnę cię w łeb – zagroził Gleb. – Wtedy już na pewno będziesz bezmózgi.

– A kto mu uciął palce? – szepnął Saszka.

– Wasi zwyrodnialcy, z Łuzy. Dlatego też tu uciekł.

– Ja też przez nich... – Chłopak westchnął i spojrzał na Pistoleta już bez wcześniejszej wrogości. – To ty naprawdę mieszkałeś koło szpitala? A gdzie: na Dobrolubowa, na Gorkiego, na Lenina?

– Co to, przesłuchanie? – Pistolet zasapał, obracając ryby i odpędzając włączący do oczu dym.

– Dlaczego przesłuchanie? To po prostu ciekawe.

– No, na Lenina. Jeszcze coś cię keciawi?

– A w którym budynku?

– A w burym.

– Nie no, serio... Jaki numer? Może byliśmy sąsiadami.

– Ósmy. Teraz zadowolony?

– Nie... – Saszka zamrugał. – Ósmy to nie obok szpitala... To całkiem po drugiej stronie. Naprzeciw szpitala na Lenina są numery powyżej stu.

– Dobra, Saszka, naprawdę już wystarczy – wtrącił się Gleb i dodał cicho, nachylając się chłopcu do ucha: – Mówiłem ci przecież, że on myli

słowa i głoski. Liczby pewnie też – a potem, już pełnym głosem, zwrócił się do Pistoleta: – No, jak tam nasze rybki? Bo nam ślina zaraz poleci.

Ryby okazały się gotowe. Zjedli je z wielkim apetytem, według powszechnej opinii do pełnego zadowolenia brakowało tylko soli.

Gleb zwrócił uwagę, że chłopaczek przez cały czas siedzi opatulony w swój chałat.

– A ty co? – zapytał. – Zmarzłeś? Przecież mamy lato, a ty siedzisz w płaszczu.

– Zmarzłem – burknął chłopiec. – Mnie jest ciągle zimno, czy to zimą, czy latem. Pewnie taka mutacja. A może po prostu taki mam organizm. To nic, już się przyzwyczaiłem, nie zwracajcie uwagi.

– No dobra – wzruszył ramionami mutant – nam to nie przeszkadza. – A potem przeszedł do głównego pytania: – A więc dokąd zmierzasz, Saszka?

– A wy? – Chłopak skulił się błyskawicznie, znów upodabniając się do stroszącego kolce jeża.

– My tam, dokąd tobie na pewno nie trzeba – powiedział Gleb.

– Skąd wiesz, dokąd mi nie trzeba?

– Dlatego że tam, dokąd zmierzamy, z dużym prawdopodobieństwem nas zabiją. No, w każdym razie mnie.

– Dlaczego?

– Dlatego że jestem straszny, sam tak powiedziałaś. I dlatego że niczego o sobie nie pamiętam. A ten, kto nie potrafi niczego o sobie powiedzieć i wygląda jak diabeł wcielony, wzbudza słuszne podejrzenia. No a ci, do których idziemy, raczej nie lubią wątpliwości. Miłosierdziem też się raczej nie cechują. Tak więc...

– Płyniecie do Ustiuga – nawet nie tyle zapytał, co stwierdził Saszka. – Do mrozowców.

– Tak... – Mutant utkwiał wzrok w chłopaku. – A ty skąd wiesz?

– Stąd, że płynąc z nurtem, w pierwszej kolejności można dopłynąć

właśnie tam – przedrzeźniając intonację Gleba, zaczął wymieniać młody. – I stąd, że mutanty nie popłyną z własnej woli do cerkiewnych. – Tu ton głosu Saszki nagle się zmienił, stał się błagalny: – Weźcie mnie ze sobą! Proszę was! Będę wam łowił ryby, zbierał grzyby, jagody, różne korzonki... Będę gotował, prał, będę robił wszystko, co rozkażecie!... Zrozumcie, ja naprawdę muszę się dostać do mrozowców! Oni są dobrzy, są za mutantami, dlatego że sami nimi są. Nigdzie indziej nie mogę iść! Nikt nie chce obok mnie żyć, dlatego że mam taką twarz, Wszyscy myślą, że to nie mutacja, tylko jakaś zaraza. Nawet wy... i to...

– Cicho już! – zawołał Gleb. – Proszę, jak zaczął biadolić!... – Obrócił się do Pistoleta: – To co, weźmiemy go?

– Tylko jeśli naprawdę będzie robił to wszystko, co wyniemiał! – starszy łuzanin od razu się znalazł.

– Więc tak – podsumował mutant. – Teraz popłyniesz z nami, ale przy pierwszej możliwości, jeśli napotkamy na drodze wieś albo osadę, gdzie zgodzą się przyjąć cię do siebie, zostaniesz tam. Zgoda?

Nie wiadomo, czy Saszka do końca akceptował takie rozwiązanie, ale wzruszył ramionami ze zrozumiałym, jednoznacznym sensem: a niby jaki mam wybór?

– I jeszcze jedno... – Gleb zmarszczył brwi. – Jesteśmy teraz jak ślepe kocięta. Płyniemy, sami nie wiedząc dokąd...

– Jak to nie wiedząc? – przerwał mu Pistolet. – Do Ustiuga... tego... Lewkiego...

– Wielkiego – poprawił go Saszka.

Pistolet zerknął na chłopaczka ze złością, ale zamilczał.

– To wiem i bez was – skrzywił się paskudnie mutant. – Ale gdzie dokładnie płyniemy, ile nam jeszcze zostało, jak w ogóle poznamy, że jesteśmy na miejscu – tego wszystkiego nie wiemy. A to niedobrze. Może Ustiug jest za tym zakrętem rzeki i powinniśmy w ogóle pójść już brzegiem, cichutko, skrycie, a my wypłyniemy w pełnej krasie u wszystkich na

widoku!...

– No nie, to jeszcze ladeko, tak mi się wydaje... – powiedział niepewnie Pistolet.

– Ja tak przykładowo powiedziałem o tym zakręcie. Ale to nie zmienia istoty rzeczy. Myślę, że warto, żebyśmy zaryzykowali i skontaktowali się z mieszkańcami jakiejś wsi, na którą natrafimy. Przy okazji porozmawiamy i o Saszce.

– Nie trzeba... – zaczął żałośnie chłopaczek, ale srogie spojrzenie mutantu sprawiło, że umilkł. A potem znów otworzył usta, ale powiedział coś, czego Gleb się po nim nie spodziewał: – Możemy się wszystkiego dowiedzieć i bez żadnych mieszkańców.

– Jak to? – Gleb zmarszczył brwi.

– Z mapy.

– Z jakiej znowu mapy?

– A z tej.

Saszka wsunął rękę za pazuchę płaszcza i wyciągnął z zanadru wytłuszczoną, pomiętą, o postrzępionych, porwanych brzegach mapę. Rozłożył ją na balach tratwy. Cała trójka natychmiast się nad nią pochyliła.

– „Mapa obwodu wołogdzkiego” – przeczytał Gleb. – No popatrz, całkiem szczegółowa. Widzę, że poważnie przygotowałeś się do podróży. To dobrze.

– Dałem za nią tygodniowe racje żywnościowe – oznajmił z dumą Saszka.

– Było warto. – Mutant kiwnął głową.

– A oto i Ustiug! – Pistolet radośnie wskazał jeden z krążków na mapie.

– Ustiug – to dobrze – powiedział Gleb. – Dobrze by się było dowiedzieć, gdzie się teraz znajdujemy. Chociaż... – Nachylił się nad mapą jeszcze niżej, coś na niej wyszukując, a potem zawołał wesoło: – Przecież to Iljinskoje!

– Ale przecież płynęliśmy od niego pół nocy – zauważył Pistolet.

– Czyli trzy–cztery godziny – zgodził się mutant. – Skalę mapy znamy. Pozostało nam poznać prędkość nurtu w rzece i wtedy dowiemy się, ile przepłynęliśmy, czyli gdzie się znajdujemy.

– Ale jak? – zmartwił się Saszka. Pistolet też miał niewesołą minę.

Gleb wyprostował się i zszedł z tratwy na brzeg. Podniósł z ziemi suchą gałąź, wrzucił ją do rzeki i ruszył równo z nią zamaszystymi krokami, mamrocząc coś pod nosem. Potem wrócił do swoich towarzyszy i oznajmił:

– To oczywiście z grubsza i w dużym przybliżeniu, ale duża dokładność nie jest nam specjalnie potrzebna. A więc rzeka płynie z prędkością mniej więcej dwóch kilometrów na godzinę.

– Ty chyba jesteś szamanem! – Saszka spojrzał na niego z podziwem.

– Nie, po prostu umiem liczyć.

– Jakim znowu maszanem? – Pistolet zamrugął.

– Znalazłem kiedyś taką książkę – powiedział chłopak. – Opowiadała o różnych północnych ludach. Byli u nich szamani – no, po naszymu czarownicy. Dowiadywali się od swoich duchów wszystkiego, czego chcieli. I w razie potrzeby prosili o pomoc.

– Trzeba było czytać inne książki, a nie jakieś bajki – odparł surowo Gleb. – Żeby nie liczyć na nieistniejące duchy, tylko na siebie samego. Ale dobre już to, że w ogóle umiesz czytać.

Gleb wrócił do mapy. Podrapał się po głowie, potem pochylił się nad arkuszem i zaczął wodzić po nim palcem, znów mamrocząc coś niezrozumiale. Po jakimś czasie podniósł głowę i spojrzał na swoich towarzyszy.

– Według moich przybliżonych obliczeń, znajdujemy się gdzieś tutaj... – stuknął palcem w mapę w miejscu, gdzie granatowa nitka rzeki falowała w ostrym zakręcie – między Istokiem a Szastowem. Mniej więcej za osiem–dziesięć kilometrów do Łuzy powinna wpadać rzeka Juriec. Wtedy dowiemy się, gdzie dokładnie jesteśmy. Teraz – osłonił oczy dłonią i spojrzał w niebo – jest jakaś druga–trzecia po południu. Czyli dotrzemy do

tego Jurca jeszcze za dnia, jeśli nie będziemy więcej robić długich postojów. I przed nocą możemy nawet zdążyć dopłynąć o, tutaj... Co my tu mamy?... Jakąś Słobodkę. Ogólnie rzecz biorąc, taki właśnie mamy plan na dziś. Teraz przyprawimy tu łódkę Saszki, przywiążemy ją do tratwy – i w drogę. Nie ma co tracić czasu.

– Zaszczekaj – wtrącił się Pistolet. – Juriec, Włosodka – wszystko ładnie pięknie. A policzyłeś, ile będziemy płynąć do Ustiuga?

– Z grubsza. – Gleb skinął głową. – Stąd mamy do niego około pięćdziesięciu kilometrów, plus-minus... Od Słobodki mniej więcej czterdzieści. Czyli kiedy ją minimy, będzie nam potrzebne coś rzędu dwudziestu godzin. Tak więc jeśli będziemy płynąć od świtu do zmierzchu, to po dwóch dniach powinniśmy być na miejscu. No, po trzech to już na pewno, uwzględniając wymuszone postoje.

Saszka i Pistolet milczeli. Z miny starszego łuzanina można było wyczytać, że zgodziłby się płynąć nie trzy, ale całe trzydzieści dni, żeby tylko dalej odwlec spotkanie z niebezpieczeństwami czekającymi ich w Wielkim Ustiugu. Natomiast Saszka posmutniał, ponieważ jeden ze wspomnianych przez Gleba „wymuszonych postojów” oznaczał, że będzie musiał opuścić nowych przyjaciół. W każdym razie właśnie tak zrozumiał znaczące milczenie swoich towarzyszy Gleb. Jakkolwiek było, o sobie wiedział na pewno: chce dotrzeć do Dziadka Mroza, musi dotrzeć do Dziadka Mroza, dotrze do Dziadka Mroza, nieważne, ile go to będzie kosztowało. I to im wcześniej, tym lepiej.

ROZDZIAŁ 8

„RUSAŁKA”

Wszystko wyszło tak, jak to wyliczył Gleb. Dopłynęli do Jurca za dnia, do Słobodki też dotarli, zanim słońce zaszło za horyzont. Mutant zmrużył oczy, popatrzył na domki widoczne w oddali, na zboczu, na wpół skryte za drzewami, a potem przeniósł wzrok na Saszkę. Chłopiec od razu się skulił, zaczął się krzątać, zawinął się szczelnie w swój chałat, mruknął:

– Pójdę nakopać robaków i połowię ryby, póki jeszcze widno... – I po wyjściu na brzeg czmychnął gdzieś w krzaki.

– Zobacz – zachichotał Pistolet – ale popędził! Zauważyłeś, jaki jest wstydlivy? My nie gardzimy pąkielą w rzece, a on nic... A ty co tak patrzysz na tę wieś, zamierzasz go tu zastawić?...

– Jeszcze nie wiem – burknął Gleb. – Przenocujmy i zobaczymy.

– A może nie warto? – zapytał nagle łuzanin. – Niech już płynie z nami. Komu on tu potrzebny?

– Ktoś niedawno mówił coś zupełnie odwrotnego. – Mutant się uśmiechnął.

– Wtedy byłem na niego zły. A teraz mu się przyrzajłem – i całkiem niezły z niego chłopak.

– Tak, z tobą wszystko jasne. – Gleb wyszczerzył zęby. – Po prostu Saszka jest gotów odwalać za ciebie całą robotę i to właśnie ci się spodobało.

– Nie w tym rzecz, że nie chcę caprować... – Pistolet znacząco uniósł

palec – ale w tym, że muszę wykonywać swój główny uwiązek, a ciągle nie mam kiedy.

– Jaki uwią... tfu!... obowiązek? – Mutant wytrzeszczył oczy.

– Zapomniałeś? Przecież jestem twoim Pistoletem.

– Uściślijmy, wcale nie moim, ale tak, tak cię zacząłem nazywać.

– Ależ nie, nie chodzi o imię!... – Łuzanin pstrykał palcami, próbując sobie przypomnieć właściwe słowo. – To jest... jak to... pisto... nie!... stole... tfu!... lato... tak! Latopis! A ja nie napisałem jeszcze ani linijki. Trzeba choćby zacząć, póki jeszcze nie jest całkiem miećno.

I Pistolet też zszedł z tratwy na brzeg. Wybrał wygodną kępę trawy, usiadł, wyjął zza pazuchy notatnik, ołówek i zaczął coś z przejęciem bazgrać.

Wkrótce pojawił się Saszka, niosąc na liściu łopianu pięć–sześć wijących się robaków.

– Podniosłem kłodę – poinformował radośnie – a pod nią patrzcie ile!

Chłopak wziął zrobioną przez Pistoleta wędkę i zaczął łowić ryby wprost z tratwy. Gleb obserwował zafascynowany, jak Saszka wyciąga z wody jedną płotkę po drugiej. Na haczyk trafiło też parę porządnych okoni o długości półtorej dłoni każdy. Wkrótce liczba schwytanych rybek przekroczyła dziesięć. Mutant pomyślał, że albo chłopiec zna jakiś wędkarski sekret, albo po prostu ma szczęście. Rano Pistolet w znacznie dłuższym czasie złowił tyle co nic.

Saszka jakby usłyszał jego myśli:

– Wieczorem dobrze biorą. Ech, szkoda, że nie mamy grubszej żyłki, połowiłbym szczupaka na żywca!

Tymczasem słońce zaszło, a do tego niebo zaciągnęło się chmurami, tak że wkrótce mocno się ściemniło.

– Wystarczy – powiedział Gleb. – Kończ. Idziemy po drewno na ognisko. – Obrócił się do siedzącego na brzegu Pistoleta: – Ej, pisarzu! Nic już nie widać, co tak się mordujesz?

- A piszę na oślepie! – odparł starszy łuzanin.
- To i drewno zaraz będziesz zbierał na oślepie.
- Przecież to ty widzisz w ciemności.
- Czyli powierzasz ten obowiązek mnie? Dziękuję za zaufanie.
- Ja pomogę! – powiedział pospiesznie Saszka, składając wędkę. – Zaraz, tylko... – Odłożył wędkę i spojrzał na Gleba lękliwie. – A ty... naprawdę widzisz w ciemności?
- Widzę. – Mutant wzruszył ramionami. – Ale we trzech i tak szybciej zbierzemy drewno na ognisko. Bo szczerze mówiąc, chce mi się już jeść.

Niebo zasnuły niskie obłoki, lada chwila można było spodziewać się deszczu. Ognisko rozpalali już praktycznie w kompletnych ciemnościach. Gdyby nie użyteczna właściwość wzroku Gleba, znacznie trudniej byłoby im się z tym uporać. A tak ognisko zapłonęło bardzo szybko, zatrzęszczały gałęzie, wyrzucając iskry w niemal czarne niebo. Saszka też bardzo sprawnie wykonał swoje obowiązki kucharza, upiekł ryby i ułożył je przy jedzących. Każdemu dostały się po cztery sztuki – przy czym Glebowi i Pistoletowi oddał największą zdobycz, okonie.

– E, nie... – Mutant pokręcił głową. – Tak nie może być. Jesteś jeszcze młody, musisz rosnać, więc... – I zamienił swojego okonia na mniejszą rybkę z doli Saszki.

– A ty jesteś duży – podchwycił Pistolet. – Ty też musisz dużo jeść! – Oddał Glebowi swojego okonia, nie biorąc niczego w zamian.

Mutant się nie spierał, ale jedną mniejszą rybkę oddał łuzaninowi.

Ryby zostały podzielone i zabrali się już do jedzenia, gdy nagle Saszka powiedział:

- Przypomniałem sobie coś. Czytałem kiedyś książkę o szpiegach...
- Niby który z nas jest szpiegiem? – burknął Pistolet. – Użawaj na słowa!
- Ale ja nie mówię o nas – spieszył się chłopak. – Chodzi mi o coś

innego. Złapali tam jednego i zaczęli go sprawdzać. Mówili mu różne słowa, a on musiał szybko, bez zastanowienia, podawać skojarzenia... No, inne słowa, które pierwsze przychodziły mu do głowy. I tak się zdradził. I tak sobie pomyślałem, Gleb: może ja też będę ci rzucał słowa, a ty odpowiesz to, co przyjdzie ci do głowy. Tylko szybko, bez zastanowienia. Może wyłowimy coś z twojej pamięci?

– Ty byś tylko chciał łowić, dębkarzu! – znów mruknął starszy łuzanin.

Ale Saszka patrzył na zamyślonego mutanta.

– To co, może spróbujemy? Gorzej nie będzie.

– Spróbujmy... – Gleb wzruszył ramionami. – Tylko to wszystko głupoty. Wymyślili tam w książce jakieś bzdury...

– Czyli mogę zacząć? – Chłopak się przysunął.

– Dawaj! – Mutant usiadł wygodniej.

– Mama! – wypalił chłopaczek.

– Tata – odparł Gleb.

– Miasto!

– Wioska.

– No nie, podajesz jakieś przeciwieństwa... – Saszka zmarszczył brwi. –

Tak się nie uda.

– Mówiłem przecież, że się nie uda – odpowiedział mutant. – Poza tym sam kazałeś podawać pierwsze, co mi przyjdzie do głowy. A mnie przychodzi właśnie to. Koniec, pobawiliśmy się i wystarczy.

– Nie, jeszcze trochę! – zawołał błagalnie chłopak. – Mów, co chcesz.

– Dobra, dawaj, tylko szybko – zlitował się Gleb.

– Rzeka – powiedział Saszka.

– Jezioro – odparował mutant.

– Pamięć!

– Dziurawa.

– Gleb!

– Chleb.

– Ale dlaczego chleb? – Młody znów nie wytrzymał.

– Dlatego że zjeść mi się chce! – ryknął Gleb. – Dość tych głupot. Mama – tata!... Ryby stygną.

Saszka z początku zmarkotniał, ale się nie spierał. Mutant uśmiechnął się w duchu: chłopak miał na pewno nadzieję, że jeśli z jego książkowej zabawy coś wyniknie, to zlitują się nad nim i go zostawią – w końcu do czegoś się przydał! Zresztą i tak się przydaje: proszę, łowi ryby, gotuje. I w ogóle...

Jedli w milczeniu. Każdy myślał o swoich sprawach. Chociaż zarówno Saszka, jak i Gleb temat mieli ten sam. Saszka bał się, że zostawią go w Słobodce, zaś mutant nijak nie mógł się zdecydować, co dla chłopca będzie lepsze. Z początku bardziej skłaniał się ku temu, że lepiej już żyć, choćby nie najlepiej, niż w tak młodym wieku zamienić się w kawał gnijącego mięsa. Ale potem przypomniał sobie, że przecież sam niedawno zrezygnował z szansy na spokojne, choć nudne życie, zamieniwszy ją na to samo, do czego rwie się ten chłopak. A może on, Gleb, po prostu boi się odpowiedzialności za życie młodzieńca? W końcu jeśli zgodzi się wziąć go ze sobą, to, chcąc nie chcąc, stanie się odpowiedzialny za jego los... Oczywiście, że tak! A po co mu to?...

Gleb poczuł się nieswojo. Widząc, że wszyscy skończyli posiłek, wstał i powiedział:

– Właźcie obaj do szałas, jesteście chudziutcy, zmieście się. A ja nazrywam zaraz gałązek i położę się prosto na tratwie. – Mutant spojrział na przejaśniające się niebo i zauważył z zadowoleniem: – Wiatr jakby rozwiewa chmury, myślę, że nie będzie deszczu.

– Nie! – Saszka podskoczył przestraszony. – Będę spał w łódce!

– Czego się tak przestraszyłeś? – zdziwił się Gleb. – Pistolet nie je ludzi.

– Ja nie... nie jego... – Chłopiec pogubił się, opuszczając wzrok. – Ja w ogóle... Przywykłem spać sam.

– Cóż, jak sam, to sam. – Mutant wzruszył ramionami. – W takim razie

tobie też nazrywam gałązek, zawsze będzie ci wygodniej leżeć. A ty, pisarzu, idź sam do szałasu. Młodzież nie życzy sobie z tobą spać.

– Z taką złomieją to ja też jakoś nie mam ochoty – zachichotał Pistolet. – Chociaż gdyby to nie był Saszka, a jakaś Saszeńka...

– Saszeńki mu się zachciewa... – zagderał żartobliwie Gleb. – Złap sobie rusalkę – i będziesz miał Saszeńkę.

– Tak naprawdę – niespodziewanie zabrał głos zakłopotany Saszka – rusalki istnieją, niesłusznie się śmiejecie.

– To też w książkach wyczytałeś? – prychnął Gleb.

– Nie, nie w książkach. Rybacy w Łuzie opowiadali. Kiedyś wpadła im jakaś w sieci. Tyle że kiedy przyszli je sprawdzać, była już martwa.

– To wszystko bajki!

– Nie. Dobrze znam tych rybaków. Tak, potrafią czasem bujać, ale tym razem mówili prawdę. Sami się przestraszyli, nie rozplątali nawet sieci, tylko po prostu ją przecięli. Czegóż takiego nie robiliby dla żartu.

– Ale skąd tu rusalki? – Gleb się nie poddawał.

– A skąd tu wilki, które mażą po drzewach? – cicho zapytał Pistolet. – A skąd tu... ty?...

Mutant nie znalazł odpowiedzi. Machnął ręką i poszedł po gałązki na legowisko.

Jako że Gleb widział w ciemności, zgłosił się na wartę w pierwszej, ciemniejszej części nocy – z Pistoleta i tak byłby teraz mały pożytek. Saszki postanowili w ogóle w to nie angażować.

Gleb pełnił swoją „wachtę”, siedząc na tratwie, na miękkim posłaniu z gałęzi. Chmury znów zgęstniały, ale deszcz wciąż nie padał, noc była spokojna i ciepła. Bardzo mocno chciało mu się spać. Żeby nie zasnąć, Gleb czerpał dłońmi wodę z rzeki, chlapał nią sobie w twarz i polewał głowę. Kilka razy wydało mu się, że w krzakach coś się rusza. Ale mogły to być zarówno jego senne majaki, jak i przejawy aktywności małych nocnych

zwierząt. W każdym razie, gdyby były to wilki lub większe drapieżniki, hałas byłby większy. Mutant zaczął zerkać na te zarośla częściej i uważniej, ale nie zobaczył i nie usłyszał już niczego podejrzanego.

Kiedy na wschodzie niebo rozjaśniło się bardziej niż cała matowoszara reszta, a senność stała się nie do wytrzymania, Gleb szturchnięciem obudził Pistoleta. Łuzanin długo nie rozumiał, czego od niego chcą, i nawet po tym, jak wypełził z szalasu i wstał, dalej wyglądał na śniącego.

– Umyj się – cicho, żeby nie obudzić Saszki, poradził mu mutant. – Albo w ogóle ochlap się od pasa w górę. Oczywiście dobrze by było w ogóle wleźć do rzeki i kompletnie zanurzyć się kilka razy, ale kto wie, co tam pływa, do tego nocą.

– Rusałki?... – Pistolet jakby dopiero teraz się obudził.

– Nawet na to nie licz – prychnął Gleb. – W najlepszym razie zmutowany szczupak, który coś ci odgryzie.

– A w najgorszym?

– W najgorszym – takie cholerstwo, które połknie cię w całości albo pociągnie na dno.

– Po co tak straszyć czwieloka, do tego nocą!... – wymamrotał Pistolet.

– Za to otrzeźwiałeś. Dobrze mówię? – Mutant uśmiechnął się znowu. – Poza tym przestraszony będziesz uważniej pełnił wartę.

Gleb spał czujnie. Co chwila się budził, słyszał, jak Pistolet błąka się po brzegu, ziewa i wzdycha. Potem łuzaninowi najwidoczniej znudziły się przechadzki – szelest trawy pod jego stopami ucichł.

„Przecież zaśnie” – zdążył tylko pomyśleć mutant, zanim jego samego pochłonął sen, głęboki jak czarna bezdenna jama. Ale już po chwili, jak mu się wydawało, podskoczył, słysząc przenikliwy wrzask Pistoleta:

– Aaaaa!!! Rusałka!!!

Przeskakując z tratwy na brzeg, Gleb zdążył zauważyć kątem oka, że Saszka też zerwał się w swojej łódce. Chłopak krzyknął coś do niego, ale mutant machnął ręką. Bardziej go teraz niepokoił stan starszego łuzanina,

który siedział na brzegu i trząśił się tak, że aż dzwoniły mu zęby. Rozjaśniło się już na tyle, że nawet bez „nocnego wzroku” można było dojrzeć, jak bardzo Pistolet był blady. Utkwił wzrok szeroko otwartych oczu w rzece i jakby zastygł.

– Co? – Mutant podbiegł do niego, złapał za ramiona i zaczął nim potrząsać. – Co się stało?

Pistolet nie mógł odpowiedzieć, ale zęby wciąż mu dzwoniły. Łuzanin z trudem uniósł trzęsącą się pozbawioną palców rękę i wskazał na rzekę.

Gleb się odwrócił. Dwadzieścia kroków od tratwy, w górę rzeki, dokładnie naprzeciw tych krzaków, w których nocą wydawało mu się, że widzi jakiś ruch, zanurzona po piersi w wodzie stała dziewczyna. A raczej dziewczynka, jako że piersi jako takich nie miała – tylko ledwie zauważalne wybrzuszenia wielkości orzechów włoskich. „Rusałka” miała za to piękne włosy – gęste, koloru ciemnego złota, rozpościerały się na wodzie jak szeroki, poruszany nurtem rzeki wachlarz.

Dziewczynka nie odrywała wzroku od Gleba i też drżała. Tylko nie wiadomo od czego – z zimna czy ze strachu. Najprawdopodobniej z obu powodów.

Saszka ruszył wzdłuż brzegu w stronę dziewczynki.

– Nie bój się! – zawołał do nieznajomej. – Jesteśmy dobrzy, nic ci nie zrobimy!

Ale widząc pokrytą ciemną skorupą twarz Saszki, dziewczynka zatrzęsła się jeszcze mocniej i zaczęła szlochać.

– Zaczekaj! – zawołał mutant do chłopaka. – Cofnij się, na tratwę. Nie widzisz? Ona się nas boi.

Saszka znieruchomiał na kilka chwil, a potem, opuściwszy głowę, powlókł się z powrotem. Zaś Gleb jeszcze raz potrząsnął Pistoletem, tym razem mocniej i ostrzej.

– Oprzytomnij! Co ty? Nie widzisz, że to zwykła dziewczynka?!

– A skkkąd wwwwiesz?... – Łuzanin zdołał wreszcie rozewrzeć zęby. –

Ogggon ma po-pod wodą...

– Jaki ogon! Patrz, ona stoi! Długo by ustała na ogonie? I zobacz, to przecież dziecko!

– „Dzi-dzikię” ttumanty nie mogą mieć dzie-dzieci... – Pistolet zaczął się trząść nieco mniej.

– Więc to wcale nie mutantka! – Gleb zaczął się irytować. – Zobacz, jak zmarzła! A nie może wyjść, bo się nas boi. To znaczy mnie...

– I co? – Łuzanin niemal się uspokoił.

– A to, że teraz wrócę na tratwę, a ty przekonasz ją, żeby wyszła na brzeg.

– Suralki nie wychodzą na grzeb! Ona tu tego... – Pistolet zwiesił w bok głowę, zamknął oczy i wysunął język.

– Sam jesteś suralka! Tylko bez „u”. Rób, co powiedziałem! Inaczej tu zostaniesz. I myśl, zanim coś powiesz, bo nie zrozumie tych twoich słówek i jeszcze bardziej się wystraszy.

– Ale przecież ona nie wchodziła do wody! – zawołał Pistolet, podając ostatni ważki dowód. – Ona wyszła z rzeki!

– Albo po prostu zasnąłeś i nie widziałeś, jak weszła. – Gleb zmrużył oczy. – Co jest znacznie bardziej prawdopodobne, czyż nie?

Nie czekając na odpowiedź na retoryczne w sumie pytanie, mutant odwrócił się i ruszył w stronę tratwy. Zobaczył, że Saszka, uniósłszy głowę, póżeży w swojej łódce, i sam wyciągnął się na brzuchu na podściółce z liści, po czym zaczął obserwować „rusalkę”.

Stękając i burcząc coś pod nosem, Pistolet powlókł się w stronę dziewczynki. Zatrzymał się dziesięć kroków od niej i zawołał:

– Ej! Ktoś ty?

– A wy ttto kto? – spytała kąpiąca się, szcękając zębami tak samo jak wcześniej łuzanin.

– Ludzie. A ciekawe, kim ty jesteś, wło... człowiekiem, czy... nie?

– Jestem dzie-dziewczynką... – odparła „rusalka”. – Zimno mi...

– No to wychodź! Nie zjem cię.

– A ty nie jesteś kkkarny? Nie zabijesz mnie?...

– Jaki ze mnie karny?! – obraził się Pistolet. – Proszę, patrz! – Uniósł obie „niestandardowe” dłonie. – I widziałas moich czyjapiól... znaczy, przyjaciól? Tak wyglądają karni?...

Dziewczynka potrząsnęła głową. Potem zapiszczała:

– Odddwróć sie!...

– A to dlaczego?

– Wstydze sie... Jestem gggola...

– A!... – Pistolet klepnął się w czoło i się odwrócił.

Ale Gleb tego nie zrobił. Nie z jakichś nagannych względów, ale po to, by ostatecznie się przekonać, że mają przed sobą zwykłe ludzkie dziecko. No, może nie do końca zwykłe, z jakimiś mutacjami, ale na pewno bez rybiego ogona.

Ale kiedy dziewczynka wyszła na płyciznę i nad powierzchnią wody pokazały się jej chudziutkie pośladki, Gleb omal nie krzyknął. „Rusalka” miała ogon!... Co prawda nie rybi i zupełnie mały, nie dłuższy niż dłoń, ale jednak...

Dziewczynka skryła się w krzakach i wkrótce wyszła stamtąd już ubrana. Chociaż nazwanie ubranie naciągniętego na wątłe dziecięce ciało szorstkiego, brudnego worka z otworami na głowę i ręce nie było całkiem właściwe, ale mimo wszystko...

Gleb zaczął kalkulować, ile lat może mieć to „ogoniaste cudo”. Dałby mu nie więcej niż dziesięć. Ale biorąc pod uwagę jej nadzwyczajne wychudzenie, faktycznie dziewczynka mogła się okazać o dwa, a może i trzy lata starsza. Tak czy inaczej to było dziecko! A „dzikie” mutanty, jak słusznie zauważył Pistolet, nie miały prawa mieć dzieci. Więc o co tu chodzi?...

Tymczasem dziewczynka zbliżyła się niepewnie do Pistoleta. Zatrzymała się o pięć kroków od niego i zapytała, zerkając z ukosa w stronę

tratwy:

– A co łąn taki strasny?

– Kto, Gleb? Noo... nie wiem. To tum... mutant. Ja trochę też – łuzanin znów uniósł dłonie – a on troszkę więcej. Czy nie wiesz, kto to taki mutant?... – Pistolet zmrużył podejrzliwie oczy. – Sama jesteś jakby nie z naszych... Skąd tu się taka zwięłaś?... To znaczy wzięłaś.

– Jo tyż jestem mutant. – Dziewczynka spuściła wzrok i zarumieniła się. – Tylko nie widać... pod tym – potrząsnęła swoją „sukienką”.

– No to pokaż!

– Nie! – „Rusałka” cofnęła się o kilka kroków.

– No dobrze... – Pistolet się speszył. – Ja tylko... tak. No to powiedz: co robiłaś w rzece i w ogóle dlaczego tu jesteś?

– Wpierw ty powiedz, skond jesteśta i co tu robita?

Łuzanin, szukając wsparcia, obrócił się w stronę tratwy. Gleb skinął głową: opowiadaj.

– Jesteśmy z różnych miejsc. – Pistolet nie wdawał się w szczegóły. – To nieza... nieważne. Ważne, że wszyscy jesteśmy mutantami. A tu jesteśmy dwatego, że płyniemy do Ustiuga. Mamy tam coś do załatwienia...

– Weźta mnie ze sobom! – Dziewczynka wyciągnęła błaganie ręce.

– Nie, to bardzo niebezpieczne. – Pistolet pokręcił głową. – Mogą tam nas zabić.

– A tu mnie na pewno zabijom!

– Dlaczego?

– Som żeś mówił... Mutanty nie mogom mieć dzieci. A jo żem jest dziecko. Przypłynom tamci, niedobrzy – i zabijom.

– Jakoś dotąd nie zabili!

– Bo mnie mama z tatem chowali na zapiecku i na powiatce... A potym tatko sie utopił, a mama przemarzła i pomarła. Jak jo mom sama... – Dziewczynka zaczęła pochlipywać.

– Cóż... – Pistolet zmieszany zamachał rękami. Wszystkie słowa naraz

wyleciały mu z głowy i nie znalazł niczego lepszego od pytania: – A skąd się tu wzięłaś?...

– W nocy wypełzłam do łogrodu – po marchewkę. Zobocylałam, że nad rzekom migoce łogień. I pomyślałam: a może ktoś płynie do miasta? Mama mówiła, że w Ustiugu tacy jak my bogato żyjom... I przysłam tu. Roz biegiem, a roz na kolanach... Ubrudziłam sie cała. Weszłam w krzoki, posłuchałam wos... Ale niczego nie wyrozumiąlam, a potym szybko usnełam. A jak zaczyno świtać, chciałam sie umyć w rzyce – cało byłam w błocie. Z poczontku cie nie widziałam...

– Aha, czyli wszystko jasne. – Łuzanin wstał. – Jak się nazywasz?

– Niura.

– Więc tak, Niura. Ja nazywam się Pistolet... No, możesz mi mówić po prostu wujek Pis... nie, wujek Tola. Chodźmy, przedstawię cię pozostałym. Ten, który... no, o którym powiedziałaś, że jest straszny, to wujek Gleb. I jest jeszcze Saszka. Ach, tak, jego też już widziałaś.

– On tyż jest strasny – szepnęła Niura. – Mo takom nieładnom twarz...

– Za to serca mamy wszyscy bod... dobre – powiedział Pistolet. – Chodźmy, razem zdecydujemy, co z tobą zrobić.

ROZDZIAŁ 9

„MOSKWA”

Z początku dziewczynka bała się podchodzić zbyt blisko do dwóch nowych znajomych, ale szybko się oswoiła. Dotknęła nawet sierści na ręce Gleba – czy miękka? A potem ośmieliła się na tyle, że poprosiła o coś do jedzenia.

– Zaraz nam Saszka nałowi rybek – powiedział Gleb. – A tymczasem my poszukamy drewna na ognisko.

– Pomogę! – Niura się ucieszyła. – Wszystko wam będę robić, tylko weźta mnie ze sobom!

– Już to gdzieś słyszałem, i to całkiem niedawno... – mruknął pod nosem mutant, odprowadzając wzrokiem wyruszającego po robaki chłopaka, a głośno oznajmił: – W takiej sytuacji oczywiście cię weźmiemy, ale dobrze zapamiętaj: z nami też jest niebezpiecznie, przy poważnym zagrożeniu raczej nie zdołamy cię obronić. Jak będą chcieli zabić, to załatwią nas wszystkich. Pamiętaj o tym. Jak to się mówi, nie miej złudzeń.

– Czego mam nie mieć?... – Dziewczynka zamrugła.

– Niczego. Bądź gotowa na to, że niedługo zobaczysz się z rodzicami. Tam... – Gleb wskazał palcem niebo.

– Mama mówiła, że nikogo tam nie ma – westchnęła Niura.

– No to tym bardziej – zakończył swoją przemowę mutant, rozkładając ręce w niezrozumiały sposób.

We troje – Gleb, Pistolet i Niura – nazbierali chrustu i rozpalili ogień

w starym palenisku. Do tego czasu Saszka złowił sporo ryb – o świcie brały jeszcze lepiej niż o zmierzchu.

Pieczone ryby bardzo zasmakowały dziewczynce, pochłonęła je prawie całe, razem z ośmi, a rozprawiła się ze swoją porcją tak szybko, że pozostali nie zdążyli jeszcze zjeść nawet po jednej rybce. W rezultacie najpierw Gleb, a w ślad za nim Saszka i Pistolet oddali Niurze prawie wszystko, czego jeszcze nie zjedli.

Podczas śniadania mutant ciągle łowił pytające spojrzenia Saszki. W końcu nie wytrzymał.

– No, co się gapisz?

– Co będzie z Niurką? – odpowiedział pytaniem Saszka, który łowiąc ryby, przegapił decyzję Gleba. Zresztą w jego głosie pobrzmiwało wyraźne niedopowiedzenie i dla mutanta było zupełnie jasne, czego naprawdę chciał się dowiedzieć chłopak.

– To samo, co z tobą – burknął Gleb.

– A... co będzie ze mną?... – Saszka się spiął.

– Najprawdopodobniej was zabiją. A dokładniej nas. Wszystkich.

– Czyli mnie nie zostawicie? – Chłopiec się rozchmurzył.

– No a jak? – Mutant machnął ręką. – Ją weźmiemy, a ciebie zostawimy czy jak?... Jeśli już tacy ludzie tu mieszkają, że rodzice nawet swoim bali się córkę pokazać... – Znów machnął ręką.

– To ja szybko! – Saszka się zerwał. – Tylko się wykąpię! Bo zacząłem już śmierdzieć.

Gleb skinął głową i chłopiec pobiegł w stronę kępy krzaków, w której się skrył.

– Co on tak się chowa? – zdziwił się Pistolet. – Pakałby się tutaj. Wszystko mamy na widoku. A jak tam go coś wciągnie do rzeki, to umarł w budach...

– W końcu teraz jest z nami dama – Gleb się uśmiechnął, patrząc na Niurę – więc młodzieniec się wstydzi.

– Mnie się zdaje, że wstydzi się czego innego – odparł refleksyjnie łuzanin. – Myślę, że nie tylko twarz ma w krotsach, ale i całą resztę...

– W czym?... – Niura otworzyła usta.

– Wujek Tola sam nie zawsze rozumie, co mówi. – Mutant uśmiechał się dalej. – Nie zwracaj na niego uwagi. I jeszcze jedno, wujku... – Spojrzał na Pistoleta. – Kiepsko by było, gdyby połowa naszej drużyny była czysta, a my nie. Też chodźmy się opłukać, po co tracić czas?

Pistolet nie pałał szczególną chęcią kąpieli, jednak poczłapał w ślad za Glebem, w przeciwną stronę niż poszedł Saszka. Niurze zaś polecili bronić tratwy – oczywiście na żarty, a bardziej po to, żeby dziewczynce nie wpadło do głowy się do nich przyczepić.

Ale kiedy po krótkim zanurzeniu w rzece mutant i łuzanin wrócili, przy tratwie nikogo nie było. Chociaż po chwili dziewczynka wynurzyła się zza krzaków, tych samych, za którymi wciąż jeszcze mył się Saszka, i na łeb na szyję pomknęła do tratwy.

– On... on... – Niura przybiegła, łapiąc powietrze. – On ma...

Oczy dziewczynki zrobiły się tak ogromne i okrągłe, że zdawało się, jakby zajmowały niemal połowę twarzy.

– Co „on”? – Gleb się zasepił. – Co „on ma”?... Co ty, poszłaś podglądać Saszkę? Nie wstyd ci? A ja zgodziłem się wziąć cię ze sobą!... – Mutant udawał zmartwionego.

– On ma tu... – Dziewczynka, jakby nie słysząc, jak ją zawstydzają, przycisnęła rączki do piersi.

– Mówiłem przecież. – Pistolet triumfalnie pokiwał głową. – Nasz Saszka jest cały w stрупach! Patrz, jak wystraszył dziećwinę...

– „Dziećwinka” jest sama sobie winna. – Gleb jeszcze bardziej nieszczerze zmarszczył brwi. – Trzeba było nie podglądać!

– Nie, nie!... – Niura pokręciła głową. – To nie strupy, to...

– Cicho! – Mutant nagle podniósł rękę i zaczął się czemuś przysłuchiwać. – Słyszycie? – zapytał po chwili.

Ale tamci nie zdążyli mu odpowiedzieć. Zza zakrętu rzeki wyłoniła się „galera”.

To, że to właśnie „galera”, Gleb zrozumiał od razu. Bo jak tu nie zrozumieć – czym innym mogła się okazać ogromna brudnobiała „łódka” z nadbudówkami i dużymi prostokątnymi oknami? Z dolnego rzędu iluminatorów ciągnącego się tuż nad powierzchnią rzeki wzdłuż długiej burty z niezrozumiałym, oblazłym granatowym napisem „Moskwa” sterczało jakieś dziesięć wioseł, zgodnie wzlatujących nad wodą i pogrążających się w niej z chlupoczącym dźwiękiem. Właśnie ten chlupot usłyszał mutant, zanim „galera” objawiła się przed wzrokiem wędrowców. Do tego rytmiczne, dziwnie przytłumione, brzmiące jakby przez szmatkę okrzyki: „I – raz! I – raz! Cią-gnij! Cią-gnij!...”.

– Karni! – zawołał z przestachem Pistolet. – To obława! Uciekamy!

– Dokąd? – Gleb zazgrzytał zębami, oglądając się niespokojnie w poszukiwaniu Saszki.

Chłopca nigdzie nie było widać. A poblądła z przerażenia Niura, której starodawny statek wydał się pewnie straszliwym potworem z opowieści mamy, ani pisnęła, tylko od razu czmychnęła do szalasu.

– Jak to dokąd? Jak to dokąd?! – zagadał Pistolet, klepiąc się przy tym dłońmi po udach jak przestraszona kura. – Nieżawne dokąd! Jak nie ukiećniemy, to nas złapią! Zabiją nas, nikogo nie oszczędzą!

– Nie oszczędzą, powiadasz?... – Gleb wzrokiem wciąż szukał Saszki. – Więc jeśli uciekniemy, nie oszczędzą nas tym bardziej.

– Po co się drażnisz?! – Łuzanin podskoczył nerwowo. – Naprawdę zaraz będzie po nas!

– Będzie po nas, to będzie. – Mutant sposepniał. – Tyle że i tak nie dadzą nam daleko uciec, już nas widzieli. Za to ten, kto ucieka, to niewątpliwy przestępca, którego należy koniecznie schwytać i stracić. A takich co jak my spokojnie siedzą i łowią rybki, może oszczędzą.

– Aha, jasne, oszczędzą – wymamrotał Pistolet, wpatrując się

w zbliżającą się „galery” szklanymi ze strachu oczami. – A po co nam tratwa? A łódka?... – Tu nagle wczepił się palcami zdrowej ręki w swoje rzadkie włosy i jęknął.

– Co ty? – Gleb spojrział na towarzysza.

– Niura... – zajęczał cicho łuzanin i mutant w duchu dał sobie w gębę za głupotę: no jasne, jak się mogą zlitować, skoro oni, mutanty, kryją dziecko! Nikt nie będzie się zastanawiać, czyje ono jest. Jeśli dziewczynka jest z nimi, jeśli nie ukatrupili jej sami, kiedy tylko ją zobaczyli, to w sposób jednoznaczny popełnili przestępstwo. Mogą co najwyżej udawać, że niczego o dziewczynce nie wiedzieli, że widzą ją pierwszy raz... Tak, to wstyd, ohyda, obrzydliwość – płacić życiem dziecka za własną skórę! Ale przecież i tak jest niemożliwe, by jej pomóc; co oni mogą we trzech przeciwko całej bandzie silnych i uzbrojonych mężczyzn? Zginąć razem z nią w imię zasad, tylko po to, by nie brudzić sumienia? Przecież to po prostu głupie. Takie gołębie serce sprawi, że na swoim czystym sumieniu będzie miał śmierć bogu ducha winnych Pistoleta i Saszki – a przecież chłopak jest niewiele starszy od Niury... Zresztą taki wariant pewnie i tak nie przejdzie, Pistolet może jeszcze pójdzie na podobne oszustwo, ale Saszka na pewno się uprze i zacznie zgrywać szlachetnego. A i ci z „galery” pewnie nie są głupi. I kto w ogóle będzie słuchał jakichś tam bezmózgich mutantów?

Gleb zdążył jeszcze pomyśleć, że byłoby naprawdę super, gdyby Saszka wpadł na to, żeby nie wyłazić z krzaków, tylko bezszelestnie, ale szybko dać stamtąd dyla... Pomyślał i mimo woli spojrział w kierunku zarośli, zza których właśnie wychodził chłopaczek, najwidoczniej po ostatniej kąpieli w życiu. Mutant znów tylko zazgrzytał zębami.

– A ten rudeń znów tu lezie – podążając za jego wzrokiem, nazwał niewypowiedzianą myśl Gleba łuzanin.

Tymczasem statek, który właściwie trzeba by teraz nazywać wiosłowcem, zbliżył się do tratwy na tyle, że Gleb mógł wyraźnie odróżnić

każdy nit na jego łuszczącej się, przerdzewiałej burcie. Znów rzucił mu się w oczy napis „Moskwa” i mutant, zamiast rozkoszować się ostatnimi minutami życia, nie wiedzieć czemu zaczął nagle myśleć, co mogłoby oznaczać to słowo. Jakieś skojarzenie, jakby jakieś mgliste wspomnienie związane z tą nazwą próbowało mu się przebić do głowy, ale i tym razem pamięć zawiodła mutantą. Jedyne, co niespodziewanie wspomniał w związku z tym, to, że statkom często nadawano imiona sławnych ludzi. Więc może ta nieznana Moskwa też była jakąś bohaterką?... A co, jeśli właśnie tak nazywała się owa Święta – przywódczyni cerkiewnych?! Ten domysł wydał się Glebowi bardzo prawdopodobny. Przecież „Święta” to najpewniej przydomek, a nie prawdziwe imię, i tak naprawdę nazywa się Moskwa. Poza tym nie będą przecież nazywać statku na cześć jakiejś obcej dziuni!... Tym bardziej że imię Świętej na pewno zaczyna się na „M” – Gleb doskonale to teraz pamiętał.

Ale nie pozwolono mu dalej pogrążyć się we wspomnieniach. Najpierw zabrzmiał głuchy okrzyk: „Wiosła!”, potem te ostatnie zgodnie uniosły się w górę, następnie pordzewiała „Moskwa” zachrobotła dnem o piasek i oparła się dziobem o brzeg, a potem gdzieś u góry rozległa się komenda:

– Ej, wy tam, na tratwie! Ręce za głowę! Wszyscy stać, bo będę strzelać bez ostrzeżenia!

Zaterkotał łańcuch kołowrotu i na brzeg opuścił się trap. Natychmiast zbiegli po nim ludzie w długich czarnych płaszczach z kapturami – było ich około dziesięciu. Prawie wszyscy w chronionych rękawicami dłoniach trzymali broń. I absolutnie wszyscy mieli na sobie maski – jedni z przezroczystą osłonką na pół twarzy, inni całkowicie gumowe, jedynie z okrągłymi szkiełkami na oczach. „Przeciwgazowe – w głowie Gleba pojawiła się zdobyta nie wiadomo kiedy wiedza. – Więc to dlatego głosy brzmiały tak głucho! I to znaczy, że to na pewno nie mutanty”.

Większość karnych rozbiegła się wzdłuż brzegu i po krzakach. Kolejny przyskoczył do zastygłego naprzeciw tratwy Saszki, wykręcił mu rękę za

plecami i kopniakami pognął go do „galery”. W rezultacie stało się tak, że na tratwę zeskoczył tylko jeden mężczyzna.

Gleb odruchowo napiął mięśnie, czując, jak w skroniach huczy mu nasycona adrenaliną krew. Poradzić sobie z jednym człowiekiem, choćby nie wiadomo jak silnym, nie stanowiło dla niego problemu. To nic, że tamten ma w dłoniach automat – trzeba go jeszcze unieść, wycelować, wystrzelić. A tu tylko jeden skok, jeden miażdżący szczękę, łamiący kręgi szyjne cios. Mutant zacisnął już pięści, „napiął” mięśnie niczym sprężynę... W ostatnim momencie rozsądek jednak przeważył nad instynktem. Zabicie członka oddziału karnego oznaczało podpisanie na siebie wyroku śmierci. Nie tylko na siebie, na całą czwórkę. To nie kwestia ukrytej dziewczynki – to otwarte nieposłuszeństwo obciążone zabójstwem przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości. Będzie błagał o szybką śmierć jak o zmiłowanie, bo wątpliwe, żeby tak po prostu ich zabili – najpierw upokorzą ich jak należy, potorturują, pomszczą śmierć towarzysza w stu procentach.

Gleb nabrał pełną pierś powietrza, wypuścił je, spróbował się uspokoić. Niby się udało. Tylko pięści nijak nie chciały się rozluźnić, palce złapał skurcz.

Karny jakby tego nie widział. Natomiast bardzo uważnie, choć niezbyt długo, przyglądał się Pistoletowi. Glebowi wydało się nawet, że mężczyzna poznał łuzanina – w jego wzroku za przejrzystym wizjerem maski pojawił się jakiś nieuchwytny błysk. A potem zajrzał do szalasu... Wszystko to trwało dwie–trzy sekundy, nie więcej, ale mutantowi wydało się, że czas się zatrzymał. Znów cały się spiął, nie wiedząc, co zamierza zrobić.

Karny jakby to wyczuł, bo szybko odwrócił się i spojrzał na Gleba zimnym wzrokiem. Potem przeniósł go na łuzanina, znów na mutanta i ledwie zauważalnie pokręcił głową, jakby za coś ich ganił. Gleba ogarnęła nagle dzika nadzieja. Co, jeśli ten człowiek pożałuje dziewczynki, uda, że w szalasiu nikogo nie ma? W końcu milczał, nie zaczął robić hałasu. Może

będzie milczał i dalej?

Karny wciąż się nie odzywał. Nawet nie strzelał. Podeszedł do Gleba, uniósł połę jego kurtki, zerwał mu wiszącą u pasa pochwę, wyjął z niej lśniący zimnym blaskiem nóż, wrócił do szalasu, zagłębił się w nim i zaraz się wynurzył. Nóż w jego dłoni wciąż błyszczał, ale teraz ten blask stał się przygaszony, syty, purpurowy. Mężczyzna pochylił się, wyrwał z przygotowanej przez Gleba leżanki pęczek trawy, wytarł o niego ostrze. I przypięwszy już do własnego pasa pochwę mutanta, nie patrząc na zdumionych wędrowców, głucho, ledwie słyszalnie, rzucił:

– Będziecie dłużni.

Gleb osłupiał. Nawet gotowa eksplodować w dzikim krzyku wściekłość zastygła jak skuta lodem, ściskając mu gardło. Spokój, z jakim dokonano zabójstwa dziecka, do tego jego własnym nożem, wtrącił Gleba w prawdziwy szok, zadziałał mocniej niż uderzenie pałką po głowie. Po prostu stał i patrzył, jak karny prowadzi Pistoleta na „galerę”, popędzając go lekkimi szturchańcami w plecy, jak do niego samego nie wiadomo skąd podbiega od razu trzech cerkiewnych w czarnych ochronnych „sutannach”, jak opadają go i wiążą mu ręce za plecami. I poszedł za karnymi łatwo i posłuszenie, wciąż jeszcze pogrążony w kompletnym stuporze, nie dziwiąc się nawet, że odnoszą się do niego bardzo humanitarnie – nie biją, nie kopią, nawet nie krzyczą i nie klną. Zresztą po co krzyki i kopniaki, skoro zachowuje się jak nowo narodzony cielak, brakuje jeszcze, żeby rozjeżdżały mu się nogi i szukał zaślinionymi ustami maminego cycka.

Mutant oprzytomniał już na statku, gdzie poprowadzili go dolnym pokładem, po czym wepchnęli do ciasnej kajuty, a nawet nie tyle kajuty, ile jakiegoś składziku z wiadrami, mopami, szarymi brudnymi szmatami, jakimiś zardzewiałymi puszkami i innym śmieciem. Tam też, na stercie szmat, z rękami związanymi na plecach siedział, trzęsąc się ze strachu, Saszka. Dopiero widząc chłopaka, Gleb poczuł, że znów potrafi mniej więcej rozumnie myśleć. I dopiero teraz, kiedy w pełnej rozciągłości poczuł

ogarniający go ból, wreszcie zdołał wyłączyć z siebie tę odtajną wściekłość.

Odwrócił się w stronę żelaznych, dopiero co zamkniętych za nim drzwi i zaczął zaciekle je kopać.

– Dranie! Potwory! Bydlaki! Żeby dziecko?! Za co?! Nienawidzę was! Wszystkich was nienawidzę!!! Dotrę do Ustiuga... a dotrę na pewno... doczłogam się... i tę waszą sukę... Świętą!... gołymi rękami... na kawałki... na karmę dla psów!...

Gleb nie zdawał sobie sprawy, co krzyczy, krztusząc się własnymi łzami. Szlochał, konwulsyjnie wypluwając groźby i przekleństwa, nie zauważając, jak kompletnie już przerażony Saszka tuli się do przepierzenia. I dopiero kiedy walnął o metalową podłogę potrącony przez chłopca mop, mutant wzdrygnął się, wyrzucił z siebie rwący mu się z piersi szloch i zamilkł, choć dalej cicho łkał. Odwrócił się do Saszki i w przyćmionym świetle małego, niewiele większego od jego pięści iluminatora spostrzegł, że chłopak niemal mdleje z przerażenia.

– No, no... – mruknął Gleb. – Nie bój się...

– Pppo co... – wydusił Saszka. – Po-po co ty ich tak?... Przecież nas zabijają...

– Nie zabijają – powiedział bez przekonania mutant. – Ciebie nie zabijają. Przecież to ja ich... Ale oni... Saszka, oni zabili Niurę! Nożem... Bez słowa...

Gleb znów zaszlochał, ale tym razem szybko wziął się w garść.

– Nie bój się – powtórzył. – Wydostaniemy się stąd. Coś wymyślimy.

– A gdzie Pistolet? – spytał chłopak, powoli dochodząc do siebie.

– Nie wiem. – Gleb pokręcił głową. – Jego wzięli pierwszego... Pewnie na przesłuchanie do ich dowódcy... Tak, pewnie tak. Widocznie potem i nas tam zabiorą. Najprawdopodobniej pojedynczo. Nie wiem, co im opowie Pistolet, ale ty mów tylko prawdę, tak będzie najlepiej. W każdym razie ty nie jesteś niczemu winien.

– A... Niura?... – przełknął ślinę Saszka, spuszczaając głowę.

– Co z Niurą? Ty z tym nie masz nic wspólnego. Sama przyszła, a my – ja i Pistolet – pozwoliliśmy jej zostać. Ty zaś, jako dzieciak, nie miałeś prawa głosu.

– Nie jestem dzieciakiem! – Saszka się poderwał.

– A kim? Bezzębnym starcem?

– Mam już osiemnaście lat!

– O! No to rzeczywiście! – Gleb spróbował się uśmiechnąć, ale natychmiast zrobił się poważny. – A to dobrze, że tyle masz, jeśli oczywiście nie kłamiesz: wyglądasz na zupełnego młodzika... Ale skoro te gnidy i padalce od razu cię nie zabiły, to znaczy, że nie wzięli cię za dziecko. Ale nie o to chodzi. Tak czy owak jesteś z nas najmłodszy, więc powiesz, że twój zdania nikt z nas nie słuchał i nie pytał o nie. Zrozumiano?

Saszka niepewnie kiwnął głową.

– Ale powiedz mi normalnie: zrozumiałeś czy nie?! – ryknął mutant.

– Zrozumiałem, zrozumiałem...

– No właśnie. I koniecznie powiedz, że jesteś z Łuzy!

– A co za różnica, skąd jestem – burknął Saszka. – Akurat się będą interesować!

– Jeśli nie będą – to dobrze. Ale jeśli będą... Pomyślałem sobie coś: mówisz, że masz osiemnaście lat. Nie złość się, ale naprawdę wyglądasz na mniej. A kiedy cerkiewni wprowadzili zakaz posiadania dzieci u „dzikich”?

Saszka wzruszył ramionami.

– Ja też nie wiem – westchnął Gleb. – Ale już dawno, to na pewno, inaczej Niura... – Zgrzytnął zębami i nie kończąc zdania, przeszedł do najważniejszego: – Powiedzmy, że to było siedemnaście lat temu, a oni wezmą cię za szesnastolatka.

– Mam osiemnaście!

– Ale to ty wiesz, że tyle masz! – Gleb się zirytował. – A na czole nie masz tego wypisane! Mówię ci przecież, że wyglądasz młodziej. Więc cię

stukną dla świętego spokoju. A jeśli jesteś z Łuzy, to inna rozmowa. Łuza nie należy do rejonu Wielkiego Ustiuga, to już w ogóle nie obwód wołogdzki, tylko kirowski, zgadza się?

Saszka kiwnął głową.

– No właśnie – ciągnął Gleb. – A więc prawa cerkiewnych cię nie dotyczą. Powiesz, że jesteś z Łuzy – i do widzenia.

– Ale na czole nie mam wypisane, że jestem z Łuzy – zauważył złośliwie Saszka. – Na pewno uwierzą w to, co powiem!

– Mimo to mów tak, podaj swój adres, opisz miasto... I wyciągnij swoją mapę, masz tam przecież notatki! Zawsze to jakaś szansa, nie trzeba od razu iść jak na stracenie! Wystarczy już tym bydlakom i... – Mutant urwał i rozdrażniony poderwał podbródek.

– Dobra, powiem. – Chłopak nagle się uśmiechnął. – A co ty się w ogóle tak mną przejmujesz? Jeszcze niedawno chciałeś wypchnąć jak najdalej, a teraz... jakbyś o swoją dziewczynę się martwił.

– O jaką znowu dziewczynę?! – Gleb gwałtownie przewrócił oczami. – Co ty w ogóle o tym wiesz?!

– A ty dużo wiesz? Miałeś chociaż kiedyś dziewczynę?

– Oż ty!... – uniósł się mutant, ale szybko ochłonął. – Co ty, zapomniałeś? Przecież ja nic nie pamiętam... Kto wie, kogo miałem, a kogo nie miałem. Chociaż... Jaka tam dziewczyna z moją gębą...

– Nie jesteś taki zły, wyglądasz sympatycznie. – Saszka chrząknął. – I taki jesteś silny i postawny. W końcu przecież masz sierść na skórze, a nie strupy...

– Gdybym nie miał związanych rąk – Gleb dusił się z oburzenia – tobym ci pokazał, jaki jestem sympatyczny, ty arogancie jeden!

Saszka znów chrząknął, ale nic nie powiedział. Zamilkł też mutant. Odechciało mu się mówić, w głowie znów pojawiły mu się mroczne myśli. Bolało go, że ich wyprawa, ledwie się zaczęła, kończyła się tak fatalnie. Najprawdopodobniej wkrótce też skończy się ich życie. I jeśli o swoje Gleb

jakoś szczególnie się nie martwił – co to za życie, skoro i tak go nie pamiętasz, nie znasz – to Pistoleta, a szczególnie Saszki było mu naprawdę żal. Bo rzeczywiście, chłopak dopiero zaczyna życie. Proszę, i o dziewczynach myśli...

Wspomniawszy dziewczyny, Gleb od razu, prawie jak żywą, „zobaczył” Niurę – bezbronną, głupiutką, ze śmiesznym króciutkim ogonkiem... Przed oczami stanął mu też zaraz zakrwawiony nóż w rękach karnego. Jego nóż!... Wiadomo, że gdyby nie on, cerkiewny i tak zabiłby dziewczynkę – zastrzeliłby z karabinu, zwyczajnie udusił gołymi rękami... Ale to, że zabójstwa dziecka dokonano właśnie jego nożem, wydało się Glebowi szczególnie straszne i niesprawiedliwe. I nienawiść do oddziałów karnych, do cerkiewnych w ogóle, stała się w nim nagle tak silna, że mutant niemal odczuł ją w swoim ciele, jak realnie powstały organ wewnętrzny. I zrozumiał, że jeśli pozostanie przy życiu, jeśli jednak dotrze do Ustiuga, to nie znajdzie spokoju, póki nie zemści się na Świętej. Czy jak jej tam? Moskwie?...

Ale wtedy jakiś wewnętrzny głos, jakby siedzący mu w głowie człowieczek, szepnął zjadliwie: „A w czym ty sam jesteś lepszy od cerkiewnych? Kto jak nie ty kalkulował niedawno, jak by tu najlepiej zdradzić dziewczynkę, jak przekonująco skłamać karnym, że ona sama się przybłąkała, że niczego o niej nie wiesz?... Przecież chciałeś osłonić jej życiem swoją własną kosmatą dupę, nie tak było?”.

Gleb zacisnął powieki, wtulił głowę w ramiona i zaszlochał.

– Co ty? – Saszka się przestraszył. A potem nagle pisnął: – Oj! Palimy się!

ROZDZIAŁ 10

UCIECZKA RAZ JESZCZE

Mutant otworzył oczy i od razu ujrzał płomień, z zapalem pożerające wszystko, co mogło się palić w tym ciasnym pomieszczeniu – w pierwszej kolejności szmaty, miotły i mopy. Składzik natychmiast zasnuł się dymem. Gleb i Saszka od razu zaczęli kasłać, nie będąc w stanie ani wstrzymać oddechu, ani zasłonić czymś ust i nosów, jako że ręce mieli wciąż związane za plecami.

Poza tym Gleb usłyszał hałas. W tak krytycznym momencie być może nie nadałby obcym dźwiękom większego znaczenia, ale na zewnątrz rozległy się liczne wystrzały. Zdecydowanie coś się tam stało. Z początku mutantowi przemknęła nawet przez głowę myśl, czy to nie to było przyczyną pożaru, i popatrzył na iluminator – czy to nie stamtąd pojawił się tu ogień? Ale szyba była cała. Zresztą Gleb i tak miał już jasność, kto był winny podpalenia. On sam oczywiście! Jeśli coś mogło teraz pasować do sformułowania „nie w porę”, to zdecydowanie była to jego fatalna niekontrolowana pirokineza.

Saszka też pomyślał o iluminatorze, ale w zupełnie innym kontekście.

– Okno!... – wychrypiał chłopak. – Trzeba je rozbić!

– Nie... – wykasłał w odpowiedzi mutant. – Zapalimy się jak zapalki!

Rzeczywiście, choć ogień szalał w składziku na całego, to bez dopływu świeżego powietrza jednak nie nabrał pełnej siły i chyba nawet zaczął stopniowo przygasać. Ale wystarczyłoby rozbić szybę iluminatora, żeby

podsycone tlenem płomienie w kilka minut spaliły wszystko, w tym obu jeńców. „Z drugiej strony – pomyślał Gleb – co za różnica, i tak zaraz się udusimy”.

Saszka, jakby czytając mu w myślach, niezgrabnie zwałił się na bok – stracił przytomność. Upadł prosto na leżący na podłodze płonący mop i Gleb zaczął nogami odpychać chłopaka na stronę. Ale ogień był wszędzie, więc szybko porzucił to bezużyteczne zajęcie i gorączkowo zaczął się zastanawiać, co można począć w tak ewidentnie beznadziejnej sytuacji. Gdyby miał wolne ręce, można by spróbować stłumić płomienie kurtką i dopiero potem rozbić szybę w iluminatorze. Ale ręce pozostawały związane, i to porządnie – Gleb już wielokrotnie testował wytrzymałość węzłów. Zaczął rozglądać się w poszukiwaniu jakiejś ostrej krawędzi, odstającego kawałka metalu, żeby przeciąć sznur. Ale w gęstym dymie nie było widać niczego oprócz tańczących języków płomieni.

Ogień! No jasne, ogień!... Straszliwie kaszłąc, niczego już nie widząc przez lejące się strumieniami łzy, mutant przykucnął i na oślep wepchnął ręce w płomienie. Dłonie przeszył mu ból, zatrzeszczała płonąca sierść. Ale Gleb, zaciskając powieki i zęby, wytrzymał. Ze wszystkich sił wyteżył palące (zarówno z bólu, jak i w najdosłowniejszym sensie) ręce w szalonej próbie zerwania więzów. Z początku nic z tego nie wychodziło, ale w miarę jak przepalały się sznury, dłonie mutanta zaczęły się stopniowo rozłączać, a potem naraz, jednym szarpnięciem Gleb rozerwał zwęglone włókna i zerwał się, wciskając sobie płonące dłonie pod pachy.

Natychmiast zdjął kurtkę i zaczął smagać nią języki płomieni. Ale było ich tak dużo, że szybko zdał sobie sprawę, iż w ten sposób nie ugasi pożaru. A na pewno wcześniej się udusi. I do tego wszystko zmierzało: oddychanie stało się zupełnie niemożliwe, każdy wdech odzywał się palącym bólem w piersi i nowymi atakami kaszlu.

Mutant nie widział też już niczego, zarówno przez gęsty dym, który zasnuł wszystko wokół nieprzeniknioną zasłoną, jak i dlatego, że z oczu bez

przerwy ciekły mu łzy, a wkrótce klucie w powiekach stało się tak silne, że po prostu nie dało się ich otworzyć.

W uszach Gleba, zagłuszając trzask płomieni, zaczęło szumieć. Wydało mu się, że dym wniknął już do jego głowy, zasnuwając świadomość. Jeszcze trochę i runąłby obok Saszki, żeby już nigdy się nie podnieść.

Pewnie przez dzwonienie w uszach nie usłyszał, jak otwierano zamek. Poczul tylko przywracający go do życia powiew świeżego powietrza i zaraz potem usłyszał triumfalne huczenie ognia, który od razu zaczął go chciwie oblizywać.

Mutant, nie zważając na silny ból w oczach, rozkleił powieki i widząc jasny prostokąt otwartych drzwi, rzucił się do nich, nie zapominając o tym, by złapać za rękę nieprzytomnego Saszkę. Dopiero po tym, jak wydostał się na pokład i odetchnął wreszcie pełną piersią, poczuł palący ból – ogień zdążył przeskoczyć mu na ubranie i sierść. Palił się też płaszcz chłopaka. Wtedy Gleb bez zastanowienia podniósł lekkie jak piórko ciało Saszki i przerzucił je za burtę, do rzeki, a potem sam skoczył za nim. Dobrze, że nie na główkę, ale nogami w dół – tu, przy brzegu, było zupełnie płytko, po pas. Mutant od razu zanurzył się z głową, wyprostował się i podniósł Saszkę, który zaczął już opadać na dno. Na szczęście chłopak nie zdążył nałykać się wody, za to w mig przyszedł do siebie i zaczął rozglądać się z przestrachem.

– Gdzie?... Co?... – Zamrugał zdziwionymi, czerwonymi od dymu oczami o całkowicie spalonych rzęsach. I natychmiast – skąd wziął na to siłę? – odepchnął od siebie trzymającego go Gleba. – Obiecałeś, że mnie nie tkniesz!

– Co ty, majaczysz? – Zaskoczony mutant z trudem utrzymywał się na nogach.

– Nie majaczę! Ale obiecałeś! Mówiłeś, że nigdy więcej!... Nawet kiedy sam będę prosił!

– Tfu ty – powiedział Gleb i faktycznie splunął. – Nie mam co robić,

tylko cię tykać, przygłupa jednego! – Ale natychmiast ochłonął i burknął: – Możesz ustać?

Saszka też sposepniał zawstydzony i niepewnie skinął głową.

Mutant odwrócił się w stronę „galery”. Pierwszym, co przykuło jego uwagę, była duża liczba ludzi kręcąca się po pokładach. Przy czym Gleb od razu zauważył, że większość z nich to nie cerkiewni w maskach przeciwgazowych i czarnych „sutannach”, lecz pstrokata wataha... mutantów. Ależ tak, ten jest cały pokryty wrzodami i strupami, tamten ma na czole podobną do rogu narośl, a kolejny... Oho! Przecież to jednooki Martyn z Iljinskoje!... Gleb rozpoznał w biegających po „galerze” mutantach jeszcze dwóch czy trzech mieszkańców wsi.

Ci zresztą nie tylko biegali – wszyscy polowali na karnych, którzy w większości pochowali się wewnątrz statku i dość skutecznie się ostrzeliwali. A jednak mutantów było znacznie więcej i choć całe ich uzbrojenie składało się z wideł, siekier i pałek, los „galerników” zdawał się przesądzony.

Gleb przeniósł wzrok tam, skąd wyskoczył do wody. I pomimo całego tragizmu tej chwili nie zdołał ukryć uśmiechu. Na dolnym pokładzie, chwytając się za głowę, miotał się Pistolet. To podbiegał do burty, zamierzając przerzucić przez nią nogę, to znów odskakiwał i odbiegał na bok.

– Co tam się tak gibasz? – zawołał do niego Gleb. – Skacz szybciej, najwyższy czas się stąd zabierać!

– Ja nie... mogę!... – wydusił Pistolet. – Boję się!... Nie umiem pływać!

– Nie trzeba umieć, tu jest płytko. No, skacz!

– Tak?... Napardwę płytko?... W takim razie... Już...

Łuzanin gorączkowo przerzucił przez nadburcie najpierw jedną nogę, potem drugą i po chwili zawisł na rękach, dotykając wody czubkami butów. Wyraźnie nie spieszyło mu się, by rozewrzeć dłonie.

– Co tam tak zawisłeś jak gacie na sznurku? – Mutant nie wytrzymał.

– Ja... tego... po prostu odpoczywam – wymamrotał Pistolet.

– Odpoczywasz?... Może jeszcze się zdrzemniesz na pół godzinki?

– Nie, nie!... Zaraz...

– Zaraz to taka duża bakteria. No, puszczaj! – ryknął Gleb. – Bo jak cię teraz pociągnę za nogi, to na pewno coś ci się urwie!

Pistolet natychmiast rozluźnił dłonie i z głośnym pluskiem poszedł pod wodę. I to cały – widocznie akurat w tym miejscu na dnie był dół. Łuzanin nie pojawiał się na powierzchni sekundę, dwie... Kiedy w subiektywnej ocenie Gleba minęło już co najmniej pięć sekund, mutant zaczął się martwić. A po kolejnej chwili zaklął się, zbliżył do burty statku i zanurkował.

I w samą porę – nurt zaczął już wciągać łuzanina pod stępkę „galery”. Mutant chwycił trzęsącą się nogę Pistoleta i pociągnął go do siebie. Kiedy wypchnął przyjaciela na powierzchnię, a potem odciągnął na płyciznę, ten długo pluł wodą, okropnie przewracając oczami, a potem, kiedy złapał oddech, wydusił:

– Tłypko, tak? To było tłypko?! O mało nie umamreł!...

– Czyli teraz to moja wina, tak? – Gleb osłupiał, słysząc taką bezczelność. – Dobrze, zaraz wrzucę cię tam z powrotem...

Mutant udał, że zamierza podnieść łuzanina i wsadzić go na pokład „galery”, ale przestraszony Pistolet cofnął się i znów wpadł po czubek głowy do dołu. Tym razem wprawdzie wynurzył się samodzielnie i tylko krótko rzucił:

– Nie trzeba z obrotem. Wszystko jest w dorzątku.

– No to chodźmy stąd czym prędzej – skinął głową Gleb – póki nie zwrócili na nas uwagi. Bo zaraz wszyscy trafimy tam „z obrotem”.

Obejrzał się na statek. W rzeczywistości nikt na nich nie patrzył – obie strony były zajęte walką. Mutant zwrócił też uwagę, że oprócz dymu bijącego z otwartych drzwi do ich niedawnego miejsca przetrzymywania

pokazały się i języki szalejących płomieni, które niczym żywe istoty zaczęły wspinać się po burtach w stronę kajuty dla pasażerów.

– Prędejj, prędejj! – popędził przyjaciół Gleb. – Kiedy zaczną płonąć cały statek, wszyscy wyskoczą z niego na brzeg, a wtedy trudniej nam będzie uciec.

Nikogo nie trzeba było dwa razy prosić. Wkrótce wszyscy trzej wydostali się na ląd i stanęli niezdecydowani. Saszka i Pistolet spojrzeli na mutantą wyczekująco.

– Co tak stoicie? – odezwał się tamten. – Biegniemy do tamtych krzaków.

– Dlaczego właśnie tam? – już w biegu spytał chłopaczk.

– Dlatego że tam nie będzie nas widać – odparł Gleb. – Złapiemy oddech, ocenimy sytuację i zdecydujemy, co dalej.

Ukryci w zaroślach przyjaciele obejrzeni się nawzajem. Pomijając to, że wszyscy trzej byli mokrzy od stóp do głów, znośnie wyglądał tylko Pistolet. Ubranie Gleba zamieniło się w zwęglone łachmany, w chałacie Saszki ziały wypalone dziury, krótkie włosy chłopaka zrobiły się jeszcze krótsze i przybrały brudnoszary kolor, brwi i rzęsy nie miał wcale, a odsłonięte fragmenty skóry poczerwieniały i pokryły się bąblami, choć na pełnej strupów twarzy nie było ich tak wiele. Gleb wyglądał jeszcze straszniej, gdyż sierść spaliła się na nim nierównomiernie. Tam, gdzie pozostała, przypominała wyliniałą szczotkę z poczerniałą krótką szczecina, a tam, gdzie spaliła się całkowicie, pokazała się brudnoróżowa skóra w czerwonych plamach oparzeń i takich samych pęcherzach jak u Saszki.

– No ładnie... – Pistolet się wzdrygnął. – Ale się wam stodało! Boli?...

– To bzdura. – Gleb machnął ręką. – Najważniejsze, że żyjemy. A to minie. Sam lepiej opowiedz, gdzie byłeś, jak ci się udało nas uratować.

– Ja to tego... – Łuzanin zawahał się zakłopotany. – Zaprowadzili mnie do ich wypródca, a tamten zaczął mnie wypytywać: kim jesteśmy, skąd?...

– A ty co? Powiedziałeś prawdę?

– Znaczy... tak, pardwę... – Pistolet zamrugął z przestraczem. – Ale nie zżądałem dużo opowiedzieć!

– No i słusznie, dobrze zrobiłeś, że powiedziałaś prawdę – pochwalił go mutant. – A co było potem?

– Potem przyszedł ten, który was związał, i oddał klusze. Przywódca rzucił je na skolit. A potem na zewnątrz rozległy się krzyki, dowódca kazał mi się nie szurać, a sam złapał autotam i wybiegł. No a ja na niego nie czekałem, tylko zarbałem klucze i pobiegłem do was.

– I tyle?

– Tak... Chociaż nie, ten ich główny marchewny zabrał mi zasypki...

– Jakie znowu zasypki? – Gleb zmarszczył brwi zdziwiony.

– To, co zatonowałem o naszej wyprawie. Kronika. Wyrwał mi kratki z notatnika... – Pistolet sięgnął za pazuchę, wyciągnął stamtąd mokry notes, otworzył go i pokazał Saszce i Glebowi. – Proszę, cała praca na manarne.

– Trudno, jeszcze napiszesz, to nie jest śmiertelne – powiedział mutant. – Za to nasza sytuacja nie wiadomo. Co robimy?

– Jak to co? – zdziwił się Saszka. – Popłyniemy dalej, do Ustiuga. Póki trwa ta kołomyja.

– Nawiasem mówiąc, co to za kołomyja? – Gleb spojrzał na towarzyszy. – Ktoś coś z tego rozumie?

Saszka pomyślał i wzruszył ramionami. Pistolet natomiast odezwał się niepewnie:

– To pewnie tumanty... „Dzicy”... Pamiętasz, jak płochi w Iljinskoje wygadali się, że „dzikie” mutanty chcą się zjednoczyć?... Żeby walczyć z karnymi, a potem nawiązać tonkakt z mrozowcami. Boże i tu się zaczęło.

– Całkiem możliwe. – Gleb skinął głową. – Tym bardziej że widziałem tu już paru naszych znajomych z Iljinskoje... – Mutant przeniósł wzrok na Saszkę. – A ty co powiedziałaś, żeby robić dalej? Płynąć do Ustiuga? Na czym?

– Jak to na czym? Mamy przecież tratwę. – Chłopak machnął ręką we

właściwym kierunku. – Póki panuje zamieszanie, możemy zdążyć. Najważniejsze to odpłynąć jak najdalej, żeby nas nie zastrzelili.

– No właśnie, żeby nie zastrzelili. – Gleb uniósł palec. – A mogą to zrobić z łatwością – gdzie się na tej tratwie schowamy przed kulami?

– Niedaleko jest zakręt rzeki – powiedział Saszka. – A nuż zdążymy!

– Nie bardzo bym chciał liczyć na „a nuż”. – Mutant podrapał się w osmaloną głowę i spojrzał na łuzanina. – A ty, Pistolecie, co uważasz?

– Trzeba płynąć, bo co innego – spoważniał tamten. – Zaraz „dzicy” wytluką cerkiewnych i wezmą się za nas. W końcu my też jesteśmy dla nich teraz gowrami.

– Ale niepotrzebnie to zrobili – odezwał się niespodziewanie Saszka.

– Co dokładnie? – spytał Gleb.

– Ten atak. Oczywiście pozabijają teraz wszystkich cerkiewnych, tylko co dalej? W Ustiugu nie doczekają się swoich, wszystko zrozumieją i wyślą nowy oddział, silniejszy. A ci urzędzą tu takie piekło!...

– Tak najpewniej będzie – zgodził się mutant. – Tyle że my powinniśmy teraz pomyśleć o ratowaniu własnej skóry. Dwie z nich i tak są już nadpalone.

– No, ja też!... – chciał już zakrzyknąć urażony Pistolet, ale zakończył znacznie ciszej: – ...przemokłem. – Potem przypomniał sobie: – I wtedy w lesie, na sońsie, też się paliłem!

– Na czym, na słońcu?... – prychnął Saszka. – Opałeś się? Też mi pogorzelec! My tu z Glebem...

– Na jakim słońcu?! – Pistolet zamachał rękami z obrazą. – Nie na słońcu, tylko na soń-sie! Takie dwerzo, z pinezkami.

– Z czym?...

– No, z tymi, ostrymi, zielonymi... – Starszy łuzanin pstrykał palcami, szukając właściwego słowa.

– Że niby z igłami?

– Tak, tak, z igłami!

– A! Zrozumiałem!... Na sośnie – chłopaczek domyślił się, o jakim „dwerze” mowa.

– Na sośnie, właśnie – ucieszył się Pistolet.

– Zaczekaj! – Chłopak znów się uśmiechnął. – Jak ci się udało palić się na sośnie?

– Ułado, tak... – Starszy łuzanin zerknął z ukosa na mutanta. I przeniósł nieprzyjazny wzrok na młodszego krajana. – Co, nie wierzysz?... No to popatrz, ja też mam w ramynarce dziury od ognia! O, tu, tu i jeszcze...

– Dobra, dziurki i rany będziemy liczyć potem, kiedy się stąd wydostaniemy – Gleb przerwał tę dyskusję. – A dokładniej: jeśli się wydostaniemy. A na razie, skoro obaj głosujecie na tratwę, to nie zwlekajmy. Chodźmy!

Ale ledwie przyjaciele zdążyli wyjść z zarośli, kiedy stanęli oko w oko z członkiem oddziału karnego. Przy czym był to właśnie ten, który zamordował Niurę i uwięził Saszka i Gleba.

– Ej, wy, stać! – Skierował na nich lufę automatu.

Saszka i Pistolet zamarli. Natomiast mutanta ogarnęła nieopisana wściekłość. Z pewnością niepoślednią rolę odegrało jego niedawne samobiczowanie z powodu śmierci dziewczynki, po której pozostały mu nieznośnie bolesne rany na duszy i sercu. Ale nie było jak ich zaleczyć, a tu proszę – oto on, jak na talerzu, główny winowajca tragedii Niury! Do tego – Gleb od razu to zauważył – u pasa oficera, na widoku, jakby specjalnie, żeby podrażnić mutanta, wisiała pochewka z jego nożem! Tym samym, od którego zginęła dziewczynka.

Gleb, jakby wcale nie dostrzegając skierowanej w jego stronę broni, zaryczał, chwycił za lufę i nie zważając na ból w poparzonej dłoni, szarpnął automat tak, że przewieszony przez szyję cerkiewnego pasek, zlatując, zerwał mu kaptur i maskę, a na dodatek urwał połowę ucha. Karny przeraźliwie wrzasnął i chwycił się za krwawe strzępy. Mutant, nie patrząc, podał automat przyjaciołom – złapał go osłupiały Saszka – a sam jednym

szarpnięciem zerwał przeciwnikowi pochwę z pasa. Wyciągnął z niej nóż i z wściekłością rzucił wrogowi w twarz:

– Zwracam dług! – I natychmiast, bez zastanowienia, wbił ostrze prosto w serce karnego.

Ten spojrział na Gleba ze zdumieniem, od razu przestał krzyczeć, kolana się pod nim ugięły i najpierw się osunął, a potem, milcząc, zwałił się na bok.

Mutant wyciągnął z martwego ciała nóż i wytarł go o nieprzyjacielski mundur. Potem starannie włożył go do pochwy i zawiesił ją przy własnym pasie.

– Dlaczego? – odezwał się ledwie słyszalnie Saszka.

– Co „dlaczego”? – spytał Gleb, nie odwracając się w kierunku chłopca.

– Dlaczego wziąłeś ten nóż? Czy będziesz mógł go używać... po tym wszystkim?... Po Niurze?

– Zależy jak. Raczej nie dam rady kroić nim ogórków, ale różnych... nieludzi, jak widzisz, z łatwością. A teraz dość gadania, biegniemy na tratwę!

Przyjaciołom nie udało się jednak do niej dotrzeć. Z początku wszystko szło dobrze, tak jak i wcześniej, nikt ze statku nie zwracał na nich uwagi. Ale kiedy do celu było już tyle co nic, nie więcej niż pięć metrów, z „galery” dobiegł radośnie podniecony okrzyk:

– Martyn, patrzaj no, kto tam je!

Gleb od razu rozpoznał ten głos – należał do Makusina. Mutant wyraźnie też dosłyszał odpowiedź jednookiego Martina:

– Toć to tamci... co ci łobore spalili! I jeszcze ktosik...

– No to chodźta, przywitomy sie! – Makusin zarechotał. – Tu i bez nos zara skończom.

Gleb szybko też dojrzał samych mówiących: obaj chłopcy pospiesznie szli pokładem w stronę trapu. Martyn ścisnął w dłoni siekiere, na szyi

Makusina wisiał zdobyczny automat.

– Uciekajmy z powrotem! – rozkazał mutant towarzyszom.

– Dlaczego?! – Pistolet aż podskoczył. – Zdążymy!...

– Nie. – Gleb pokręcił głową. – Oni mają broń. Zastrzelą nas. Nie dopłyniemy do zakrętu.

– My też mamy broń! – Saszka machnął automatem.

Gleb zmarszczył brwi.

– Nie chciałbym zabijać mutantów – wycedził przez zęby. – Do tego, jeśli otworzymy ogień, usłyszą nas pozostali, a wtedy załatwią nas na pewno, i to błyskawicznie. Dlatego szybko z powrotem! Biegiem!

Uciekinierów uratowało pewnie to, że Makusin zamierzał wziąć ich żywcem. Czy to, żeby w końcu porozmawiać, wyjaśnić – jak to tak, ja z wami po dobremu, a wy co? – czy może jemu też, tak jak Glebowi, niewygodnie było strzelać do mutantów. W każdym razie przyjaciele zdążyli dobiec do zarośli.

Wprawdzie potem przywódca chłopów z Iljinskoje puścił do nich krótką serię, ale wtedy Martyn zawołał:

– Patrzejta, co to sie wyprawia! Toć to „galera” sie pali!

Gleb machnął do Pistoleta i Saszki, żeby ci szli dalej, a sam pochylił się, zawrócił, lekko rozchylił gałęzie i spojrział w stronę statku. Ten stał w płomieniach! Wrażenie było takie, jakby ogień z początku długo kosztował poczęstunek, oblizując go niepewnie, a potem w końcu się rozsmakował, nabrał apetytu i naraz rzucił się na smakołyk.

„Cóż – pomyślał mutant – to bardzo przydatne”. W każdym razie Makusin i Martyn natychmiast zapomnieli o ich istnieniu i rzucili się z powrotem w stronę płonącej „galery” – widocznie na pomoc swoim towarzyszom.

Jednak Gleb zbyt wcześnie się cieszył. Z ulegającego zagładzie statku niczym ziarenka grochu posypali się ludzie. Przenikliwie krzycząc, skakali do wody i wdrapywali się na brzeg. Nieliczni pozostali przy życiu cerkiewni

byli dobijani na miejscu przez „dzikie” mutanty. Jeśli na „galerze” niektórym być może udało się ukryć, to teraz stracili swoją ostatnią szansę na ocalenie. Wszystko wskazywało na to, że wynik starcia był przesądzony.

Dla mutantów stało się oczywiste: pobudzeni potyczką i odniesionym zwycięstwem „dzicy” tak szybko się nie uspokoją. Bez dwóch zdań: Makusin opowie wszystkim o sprawcach swojego nieszczęścia i nie trzeba zgadywać, z jaką radością rozochoceni zwycięzcy przyłączą się do nowego polowania. Trzeba było uciekać. Najszybciej i najdalej, jak się da.

Dogoniwszy Saszkę i Pistoleta, Gleb opowiedział im o zaistniałej sytuacji. A potem dodał:

– Myślę, że nie ma sensu przedzierać się ot tak, wzdłuż rzeki – dogonią nas. Musimy uciekać w głąb, w stronę lasu. Las jest duży, tam trudniej nas będzie znaleźć. I nie zwlekajmy, ruszajmy jak najszybciej.

– Ale przecież... – wyraził wątpliwości Saszka. – A co z Ustiugiem?

– Ustiug nie ucieknie. A martwy i tak tam nie dotrzesz.

– Martwy gdzie leży, tam mu dobrze – odezwał się filozoficznie Pistolet. Ale od razu dodał: – Ale ja nie chcę. Biegniemy do lasu!

I pobiegli.

ROZDZIAŁ 11

MIKROMUTANTY

Do lasu było już całkiem blisko, kiedy nie wiadomo skąd, zza jakichś krzaków, naprzeciw uciekinierów wyskoczył cerkiewny z oddziału karnego. Należał pewnie do tych najbardziej gorliwych, którzy od razu pobiegli przeprowadzić „inspekcję” wsi. Pozostali, widocznie słysząc strzelaninę, wrócili na „galerę”, a ten z jakiegoś powodu został w tyle. Może zabłądził, a może stchórzył. Teraz cerkiewny stał przed trzema przyjaciółmi z wycelowanym w ich stronę automatem.

– Stać! – zawołał głucho przez maskę przeciwigazową.

Towarzysze zatrzymali się, ale Gleb też wziął karnego na muszkę.

– Nawet o tym nie myśl – powiedział mutant. – Spróbuj tylko strzelić – od razu dostaniesz kulkę.

Szczerze mówiąc, miał wielką ochotę ściąć tego bydlaka serią. I gdyby był teraz sam, najprawdopodobniej tak właśnie by zrobił. Zbyt głęboko zapadła mu w pamięć śmierć małej Niury i choć bezpośredni winowajca poniósł już karę, Gleb nie sądził, by stojący przed nim cerkiewny był o wiele lepszy od tamtego. Jednak przy Saszce i Pistolecie z jakiegoś powodu nie chciało mu się strzelać. Zabijanie ludzi, choćby nawet najohydniejszych, zdawało mu się bardzo odrażającym zajęciem, a tym bardziej przy „publiczności”. Oczywiście zabójcę Niury też zlikwidował na ich oczach, ale tam po prostu nie mógł postąpić inaczej – potem dręczyłby się przez całe życie, że tego nie zrobił. Teraz zaś zabójstwo nie było tak

konieczne. Dlatego mutant powiedział:

– Zabieraj się stąd! Zabijają tam twoich przyjaciół, a ty się tu chłodzisz! A może rura śmiałkowi zmiękła? Przecież wy potraficie tylko walczyć z dziećmi i bezbronnymi inwalidami.

– Zaraz zobaczysz, co potrafię... – Karny skierował lufę automatu wprost w pierś Gleba.

– Proszę, jaki odważny! – mutant udał zdziwienie. – I do tego bystry. Czy myślisz, że nie zdążę wypalić, nawet jeśli do mnie strzelisz? Przecież mam trzy serca. Przebijesz jedno, nawet dwa – ja i z jednym przeżyję dość długo, żeby podziurawić cię jak sito.

Zza maski przeciwigazowej nie było widać wyrazu twarzy cerkiewnego, ale lufa jego automatu niepewnie opadła w dół.

– Liczę do trzech – oznajmił Gleb. – Jeśli nie odejdziesz, będę strzelał. Raz... Dwa...

Karny opuścił automat i się cofnął.

– Strzelisz mi w plecy... – mruknął.

– Zuch z ciebie, że sądzisz wszystkich po sobie, cholerna kreaturo! – Mutant wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Zaraz będziesz zwiewał i czekał na kulę w plecy. No pięknie!... To będzie naprawdę przyjemne. A gdybyś był człowiekiem, to oszedłbyś spokojnie. Ale i dla mnie byłoby to wtedy nieciekawe. Zresztą, gdybyś był człowiekiem, nie przylazłbyś tu polować na dzieci... Trzy!...

Cerkiewny podskoczył jak zając i pomknął w stronę zbawczych zarośli nad rzeką. Gleb nie wytrzymał i puścił w powietrze krótką serię – automat zaterkotał trzy razy i skończyły się naboje.

„Dobrze, że ta cerkiewna swołocz tego nie wie” – pomyślał mutant, odrzucając na bok bezużyteczną broń, dziwiąc się przy tym, że w ogóle jakimś sposobem zdołał wystrzelić. Gleb zrobił to, nie zastanawiając się, co i jak naciskać. Widocznie miał już doświadczenie w obchodzeniu się z bronią i chociaż sam tego nie pamiętał, ręce zrobiły wszystko jak należy.

Przyjaciele od razu zrozumieli, że zabrakło nabojów. Pistolet tylko pokręcił głową, a potem powiedział:

– Posłałeś go na śmierć...

– Nigdzie go nie posyłałem i nikt ich tu nie zapraszał, sami przyleźli! – Gleb się zjeżył. – A może uważasz, że sam powinienem był go załatwić? Czy, według ciebie, z mojej ręki milej umierać?

– Nie, ja tak tylko... – zmieszał się łuzanin.

A Saszka nagle zapytał:

– Czy naprawdę masz trzy serca?

– Skąd mam wiedzieć – burknął mutant. – Nie liczyłem.

Potem jednak przyłożył dłoń do piersi, potrzymał przez chwilę, przesunął ją, znów potrzymał. Znów burknął:

– Chyba jedno. Ale na razie mi wystarczy.

Z początku las zupełnie nie sprzyjał temu, żeby się w nim chować: suchy biały mech, wcale nie tak wysoki jak ten, w którym kiedyś ocknął się Gleb, ogromne sosny mutanty – to wszystko. I sosny te nie rosły wcale gęsto, tak że zbiegów dało się dojrzeć z daleka. Mogli co najwyżej wdrapać się na jedną z nich i ukryć w jej kłującej koronie, ale tu mogło ich dopaść inne zagrożenie – potrafiące łązić po drzewach „wilki”, o których wspomnienia były jeszcze świeże. Za to przyjemnie chrzęszczący pod stopami gęsty mech ani trochę nie krępował ruchów, z czego rozsądnie skorzystali uciekinierzy, mknąc co sił w nogach w głąb lasu.

Po jakimś czasie roślinność wokół zaczęła się zmieniać. Coraz częściej na ich drodze zaczęły stawać osiki, brzozy i świerki. Wkrótce tych ostatnich było całkiem sporo i rosły znacznie gęściej niż dominujące wcześniej sosny, promieniom słońca trudniej było się przebijać do ziemi, tak że las przybrał ponury, nieprzyjazny wygląd. Ciemność dławiała, wzbudzała niepokój i poczucie beznadziei. Chociaż zdawałoby się, że nie ma już czego wzbudzać – wszyscy i tak byli przygnębieni i nie mogło być już gorzej.

Gleb, który wysforował się do przodu, obejrzał się za siebie i nie

zobaczył swoich towarzyszy. Zatrzymał się, żeby na nich zaczekać, a przy tym złapać oddech. Zaczął się rozglądać, ale wokół siebie ujrzał tylko rozczapierzone gałęzie z ciemnymi igłami. Z początku go to ucieszyło – nieprzyjacielowi będzie bardzo trudno odszukać ich w takiej głuszy. Jednak wkrótce zaczął się martwić, czy Saszka i Pistolet nie ucierpieli. Z ostrożności nie krzyczał – mógł go usłyszeć pościg. Może wejdzie na wysoki świerk i z niego uda mu się dojrzeć zagubionych?

Ale nie zdążył tego zrobić. Gdzieś z oddali dobiegło ledwie słyszalne: „Gleb! Gdzie jesteś?”. Wołał niewątpliwie Pistolet. Potem to samo powtórzył inny głos, należący do Saszki.

– Głupcy! – wycedził mutant. – Nie tylko ja mam uszy!

Niemniej jednak teraz wiedział, gdzie szukać pozostałych przyjaciół i pospieszył im naprzeciw. Przedtem spojrzał w niebo, żeby zapamiętać, po której stronie jest słońce, ale to zaciągnęło się gęstą zasłoną chmur. „Kiedy to się stało? – zdziwił się Gleb. – Przecież całkiem niedawno było słonecznie. Co ta pogoda tak często się zmienia? Żeby jeszcze deszcz nie zaczął padać”. Ale po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że pochmurna pogoda była im nawet na rękę. Po pierwsze, w lesie zrobiło się znacznie ciemniej, a to znaczy, że trudniej będzie ich znaleźć. Po drugie, deszcz może w ogóle odstraszyć ścigających – właściwie to w imię czego mają moknąć? A oni sami absolutnie mogą przesiedzieć niepogodę pod jakimś świerkiem, którego grube konary posłużą za niezłą osłonę.

Teraz najważniejsze to odszukać Pistoleta i Saszkę. A ponieważ ci nie przestawali wołać, Gleb dość szybko znalazł swoich towarzyszy.

Okazało się, że ci nigdzie nie biegli, a nawet nie szli. Pistolet siedział, opierając się plecami o pokraczną krzywą brzozę i dyszał tak ciężko, że zdawało się, jakby miał w ogóle wyzionąć ducha. Saszka też był zasapany, ale trzymał się całkiem dziarsko. Na widok Gleba szczerze się ucieszył.

– Och! – zawołał chłopak i rzucił się w stronę mutantą, jakby zamierzał go objąć. – A my myśleliśmy, że to koniec...

– Myśleliśmy – kontynuował zdyszany Pistolet – że nas porzuciłeś.

– Naprawdę tak pomyśleliście? – Gleb zmarszczył brwi.

– No... – Łuzanin nieokreślonym gestem pokręcił okaleczoną dłonią. – Może nie psecjalnie, tylko tak...

– Niechący... – Mutant skrzywił się i przeniósł wzrok na chłopca. – Ty też tak myślałeś?

– W sumie miałem nadzieję, że nie. – Saszka spuścił wzrok. – Ale zrobiło nam się troszkę strach.

– Troszkę! – prychnął Pistolet. – Po prostu wpadliśmy w kanipę!

– A czego tu się bać? – Gleb zmrużył oczy. – Przecież tyle dni włóczyłeś się samotnie po lesie, zanim mnie spotkałeś!

– Wtedy też się bałem. Jeszcze jak się bałem, coś orkopnego! Ale z tobą się przyzwyczaiłem.

– Dobra. – Mutant postanowił zmienić temat rozmowy. – Co teraz zrobimy? Pobiegniemy jeszcze trochę?

– Nie mogę już biec. – Starszy łuzanin ze skrucną spuścił głowę. – Bardzo się zmęczyłem, nie mam siły szurać nogami. Odpocznijmy chwilę.

– Myślę, że i tak trzeba będzie odpocząć. – Gleb spojrzał na zachmurzone niebo. – Zaraz pewnie zacznie padać.

– To może zjemy jakiś odiab? – Pistolet poderwał się radośnie.

– Zjemy co?... – Gleb nie od razu zrozumiał, a kiedy dotarło do niego, że jego towarzysz mówi o obiedzie, gorzko się uśmiechnął. – Co zamierzać zjeść na ten obiad? Świerkowe szyszki? Cały nasz prowiant został na tratwie.

– Pewnie można tu znaleźć jakieś grzyby, jagody... – Saszka przełknął ślinę.

– Aha, a do tego dziki, łosie, niedźwiedzie – kontynuował sarkastycznie mutant. – Zatłuczemy je gołymi rękami, rozszarpiemy na kawałki i schrupujemy jeszcze ciepłe. Tym bardziej że i tak nie uda nam się ich upiec – nie mamy zapalek.

– Mam krzemień. – Saszka sięgnął do kieszeni spodni. – W Łuzie nauczyliśmy się rozniecać ogień tak jak dawni ludzie.

– Zaczekaj z tym ogniem – Gleb powstrzymał chłopca. – Co zamierzasz na nim piec?

– Przecież mówię: grzyby.

– Najpierw trzeba je znaleźć. A samymi grzybami się nie najesz.

– Są jeszcze jagody... – Chłopcu zrzędała mina.

– Na jagody jest trochę wcześniej. Popatrz, czarne jagody są jeszcze całkiem zielone.

– To co mamy robić? – Pistolet zaczął wstawać, przytrzymując się brzozy.

– Jeśli postanowiliśmy dalej nie uciekać, to przeczekamy tu jakiś czas i trzeba będzie wracać nad rzekę. Bo sami zostaniemy tu czymś obiadem.

– Nad rzekę?! – zakrzyknęli jednym głosem obaj łuzanie.

A starszy z nich zakończył:

– Przecież tam są ci... Kamusin z Martynem... i cała reszta.

– Waszym zdaniem nie mają nic do roboty, tylko opalać się nad rzeką i czekać na nas? A w ogóle nie proponuję wracać w to samo miejsce.

– A tratwa?! – zapytali znów jednocześnie Pistolet i Saszka.

– O tratwie można zapomnieć. Wątpię, żeby zostawili nam ją z dobroci serca. Na pewno ze złości roztrzaskali ją na kawałki. A już nasze manatki na pewno zabrali, nie ma co zgadywać.

– W takim razie po co nam rzeka? – zapytał zdziwiony chłopaczek.

– A po to, że w sumie wybieramy się do Ustiuga, nie? I jak inaczej, według was, znajdziemy do niego drogę? Tak się puścimy na przełaj przez las? A ktoś z was zna dokładny kierunek? I nie zastanawialiście się, ile tu głodnych bestii?

Saszka i Pistolet mimowolnie zaczęli się rozglądać.

– A rzeka tak czy inaczej zaprowadzi nas tam, gdzie trzeba – ciągnął mutant. – Może jeszcze znajdziemy jakąś łajbę – łódkę czy tratwę. Jest to

oczywiście wątpliwe, ale kto wie. A nawet jeśli nie znajdziemy, to dotrzemy tam wzdłuż brzegu. Do tego, mając blisko wodę, można się napić, a jeśli napadną nas jakieś stwory, wskoczymy do rzeki, nie każde zwierzę lubi pływać. Możemy też spróbować łowić ryby – choćby robiąc brodnik z koszul. Więc tak czy inaczej trzeba wracać nad rzekę.

– Ale jeść by się chciało teraz... – Pistolet zmarkotniał.

– Dobra, no to siedźcie tutaj, a ja poszukam grzybów, póki nie zaczęło padać.

– Poszukajmy wszyscy razem – powiedział Saszka. – Albo niech Pistolet tu odpoczywa, a ja i ty powłóczymy się po okolicy.

– Aha, a potem zamiast grzybów zacznę szukać ciebie! – Gleb wyszczerzył zęby. – Nie, lepiej siedźcie obaj. Zaraz wrócę. Żebym tylko zdążył przed deszczem.

– To ja tymczasem rozpalę ognisko. – Chłopak znów sięgnął do kieszeni po krzemień.

– Żadnych ognisk! – Mutant spojrzał na niego surowo. – Co ty, chcesz dać sygnał Makusinowi: „Tu jesteśmy!”?

– To jak ugotujemy grzyby?...

– Nijak. Zjemy je na surowo, nic nam się nie stanie – powiedział Gleb i uśmiechnął się. – W końcu jesteśmy mutantami.

Saszka zamrugał przestraszony.

– Przecież różnie mutowaliśmy... A co, jak komuś nie podejną surowe grzyby i potem... tego?...

– No i dobrze. – Gleb znów wyszczerzył zęby. – Będzie świeże mięso.

Nie udało mu się jednak iść na grzybobranie. Nie zaczęło też padać. Chociaż z początku to, co się stało, wzięli właśnie za deszcz.

– O! Coś mi pękło na rękę! – Pistolet zbliżył rękaw do oczu.

– A mi na plecy. – Saszka się skulił.

– Deszcz, a cóż by innego? – Mutant znów zwrócił głowę ku niebu. – Pierwsze krople.

– Ojej! – Starszy łuzanin złapał się za głowę i zaczął biegać wokół brzozy. – To nie prokle!

– Co ty? – Gleb utkwiał w nim zdziwiony wzrok. – Już nawet deszczu się boisz?

– To nie deszcz, nie deszcz!!! – zawył Pistolet, zaciekle młóćąc sobie dłońmi po łysinie. – To sokoły!

– Co?!... – Mutant zamrugnął zaskoczony. – Jakie sokoły? Do reszty ci odbiło, przyjacielu. Czy one są, według ciebie, niewidzialne? Taka mutacja?

– Nie sokoły, nie, tylko szpoooooły!!! – dalej wrzeszczał łuzanin, który ze strachu zapomniał i mylił nie tylko głoski, ale całe słowa. – Te, co dają mióóód!!! Albo nie dają, ale też są w sapkiii!!!

– Pszczoły czy jak? – domyślił się Gleb. – Ich też nie widzę...

Ale nie skończył mówić, kiedy nie zobaczył, ale wyraźnie usłyszał coś, od czego pod sierścią przeszły mu ciarki. Z góry dobiegało szybko narastające bzyczenie.

– Aj! – Saszka klepnął się w czoło. – Aj-aj-aj! Boli!

Wtedy coś uderzyło i w wierzch dłoni Gleba. Chwilę później i bez tego piekącą od poparzeń rękę przeszył ostry ból. Mutant instynktownie klepnął w nią drugą dłonią. Coś zachrząściło. Gleb przyjrzał się uważnie. Na dłoni leżała mu rozgnieciona ciemnoszara grudka. Z jej wnętrza wyciekał białawy śluz. Uniósł rękę do oczu. Pistolet zdecydowanie się pomylił. To, co Gleb dojrzał, okazało się wcale nie być pszczołą. Ani osą. Nie było nawet w paski. Nie odważyłby się w ogóle zaliczyć tego całkiem sporego – wielkości paznokcia – stworzenia do gromady owadów, gdyż miało nie sześć, ale osiem nóżek. Latające pająki?... Gleb nie dojrzał skrzydeł – te widocznie składały się na plecach pseudoinsekta, jak u żuka. Za to z jego pozbawionej oczu głowy wystawały żuwaczki, bardzo podobne do małych wyszczerbionych szczypców.

Tymczasem poczuł w ręce piekący ból, i to wcale nie słabszy niż całkiem niedawno w ogniu. A potem znów coś w nią stuknęło. I w drugą

rękę. I w głowę, czoło, plecy, ramiona... Deszcz zaczął jednak padać. Tyle że, ku przerażeniu nieszczęsnych uciekinierów, wcale nie składał się z kropel wody.

Podsakując i wymachując rękami, wrzeszczeli już teraz wszyscy, w tym sam Gleb. Mimo to ten ostatni zdołał zauważyć, że najbardziej obrywa się Saszce. Chłopca już wprost nie było widać – pseudopająki tak oblepiły nieszczęśnika, że zamiast człowieka między drzewami miotła się ciemna, bezkształtna bryła.

Ten straszliwy widok zmusił Gleba do opamiętania.

– Wszyscy szybko pod drzewo! – zawołał mutant. – Ten świerk ma gałęzie do samej ziemi, włączcie pod nie!

Ale usłyszał go tylko starszy łuzanin. Natychmiast rzucił się w stronę rosnącego nieopodal rozłożystego świerka. Natomiast Gleb przyskoczył do pokrytego mikromutantami Saszki, złapał go wpół i pociągnął w ślad za Pistoletem. Uciekinierzy wczołgali się pod kłujące gałęzie i zaczęli gorączkowo klepać się po ciele, gniotąc i strąsając z siebie żądłące stwory. Chłopiec nie mógł tego robić – ze strachu i bólu wpadł w stupor, nawet już nie krzyczał – i Gleb musiał pracować za dwóch.

Świerk jakby ożył. Huczał basem, a jego gęste gałęzie trzęsły się i wyginały. Zrobiło się zupełnie ciemno – niezliczone chmary latających mikromutantów oblepiły, jak się zdawało, całe drzewo. Rzecz jasna, przedzierały się też i do wnętrza „schronu”, wciąż bezlitośnie gryząc ukrytych w nim przyjaciół. Było zupełnie jasne, że chowając się pod świerkiem, towarzysze tylko odwlekali to, co nieuchronne.

„To koniec – pomyślał Gleb z poczuciem beznadziei. – Jesteśmy martwi. Nie pożą nas niedźwiedzie ani wilki, tylko jakieś ślepe zębate pchły... Pożą nas żywcem, całych, oczyszczą wszystko do kości”.

Z pewnością o tym samym pomyśleli i pozostali. W każdym razie Pistolet przestał nagle klepać się po policzkach i łysinie, odwrócił się do mutantą i bardzo poważnie, nie myśląc już słów i głosek, powiedział:

– Posłuchaj, Gleb. Zanim umrzemy, muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego.

Zaskoczony mutant na parę chwil zapomniał o niebezpieczeństwie. Ale wtedy doszedł do siebie i głośno zapłakał Saszka:

– Umrzemy?... Ja nie chcę umierać! Glebuszko, kochany, no zrób coś!...

I wtedy buczenie się urwało. W jednej chwili. Zrobiło się nagle tak cicho, że z początku Gleb pomyślał, iż zatkały mu się uszy. Ale już po chwili usłyszał nowy dźwięk. Najbardziej przypominało to szelest liści na wietrze. Albo jakby jakiś olbrzym wysypał na świerk, pod którym siedzieli, olbrzymią łąbiankę suszonego grochu, tym bardziej że świerkowe gałęzie nad nimi rzeczywiście zdrząły. Zrobiło się też jasno – na tyle, na ile było to możliwe pod cienistą koroną drzewa w pochmurny dzień. I przestały ich kąsać ośmionogie mikropotwory.

Siedzący w kucki mutant spuścił wzrok i zobaczył, że ziemia u jego stóp jest usiana nie tylko pożółkłym igliwem, ale i licznymi trupkami skrzydlatych arachnidów⁵. Zresztą niektóre z nich jeszcze się ruszały, ale na pewno nie były zdolne wzlecieć i zaatakować.

Wtedy Gleb wyciągnął ręce, żeby rozsunąć przed sobą kłującą zasłonę, która w odróżnieniu od górnych gałęzi nadal nie przepuszczała światła. Zebrał się, by wysunąć głowę na zewnątrz, ale kiedy tylko rozsunął gałęzie, z powstałego otworu na kolana i pod nogi posypał mu się szemrzący czarny potok. Mutant szybko zabrał ręce i odskoczył, uderzając przy tym potylicą o pień drzewa. Syknął z irytacją, bardziej ze złości na siebie niż z bólu, po czym zaklął w myślach, podniósł się na ugiętych nogach i rozsunął te gałęzie, za którymi było widać światło. Wysunął głowę, spuścił wzrok i jęknął: świerk tonął w ciemnoszarej, słabo ruszającej się zaspie o wysokości półtora metra.

Gleb, pokonując opór tej na wpół żywej masy, uniósł dolne gałęzie najwyżej, jak mógł, przekopał przed sobą „zaspę” i wymamrotał przez

zaczynające już puchnąć pogryzione wargi:

– Wyłascze!... Piszszolet, pomóż Szaszcze.

Odsunął się na bok, przepuścił przodem towarzyszy i ruszył przez stertę chrześzczących pod nogami pseudoowadów.

Po wydostaniu się na czyste miejsce natychmiast zadarł głowę ku niebu i porozglądał się na wszystkie strony. W pobliżu nie było widać niebezpieczeństwa.

A staruszkę jako pierwszy zobaczył Pistolet.

– O, fto to? – z trudem wymamrotał tak samo jak u Gleba puchącymi w oczach ustami.

Mutant „wrócił z obłoków” i spojrzał tam, gdzie patrzył łuzanin. Dziesięć kroków od nich, przy uschniętym drzewie, stała oparta o kostur... Baba Jaga.

ROZDZIAŁ 12

W GOŚCINIE U „BABY JAGI”

Chuda jak szkielet, zgięta prawie do ziemi, z ogromnym garbem starucha naprawdę przypominała leśną wiedźmę z baśni. Spod splątanych rzadkich siwych kosmyków połyskiwało drapieźnie oko, drugie było zaciągnięte bielmem. Jej długi haczykowaty nos, tak jak policzki i podbródek, pokrywały liczne włochate brodawki. Płaszcz staruszki przypominał zardzewiałą blaszaną obudowę, która przez kilka dziesięcioleci leżała pod gołym niebem. Najprawdopodobniej kozuch ten zszyto kiedyś ze skór zwierzęcych, ale przez długie lata tak bardzo się znosił, wytarł, wytłuścił i zaskorupiał, że nie dało się już określić jego prawdziwego pochodzenia.

– Chodźta tu – zawołała skrzypiącym, ale zaskakująco mocnym głosem „Baba Jaga”.

Pierwszą myślą Gleba było: „Jednak nas dogonili!”. Po chwili zastanowienia uznał jednak, że taka ledwo trzymająca się na nogach starowinka raczej nie mogła tak długo i szybko ich ścigać. Zresztą wśród „dzikich”, którzy napadli na cerkiewnych, nie widział żadnych staruszek (i w ogóle kobiet). Mutant obrócił się w stronę Pistoleta trzymającego Saszkę za ramiona i kiwnął głową: idziemy. Łuzanin w odpowiedzi sposepniał, ale przytaknął.

Zbliżywszy się do „wiedźmy”, przyjaciele zatrzymali się, czekając na to, co ta im powie. Jednak staruszka nie mówiła nic – przywołała tylko Gleba palcem i kazała mu się pochylić, po czym niespodziewanie uderzyła

go dłonią w usta, czymś go przy tym kłując. Mutant się odsunął, chciał nakrzyczeć na szaloną babcię, ale nagle poczuł, jak z warg szybko schodzi mu odrętwienie razem z opuchlizną. Spróbował nimi poruszyć, chrząknął z zadowoleniem i całkiem wyraźnie powiedział:

– Dziękuję!

Widząc to, Pistolet sam nachylił się do babci:

– Ja też chcę!...

„Baba Jaga” w milczeniu powtórzyła procedurę. Gleb zdążył zauważyć, że „wiedźma” ścisnęła między palcami parę żółtych zeszłorocznych sosnowych igieł. „Akupunktura” – wypłynęło z głębin uszkodzonej pamięci.

Tymczasem staruszka przywołała ich ruchem głowy, odwróciła się i postukując kosturem o ziemię, całkiem żywo ruszyła w gęstwinę. Wędrowcy spojrzeli po sobie i poszli w ślad za nią. Dokładniej: spojrzeli po sobie Gleb i Pistolet – Saszka miał zamknięte oczy i już zupełnie nie mógł utrzymać się na nogach, tak że w rezultacie mutant wziął chłopaka na ręce.

Idąc za babcią, Gleb co i rusz się oglądał, żeby zapamiętać drogę powrotną, i wkrótce zdał sobie sprawę, że kompletnie przestał się orientować w tej głuchej ciemnej gęstwinie. Teraz, gdyby wypadło mu wracać do tratwy, po prostu nie wiedziałby, w którą stronę iść. Sądząc z zaniepokojonej miny na spuchniętej twarzy Pistoleta i tego, z jakim zagubieniem kręcił głową, łuzanin myślał mniej więcej o tym samym.

„To nic – uspokajał sam siebie Gleb. – Przeżyjemy, damy radę. Przecież ostatecznie nie zje nas ta „Baba Jaga”. A jeśli nas nakarmi i choćby przenocuje chłopaka, to w ogóle będzie pięknie”. Mutant faktycznie zaczynał coraz bardziej martwić się o Saszkę. Chłopaczek po utracie przytomności już jej nie odzyskiwał. Gleb wiedział skądś (sama informacja znalazła się w jego głowie, ale jej źródło pozostało nieznane), że po licznych ukąszeniach pszczoł u niektórych szczególnie wrażliwych na ich jad ludzi może nawet dojść do zgonu. I to pszczoł! A tu było w ogóle nie

wiadomo co. Sądząc z tego, jak mocno spuchły pogryzione miejsca u samego Gleba i jak nieznośnie go piekły, jad latających pseudopajaków był prawdziwym paskudztwem.

Na szczęście nie szli długo. „Baba Jaga” stanęła przed jakąś porośniętą mchem stertą starych powalonych drzew. Gleb z początku pomyślał, że staruszka po prostu nie może się przez nią przedostać. Ale ta, i bez tego zgarbiona, pochyliła się jeszcze niżej i otworzyła w tej „stercie”... drzwi. Były umieszczone tak nisko, że, jak się zdawało, prowadziły prosto pod ziemię. Zresztą prawie tak było. Siedzibę „wiedźmy” stanowiła dość przestronna ziemianka, a te stare pnie, które Gleb wziął za bezładną stertę, służyły za jej dach.

W dół prowadziły stopnie z bali z ociosanymi wierzchołkami, po których staruszka wręcz zsunęła się do środka. Potem zza „framugi” ukazały się jej ręce, suche i cienkie jak wyschnięte gałęzie.

– Dawaj – zaskrzypiała gospodyni ziemianki.

Gleb z początku nie zrozumiał, czego się od niego oczekuje. Ale ręce „Baba Jagi” poruszyły się rozkazująco i ta powtórzyła:

– Dawaj go tu!

Stało się jasne, że starucha mówi o Saszce. Wszystko zdawało się logiczne, Gleb i tak nie przecisnąłby się przez wejście z chłopakiem na rękach – nawet sam może ugrzęznąć. Ale oddać ot tak chłopca w łapy „wiedźmy” też jakoś nie miał ochoty. No i jak ona go utrzyma, przecież sama ledwo żyje?... Jeszcze upuści!

Wtedy i Pistolet szepnął mu gorąco do ucha:

– Nie wolno ci! Ona go chap! Drzwi klap! I tyleśmy go zipieli!...

– Tyleśmy go widzieli – machinalnie poprawił mutant, ale szybko się opamiętał, pokręcił głową. – Co ty pleciesz? Z chłopakiem jest bardzo źle! Gdzie mamy z nim iść? I co ona nam zrobi? Widziałeś w ogóle, jak ona wygląda? Jakby sama stała jedną nogą nad grobem. „Drzwi klap!” Co, my nie mamy rady drzwi otworzyć? Przecież ja cały ten barłóg rozwalę

w drzazgi!

– To wiedźma! – Pistolet nie ustępował. – Zaraczuje i ciebie, i mnie! Widziałeś, co zrobiła z pszczołami? Nas zaraczuje, a Saszkę zje. I nas potem też!

– Udławi się – zezłościł się nagle Gleb. No bo rzeczywiście, co on taki, jak dziecko! Przestraszył się „Baby Jagi”! Z chatki bez kurzej stopki...

„Bez stopki, bo ją zjadła z głodu” – przyszło mu nagle do głowy. Mutant splunął, pochylił się i ostrożnie przekazał „wiedźmie” chłopca.

– Głową naprzód, durniu, a nie nogami! – zakrakała „Baba Jaga”.

Gleb obrócił Saszkę i podał jej go tak, jak o to prosiła. Babcia przyjęła chłopca, utrzymała go bez trudu i pociągnęła w swoją stronę. Mutant, nie puszczając nóg chłopaka, zgiął się w paragraf i wszedł do „nory”. Nie utknął wprawdzie, ale stopa ześlizgnęła mu się ze schodków, niewiele brakowało, a runąłby jak długi i wypuścił przy tym chłopaka z rąk.

– Powoli, ty diable! – syknęła starucha.

– To niechący – usprawiedliwił się Gleb.

Po zejściu na dół wyprostował się – o dziwo, udało mu się to, choć od głowy do powały pozostała przestrzeń mniej więcej szerokości dłoni – i rozejrzał się wokół. Siedziba „Baby Jagi” okazała się przestronna i stał w niej nawet – dziw nad dziwy! – prawdziwy, choć niewielki i krzywo złożony z kamieni piecyk z leżanką na górze. W „chatce” był też stół, szeroka ława i rozmaite, byle jak zbite półki na ścianach, zastawione naczyniami i tajemniczymi rupieciami. W dalszy kąt był wciśnięty potężny, tylko trochę niższy od stołu kufer. Wszystko to udało się Glebowi dojrzeć dzięki słabemu światłu wpadającemu do „choromu”⁶ przez dwa wąskie okienka pod samym sufitem, pokryte półprzejrzystą błoną – najprawdopodobniej błoną wewnętrzną jakiegoś zwierzęcia.

– Na ławę, na ławę go kładźta! – zakomenderowała babcia, widząc, że niezdecydowany mutant znieruchomiał. – Ni mom ronk z żelaza.

Gleb posłusznie podszedł w ślad za staruszką do ławki i opuścili Saszkę

na szeroką deskę jej siedzenia.

– A może lepiej położyć go tam? – Mutant wskazał w stronę pieca. – Czy pani... no tak, pewnie sama pani tam śpi...

– Póki co spać się nie wybierom – burknęła „Baba Jaga”. – Na nocke go na piec położy. Wos – jednych na podłogę, inszych na ławke, a sama na kufer... A tera niech tu pobyndzie, trza go poprawić. Może z tego nie wyjść, słaby on bardzo.

– A pani może mu pomóc? – zaniepokoił się Gleb.

– Co moge, to zrobie. – „Wiedźma” poruszyła gniewnie haczykowatym nosem.

– A co będzie pani robić? – nie poddawał się mutant.

– Co, co... Jajco! – Starucha zerknęła na niego zdrowym okiem. – Jo już wiem, co robić.

Potem jednak się zmiłowała i mruknęła:

– Ziele mu zaparze, mazidło... Urok poszepce... Nie bójta się, wyjdzie z tego chłopiec.

– A pani... – Gleba nagle olśniło. – Nie mogłaby pani pomóc mnie?

– Toć ty zdrów. – „Baba Jaga” zdjęła z półki krzywą glinianą miskę, zaczerpnęła i plusnęła do niej z garnka coś gęstego i ciągnącego podobnego do smoły, podała mutantowi: – Mosz, mazidło, posmarujta się razem z tom łysom pałom – machnęła nieprzyjaźnie głową w stronę Pistoleta – i starcy wom, nie pomrzeta.

– Ja bardzo przeszrapam! – uniósł się łuzanin. – Ja przecież nie nawyżam pani... tą...

Gleb skrzywił się niezadowolony, syknął na Pistoleta i pospiesznie się odezwał:

– Ale mi nie chodzi o ukąszenia... Mam taką sprawę... straciłem pamięć. Może by pani też... poszeptała? Albo jakieś ziele?...

– Pamięć? – Babcia się nachmurzyła. – Całom ci łodebrało czy cosik pamientos?

– Mało co – przyznał się mutant. – Nie wiem nawet, kim jestem.

– Diabeł żeś jes, i tyła. – Starucha rozciągnęła nagle w uśmiechu bezzębne usta (choć nie, trzy zęby sterczały jej nieregularnie z górnego dziąsła, do tego dwa z dolnego). – Popatrze potem, ino nie miejta nadziei, że pomoge. Skoro tyn, co ci to zrobił, jest łode mnie silniejszy, to nic nie poradze.

– Zrobił... mi?... – Gleb wytrzeszczył oczy z zaskoczeniem. – A ja myślałem, że to tak samo...

– „Samo”! – zaskrzybiała „wiedźma”. – Same to ptoki ćwirkajom...

I nagle się rozszerzyła:

– No sio mi stond! Wyłaźta łoba na pole i mi tu nie wchodźta, zanim nie zawołom.

Staruszka nachyliła się nad Saszką i zaczęła ściągać z niego osmalone strzępy płaszcz. Chłopiec niespodziewanie otworzył zapuchnięte szczeliny oczu i szarpnął się niespokojnie:

– Nie, nie, nie wolno! Nie można, nie pozwolę! Gleb!... Gdzie jesteś?

– Tutaj! – Mutant przyskoczył do ławy. – Leż spokojnie, Saszka, nie bój się. Ta babcia jest dobra, zaraz cię wyleczy.

– Ty żeś jeszcze tu?! – Starucha odwróciła się gwałtownie. – Komu żem powiedziała: sio? Czy mom cie pogrzebacem popchać?

Kiedy Gleb i Pistolet wyszli na zewnątrz i odeszli nieco na bok, mutant zauważył, że łuzanin nie wygląda najlepiej. I nie tylko dlatego, że oprócz wyleczonych „akupunkturą” warg jego twarz była opuchnięta, czerwona, pokryta licznymi kropkami ugryzień, ale też dlatego, że jego towarzysz znajdował się w stanie bliskim paniki. Usta mu drżały, oczy były gorączkowo rozbiegane, na czoło wystąpił pot.

– Co z tobą? – Mutant spochmurniał i wyciągnął do łuzanina miszkę otrzymaną od staruszki. – Boli? Masz, posmaruj się maścią, a nuż pomoże.

Pistolet odsunął rękę Gleba z naczyniem i dalej przewracając oczami,

zaszeptał ze wzburzeniem, „zapominając” nawet plątać słowa i głoski:

– Nie co ze mną, tylko co z tobą! Co ty znowu wymyśliłeś? Jakie szeptanie, jakie ziele?! Przywróci ci pamięć, jasne, tylko za kieszeń się trzymaj! Widziałeś ją? Czy ty ją widziałeś?! To wiedźma, najprawdziwsza wiedźma! Ona ci urządzi taki „seans hipnozy”, że resztki rozumu ci wylecą z głowy i zostaniesz zombi, będziesz robił za jej sługusa. Najpierw zajmie się Saszka, a potem zabierze się za ciebie.

– Co ty, całkiem ci odbiło? – Gleb ze zdumieniem spojrzął na przyjaciela. – Gdyby chciała robić z nas zombi, to pewnie by się tu z nami nie pchała – załatwiłaby nas od razu tam, pod świerkiem, zanim doszliśmy do siebie.

– Może pielej czuje się u siebie... – Pistolet zareagował już nie tak pewnie, wracając do przejęzyczeń. – I nie miała pod ręką odpowiednich aparatów.

– Jakich znowu aparatów? – Mutant zamrugał. – Dużo widziałeś aparatów w jej pustelni?

– Nie... – Łuzanin całkiem stracił niedawny upór. – Nie aparatów, tylko tych... Pre... rap... aratów...

– Preparatów. – Gleb się uśmiechnął. – To nie laboratorium i nie apteka.

– No właśnie! – zawołał Pistolet. – To chata wiedźmy.

– Ochłoń. – Gleb westchnął i znów podał łuzaninowi miskę z „mazidłem”. – Masz, lepiej się posmaruj tam, gdzie sięgniesz, a gdzie nie sięgniesz, ja ci pomogę. A potem ty mnie.

– A ty i tak sbrópujesz odzyskać pamięć? – Pistolet przyjął w końcu naczynie.

– Spróbuję – odparł twardo mutant. – Może i szansa jest niewielka, ale nie chcę jej stracić. Inaczej i siebie zacznę wyklinać, i ciebie przy okazji.

Usiadł na suchym pniu powalonego drzewa i zaczął obserwować, jak przyjaciel smaruje się ziele od staruszki. W końcu Pistolet nie wytrzymał przeciągającego się milczenia i burknął:

– No bodra. Tylko potem nie płąć i nie mów, że cię nie uprzedzałem.

– Nie powiem – prychnął Gleb. – Jeśli zostanę zombi, to już na pewno niczego ci nie powiem. I płakać nie będę, bo zombi nie płaczą. Sens ich istnienia to służba swojemu panu. Więc po co tu płakać, skoro całe ich życie to spełnienie ich marzeń? Ekstrakt stuprocentowego szczęścia.

– No, śmiej się, żartuj – dalej burczał niepodobny do siebie łuzanin. – Potem pobyczymy twoje szczęście. Chodź tu lepiej i pomsaruj mnie w krzyżu...

– W krzyżu cię przecież nie gryzły!

– Po trospu mnie boli, już od dawna. Rwa kulszowa. A nuż pomoże?

*

Kiedy Gleb i Pistolet, słysząc nawoływanie gospodyni, wrócili do „ziemianki”, spokojnie posapujący Saszka spał na ławie. Właśnie spał, a nie leżał nieprzytomny – mutant wyczuł to od razu.

– Co z nim? – zapytał Gleb staruszkę, która wyglądała nieco dziwnie: lekko zakłopotana, nawet jakby czymś zbita z tropu.

– Na jutrznie całkiem się poprawi – odpowiedziała, odwracając spojrzenie jedyne go oka. – Połóżta go na piec, niech łodpoczywo.

Mutant ostrożnie przeniósł Saszkę na leżankę na piecu, zwracając uwagę, że zamiast osmalonego ni to płaszcz, ni chałata chłopiec ma na sobie porządną, choć i porządnie pocerowaną obszerną koszulę z grubej tkaniny. Co prawda spodnie pozostały te same, zapaskudzone pyłem i sadzą, ale za to pozbawione dziur – kiedy to „wiedźma” zdążyła je załatać? Czy tu też nie pomogły jej czary?

– Nakarmić wos tera czy potem? – spytała babcia, patrząc tylko na Geba i domyślając się już widocznie, jaką usłyszy odpowiedź.

– Potem – potwierdził jej domysł mutant. – Może najpierw... ze mną. Jeśli można.

– Czemu nie. – „Wiedźma” westchnęła. – Syćko można. Ino jo żem ci mówiła...

– Pamiętam – przerwał jej Gleb. – A jednak spróbujmy.

– Ano, popróbujem.

– Czy on ma wyjść? – Mutant wskazał głową w stronę Pistoleta.

– Mnie wszystko jedno, skoro nie będzie przeszkodził. Tyla co by tu nie stercoł jak bala – niech se siendzie na kufer i będzie cicho.

Nie wiadomo, dlaczego „Baba Jaga”, inaczej niż poprzednim razem, nie zwróciła się do łuzanina bezpośrednio, ale Glebowi nie chciało się tego roztrząsać, tak silna niecierpliwość go ogarnęła.

– Słyszałeś? – rzucił do przyjaciela. – Idź i nie zasłaniaj słońca. A najlepiej wyjdź.

Pistolet burknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego, ale oczywiście wcale nie myślał wychodzić – przeszedł do dalszego kąta i usiadł na kufrze z tak ponurą i obrażoną miną, że z pamięci mutantu od razu wypłynęły wersy: „Tam Kościej nad złotem swym marnieje...”^Z. W babcinym kufrze nie było raczej złota, ale sam łuzanin, porządnie wychudły po przygodach ostatnich dni, świecący łysiną, z wykrzywioną po jadowitych ugryzieniach twarzą (choć trzeba przyznać, że „mazidło” od wiedźmy wywołało bardzo pozytywne efekty), naprawdę przypominał jakiegoś baśniowego złoczyńcę.

– Masz. – Starucha podała mutantowi drewniany czerpak z mocno i ostro pachnącym płynem. – Wypij.

Gleb na moment się zawahał, ale od razu zdecydowanie pokręcił głową, wziął czerpak i nie odrywając ust, w pięciu–sześciu łykach osuszył go do dna. Od razu zadzwoniło mu w głowie, ziemne ściany „chatki” przepłynęły mu przed oczami i zdążył tylko ostatkiem gasnącej świadomości pomyśleć: „Stara jędza, jednak otruła!”, zanim wszystko wokół niego błyskawicznie skurczyło się do rozmiarów punktu, a potem eksplodowało tęczowymi iskrami, a świat wypełniła biel i szepty. Nie, nie wypełniła – świat po prostu stał się bielą, bez góry i dołu, bez wysokości, szerokości, głębokości...

Świat przestał być trójwymiarowy, czy to tracąc na amen wszystkie wymiary, czy to, przeciwnie, zyskując tak dużą ich liczbę, że mózg, przez swoje ograniczenie, po prostu odmówił przyjęcia rzeczy niewyobrażalnej. W tym świecie zewsząd dochodziły też szepty, pomimo braku kierunków. Trudno było pojąć, co to jest – biel wypełniona po brzegi szeptem czy utkana z szeptu bezkresna przestrzeń ubarwiona białym światłem. Trudno było to pojąć również dlatego, że pojmować po prostu nie miał już kto – Gleb przestał istnieć. Dalej znajdował się wewnątrz tego białego szeptu (a może stał się jego częścią?), tyle że nie był już Glebem. I nie był mutantem.

*

Młody mężczyzna, którym czuł się teraz Gleb, kroczył przez miasto. Piękne miasto! Połączone kopuły cerkwi, odbijając promienie słońca, jakby świeciły same – wabiąco, uroczyście, radośnie. Białe fasady domów, stare – z dziewiętnastego wieku, a niektóre pewnie starsze – też jakby promieniowały własnym światłem. I blask ten, to piękno, ta radość, pomnożone w sercu mężczyzny przez jego własną radość, zamieniały się dla niego w najprawdziwsze szczęście. Tak, był naprawdę szczęśliwy. I zakochany.

Zakochany bardzo się spieszył. Gleb cudzą świadomością od razu zrozumiał dokąd – do dworca rzeczno. Szedł bardzo szybko, prawie biegł. Najpierw wzdłuż ruchliwej alei, którą tam i sam sunęły liczne samochody, lśniące i barwne jak bombki choinkowe. Mutant skrawkiem własnej świadomości zdołał odnotować, że w prawdziwym życiu nie mógł widzieć niczego podobnego – takiej wspaniałości za nic by nie zapomniał, to na pewno. Nie mógł też nie zauważyć mnóstwa ludzi wokół. Najzwyklejszych ludzi, nie mutantów. Przy czym ludzie ci ubrani byli tak, jakby wokół trwało wieczne święto, jakby gdzieś nieustannie tryskał jakiś

róg obfitości – tak różnorodne, kolorowe i czyste były ubrania tych ludzi. Ale najbardziej zdumiewający w tych ludziach był nie ich strój i nawet nie to, że wśród nich nie mignął nawet jeden mutant. Zadziwiały twarze tych ludzi. Wyrażały różne uczucia: radość, smutek, obojętność i wiele innych... Oprócz jednego: nie było w nich strachu. Szczególnie tej jego odmiany, do której przywykł Gleb – codziennego strachu o własne życie.

Pozostającą „pod jego własną kontrolą” częścią umysłu Gleb czuł nienaturalność tego obrazka. Nie mógł uwierzyć, że to, co widział, może gdzieś istnieć na jawie. A kiedy dojrzał w oddali niewysoki długi budynek, szary z czerwonymi wtrętami, na którym widniał duży granatowy napis: „Wielki Ustiug”, od razu zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości nic z tego nie istnieje. Widział teraz przeszłość! Tylko czyimi oczami? To pozostawało dla niego zagadką.

Tymczasem mężczyzna pospiesznie skierował się w stronę dworca rzeczno (czyli budynku z napisem), za którym migotała w słońcu wstęga rzeki. Kiedy podszedł bliżej, stało się jasne, że stroma i wysoka skarpa schodziła do rzeki na całej długości brzegu. Od budynku stacji skarpą biegły szerokie drewniane schody z poręczami, prowadząc do wyglądającego jak zabawka zielonego budynku przystani z białym napisem „Wielki Ustiug”.

Do przystani, sapiąc ze zmęczenia, podpływał statek. Biały, piękny, daleko w dole też wyglądał jak zabawka. Ale przyjrząwszy się uważniej, Gleb (ta jego część, która wciąż nim była) osłupiał. To była „Moskwa”! Ta sama „galera”, której pojawienie się doprowadziło mutanta wraz z przyjaciółmi tutaj, do siedziby zagadkowej „wiedźmy” – to dzięki jej czarom znów teraz patrzył na fatalny statek. No tak, oto i napis na burcie – wyraźny, jaskrawy: „Moskwa”.

Zanim Gleb otrząsnął się z szoku, statek przybił już do przystani, a mężczyzna, przeskakując po kilka stopni naraz, popędził schodami w dół. Dopiero teraz świadomość mutanta dostrzegła w jego dłoniach bukiet – czerwone tulipany z białymi żyłkami.

A potem... Nie wiadomo, czyje serce – tamtego mężczyzny czy Gleba, zresztą należało teraz do nich obu – na parę sekund jakby się zatrzymało, a potem zabiło szybko, łapczywie, gorąco... Po przerzuconym z pokładu „Moskwy” trapie szła dziewczyna. Gleb nawet nie podejrzewał, że na świecie mogą istnieć tak piękne istoty. Mężczyzna, jak się zdawało, też wierzył w to z trudem. Dziewczyna wyglądała jak statuetka, ideał, bogini!... Jej długie złociste włosy lśniły w słońcu, rozwiewały się na lekkim wietrzyku niczym flaga zwycięskiej miłości. Oczy, głębokie i błękitne jak leśne jeziora, jakby wciągały w siebie mężczyznę, a razem z nim i Gleba, i obaj zdążyli wymówić: „Ma...”, potem mężczyzna zakończył: „...szeczka!...”, a mutant wyszeptał: „...ma”.

Pewnie wymówił to na głos, bo nagle się ocknął i w jedynym oku pochylonej nad nim staruszki zobaczył autentyczne zainteresowanie.

– Przypomniał żeś sobie? – wychrypiąła.

– Nie... Nie wiem – odpowiedział Gleb nieposłusznymi ustami, jakby znów się do nich przyzwyczajając. – Te wspomnienia nie były moje.

– Ale żeś powiedział: „Mama”. Ty żeś jom widział?

– Tak. Chyba tak... Ale ta dziewczyna nie może być moją mamą. Jest za młoda i za...

– Ładno? – skończyła „Baba Jaga” za mutantą, który urwał w pół zdania. – Toć i ty żeś nie potwór. Na sierść nie patrz, patrz głymbi... A że młoda bardzo, toć sam żeś przecie pedzioł, że to nie twoja pamięć. Na moje to łociec twój był. Została w tobie jego pamięć. Tak to. Tatko z mamom, dziadowie i pradziadowie – a nikogo obcego nie może w tobie być.

– „Pamięć genu”?

– Jo tam nie wiem, jak twojego łojca wołali – Gienia, Wowa czy... – Staruszka się uśmiechnęła. – Chodźta kolacje zjeść i spać się bedziemy kłaść, mileńki. Zmenczony żeś bardzo. I jo tyż.

– Ale jak to? – Mutant się ożywił. – Przecież ja właściwie niczego sobie

nie przypomniałem!

– Matule z tatkiem żeś zobaczył – i dobrze. Korzynie swoje pamiętać – to najważniejsze. Rešta to jak pioch na butach. Nie przypomnis – nowy naniesie.

ROZDZIAŁ 13

POWRÓT NAD RZEKĘ

Obudzili się wcześniej – zamglona błona na „oknach” ledwie zabarwiła się różowym blaskiem nadchodzącego świtu, tak że gospodyni, tak jak poprzedniego wieczora, zapaliła łuczywo. To jest, kiedy Gleb otworzył oczy, łuczywo już się paliło. Oprócz tego, gdy mutant sięgnął po ubranie, zobaczył, że wszystko zostało z grubsza załatane, zacerowane, a nawet oczyszczone. Kiedy „Baba Jaga” zdążyła to wszystko zrobić? Widocznie naprawdę za pomocą czarów, nie inaczej!

Gleb z zadowoleniem odnotował, że Saszka wygląda na zupełnie zdrowego i znów ma na sobie swój nieodłączny, też zaszyty i zacerowany przez babcię płaszcz. Choć pogrążony we własnych myślach mutant nie zwracał uwagi na dziwne spojrzenia, którymi chłopak co chwilę obrzucał staruszkę, jakby o coś ją błagając.

Na śniadanie zjedli resztki wczorajszej kolacji – gotowane na twardo jajka nie wiadomo jakiego ptaka (ale na pewno nie kury), zeszłoroczne borówki w zalewie, solone grzyby (skąd stara wzięła sól?), bardzo smaczne placuszki (choć z zdecydowanie nie z mąki zbożowej). Śniadali w całkowitej ciszy, nie odzywając się. Każdy myślał o swoich sprawach.

Glebowi nie dawała spokoju dziewczyna z wczorajszej wizji. Był już niemal stuprocentowo przekonany, że była to jego mama. Ale... mama całkiem młoda, kiedy nie była jeszcze nawet matką. I teraz mutant wysilał pamięć, żeby przypomnieć sobie, czy widział jeszcze kiedyś tę

dziewczynę – już jako dorosłą kobietę, która *de facto* stała się jego mamą. Wspominał – i ciągle nie mógł sobie przypomnieć. Zdawało się, że jeszcze chwila i przed oczami stanie mu upragniona twarz! Jeszcze chwila i kapryśna pamięć uchyli swojej zasłony!... Ale... nic takiego się nie zdarzyło. Jedynym, oprócz portretu mamy (choć sprzed wielu lat), co wbił sobie do „nowej” pamięci Gleb, było jej imię. Ojciec nazwał ją Maszeczka (ależ nietypowo i czule!). Czyli Masza, Maria... Wspaniałe imię! Chyba najlepsze ze wszystkich imion świata.

Pomyślał też z żalem, że jednak nie udało mu się zobaczyć ojca. Zdawałoby się, że znajdował się w jego ciele, więc bliżej się nie da! Ale co z tego, że jesteś w czyimś wnętrzu, jeśli chcesz zobaczyć go z zewnątrz. Niestety przez krótki czas „zbliżenia” po drodze do przystani nie napotkał żadnych luster. Nawet ręce ojca mutant zobaczył tylko przelotnie, na samym końcu – wyciągnięte w stronę ukochanej... Piękne ręce, z cienkimi długimi palcami. Nie były to ręce robotnika. Kim był jego ojciec – uczniem, muzykiem, pisarzem? A może – co najbardziej prawdopodobne! – w tamtym czasie jeszcze się uczył?... To było dziwne, ale Gleb mocno wierzył, że chociaż nieraz widział na jawie mamę, tylko nie może sobie jej przypomnieć, to ojca nawet nie próbował wspominać, jakby wiedział (prawie na pewno), że w świadomym życiu ani razu go nie spotkał. A jeśli nawet, to nie miał pojęcia, że to on.

– Dokond pójdzieta? – „Baba Jaga” zdmuchnęła łuczywo i przerwała przeciągające się milczenie, jakby dając gościom do zrozumienia, że jak to się mówi, czas na nich.

– My... idziemy do Ustiuga – zająknął się lekko Gleb, rzuciwszy wpieryw spojrzenie na przyjaciół. Uznał, że ukrywanie czegokolwiek przed tą starą kobietą byłoby głupie i pozbawione sensu. Do tego liczył, że dostanie od niej jakąś mądrą radę.

Jednak „wiedźma” nie dawała żadnych rad. Zapytała tylko:

– Przełajem pójdzieta czy jak?

– Jakim tam przełajem. – Mutant pokręcił głową. – Przecież nas tu zjedzą żywcem! Jakieś olbrzymie mrówki czy krokodylo-zające.

– Mrózków tu znajdzieta. – Starucha pokiwała głową. – A i zajonce, choć to nie korkodyle, toć ługryż mogom.

– Więc tak sobie myślimy – ciągnął Gleb – że trzeba iść nad rzekę. A wzdłuż niej – do miasta.

– A wiesz, kaj ta rzeka? – „Wiedźma” zmrużyła jedyne widzące oko.

– Szczerze mówiąc, nie. Wczoraj jakoś wszystko mi się pomieszało w głowie... Chociaż dziś świeci słoneczko – mutant wskazał głową w stronę podświetlonych „okien” – więc jakoś się zorientujemy.

– Toć ty żeś spamientoł wczoraj, kiej żeś tu szedł, kaj słonecko świeciło! – Starucha wyszczerzyła resztki zębów. – Dobra, pokaże, którendy iść, nie bójta sie. Pierw ostrożnie idźta lasem, ale sie nie ociongajta. Pełno tam zwierzont. Dwunogich tyż. Tu wos bestie nie ruszom, jo żem im powiedziała, ale kiej dalej odejdzietta, to tam bedzietta sami...

– Powiedziała? – Gleb uniósł brwi. – Bestiom?

– Ano, żem powiedziała, a co? Zwierzynta tyż uszy majom. No, idźta. Nie trza siedzieć po próznicy.

A jednak „Baba Jaga” udzieliła Glebowi jednej rady. Kiedy przyjaciele odeszli już od „chatki”, pożegnawszy się ze stojącą przed wejściem gospodynią, staruszka zawołała mutanta i skinęła na niego zakrzywionym palcem.

– Jo ci cosik powiem, mileńki – szepnęła, popatrując z ukosa na stojących nieopodal łuzan. – Łuwożoj na tego swojego Pistoleta. Mroczny z niego cowiek, skryty.

– Pistolet? – Gleb ledwie powstrzymał się od śmiechu. – Jaki tam skryty? Przecież on ma serce na dłoni!

– Może i na dłoni, tyła że nie na twoi, ale na swoi, co bez palcy.

– To już na pewno bzdura. – Mutant machnął ręką.

– Ano, ja żem powiedziała, a czy ty żeś usłyszoł, to twoja sprawa. – „Wiedźma” się zasępiła.

– Dziękuję, babciu. – Gleb objął staruszkę za zgarbione plecy. – Dziękuję za wszystko. Przepadlibyśmy bez ciebie.

– Zdonżyta jeszcze przepaść. – Babcia odepchnęła mutanta i nie mówiąc więcej ani słowa, wpełzła do swojej „nory”.

Zdziwiony Gleb wzruszył ramionami i ruszył w stronę towarzyszy.

Rzuciło mu się w oczy, jak patrzy na niego Saszka – z niepojętym przerażeniem, jakby był gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Chłopak trząsł się jak w gorączce i Gleb już chciał się skierować w jego stronę, żeby dowiedzieć się, w czym rzecz, i go uspokoić. Jednak starszy łuzanin, choć nie słyszał rozmowy mutanta z „Babą Jagą”, to doskonale widział, jak ta się skończyła, bezceremonialnie odepchnął ziomka łokciem i burknął:

– Mroczny włoczek z tej wiedźmy! Skryty...

Gleb mimowolnie zdumiał się, słysząc niemal te same, choć odwrotnie zaadresowane, słowa przestrogi staruszki co do Pistoleta. „Po prostu oboje jesteście czarnowidzami – pomyślał. – Jak dwa buty do pary. Nawet mówicie to samo”. Ale nie wypowiedział tego na głos, klepnął tylko starszego łuzanina po plecach, puścił oczko uspokojonemu młodszemu i zakomenderował:

– Dobra! Naprzód! Idziemy!

Mimo to Gleb nijak nie potrafił pozbyć się myśli o słowach staruszki na temat Pistoleta. I *vice versa*. Czemu tak się nie polubili? Jeśli „wiedźma” umiała dojrzeć w łuzaninie coś złego, „skrytego”, a ten to wyczuł, to wszystko było jasne. Ale jaki mrok mógł kryć się w Pistolecte? Czyżby chodziło o jego przeszłość, jego cierpienia, przebytą traumę?... Może w tym rzecz? Nieszczęsny bełkoczący mutancik stara się zapomnieć o swoich przeżyciach, mimowolnie blokuje straszne wspomnienia, a „Baba Jaga”, widocznie próbując go „przeskanować”, natknęła się na tę blokadę.

Nie udało jej się przez nią przebić, ale wyczuła skryty za nią mrok. Dlatego „mroczny”. A Pistolet oczywiście zauważył, jaki tamta ma do niego stosunek. Stąd ta wzajemna wrogość. Tak to właśnie wygląda. Inaczej po prostu nie może być!

Znacznie bardziej nieprzyjemne były ostatnie, pożegnalne słowa dziwnej babci. „Zdążycie jeszcze przepaść”... Nieźle chlapnęła. Od razu się człowiek robi spokojniejszy przed drogą! Ale co miała na myśli? Zobaczyła coś czy tak sobie palnęła, wiedząc, dokąd zmierzają? Pewnie nie spodobało jej się, że ją objął, odwykła od ludzkiej czułości. No i gdyby zobaczyła coś konkretnego, to na pewno by go ostrzegła... Tak jak przed Pistoletem.

Ale najbardziej przykre dla Gleba było to, że nie spełniła się jego największa nadzieja. W końcu niczego sobie nie przypomniał. Tak, przez chwilę widział mamę, ale kim jest on sam, skąd się wziął, dlaczego – tego nie wyjaśnił. Nie pomogła mu starucha, nic jej nie wyszło. A teraz „przepadniecie”! Pieprzona wróżka!

Gleb sam nie zauważył, jak ogarnęła go irytacja. Ścisnęło go w piersi, trudno było mu oddychać. Ze złości czy z żalu – nie wiadomo. Zresztą na kogo miał się gniewać? Na stukniętą babcię pustelnicę? Czy to ona zawiniła w jego nieszczęściach? Powinien się złościć na siebie, na swój pusty, bezmózgi łeb. Albo na tego, kto go opróżnił. Żeby tak dobrać się do tej swołoczy, zacisnąć palce na jej nikczemnej szyi!...

Czarne paznokcie mutanta wpiły się w zaczynające się goić dłonie, pojawiła się krew. Ale Gleb nawet nie poczuł bólu. Za to nagle usłyszał:

– Pali się! Las się pali!... Pożar!!!

Krzyczeli Saszka i Pistolet. Obaj, w duecie. I obaj mieli identycznie wytrzeszczone oczy.

Gleb odwrócił się za siebie. Las za ich plecami rzeczywiście płonął. „Płonął” to mało powiedziane – tam szalał pożar! Trzeszczało świerkowe igliwie, dym walił w niebo brunatnymi kosmatymi słupami, błyskawicznie zasłaniając słońce. Ale i bez słońca było jasno – ogień, jak się zdawało,

szalał wszędzie.

– „Baba Jaga”!... – Glebowi zrobiło się zimno.

Kompletnie bez zastanowienia rzucił się z powrotem, wprost w buchające płomienie. Gdyby się zastanowił, raczej by się nie odważył... Zresztą, gdyby zwlekał jeszcze chociaż chwilę, nie byłoby już po co. Dlatego że... Dlatego że ledwie mutant dobiegł do najbliższego płonącego świerka, ogień nagle zaczął błyskawicznie opadać, jakby jakiś wielkolud postanowił zdmuchnąć te olbrzymie świece, jakby drzewa naprawdę były tylko świeczkami na torcie urodzinowym. I świerki faktycznie zgasły, dymiły się jeszcze tylko z zakłopotaniem, martwiąc się zniszczonym „ubranie”.

Gleb mimo tego cudu dobiegł jednak do „chatki Baby Jagi”. A raczej prawie dobiegł. Zobaczył całą i na oko całkiem zdrową „wiedźmę” i zatrzymał się dziesięć kroków od niej, gdyż ta kategorycznie przeczącym gestem uniosła kostur.

– Jak... – wydusił zdyszany mutant, ale starucha tak srogo spojrzała na niego zdrowym okiem, że odechciało mu się mówić dalej.

„Baba Jaga” gniewnie potrząsnęła uniesionym kosturem, odwróciła się i w milczeniu skryła w ziemiance. Glebowi nie pozostało nic innego, jak tylko podrapać się po głowie i wrócić do towarzyszy. Doskonale rozumiał, że ten pożar był niewątpliwie znów dziełem jego rąk. Żeby się tego domyślić, nie trzeba było wróżki, jakkolwiek śmieszne to teraz brzmiało. Tyle że zupełnie nie było mu do śmiechu. Lepiej było zacząć się poważnie bać, i to siebie samego.

Pistolet, który wiedział już o „pirotechnicznych zdolnościach” Gleba, spojrzał na wracającego mutantą i tylko pokiwał głową. Saszka to zauważył.

– Co?... – Kręcił głową, przenosząc wzrok z niezadowolonego Pistoleta na ponurego Gleba i z powrotem. – Co takiego? Co wy tacy?... I dlaczego las zaczął się palić? I dlaczego tak szybko zgasł?... To Matriona Iwanowna, tak?...

– Jaka znowu Matriona? – burknął mutant.

– No, ta babcia, u której nocowaliśmy. Tak ma na imię.

– A skąd to wiesz?

– Sama powiedziała...

– Proszę, jak się zaprzyjaźniliście. – Gleb skrzywił usta w czymś na podobieństwo uśmiechu.

– Przecież to dobry człowiek! Wyleczyła mnie, podarowała koszulę, zaszyła mi dziury w płaszczu. – Saszka przesunął dłońmi po łątach na swoim bezkształtnym chałacie.

– Moje ubranie też zacerowała – przyznał mutant.

– A dlaczego wybuchł pożar? – Saszka wrócił do dręczącego go pytania.

I Gleb nie wytrzymał, uznając, że nie ma sensu kłamać czy konfabulować. Kłamać zresztą nie lubił – przynajmniej tak mu się wydawało.

– Nie wiem dlaczego, ale ja to zrobiłem.

– Po co?! – zawołał chłopak.

– Mówię ci przecież: nie wiem! Ani dlaczego, ani po co. Ale czasem, kiedy jestem w pobliżu, coś takiego się zdarza. Samo. Bez mojej woli.

– Czyli to nie pierwszy raz? – Saszka mimowolnie cofnęła się o parę kroków.

– Nie pierwszy. Uciekliśmy z Iljinskoje, bo spaliłem Makusinowi oborę.

– Więc to dlatego ścigali nas „dzicy”?

– No tak. – Mutant rozłożył ręce. I dodał z nutką sarkazmu: – Tak więc wybacz. Ja cię za sobą nie ciągałem.

– Po co tak mówisz?... – Chłopak się nabzdyczył. – Chcesz, żebym odszedł?

– A dokąd ty teraz pójdziesz? – Pistolet wmieszał się w rozmowę.

– Wybacz – powiedział Gleb, czując, że przeciągnął strunę. – Powinienem być cię od razu uprzedzić.

– No dobra – mruknął Saszka. – Skoro mówisz, że to dzieje się samo,

bez twojej woli, to co za różnica? Przecież to nie twoja wina.

– A jeśli następnym razem podpalę wszystko wokół nas i nie będzie się dało uciec? Tak jak wtedy, na „galerze...”

– Więc to też byłeś ty?!...

– Ja.

Chłopak zamrugnął zakłopotany, jakby zamierzał się rozplakać. Ale nie zrobił tego, pokręcił tylko głową, jakby odrzucając resztki wątpliwości.

– Nieważne – powiedział. – To nie była twoja wina. I nie zamierzam cię porzucać, jeśli sam mnie nie przegonisz.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Gleb wyciągnął ręce do Saszki, czy to żeby go objąć, czy to po prostu poklepać po plecach, ale w ostatniej chwili cofnął je, przypomniawszy sobie swoją obietnicę.

– To tyle? – Spojrzał na swoich towarzyszy. – Wszystko sobie wyjaśniliśmy? W takim razie chodźmy dalej.

Szli w milczeniu. Ale mutant czuł, że jest to milczenie „dobre”, a nie takie, co wróży waśnie i niesnaski. Rozumiał, że chłopak potrzebuje trochę czasu, żeby przetrwać to, co usłyszał, zaadaptować się do nowych okoliczności. Milczenie Pistoleta też było słuszne – łuzanin wykazywał się naturalnym w tej sytuacji taktem.

Gleb szedł we wskazanym przez „Babę Jagę” kierunku, sprawdzając położenie słońca. Wyjaśnił staruszce, że chciałby wyjść nie na wysokości wsi Słobodka, gdzie mogły pozostać zarówno „dzikie” mutanty, jak i cerkiewni, ale dalej w dole rzeki. Przez to, że dystans do pokonania stał się nieco większy (a i bliskość pościgu przeszkodziła wczoraj w ocenie, jak daleko zabrnęli w głąb lasu), teraz było niezbyt jasne, jak szybko dotrą do rzeki. Ale mutant nie zamierzał robić jakichkolwiek postojów, dosłownie całą powierzchnią skóry odczuwał tu niebezpieczeństwo. Być może rzeka stanowiła tylko pozorną ochronę, jednak Gleb sądził, że kiedy do niej dotrą, najpoważniejsze trudnością pozostawią za sobą. Oczywiście największe zagrożenie i problemy czekały ich w samym Ustiugu, ale do niego trzeba

było jeszcze dotrzeć.

Przecucie, że za moment coś musi się stać, wciąż narastało. I kiedy od strony gęstych zarośli przed nimi rozległ się ostry okrzyk: „Ej tam, stójta wszyscy!”, Gleb ani trochę się nie zdziwił, nawet nie drgnął. Saszka zamarł przestraszony. Tylko Pistolet zadrżał, szarpnął się, ale mutant syknął na niego, posłał mu surowe spojrzenie i łuzanin ucichł, choć pozostał napięty, gotów w każdej chwili zerwać się z miejsca.

Gleb uniósł ręce i zawołał, starając się nie zdradzić głosem niepokoju:

– Stoimy. Nie mamy broni. Czego chcecie?

– Niech tamci dwaj tyż rynce podniosom – przemówił z krzaków ten sam głos.

Gleb odwrócił się do przyjaciół, skinął głową – zróbcie tak – i znów przeniósł wzrok na zarośla. To, że wciąż nikt stamtąd nie wyszedł, nieco go uspokoiło. To mogło oznaczać, że w krzakach nie ma zbyt wielu ludzi – nie więcej niż trzech. Samotnik najprawdopodobniej w ogóle nie wołałby do nieznanomych, a gdyby tamci mieli przewagę liczebną, pokazaliby się od razu, bez ukrywania się.

Okazało się, że mutant miał rację; wkrótce z krzaków wyszli dwaj ludzie. Mężczyźni. Przysadziści, barczyści, brodaci, ubrani choć może nie w kompletne łachmany, to zdecydowanie biednie. Obaj trzymali przed sobą w gotowości zaostrzone kołki. Wyraźnie nie przypominali cerkiewnych, ale Gleb nie mógł też dojrzeć z daleka jakichkolwiek jednoznacznych oznak, że mają przed sobą mutanty. Ale sądząc z ciekawości i niepokoju, z jakimi nieznanymi przyglądali się trójce podróżnych, widzieli ich po raz pierwszy, a więc najpewniej nie brali udziału w ataku na „galerę”. Nie spieszyli się, by podejść bliżej, i Gleb zupełnie się uspokoił.

– Kim jesteście? – zapytał. – I skąd?

– Sami gadajta, skond jestešta! – odezwał się drugi, milczący dotąd mężczyzna.

– Z różnych miejsc – odparł wymijająco mutant. – Nie bójcie się nas,

nie zamierzamy nikogo ruszać. Powiedzcie lepiej, czy rzeka jest daleko.

– Rzeka?... – Nieznajomi spojrzeli po sobie i znów przemówił pierwszy z nich: – Blisko. A na co wam rzeka?

– Wybieramy się do Ustiuga. – Gleb postanowił nie kręcić.

Chłopi znów popatrzeli po sobie i roześmiali się. Ale bez szczególnej wesołości, jakby nawet niechętnie.

– Wpław czy co? – spytał pierwszy chłop, kiedy skończył się śmiać.

Wszystko wskazywało na to, że był w tej parze przywódcą. Albo że po prostu okazał się bardziej rozmowny – mutant nie widział sensu w uściślaniu.

– Wpław byłoby mokro. – Uśmiechnął się. – Pójdziemy wzdłuż brzegu.

– Daleko to ujdzieta... – nie tyle zapytał, co rzucił replikę drugi chłop, sądząc z głosu, młodszy.

– Jakoś szczególnie daleko nie trzeba – odparł jednak Gleb. – Wystarczy do Ustiuga.

– Toście wy mrozowcy? – Pierwszy chłop zmrużył oczy.

– Jeszcze nie. Ale chcemy nimi zostać.

Odpowiedź mutantą znów rozweseliła chłopów – tym razem szczerze. Gleba zaczęło to nudzić.

– Dobra – powiedział – poprawiliśmy wam nastrój, a teraz pójdziemy dalej. Powiedzcie tylko jedno: jeśli pójdziemy w tamtą stronę – wskazał ręką kierunek – to nie natkniemy się na jakąś wieś? Nie chcielibyśmy niepotrzebnie ludzi straszyć.

– Uważajta, coby to wos ktosik nie wystrasył. – Chłopi przestali się śmiać. – Obcych tu nie lubiom.

– Nas nie trzeba lubić. My nikogo nie ruszamy, więc i nas niech nie ruszają. Ot i całe lubienie.

– Tu je wioska Usow Poczynok – powiedział pierwszy mężczyzna. – Ale jak pójdzieta tak, jak żeś powiedział, to jom łominieta. A jak odejdzieta kawołek dali, idźta w prawo, inaczy wyjdzieta akurat na Gawrino, tam, kaj

Łuza spotyka się z rzekom Jug. W Gawrinie chopy som mocno zadziorne – czasem i nom się łoberwie.

– Rozumiem, dziękuję. – Gleb skinął głową z myślą, że teraz, znając punkty orientacyjne, dobrze by było sprawdzić swoje położenie na mapie. – Bywajcie zdrowi.

– I wy nie chorujta. – Chłopi skinęli głowami w odpowiedzi, ale drugi, ten młodszy, nie wytrzymał i dodał: – Uważajta nad tom rzekom... – Drugi szturchnął go w bok i ten umilkł.

– Na co mamy uważać?

– Na nic. – Młody wycofał się, zmieszany, że chlapnął niepotrzebnie. Ale pierwszy, obrzuciwszy towarzysza oskarżycielskim spojrzeniem, jednak wyjaśnił:

– „Galera” wczora przyplýneła, z karnymi. I jom nasi tego... spalili. Kiej w Ustiugu sie dowiedzom, zacznom szukać zguby. I nie bendom dumać, czy żeś winny, czy nie, jak łobok się plonces.

– Cóż, dziś się raczej nie dowiedzą. A jutro będziemy już daleko. Ale dziękuję za ostrzeżenie. – Gleb pomyślał przez chwilę i jednak zapytał: – A wy sami w tym przypadku nie uczestniczyliście?

Nieznajomi sposepnieli. Potem pierwszy z nich jednak niechętnie wycedził:

– Mało u nos chopów w Usowie... Losza, jo i jeszcze ino dwaj. Oba to pokraki, za to rynce i nogi majom. Reszta albo chore, albo stare. Jak nas zabijom, same baby zostanom... Nie dadzom rady. I tak ledwo ciongniem.

– Ja tylko tak... – Mutant się zmieszał. – Nic nie wypominam. I sam uważam, że niepotrzebnie to zrobili. Słusznie mówisz: z Ustiuga przyjdą kolejni cerkiewni i będą się mścić. Dostanie się i winnemu, i niewinnemu. Na waszym miejscu uciekłbym na razie jak najdalej w las, żeby przeczekać.

– Mówie przeca, u nas ludzie stare i chore – odparł gniewnie chłop. – Kaj my z nimi? Do tego zwierzyna taka i ińsza. Przeca ich nie porzucim?... Tym razem może nas cerkiewni nie ruszom...

Drugi mężczyzna, Losza, słysząc ostatnie zdanie swojego towarzysza, wyraźnie spochmurniał.

– Jak to „tym razem”? To znaczy, że już was ruszali? – zapytał Gleb.

– A była sprawa... – Starszy chłop spojrzał na towarzysza z ukosa.

– W tamtym roku kobite mi zabili – wyjaśnił ponuro Losza. – Oluszkę... Akurat jesieniom żenić się chciałem.

– A... za co?

– Nie spodobało im się, że taka mondra! – Drugi mężczyzna nie wytrzymał.

– Czekaj ino, Borys, jo som... – Powstrzymał go drugi. I wyjaśnił: – Kiedy tamci przyśli, łona ksionżke cytała.

– Książkę?!... – zawołał zdziwiony Saszka. – Umiała czytać?...

Mutant szturchnął chłopca w bok i syknął na niego oburzony. Jednak mimo bezczelności Saszki Losza wcale się nie obraził.

– Umiała... Niestety matula jom nauczyła. Ksionżki chowała na zapiecku.

– Dlaczego chowała? – Gleb nie zrozumiał.

– Toć nie wolno – odpowiedział za Loszę pierwszy chłop, Borys. – Takie nom cerkiewni zadali reguły: dzieci nie wolno, cytać nie wolno, strzelać nie wolno... Ino pomrzeć wolno.

Mutant po raz pierwszy usłyszał o zakazie czytania i pisania dla „dzikich” i z początku się zdziwił, ale potem doszedł do wniosku, że zgodnie z logiką cerkiewnych miało to jednak sens. We wsiach mogło zostać trochę książek – kto wie jakich konkretnie. Całkiem możliwe, że i takich, w których mowa o walce o wolność. Czy choćby o szczęśliwym życiu, albo przeciwnie – o wojnie. Jeśli „dziki” nie jest analfabeta, przeczyta to, zastanowi się, wyciągnie wnioski, podzieli się nimi z pozostałymi. A potem... Wszystko może się stać tą iskrą, która wywoła wielki pożar. Ale to nie jedyny powód takiego zakazu. Przecież ten, który umie czytać, może też coś napisać. A to, co napisał, przekazać innym. Na

przykład właśnie wezwanie do akcji. Pojawił się gdzieś, dajmy na to, taki właśnie inteligentny i kochający wolność „dziki”. Wpadł na jakiś plan działania, a do tego ma tak gadane, że może przekonać innych. Ale długo by mu zajęło samemu chodzić po wsiach i osadach. A tak wystarczy, że napisze wszystko co trzeba, dziesięć, dwadzieścia czy ile tam razy – i roześle gońców po wsiach, żeby wszyscy to przeczytali.

– A co czytała wasza Ola, kiedy ją... – znów palnął Saszka i znów zarobił kuksańca w bok.

– Jo nawet nie wiem, jak to dobrze powiedzieć. – Młody chłop podrapał się po głowie. – Jakieś retro czy nekro... Cosik łopowiadała Oluszka, ale jo zem nie wyrozumioł. Że niby tam tyż była radyjacja, jak u nos. A ludzie pod ziemio się pochowali, trochę jak nasi cerkiewni. I na to właśnie wołajom cy to retro, cy to nekro...

– Skoro pod ziemiom, to wychodzi, że nekro! – wypowiedział swoje zdanie Borys.

– Oluszka cheba „retro” mówiła... A zresztom!... I w tym retro-nekro nie syćkim sie dobrze żyło. I wiela tam takich było jak u nas... Niby to mrozowcy i cerkiewni, i my, „dzikie” – tyle że wołali ich po ińszemu.

– A może tam prawdę napisali? – szepnął Saszka Glebowi.

Mutant wzruszył ramionami. Rozumując logicznie, nikt po Katastrofie nie zdołałby napisać, wydrukować i dostarczyć tu książki. Jeśli nawet, to z jakiegoś bardzo bliskiego miejsca. Oczywiście nie z Ustiuga i nie z Łuzy, z większego miasta. Z Wołogdy, z Kotłasa, a może z Archangielska, oczywiście jeśli ktoś tam ocalał... Z jakiegoś powodu nie mógł sobie przypomnieć żadnych innych miast, co było w sumie bardzo dziwne. Zresztą jego obecna pamięć w ogóle odnosiła się do przeszłości bardzo wybiórczo.

– Toć moja Oluszka kochana nie tylko umiała cytać... – westchnął tymczasem Losza. – Łona nawet te... wierszcze wymyślała.

– Wiersze?... – Teraz zdumiał się i Pistolet. Co ciekawe, mimowolnie

poprawił przy tym mężczyznę, który zniekształcił to słowo.

– A pamięta pan któryś z jej wierszy? – zainteresował się też Saszka.

– Cosik pomientom... – Losza się zamyślił. – Tyle że najwincyj łona pisała o miłości... Tych wam łopowiadać nie bede... – Teraz nawet lekko się zarumienił. Potem powiedział: – Ale jest i taki...

Mężczyzna odkaszlnął i zadeklamował – z takim uczuciem, że Gleb poczuł ciarki przechodzące pod sierścią:

Zegar wybija minuty,
Zegar wybija dni,
Dni, kiedy jesteśmy sami.

Chciałabym coś zmienić;
Świat, w którym nie chcę żyć.
Śmierci nie boję się,
Wcale się życia nie trzymam.

Życie jest tylko snem,
Obudzę się...⁸

„Niczego sobie! – pomyślał mutant. – A to dopiero! Proszę, jacy bywają »dzicy« – kto by pomyślał... Szkoda, wielka szkoda tej dziewczyny – taki talent zginął!... Ale sądząc z tego wiersza, przeczuwała swoją śmierć, nie bardzo też chciała żyć tak, jak żyła... Może naprawdę dopiero w śmierci obudziła się z takiego życia”.

Nie powiedział jednak niczego na głos. Poruszeni Saszka i Pistolet też milczeli.

– Co, nie ładnie?... – spytał czujnie zaczerwieniony Losza.

– Bardzo dobre – odparł Gleb. – Twoja Oluszka była bardzo mądra. Pamiętaj o niej zawsze, nie zapominaj. I pamiętaj jej wiersze, recytuj je

ludziom. Nawet te o miłości. Bo dopóki słyhać jej myśli, ona jakby wciąż żyje.

Wzrok młodego mężczyzny rozjaśnił się.

– Tak bede robił – powiedział. – A tamtym... tamtym jeszcze za mojom kochanom łodpłace! Choć jednego gada łubije. Przydzie czas...

Kiedy wędrowcy ruszyli dalej, starszy mężczyzna, Borys, zawołał w ślad za nimi:

– Słuchaj ty, kudłaty! A po czymu ty taki straszny?

– A żeby się bali – odparł Gleb, nie odwracając się.

ROZDZIAŁ 14

ZBAWIENNA WYSPA

Wędrowcy zatoczyli łuk wokół wsi Usow Poczinok, po czym Gleb nieznanym zmysłem wyczuł bliskość rzeki i postanowił urządzić krótki postój. Nie tyle żeby odpocząć, co zrobić rozpoznanie. Na szczęście mapa, choć zwęglona na brzegach i w kilku miejscach przepalona, ogólnie rzecz biorąc, wciąż nadawała się do użytku.

Gleb rozłożył ją wprost na ziemi i usiadł przed nią na mchu. Pistolet i Saszka usadowili się obok niego.

– Jesteśmy gdzieś tu. – Mutant stuknął palcem dokładnie w dziurkę po ogniu. – Tu jest Usow Poczinok, dopiero co go minęliśmy.

– Aha – przytaknął Saszka – a właśnie tu Łuza wpada do Jugu. A tu jest Gawrino.

– Skoro ludzie mówią, że do Wargina nie należy się pchać – wtrącił Pistolet – to lepiej...

– Wcale nie zamierzamy się tam pchać – przerwał mu Gleb. – Tak czy inaczej jesteśmy już dalej, nie będziemy się przecież cofać. – Przyjrzał się mapie uważniej i oznajmił: – Pójdziemy tu, widzicie te wyspy na środku rzeki?

– Po co nam wyspy? – uniósł brwi Pistolet.

– Po pierwsze dla orientacji – odpowiedział mutant. – Poza tym, myślę, że lepiej nam będzie przenocować na wyspie niż zwyczajnie na brzegu. Bezpieczniej.

– Nie wcześniej jeszcze na nocleg?! – Saszka się zdziwił.

– Teraz tak – zgodził się Gleb. – Ale jeszcze donikąd nie doszliśmy. A jak dojdziemy, tak czy owak będzie bliżej wieczora. Po przejściu przez las będziemy chcieli odpocząć. Dobrze by też było coś zjeść. Przy tym trzeba jeszcze wymyślić, co to będzie, i to coś upolować, wykopać, zerwać z krzaka, czy jeszcze co innego...

– Póki idziemy przez las, można nazbierać grzybów – zaproponował Saszka.

– Nie chciałbym opóźnić marszu – mutant zmarszczył brwi – ale to dobra myśl. Nie będziemy specjalnie po nie biegać, ale jak trafi się coś po drodze – zbierajcie. Chowajcie do kieszeni, nabijajcie na gałązki, nieważne.

– A ladeko jeszcze do Ustiuga? – Pistolet pochylił się nad mapą.

Gleb też się nachylił. Zaczął wodzić palcem wzdłuż linii rzeki, szepcząc coś pod nosem. Potem powiedział:

– Myślę, że jakieś trzydzieści kilometrów. Plus minus.

– A szybkość piechura – Saszka poderwał się radośnie – to pięć–sześć kilometrów na godzinę! Czyli za... – chłopak wzniosł oczy ku niebu, dokonując nieskomplikowanych obliczeń – ...pięć–sześć godzin dojdziemy na miejsce. Możemy zdążyć nawet dziś, bez żadnych wysp.

– Ochłoń – burknął z niezadowoleniem Gleb. – Znasz powiedzenie: „Śpiesz się powoli”?... Nie będziemy pokonywać sześciu ani nawet pięciu kilometrów na godzinę. Brzeg rzeki to nie szosa, którą idzie twój pieszy z podręcznika. Tu będzie i piasek, i bagna, i urwiska... Do tego nadrzeczne wsie i w końcu trzeba też odpoczywać... I to jeśli wszystko gładko pójdzie. A jeśli naprawdę wpadniemy na oddział poszukiwawczy cerkiewnych i będziemy zmuszeni gdzieś się ukryć i przeczekać? I w ogóle, jestem kategorycznie przeciw temu, żeby leżać tam od razu dzisiaj. Zmęczeni daleko nie zajdziemy, a nocować będzie trzeba nie wiadomo gdzie. Uważam, że wyspy to najbezpieczniejsze miejsce. Wyśpimy się jak należy, a jutro wyruszymy w drogę ze świeżymi siłami.

– Niech będzie jutro. – Saszka poddał się niechętnie. – Ale jutro to już na pewno powinniśmy dojść.

– Jutro będzie futro. – Mutant spochmurniał. – Czy ty mnie w ogóle słuchałeś? Jak mówiłem, że droga będzie niełatwa?

– Słuchałem... – mruknął obrażony chłopak.

– Dlatego nie będziemy niczego wcześniej planować. Jak dojdziemy, to dojdziemy.

– Mnie się to jemiście nie podoba. – Pistolet wskazał palcem na mapie punkt mniej więcej w połowie drogi. – Bardzo tu dużo zaznaczono osad i niosek...

– Aha – przytaknął Saszka i zaczął czytać na głos: – Ustje-Powalichino, Kuzminska Wystawka, Kalinino, Kremienie, Derewieńka, Semiennikowo, Olennikowo, Zajemkucz Górny, Karasowo...

Glebowi to miejsce też od razu się nie spodobało. Jug skręcał tu ostro w lewo i rozsądnie było to zakole ściąć. Ale wtedy trzeba będzie iść przez las, a nie wiedział już teraz, co było bardziej niebezpieczne: wpaść na zmutowane zwierzęta czy na mutantów w ludzkiej skórze. Jeśli się zastanowić, to wątpliwe, by do tych miejsc zdążyły dotrzeć słuchy o jego „wyczynach” w Iljinskoje, w związku z czym można nawet liczyć, że w jednej z tych wsi ich nakarmią i zaproponują nocleg... Za to jeśli miejscowi okażą się nastawieni wojowniczo, zbiorą bandę z kilku osad naraz, to mogą im dać porządny wycisk. Albo w ogóle ich zabiją. Tak więc będzie się jeszcze trzeba porządnie zastanowić, jak najlepiej postąpić.

Pistolet jakby podsłuchał myśli mutantą, bo powiódł palcem po mapie, ścinając zakole rzeki:

– Można iść tu, na skrót – i po krzyku.

– Po krzyku będzie, jak nas coś pożre w lesie – odparł sarkastycznie Gleb.

– Tu jakoś nic nas nie pożarło – zaproponował tamten.

Wystarczyło, że Pistolet to powiedział, gdy za ich plecami dał się

słyszeć szelest liści, trzask gałęzi, a potem drażniący uszy skowyt i zaraz po nim groźny basowy ryk. Przy czym, jak się zdawało Glebowi, skowytało i ryczało kilka stworów naraz.

– Szybko, do drzew! – krzyknął mutant, wyciągając nóż. – I na górę!

– A jeśli to znowu wilki?! – zawołał Pistolet, „zapominając” o myleniu głosek.

– No to zagrzeb się w ziemi! – odgryzł się Gleb. – Wilki, nie wilki – najważniejsze, żeby nas nie zauważyły! Na kogoś już polują, więc włączcie na drzewa bez dyskusji!

Starszy łuzanin nie spierał się dalej i zręcznie zaczął się gramolić na rosnącą w pobliżu rozłożystą zmutowaną sosnę. Natomiast młodszy dalej stał z wyrazem przerażenia na oszpeconej strupami twarzy.

– A ty co, potrzebujesz osobnego zaproszenia?! – ryknął na chłopaka mutant.

– Ja... nie umiem chodzić po drzewach... – wymamrotał Saszka.

– Że też... a niech mnie! – Gleb wznosił oczy ku niebu, potem chwycił chłopaka za rękę i pociągnął do sosny, na którą wdrapywał się Pistolet. Gwizdnął, zaczekał, aż ten spojrzy w dół, i zawołał: – Chodź tu, wciągnij go! – I podsadził młodzieńca na dolny konar, mimo że ten zaczął szarpać się zaciekle i krzyczeć:

– Nie dotykaj mnie! Obiecałeś!

– Inaczej tu zdechniesz, idioto! – Gleb się wściekł. – Zaraz cię wilki tak podotykają, że z twojej durnej istoty zostanie kupa kości!

Na szczęście Pistolet zdążył zejść niżej, złapać chłopaka za rękę i pociągnąć za sobą w górę, bo mutantka naszła taka chęć, żeby sprać małego zasrańca, że aż zabrakło mu tchu i zadzwoniły zęby.

I kiedy przestał się szarpać z tym młodym idiotą, kiedy przeszła ogarniająca go złość, zdał sobie w końcu sprawę, że sam nie zdąży skryć się przed niebezpieczeństwem. Tuż obok zaszleściły zarośla, prawie pod nogami mignęła mu szara kulka, nieco dalej jeszcze jedna, potem trzecia.

„Zające” – pomyślał Gleb i od razu mu się przypomniało, co powiedziała o nich stara wiedźma: „...zajonce, choć to nie korkodyle, toć ługryź mogom”. Chociaż teraz coś miało chyba zamiar ugryźć same zające. Pierwsze dwa pokicały dalej, mutant przy najlepszych chęciach nie zdołałby im się przyjrzeć, za to ostatni nagle znieruchomiał i spojrzał prosto na niego.

Gleb poczuł, jak sierść na karku staje mu dęba. Patrzył na niego... cokolwiek to było, to na pewno nie zając! Zwierzak okazał się mieć długi, najeżony zębami pysk, dwa ostre rogi zamiast uszu i krótką, szarą, szorstką sierść, bardziej przypominającą łuskę. Na długich palcach silnych tylnych łap widniały ostre haczyki pazurów. Szpony na przednich, krótszych łapach przypominały lekko wygięte na końcach noże. „A ta się jeszcze kłóciła – przemknęło przez myśl Glebowi. – Mówiłem przecież: krokodyło-zające!”

Nie miał jednak okazji długo podziwiać małego straszdyła. Bardzo blisko dał się słyszeć ryk, „zając” podskoczył i pomknął dalej, a przed mutantem, dosłownie dwa–trzy kroki od niego, pojawił się jego stary znajomy – mutowilk. Spojrzenie głodnych żółtych ślepi na potwornym pysku, podobnym do ohydnie zeszpeconej ludzkiej twarzy, wywołało u Gleba odruch wymiotny. Ale już po chwili przemógł mdłości, wyciągnął przed siebie nóż i nie czekając na stwora, sam rzucił się do ataku. Nie spodziewając się po swojej ofierze takiej zręczności, wilk cofnął się, ale mutant dopadł go w dwóch skokach i wbił nóż w podstawę jego łysej czaszki. Łapy ugięły się pod mutowilkiem i jego pomarszczone, pokryte resztkami wyleniałej sierści cielsko upadło na bok. Szósty zmysł uratował Gleba po raz kolejny, sprawiając, że szybko odwrócił się na pięcie, w samą porę, by w gwałtownym przysiadzie nadziać na wystawiony nóż drugiego stwora, który zdążył już skoczyć do ataku. A potem, tak jak wtedy, nad leśnym jeziorem, zaczęła się prawdziwa karuzela. Zamach, wypad – cios! Zamach, wypad – cios!... Mutant przypominał kosmatą maszynę do zabijania plugastwa, którego wciąż nie ubywało. Gorąca, lepka krew zalała

go od stóp do głów, ściekła mu do butów, trudno mu było oddychać od smrodu rozprutych wnętrzości.

W jednej z krótkich chwil, kiedy akurat nie leciał na niego żaden ze szkaradnych drapieżników, Gleb spojrział na sosnę, na której skryli się jego towarzysze – i zamarł... Na drzewo wspinały się jednocześnie dwa mutowilki. Miał *déjà vu* – wszystko powtarzało się niemal dokładnie, tylko poprzednim razem na sośnie siedział sam Pistolet, a teraz był z nim dodatkowo Saszka – jeszcze bardziej bezradna istota niż jego starszy ziomek. I tym razem jak na złość nie uratował ich żaden pożar – nie zaczęło dymić nawet najmniejsze ognisko.

Mutant, rękami i nogami roztrącając na boki żywe i martwe wilki, rzucił się w stronę sosny. Cisnął nóż wprost w lecący w jego stronę potworny wyszczerzony pysk, rozpostarł ramiona i wrzasnął:

– Skaczcie!!! Nie patrzcie w dół, po prostu skaczcie! Ja was złapię!

Dobrze, że go posłuchali. Od razu, bez słowa protestu – widocznie jego krzyk był naprawdę straszny. A on obu złapał. No, prawie. Cięższy Pistolet jednak wyślizgnął mu się z zakrwawionych rąk i upadł na mech obok niego. Ale natychmiast się zerwał i przylgnął do Gleba jak przestraszone dziecko do matki. Mutant zarzucił ich jak wory z mąką, na jedno ramię Saszkę, na drugie Pistoleta – i pobiegł...

Nie pamiętał swojej przeszłości, ale z całą pewnością mógł stwierdzić, że nigdy wcześniej tak nie biegał. Mknął, nie widząc drogi, całkowicie wyrzucił z głowy wszystkie myśli, wyłączył umysł, kompletnie oddając się instynktom. Cel był tylko jeden: uciekać! Najszybciej, jak się da, przebierać nogami, utrzymując przy tym podwójny ciężar na szerokich barkach. Jakie to było brzemię – o tym nie myślał. Czyje to był nogi i barki – nie wiedział. Gałęzie smagały go po twarzy, po rękach, po ciele – nie zauważał tego, przecież to była teraz obca twarz, obce ręce, obce ciało.

Gleb ocknął się, bo gdzieś go ciągnięto. Za ręce. Po wilgotnym piasku. I nie

mógł oddychać. Ktoś obrócił go na brzuch. Zaczął gnieść mu plecy. Czy skakać po nich?... Gleb zwymiotował. Samą wodą. Jeszcze raz i jeszcze... Wreszcie udało mu się nabrać powietrza, ale od razu zaniósł się od rozdzierającego gardła i płuca kaszlu. Kiedy się wykaszlał i zdołał wreszcie wziąć kilka ożywczych oddechów, obrócił się na plecy i otworzył oczy. Zobaczył nachylone nad nim przestraszone twarze Szaski i Pistoleta, pomyślał z ulgą: „Żyj!” i zdołał rozkleić usta:

– Gdzie jesteście?

Wyszło prawie bezgłośnie, mimo to go usłyszeli.

– Na wyspie! Na wyspie! – zatrajktowali radośnie przyjaciele.

Głosy dzwoniły mu w obolałej głowie i Gleb się skrzywił.

– Ciszej... Gdzie wilki?... Jak my się tu?... Nie pamiętam...

– Dobiegłeś. Dobiegłeś do rzeki – wyszeptał ktoś, Pistolet albo Szaska, mutant nie rozpoznał po głosie, dalej dzwoniło mu w uszach i znów zamknął oczy. – Uratowałeś nas wszystkich! Wilki nie pozostawały w tyle... Nawet kiedy wskoczyłeś do rzeki, niektóre rzuciły się w ślad za nami. Tyle że słabo pływają... Waliliśmy je rękami i nogami po głowach – bam! bam! – i zostały w tyle. Porwała nas rzeka, tam od razu jest silny nurt... Zacząłeś się topić. Pistolet też...

– To nie moja wina, wómiłem przecież, że nie umiem pływać – zadudnił drugi głos i stało się jasne, że główną tyradę wygłaszał Szaska. On też kontynuował: – Myślałem, że to koniec, uciekliśmy wilkom, ale połknie nas rzeka. Ciągnę was obu, ale czuję, że nie dam rady... Sam już opilem się wody, poszedłem pod powierzchnię i nie wypłynę – zabrakło mi sił... I wtedy dotknąłem nogą piasku! Odepchnąłem się od dna, wynurzyłem, pociągnąłem was...

– A wtedy i ja namacałem nogą dno! – podłapał Pistolet. – W końcu jestem wyższy od niego. Zacząłem Szaskę ciągnąć – ale nijak nie mogłem złapać drugą ręką, tą bez palców...

– On ciągnął mnie, a ja ciebie! – Szaska się zaśmiał. – I tak

wydostaliśmy się na wyspę. Nurt rzeki okazał się wąski, dalej było płytko.

Przyjaciele mówili coś jeszcze, ale Gleb już ich nie słuchał. Zrozumiał to, co najważniejsze – teraz nic im nie grozi – i znów się rozluźnił, pozwolił świadomości skryć się w przytulnej drzemce, która szybko przeszła w mocny, podobny do śpiączki sen.

*

Tym razem ocknął się już w nocnym półmroku, zbudziło go klucie w przepełnionym pęcherzu moczowym. Przy nim, mocno przyciśnięty do jego boku, chrapał Pistolet. Nocne powietrze było bardzo rześkie, czuć było bliskość rzeki i ciepło bijące od potężnego ciała kosmatego przyjaciela wyraźnie przypadło łuzaninowi do gustu. Przy czym on sam, choć nieco mniejszy, też dzielił się własnym ciepłem. To stało się tym bardziej jasne, kiedy Gleb, pokonując ból chyba wszystkich mięśni naraz, wstał i mimowolnie skulił się z zimna. Włączył swój nocny wzrok i rozejrzał się w poszukiwaniu Saszki. Chłopaka nigdzie nie było widać. Większość wyspy skrywał jednak wierzbowy zagajnik, tak więc mutant nie niepokoił się pochopnie.

Gleb, z trudem stawiając skute bólem nogi – z jakiegoś powodu był boso, nie wiedział, gdzie podziały się jego buty – pokuśtykał na bok, załatwił potrzebę i już miał się powlec z powrotem, gdy od strony najbliższych zarośli usłyszał dziwne dźwięki. Z początku pomyślał, że to jakiś ptak stuka dziobem w coś twardego. Ale kiedy dobrnął do krzaków i rozchylił gałęzie, zobaczył tam skulonego, obejmującego kolana Saszkę. Stukot wydawał nie ptasi dziób, to dzwoniły zęby chłopaka.

– Przecież ty kompletnie przemarzłeś! – jęknął Gleb. – Czemu do nas nie przyjdiesz, cudaku? Razem zawsze cieplej!

– Mmmyślałem, żeby rozpppalić ognisko... – wydusił chłopiec, trzęsąc się z zimna. – Ale najpppierw kkkrzemień był mokry, a pppotem zrobiło się

ccciemno...

– Ty naprawdę jesteś cudak! – Mutant zaczął się złościć. – Pytam jeszcze raz: dlaczego do nas nie przyszedłeś? We trzech jest cieplej, czy to nie jest jasne? Wstawaj i idziemy!

– Nie! – Saszka nagle przestał się trząść i szcząkać zębami. – Lepiej naznoś mi chrustu na ognisko, przecież widzisz w ciemności.

– Teraz widzę przed sobą idiotę. Nie zamierzam szukać ci chrustu – ledwo tu się dowlokłem, nawet jednej szczapki nie podniosę, wszystko mnie boli... I w ogóle, po jakie lichy mam wokół ciebie skakać? Taki jesteś wyjątkowy? Idziemy, bez dyskusji! Czy brzydzisz się obok nas leżeć?

– Nie brzydzę się, nie. – Głos chłopaka zadrżał, jakby miał się rozpląkać. – Po prostu... no... może to wy brzydziecie się ze mną... myślicie, że to zaraźliwe... Po co mam przy was?... Lepiej zostanę tu sam...

– No nie, z ciebie jest naprawdę kretyn! – Gleb zazgrzytał zębami. – Od jak dawna już razem idziemy? Ile razy widziałeś, żeby ktoś się trzymał od ciebie na dystans? Za to ty sam rzucasz się, kiedy tylko ktoś z nas cię dotknie! Zmusiłeś mnie nawet, żebym złożył jakąś idiotyczną obietnicę... Zachowujesz się jak rozpuszczona dziewczynka, jak księżniczka na ziarnku grochu! A ja, idiota, cię jeszcze pożałowałem, nie przegoniłem... W skrócie będzie tak: albo idziesz teraz ze mną i śpisz razem z nami, albo jak tylko dojdziemy do najbliższej wsi, oddaję cię na przechowanie miejscowym. Nie żartuję, to moje ostatnie słowo.

Mutant odwrócił się i pokuśtykał w stronę Pistoleta. Położył się i łuzanin od razu przylgnął do niego jak kociątko do mamy. Aż cmoknął z zadowolenia przez sen. Wkrótce potem dały się też słyszeć kroki młodego odszczepieńca. Chłopak szedł, cicho szlochając. Podeszedł, położył się na ziemi. Po jakimś czasie przysunął się bliżej, niepewnie przylgnął do boku mutantą... Wprawdzie leżał odwrócony plecami, ale to już było coś.

Gleb zaczął się zastanawiać. Przypomniawszy sobie, jak naskoczył na

chłopca i nagle się rozzłościł. Nie na niego – na siebie. W końcu co on wie o Saszce, o tym, w gruncie rzeczy, dzieciaku? Jak się wychowywał, w jakich warunkach, co musiał przeżyć, znieść – jakie trudności, cierpienia, łajdactwa?... Od dobrego życia nikt nie ucieka na złamanie karku, nie wiadomo dokąd – może na samo dno piekieł! Mógł wycierpieć tyle, że Glebowi nie przyśniłoby się w najstraszniejszym koszmarze! I ludzki dotyk jest dla niego tak nieznośny, bo mimowolnie przypomina mu inny dotyk – ohydny, lepki, pożądliwy... Albo taki, który sprawia tylko ból – biciem, sadystycznym okrucieństwem?... Co on, kosmaty, pewny siebie przygłup może o tym wiedzieć? Nic! O samym sobie niczego nie wie, a tu pcha się z morałami, grozi, szantażuje... Tfu, co za ohyda! Miał ochotę wyrwać sobie swój przekłety język. Trudno mu było zbierać chrust! No pewnie, zmęczył się, bidulek, nieszczęśnik, bolą go rączki i nóżki!... Zwymyślał chłopaka od księżniczek na ziarnku grochu, a sam co? Książę niedorobiony! Durna małpa!

Złość rozgorzała w mutancie z taką siłą, że początkowo wziął ogień za przywidzenie z jej powodu. Ale szybko zdał sobie sprawę, że nie, to prawdziwe płomienie. Co prawda mizerne, niepewne – młode wierzby nie chciały się palić.

Zapominając o bólu w wycieńczonych mięśniach, Gleb zerwał się na nogi i zaczął uwijać się po wyspie w poszukiwaniu suchego drewna dryftowego, żeby rozpalić ognisko, zanim nieśmiałe płomienie całkiem nie zgasły. Na szczęście zniesionego przez prąd i wyrzuconego na brzeg wysepki drewna było wystarczająco dużo. Ognisko ze zbielałego na słońcu chrustu rozpałiło się szybko, rozgrzewając zziębnięte ciało mutanta błogim żarem.

Przyjaciół nie trzeba było wołać – czując bliskie źródło ciepła, obudzili się i sami podeszli do ognia.

– Znowu?... – Pistolet wymownie spojrział na Gleba.

Mutant skinął głową. Zerknął z ukosa na Saszkę. Chłopak położył się

przy ognisku i patrzył w ogień, nie odrywając oczu. Gleb przykucnął obok. Chciał położyć mu dłoń na ramieniu, ale w porę się spostrzegł.

– No więc... tego... wybac mi, dobra? – burknął. – To z głupoty. Nadenerwowałem się wczoraj i...

– Co? – szybko odwrócił do niego twarz chłopak. – O czym ty mówisz, Gleb?... Przecież uratowałeś nas wszystkich, na rękach powinniśmy cię nosić, a ja... To ty mi wybac. Potem ci opowiem... może...

W oczach chłopca, w których odbijały się rude błyski płomieni, Gleb zobaczył nagle coś, co sprawiło, że przymknął powieki i zamrugał. Z obawą spojrzął w nie znowu – jednak nie, tylko mu się wydawało, oczy jak oczy, co najwyżej trochę wilgotne... A co mu się w nich właściwie pokazało? I to takiego, że jakby ktoś walnął go obuchem po głowie!... Nie wiadomo... Mignęła mu w głowie błyskawica – i łap ją teraz! Tym uszkodzonym mózgiem, któremu nie można było do końca ufać.

– Jak będziesz chciał, opowiesz – możliwie najspokojniejszym tonem powiedział mutant. – A przepraszać nie masz za co. I... w ogóle, zapomnij o tym, co ci powiedziałem o najbliższej wsi. Nikomu cię nie oddam, będziemy razem do końca, jakkolwiek on będzie. A teraz spać!... Chociaż, zaczekajcie... Ktoś wie, gdzie są moje buty?...

– Umyłem je. – Saszka podniósł się na łokciu. – Od wewnątrz były całe we krwi, nawet po przeprawie przez rzekę. Zostawiłem je gdzieś tam, żeby się wysuszyły – wskazał ręką w ciemność.

Glebowi bardzo nie chciało się wstawać – zmęczenie i ból wypełniały, jak mu się zdawało, każdą z komórek jego ciała. Ale wygodne suche buty – dobrze o tym wiedział, raczej nie z doświadczenia, ale gdzieś utkwilo mu to w głowie – to przy długich marszach najważniejsza rzecz. I dlatego, stękając niczym zgrzybiały starzec, podniósł się, ruszył we wskazanym kierunku, znalazł buty, przyniósł i postawił je przy ognisku – tak żeby nie sięgały ich płomienie, ale dość blisko, by je wysuszyć.

– Nawiasem mówiąc, wam też radzę zdjąć buty i je osuszyć –

powiedział towarzyszom.

Saszka go posłuchał. Pistolet nawet się nie ruszył – pewnie już spał.

ROZDZIAŁ 15

PRZEPRAWA POWROTNA

Rano Gleb nie mógł się ruszyć. Najmniejszy ruch wywoływał ból w całym ciele – czuł go chyba nawet w kościach. „A przecież w nocy biegałem, zbierałem drewno – i nic” – pomyślał mutant. Chociaż rozumiał, dlaczego miał wtedy tyle siły – działał w afekcie. Wyrzut adrenaliny do krwi i tak dalej... Teraz, jak widać, czuł tego skutki. Jak to się mówi, prawo zachowania energii – gdzieś czegoś przybyło, to znaczy, że skądś ubyło. Najwidoczniej prawo to działało też w przypadku zdrowia i samopoczucia.

Mutant czuł się na tyle źle, że nie od razu udało mu się wniknąć w sens rozmowy swoich towarzyszy, którzy obudzili się przed nim. A kiedy wreszcie zrozumiał, nie znalazł nawet sił, żeby się uśmiechnąć.

– Nie jestem już pistoletem! – ogłosił tragicznym tonem starszy łuzanin.

– Więc jak mamy cię teraz nazywać? – dał się słyszeć głos młodszego. – Anatolij?

– Ja nie o tym... Znów opyliłem słowa... Lato... sip... Nie, liso... tis...

– Latopis.

– Właśnie, nie jestem już latopisem, kronikarzem. Popatrz...

– Co to? Wygląda jak przeżuty strzęp czegoś...

– Właśnie! Sprzęt. A to był kiedyś notes...

– Notes? To jest twój notes? – Saszka się roześmiał. – No nieźle, dużo tu nie napiszesz!

– Tym bardziej że nie mam czym... – zabrzmiał ponury głos Pistoleta. –

Borówek utonął.

– Przecież jest z drewna! Jak mógł utonąć?

– No, to popłynął. Dla mnie bez żórnicy.

– Skoro i tak nie masz na czym pisać, to po ci ołówek?

– Szwystko przepadło! Co teraz powie Gleb?...

– To on ci polecił prowadzić zapiski?

– Ja mu to obiecałem. I teraz okazuje się, że go zawiodłem...

– Co ty, przestań. Od czego masz głowę? Ruszemy teraz dalej, a ty idź i wszystko zapamiętaj. I wspominaj to, co było. A potem, przy okazji, to zapiszesz. I nikogo nie zawiedziesz.

– Zdaje się, że to ja was zawiodłem – powiedział Gleb, z trudem unosząc głowę. – Wątpię, żebym mógł teraz dokądś iść.

– No i dobrze. – Pistolet zamachał rękami. – Dzień w jedną, dzień w grudą – co za żórnica? Poleż, odpocznij.

– Durnica w tym – przeinaczając nieco przeinaczone przez łuzanina słowo, powiedział mutant – że przeze mnie cały dzień będziecie głodni.

– Mogę popłynąć na brzeg! – Saszka się poderwał.

– I co?

– No... nie wiem... Nazbieram grzybów, jakichś korzonków... Znajdę cokolwiek do jedzenia. Na pewno.

– Czy znajdziesz, czy nie, tego jeszcze nie wiadomo, za to sam na pewno okażesz się czymś posiłkiem. – Gleb spochmurniał. – Zapomniałeś o wczorajszych wilkach? Do tego zające – miłe i puszyste... A my nie mamy teraz nawet noża. Więc nie myśl nawet o drugim brzegu, samego cię nie puszcę.

– Można spróbować złowić jakąś byrę – odezwał się niepewnie Pistolet.

– Na żywca? – Mutant uśmiechnął się paskudnie.

– Czyli jak?

– Cóż, zaczniesz się pluskać przy brzegu, wyczuje cię jakiś zmutowany szczupak, chapnie cię za coś – a ty od razu na brzeg razem z nim.

– To nie jest śnieszme! – burknął Pistolet. – Miałem na myśli brodnik, z koszul. Sam przecież mówiłeś...

– Brodnikiem można łowić w zatoczce – spowaźniał Gleb, widząc, że faktycznie przesadza z czarnym humorem – albo w jakimś stawie. Tam, gdzie jest płytko, gdzie ryby nie mają dokąd uciec. A tutaj to bezsensowny pomysł, ryba sama z siebie nie wlezie do koszuli – po co jej to?

– Więc co będziemy robić? – Pistolet zmarkotniał.

– Głodować – burknął mutant. – Cóż by innego?

– Popatrz tam. – Saszka wskazał na łagodny piaszczysty brzeg w dół rzeki. – Tam akurat są jakieś zatoczki.

Gleb spojrział tam, gdzie pokazywał chłopak, ale nie mógł dojrzeć, czy to faktycznie zatoka, czy zwykłe przedłużenie rzeki, nieco głębiej wcięte w brzeg. Zazdroszcząc ostrości młodzieńczego wzroku, powiedział:

– Nawet jeśli to zatoka, to najpierw trzeba się do niej dostać. A ja nie mogę wstać.

– No to ja... – zaczął chłopak, ale mutant od razu mu przerwał:

– Powiedziałem już, samego cię nie puszcę.

– No to pójdę razem z Pistol...

– Pistolet nie umie pływać – Gleb znów mu przerwał. – On utonie, ciebie pożrą wilki, a ja tu się będę śmiał. Robinson bez Piętaszków.

– Kto? – zaniepokoił się starszy łuzanin. – Jaki bizon? Bez jakich tępiaszków?

– Co, nie czytałeś tej książki? – Mutant się uśmiechnął. – O Robinsonie Crusoe.

– Książki?!... – Pistolet spojrział na Gleba w taki sposób, jakby ten przyłapał go na czymś wstydlwym. – Jakie znowu książki? O czym ty myślisz? Potrzebujemy siedzenia, a ten!...

– Siedzenia czy szczepienia? – Mutant wyszczerzył zęby. – Szczepienia przeciwko książkom. Jeszcze człowiek złapie jakąś chorobę mózgu...

– To cwale nie jest śmieszne! – Łuzanin obraził się na serio. – Skąd

wiesz, może przetyczałem więcej książek od ciebie! Tylko teraz nie czas na to. Jakieś bizony, jakieś piętki!... Pewnie chleba... Tylko chleb z książek nam nie mopoże. Serio potrzebujemy siedze... jedzenia. A ty w pierwszej kolejności! Proszę, jaki tesjesz wielki, potrzebna ci energia. Szaska i ja pociągniemy dzień czy dwa bez jedzenia, a ty...

– Ja też bym coś przekąsił. – Szaska przełknął ślinę. Od razu się spostrzegł i pokręcił głową. – Ale wytrzymam, jasne! Wytrzymam, ile będzie trzeba.

Mutant sposepniał. Siedzenie przez cały dzień bez jedzenia było oczywiście nie do przyjęcia. Szkoda przyjaciół, poza tym Pistolet miał rację – sam Gleb potrzebował energii. Dużo energii. Szczególnie biorąc pod uwagę, ile jej wczoraj stracił, uciekając przed wilkami. Praktycznie całą, wliczając w to rezerwę, przeznaczoną przez organizm na stresy i inne wyjątkowe sytuacje, do wykorzystania tylko w ostateczności. Wczoraj właśnie do takiej sytuacji doszło. Najbardziej wyjątkowej, jak to tylko możliwe! A więc teraz ma tej energii tylko odrobinę więcej niż nic. I przez dobę bez pożywienia raczej jej nie przybędzie, prędzej odwrotnie, a wtedy jutro, nawet jeśli mniej go będą bolały mięśnie, może nie być w stanie zrobić nawet kroku. I w ogóle siedzieć przez cały dzień na tej wyspie byłoby jakoś nieprzyjemnie. Tak, jest tu względnie bezpiecznie, leśne stwory się tu nie dostaną. Chociaż pewności nie miał... Kto wie, a jeśli któraś ze zmutowanych bestii nie ma nic przeciwko pływaniu? W końcu mutowilki nauczyły się łązić po drzewach! Nie można też zapominać o „ptaszkach” – na przykład o tym, który próbował schrupać go razem z Pistoletem nieopodal Iljinskoje. No i ludzie. Sądząc z mapy, wioski położone są nie bardzo blisko, ale też nie aż tak daleko, było więc całkiem możliwe, że ktoś mógłby się tu zapuścić. No i kiedy wykonano tę mapę?! Wszystko mogło się zmienić. Niewykluczone, że mieli pod bokiem jakąś osadę i już teraz ktoś ich obserwuje. Na tę myśl Gleb mimowolnie się skrzywił. A kolejna, która nagle przyszła mu do głowy, sprawiła, że aż się

wzdrygnął, czując, jak sierść staje mu dęba. Lokalni mieszkańcy, mutanty, „dzicy” – to wszystko nic. Być może niczego złego im nie zrobią – było bardzo mało prawdopodobne, żeby dotarły tu słuchy o pożarze w Iljinskoje. Ale cerkiewni!... Nie wiadomo przecież, jak długo miała trwać inspekcyjno-karna ekspedycja na „Moskwie”. Co jeśli zamierzali wrócić do domu już wczoraj? A ponieważ nie wrócili, w Ustiugu mogli (mało tego, absolutnie musieli!) się zaniepokoić i wysłać posiłki. Kto wie, ile oni mają tych „galer”? Prawdopodobieństwo, że zareagowali szybko i pomoc już pędzi albo za moment ruszy w drogę, nie było szczególnie wielkie, ale i nie na tyle małe, żeby nie brać go pod uwagę.

Gleb mimowolnie spojrział w dół rzeki. Na razie było tam pusto. Ale tylko na razie! Wystarczy, że pojawią się cerkiewni, a oni będą na tej wysepce jak w pułapce na myszy! Nawet jeśli skryją się w zaroślach, zdradzą ich ślady na piasku. Można zrobić miotełki z wierzbowych witek i spróbować je zamieść, ale tak czy inaczej, nie uda im się zrobić tego idealnie. A i cerkiewni nie będą tu na wycieczce, na pewno zaczną czujnie rozglądać się na boki i obowiązkowo zbadają podejrzane miejsca.

Tak więc wysepka nie była teraz dla nich ratunkiem, ale pułapką. I trzeba było z niej uciekać, i to jak najszybciej. Czy mógł, czy nie.

Zgrzytając zębami i niemal wyjąc, Gleb wstał. Saszka i Pistolet spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Co ty? – zapytał starszy łuzanin. – Co się tak zewrałeś? Przecież cię boli! Aż całego cię koprzywiło!

– To prawda, Gleb – podchwycił Saszka. – Połóż się, połóż! Jeśli musisz... no... to powiedz, odwrócimy się, zejdziemy ci z oczu...

– Niedługo tu wszyscy zejdziemy, jeśli dalej będę leżał – wydusił mutant. – Trzeba przedostać się na brzeg.

– Przecież wómiłeś... – zaczął Pistolet.

– Głupoty mówiłem – przerwał mu Gleb. – Dostyc! Uznajmy, że już odpocząłem. Teraz popłyniemy na drugi brzeg.

– Ale przecież ja... – znów odezwał się luzanin, ale mutant ponownie mu przerwał, tym razem ostrzej:

– No to tu zostań!

– Myślałem, że to ty mnie jakoś...

– Nie. Popłyniesz sam. To niedaleko, trzeba tylko przepłynąć nurt, a ten nie jest szeroki. Jakąs połowę całego dystansu można przejść w bród. A dalej, przy brzegu, też nie jest zbyt głęboko. Każdy weźmie po kłodzie. Przywiążemy do nich ubrania i buty. No i będzie można się ich trzymać, jeśli komuś przyjdzie nagle do głowy zacząć się topić. Nie – ubrania moje i Pistoleta przywiążemy do kłody Saszki – on dobrze pływa i nie utonie nawet bez pomocy. A nam dwóm bale na pewno się przydadzą, tak więc ubranie będzie tylko przeszkadzać, no i zamoknie.

– Swojego mogę nie przywiązywać – powiedział Saszka. – Dobrze na mnie wyschnie. Przyczepię tylko buty. Więc dla waszych ubrań na pewno znajdzie się miejsce.

– Znajdzie się dla wszystkich. – Gleb surowo spojrzał na młodzieńca. – Przecież nie mówiłem o jakiejś szczapce, tylko o kłodzie.

– Tylko gdzie taką dzieńzjemy? – Pistolet rozłożył ręce.

– A po tamtej stronie wyspy. – Mutant pokazał ręką. – Prąd dużo tam naniósł, widziałem w nocy, kiedy szukałem chrustu. Czy wszystko jasne?

Obaj przyjaciele synchronicznie kiwnęli głowami.

– No to co tak stoicie? Mowy pożegnalnej nie będzie. Nogi, ręce – i marsz po drewno! Dla mnie też weźcie. Zanim dowlokę się do wody, akurat zdążycie.

Saszka z Pistoletem pobiegli po kłody. Mutant zebrał wszystkie siły i zaczął brnąć w stronę rzeki. Chociaż najtrudniejsze i najbardziej bolesne okazało się pierwsze dwadzieścia, trzydzieści kroków. Potem Gleb czy to przywykł do bólu, czy to mięśnie mu się „rozgrzały” – tak czy inaczej, poszło mu znacznie lepiej. „No proszę – nabrał otuchy mutant – ruch to życie, a pod leżącym kamieniem tylko robaki się lęgną”.

Gleb poruczył przywiązanie swojego ubrania do kłody Saszce – sam zginał się tylko z wielkim trudem, a Pistoletowi trudno byłoby się uporać z tym zadaniem przez brak palców u dłoni. Najpierw mutant i starszy łuzanin zdjęli buty i rozebrali się. Chłopak od razu się zawstydził, zaczął się odwracać... Jednak sam też zaczął zzuwać buty. Najpierw zdjął jeden, zaczął rozwiązywać sznurowadło drugiego... A kiedy próbował go ściągnąć, stojąc na jednej nodze, zachwiał się, stracił równowagę i... but poleciał na piasek, a sam chłopak z głośnym pluskiem wpadł na wznak do wody. Podniósł się i nie patrząc na Gleba, przepaszająco rozłożył ręce:

– No... Teraz już nie ma sensu się rozbierać.

Wszystko to wyglądało całkiem naturalnie, ale mutant był prawie stuprocentowo przekonany, że Saszka urządził scenę z kąpielą umyślnie. Zwyczajnie nie chciał się rozbierać przy ludziach – i tyle! W końcu jak dotąd nie rozbierał się przy nich ani razu. Wtedy, jeszcze przy tratwie, poszedł się umyć w krzaki, a „Baba Jaga”, kiedy go leczyła, wyrzuciła świadków za drzwi... I teraz, oczywiście, też odstawił cyrk.

Mutanta korciło, żeby powiedzieć to młodemu wprost, ale przypomniał sobie niedawne myśli o przeszłości Saszki, zdołał się powstrzymać. A co, jeśli tam, pod ubraniem, nie ma żadnych strupów i wrzodów, lecz okropne szramy, ślady znęcania się i bicia? Co, jeśli pokazywanie ich innym jest dla chłopaka ponad jego siły, w końcu pojawią się wtedy pytania, a odpowiedź znaczyłaby konieczność ponownego przypomnienia sobie całej tej przerażającej przeszłości?... Ostatecznie to jego prywatna sprawa. Nie chce się rozbierać – niech pływa w ubraniu. W końcu faktycznie jest lato, ubranie szybko wyschnie. Chłopak się nie przezięb, nie jest małym dzieckiem. Tylko ten jego chałat...

– Zdejmij chociaż płaszcz – nie mógł jednak milczeć Gleb. – Jak się zmoczy, będzie ciężki! Utopisz się.

– Nie utopię – burknął Saszka, obejmując się za ramiona, jakby bronił płaszcza.

Mutant machnął ręką.

„Dobra, naprawdę, co ja się tak czepiam? Każdy ma swoje karaluchy pod poduszką. U jednego to chałat, drugi przestawia głoski, a jeszcze kto inny niczego nie pamięta”. Gleb zakończył swoje rozmyślenia i stękając, wszedł do wody, która niespodziewanie przyjemnie – aż przeszły go ciarki! – ochłodziła mu obolałe łydki i stopy.

– Podaj kłodę. – Odwrócił się do Pistoleta. – I nie czekajcie na mnie, ruszajcie przodem, będę szedł powoli.

Z początku wszystko szło dobrze. Mniej więcej do środka nurtu wędrowcy brodzili w wodzie. Piaszczyste dno przyjemnie głaskało stopy, nogi nie więzły. Było tak płytko, że woda sięgała mutantowi tylko nieco wyżej kolan. Ale idący przodem Saszka i Pistolet zaczęli nagle posuwać się wolniej, pogrążając się przy tym zauważalnie w wodzie. Ta wkrótce sięgnęła piersi starszego łuzanina, a Saszka utrzymywał na powierzchni już tylko głowę.

– Trzymajcie się bali! – zawołał do nich Gleb. – Pistolet, nie dryfuj!

Ale Pistolet zdryfował. Tracąc grunt pod nogami, krzyknął i zaczął wściekle młócić rękami po wodzie. Naturalnie, kłoda, której powinien był się trzymać, nie czekała na niego i zaczęła płynąć swobodnie. Nurt porwał i łuzanina. Saszka, który spokojnie płynął nieco dalej w górę rzeki, pokręcił głową i coś wykrzyknął, wyraźnie zamierzając rzucić się przyjacielowi na pomoc.

– Płyń, nie szarp się! – ryknął do chłopaka mutant. – Jak zgubisz moje ubranie, to cię uduszę!

W ułamku sekundy zapomniał o bólu i zmęczeniu, odepchnął swoją kłodę i przecinając powierzchnię udami, a wkrótce i piersią, pospieszył na spotkanie unoszonemu przez rzekę i wciąż wrzeszczącemu Pistoletowi. Ten krzyczał zresztą coś kompletnie bez sensu: „Pożar!”, „Kaput!”, a nawet, nie wiedzieć czemu, „Bidon!”.

Kiedy Gleb kompletnie stracił grunt pod nogami, zrobiło mu się łatwiej. Poddał się nurtowi i potężnymi wymachami rąk skierował swoje ciało w stronę tonącego przyjaciela, którego wrzaski coraz częściej przerywały odgłosy krztuszenia się i kaszlu.

– Nie krzycz, bo nałykasz się wody! – zawołał mutant. – Uspokój się, jestem obok!

Chwycił Pistoleta, kiedy ten zaczął już w całkowitym milczeniu iść pod wodę. A dosłownie po paru ruchach wolną ręką wymacał stopami dno. Wyciągnął na brzeg topielca, położył go sobie brzuchem na kolanie, ale zamiast spodziewanej wody z ust łuzanina wyrwał się nagle okrzyk: „Tone!”.

– Wreszcie sobie przypomniałeś – burknął Gleb, zrzucając Pistoleta na piasek. – Za późno.

– Dlaczego za późno? – Łuzanin otworzył oczy. – Czy ja już?...

– Nie już, tylko jeszcze. A właściwie nadal. Tak jak byłeś bezużyteczny, tak pozostałeś. Po co puściłeś się kłody, przygłupie?

– Kłody?... – Pistolet podniósł się i usiadł, rozglądając się ze zdumieniem. – To pardwa, gdzie ona jest?

Na szczęście Saszka dotarł na brzeg bez przygód. Buty całej trójki oraz ubrania Gleba i Pistoleta pozostały suche, nie licząc rękawa koszuli Gleba, która podczas przeprawy wysunęła się spod opaski. Ale mutant nie spieszył się z ubieraniem. W ogóle nie chciał się zatrzymywać, zdając sobie sprawę, że jeśli położy się teraz „na minutkę” – a miał na to nieprawdopodobną ochotę! – to już długo nie wstanie. Trzeba było szybko korzystać z wyrzuconej do krwi adrenaliny i rozgrzanych mięśni.

– Mówiłeś, że gdzie ta zatoczka? – lustrując brzeg, zapytał Saszkę, który tymczasem zaczął wkładać buty. – I na razie zostań boso.

– Zatoka jest tam. – Chłopak machnął ręką w tę samą stronę. – A dlaczego boso?

– Bo i tak trzeba będzie zdjąć buty. Jeśli to faktycznie dobre miejsce,

będziemy łowić ryby.

– Butami? – Chłopak zamrugął.

– Co ty, zarazileś się durnotą od Pistoleta? – burknął Gleb.

– Dlaczego od razu drunotą? – Pistolet zerwał się urażony. – Kiedy się topisz, umysł wyręcza się sam.

– Zacząłeś się topić po tym, jak wypuściłeś kłodę, a nie przed – przypomniał mutant.

– Po prosu zacząłem się topić. Nawet nie pomyślałem o kłodzie!

– Bo nie miałeś czym.

– Dajcie już spokój – Saszka przerwał pyskówkę przyjaciół. – Po, przed, zamiast – co to za różnica? Chodźmy lepiej łowić ryby, naprawdę chce mi się jeść.

Poszli wzdłuż brzegu. Gleb wciąż jeszcze liczył, że może im się poszczęści, że znajdą łódkę, tratwę – jakąkolwiek jednostkę pływającą zdolną do utrzymania trzech osób. Sam rozumiał, że nadzieje na to są mizerne, że cuda się nie zdarzają, że jeśli znajdą teraz łódź, to będzie trzeba uwierzyć nie tylko w cud, ale w to, iż naprawdę istnieją wyższe siły, które postanowiły zagrać w jakąś grę... Przy czym tych potężnych graczy jest dwóch i jeden z nich myśli, że gra w warcaby, a drugi w wybijankę. I z jakiegoś powodu obaj grają białymi (rzecz jasna białymi są oni: Gleb, Saszka i Pistolet). Takie właśnie bezsensowne siły wyższe. W takim wypadku co prawda bardzo chciałby się dowiedzieć, kim są czarni, kto nimi gra i w jaką dokładnie grę. Dobrze, jeśli nie w durnia. Rozbieranego...

Siły wyższe, jeszcze rzeczywiście istniały, okazały się niezbyt potężne. Wędrowcy nie znaleźli łódki. Ani tratwy. Odkryli za to topielca.

Jako pierwszy coś dziwnego zauważył bystrooki chłopak.

– Zobaczcie, co tam jest. – Chłopak pokazał przed siebie.

Gleb i Pistolet przystanęli i wyteżyli wzrok.

– Na brzegu czy w wodzie? – Mutant zrobił sobie daszek z dłoni.

– W wodzie. Przy samym brzegu.

– Moim zdaniem to jakaś dłoka – powiedział Pistolet.

– Obok kłody, to czarne – odpowiedział Saszka.

– A co tu zgadywać? – prychnął Gleb. – Chodźmy zobaczyć.

Przyjaciele przeszli jeszcze kilkadziesiąt kroków i stanęli naprzeciw sterzącego w wodzie uschniętego kikuta drzewa. Dotykał go, zaczepiwszy widocznie o podwodny korzeń, kołysany powoli przez prąd duży czarny pęcherz. W każdym razie ta jego część, którą było widać stąd, z brzegu, tak właśnie wyglądała.

– Może to duża ryba? – zaproponował Saszka.

– Moim zdaniem to po troszu czarna szmata – powątpiewał Pistolet. – A jeśli nawet ryba, to i tak już zdechła.

– A co, jeśli dopiero przed chwilą wpadła na ten kikut? – ciągnął swoje chłopak. – No, niedawno... I można ją będzie zjeść!

– Ty byś tylko jadł. – Starszy łuzanin przełknął ślinę. – A co ty sądzisz, Gleb?

– Znów bawicie się w zgadywanki. – Mutant pokręcił głową. – Ale żeby wleźć do wody i popatrzeć, to chętnych nie ma.

– Aha! – Pistolet cofnął się o krok. – Żeby sam zaniemił się w zdechłą rybę?...

Saszka w ogóle milczał.

– Ogólnie rzecz biorąc, jak rozumiem – westchnął Gleb – powierzacie wejście do rzeki mnie?

– To lajnepsza opcja! – Starszy łuzanin rozłożył ręce.

Młodszy po chwili wahania kiwnął głową.

– Dobra. – Mutant znów westchnął. – Przynajmniej nie trzeba się rozbierać.

Wszedł do wody, dobrnął do drzewa i zaczął obmacywać „pęcherz”.

– I co? Ryba? – zawołał Pistolet.

– Jeśli to ryba, to ewidentnie mutant – odparł Gleb. – Z rękami i nogami.

– Jak to? – zdziwił się Saszka. – To takie są?

Nie było odpowiedzi. Zamiast tego Gleb kucnął, tak że na powierzchni pozostała tylko jego głowa, znowu wstał, potrząsnął czymś pod wodą i ruszył do brzegu, trzymając w dłoniach coś czarnego, przypominającego gałąź tegoż właśnie uschniętego kikuta. Czarny pęcherz popłynął w ślad za nim.

– Przecież to... automat! – zawołał nagle Pistolet.

– Taki ogromny? – Saszka nie wierzył. – Coś mi się nie wydaje...

– Nie w wodzie, pługolu, w rękach u Gleba!

– Sam jesteś pługol – burknął chłopak, który sam już zrozumiał, co ma na myśli jego towarzysz.

Tymczasem Gleb zdążył wyjść na brzeg, a teraz wyciągał z wody... oczywiście nie żadną rybę, ale ubranego w długi czarny płaszcz człowieka.

Saszka i Pistolet z obawą podeszli bliżej. Na mokrej glinie u stóp ich towarzysza twarzą do dołu leżał martwy cerkiewny. Co do tego, że był martwy, żaden z nich nawet przez chwilę nie miał wątpliwości. Zaś o tym, że był to właśnie cerkiewny, świadczyły zarówno czarna „sutanna” z kapturem, jak i automat, za którego pasek wyciągnął go Gleb.

– Oho! – zdołał tylko wymówić Pistolet.

– Oho – zgodził się mutant i skądś zacytował: – „Tato! Tato! nasze sieci wyciągnęły umarłego!”⁹.

Gleb przewrócił topielca na plecy. Błysnęła szklami czarna guma maski przeciwgazowej. Mutant zdjął z szyi cerkiewnego automat, ściągnął „sutannę”, zaczął ściągać znajdującą się pod spodem czarną koszulę.

– Dlaczego ty to robisz?! – jęknął Saszka, zasłaniając usta.

– Dlatego, że to porządne ubranie. Dlatego że jeśli zostawimy go w takiej postaci, to ściągniemy nieszczęście na mieszkańców najbliższych wsi.

– I co, nie chopowamy go? – burknął z niezadowoleniem Pistolet.

– A masz łopatę? Czy będziesz kopał w ziemi rękami?

Obaj luzanie milczeli. Tymczasem mutant całkowicie rozebrał trupa, odkładając przy tym na bok nie tylko automat, ale i skórzany pas z przypiętą do niego pochwą na nóż, a potem znów wszedł do wody, wlokąc za sobą nagie ciało. Dobrnął z nim do drzewka i wepchnął pod nie topielca.

Po powrocie Gleb spojrzał ponuro na milczących towarzyszy.

– Co? Nie spodobało wam się, co z nim zrobiłem? To czemu tak źeście stali, baliście się ubrudzić sobie ręce?

– Nie... – wymamrotał Pistolet. – Po prostu...

– To jakoś nie po ludzku – dokończył za towarzysza chłopak.

– Nie po ludzku? – Mutant udał zdziwienie. – A zachował się po ludzku, pchając się tutaj, żeby zaprowadzać tu swoje „ludzkie” porządki, żeby zabijać dzieci?

– To nie osobiście on... te dzieci... – ledwie słyszalnie wyszeptał Pistolet.

– I co z tego? Przyplłynął tu również po to. I zabiłby je bez mrugnięcia okiem. A może już to robił. A poza tym, my możemy postępować nieludzko, przecież z ich punktu widzenia jesteśmy nieludźmi. To on był człowiekiem. – To ostatnie słowo w ustach mutanta zabrzmiało jak wyzwisko.

Gleb splunął w wodę, odetchnął i mówił dalej, już spokojniej:

– Poza tym, nie zrobiliś... nie zrobiłem nic złego. Wziąłem tylko to, czego on już nie potrzebuje. A nam się przyda.

Podniósł i założył wprost na swoje nagie kosmate ciało pas z pochwą, wyjął nóż, pocmokał z bólem: „Mój był lepszy”, wziął w ręce automat, wyjął magazynek, wypchnął na dłoń naboje.

– Trzy sztuki... Trochę mało. Ale lepiej niż nic.

Mutant wsadził naboje z powrotem do magazynka, wsunął go na miejsce i zarzucił sobie automat na plecy. Potem zebrał i związał w węzełek mokre czarne ubranie, wpychając też do środka maskę przeciwgazową. Poobracał w dłoniach buty – solidne, skórzane. Spojrzał na swoje – takie

same, tylko zakurzone, z osmalonymi cholewkami. Przeniósł wzrok na buty towarzyszy, które wiele już widziały, i wyciągnął do nich nowe.

– Przymierzcie. Jeśli na kogoś pasują – weźcie. Porządniejsze od waszych.

– Nie zamierzam ich nosić. – Saszka się cofnął.

– A ja zmierzę – powiedział Pistolet, usiadł na kępce trawy, z trudem włożył mokre buty topielca, wstał, podreptał, poskakał, znów usiadł, zdjął je i postawił obok. – Pasuje. Trzeba tylko wyszuszyć. A co z moimi, wyrzucić?

– Nie wolno niczego wyrzucać! – przywołał go do porządku Gleb. – Przed nami jeszcze długa droga. Nawiasem mówiąc, chodźmy!

– Dokąd? Nad zatokę? – uściślił na wszelki wypadek Saszka.

– A dokąd by jeszcze? Ja osobiście wcale się tą „rybką” nie najadłem.

ROZDZIAŁ 16

NAD BRZEGIEM PÓŁNOCNEGO POŁUDNIA

To, co mutant i chłopak nazywali zatoczką, w rzeczywistości nią nie było. Zatoka to mimo wszystko część rzeki, choć mocniej wrzynająca się w brzeg, płytsza, z niespiesznym czy wręcz przeciwnie skierowanym nurtem. A to były po prostu wielkie kałuże. Wiosną rzeka rozlała się szeroko, zalewając łagodny brzeg, a kiedy na początku lata woda opadła, w miejscu rozlewiska pozostały porośnięte szuwarami i turzycą płytkie jeziorka. Ale tym cenniejsze były dla głodnej trójki – w końcu razem z wodą z rzeki w bajorkach pozostały i ryby, a ponieważ jeziorka nie miały połączenia z rzeką, ryby nie miały dokąd uciec.

Co prawda, żeby je schwytać, była jednak potrzebna pewna wprawa. Dlatego z początku Gleb zamierzał sam łowić zdobycz koszulą, wysyłając obu przyjaciół, by naganiali ryby, tupiąc w wodzie. Ale kiedy spróbował się pochylić, od razu zamienił się z nimi rolami. Poleciał Saszce i Pistoletowi trzymać w wodzie przygotowane koszule, a do nagonki poszedł sam.

– Daj mi swoją koszulę – powiedział Saszka, kiedy mutant doszedł już na drugi koniec jeziorka.

– A co, nie masz swojej? – Gleb się odwrócił. Był nawet ciekaw, jak tym razem wykręci się chłopak.

Ten rzeczywiście się wykręcił. I to całkiem sprytnie.

– Twoja jest szersza. Łatwiej będzie złapać ryby.

– Twój płaszcz jest jeszcze szerszy!

– Przecież on jest mokry i ciężki – powtórzył niedawne słowa Gleba Saszka, mrużąc przy tym oczy.

Temu pozostało tylko machnąć ręką i oddać chłopcu swoją koszulę.

Połów był udany. W sumie złapali pięć sporych okoni, dwa niewielkie – po trzydzieści–czterdzieści centymetrów – szczupaki i jednego większego, o długości i grubości przedramienia Gleba. Tego nakrapianego drapieznika złowił Pistolet, z czego był bardzo dumny.

Co prawda i tu nie obyło się bez przygód. Kiedy łuzanin, całym sobą pokazując, że nie jest wcale tak tępy, jak niektórzy myślą, demonstrował mutantowi swoją największą zdobycz, szczupak capnął go w palec.

– Uuuuu! – zawył nieszczęśnik, odrzucając kąsającą rybę w szuwary. – I tak mam mało palców!... Co to za ryba – z zębami? Wszystkie normalne ryby ich nie mają, to tumant! Nie wolno jej jeść.

– Dobrze. – Gleb wyszczerzył zęby. – My zjemy. Prawda, Saszka? Ale nie rzucaj naszym jedzeniem. Idź jej teraz poszukać.

– Znów mnie ugryzie!

– Nie pchaj jej palców do pyska, to może obejdzie się bez tego.

– Nie pchałem! Po prostu chciałem topaprzeć na jej zmutowane zęby!

– Przecież już popatrzyłeś. Więc więcej nie pchaj.

Gderając i ssąc krwawiący palec, Pistolet wyprawił się w szuwary i po chwili wrócił, kopiąc przed sobą nieszczęsnego szczupaka.

– To jednak nie jest moralna ryba... Tum... mutant! Pomyłka natury.

Teraz już i Saszka nie wytrzymał i zaczął się z niego nabijać.

– Przecież szczupaki były i wcześniej – powiedział chłopak. – Czytałem w książce. I widziałem rysunki. Dokładnie takie jak ten. Z zębami.

– Czyli zmutowały jeszcze wcześniej, zarazy jedne.

– Czemu miałyby wcześniej mutować?

– Może od początku miały wykrabowane geny! Mówię, pomyłka

natury.

– Czyli na pewno nie będziesz jadł tego świństwa? – jakby mimochodem uściślił Gleb.

– Teraz zjem go na złość, zębate chorelstwo! – Pistolet znalazł ripostę. – To będzie orkutna zemsta. Ugryzł mnie, to i ja go ugryzę. Wiele razy.

Gleb bardzo nie chciał rozpalać ogniska, obawiał się, że dym może przyciągnąć cerkiewnych, jeśli ci rzeczywiście wyruszyli na poszukiwanie zaginionych towarzyszy. Ale jeść ryby na surowo nie chciał jeszcze bardziej. Dlatego jednak rozniecili ogień – przydał się krzemień Saszki – ale tuż obok wody, żeby szybko można było go ugasić.

Kiedy Saszka pracował nad rybą, a Gleb pozwolił sobie wreszcie wyciągnąć obolałe ciało na piasku, Pistolet gdzieś zniknął. Wrócił jednak dość szybko, w dłoni o sześciu palcach niosąc wiązkę cienkich zielonych rurek, wyraźnie pochodzenia roślinnego.

– Proszę. – Rozłożył je z dumą przed mutantem.

– Co to? – Tamten uniósł głowę. – Dmuchawki? Nie mamy zatrutych strzał.

– To barszcz. – Łuzanin nie obrażał się na przyjaciela.

– Co takiego? – Gleb zmusił się, by usiąść. – Tym razem tak zniekształciłeś słowo, że nie znajduję nawet innych wersji.

– Tym razem nie zkształnicielem. – Pistolet się uśmiechnął. – Barszcz, tak to nazywaliśmy, kiedy byliśmy dziećmi. Nie wiem, jaka jest prawidłowa nazwa.

– I co mam z nimi zrobić?

– Zjeść! – oznajmił uroczyście łuzanin. – Kiedy są młode i jeszcze miękkie, są bardzo smaczne. Trzeba je tylko obrać ze skórki.

Ścisnął jedną rurkę w pozbawionej palców dłoni, ściągnął z niej skórkę długimi pasami i zaczął żuć biały pęd, mrużąc oczy z rozkoszy.

– Ach tak – Gleb się zainteresował. Też wziął jeden pęd barszczu,

oczyścił go i nadgryzł. – Oho! Naprawdę smaczne! Brawo dla ciebie. Trzeba tylko zostawić coś Saszce.

– Zostawimy! – Pistolet, dumny z pochwały, wielkodusznie kiwnął głową. – Tam jest ich jeszcze dużo, jak trzeba, to oszukam.

Mutant chciał zażartować, że akurat oszukiwać przyjaciół nie trzeba, ale zmilczał. Znow ogarnął go ból i zmęczenie. I okropnie zaburczało mu w brzuchu – słodka trawa, która właśnie do niego trafiła, tylko pobudziła i bez tego dziki apetyt.

Ryby zjedli tak szybko, że cień kępy wierzb nie zdążył nawet drgnąć. Po ugaszeniu ogniska wszyscy trzej przyjaciele z błogością wyciągnęli się na trawie.

– Pójdziemy dalej? – spytał leniwie Pistolet.

– A wolałbyś tu zamieszkać? – równie leniwie odparł Gleb.

– On ma na myśli dziś – odpowiedział Saszka, ziewając.

– Wy róbcie, co chcecie, a ja mówię na dzisiaj pas. Idę spać. Trzeba się tylko doczołgać do szuwarów... Wy też... Cerkiewni nas zoba...

Mutant zachrapał. Tak donośnie i tubalnie, że Saszka mimowolnie odsunął się dalej.

– Teraz, jeśli nawet nas nie zobaczą, to na pewno usłyszą. – Starszy łuzanin poskrobał szczecinę na podbródku. – Może naprawdę odciągniemy go w szuwały i przewrócimy na bok czy coś...

Jak się okazało, znacznie łatwiej powiedzieć niż zrobić. Mimo wszystko, złapawszy mutantą za nogi, przyjaciele odciągnęli go w głąb szuwarów. Gleb nie obudził się przez cały czas tej operacji, wciąż wydając z siebie gromkie rulady. Kiedy udało im się obrócić go na bok, chrapanie wreszcie się urwało. Saszka i Pistolet otarli pot z czoła.

– No, teraz przynajmniej wilki na pewno uciekły gdzie pieprz rośnie – spróbował zażartować chłopiec.

– Nie wiem – Jego starszy ziomek spoważniał. – Myślę, że nie powinniśmy tracić czujności. Trzymajmy wartę po kolei.

– A co, ty też zamierzasz od razu iść spać?

– Jakoś mi się odechciało... Myślałem, że ty chcesz.

– Ja też nie mam ochoty. Zaczekajmy do nocy, wtedy ustalimy wachty.

A teraz proponuję nałowić więcej ryb. Gleb obudzi się głodny.

*

Gleb obudził się głodny. Spał tylko do zachodu słońca – rzadkie obłoki na zachodzie jeszcze się czerwieniły – ale czuł się nad podziw rześki i wypoczęty. Nawet mięśnie nie eksplodowały ostrym bólem przy każdym ruchu, lecz jedynie lekko kłuły.

Za to głodny był tak, że gotów był odgryźć sobie rękę. Do tego jednak nie doszło – nozdrza mutanta wyczuły zapach czegoś znacznie smaczniejszego. Wyszedł z szuwarów i zastał obu swoich towarzyszy siedzących przy ognisku.

– Znów rozpaliliście! – ryknął. – Przecież nas zauważą.

Saszka pisnął i kicnął w bok, jakby był zajęcem. Pistolet podskoczył i niemal wpadł do ogniska. Odbiegł i zaczął wymachiwać w stronę Gleba pięściami:

– Tak nie wolno! Od tego można zostać jjjąpałą!

– A co to dla ciebie za różnica? – Mutant uśmiechnął się. – Co się tak wystraszyliście? I czym tu u was tak pysznie pachnie?

– Akurat dla ciebie niczym – powiedział ze złością Saszka, podchodząc do ogniska. – Zamiast się drzeć, trzeba było się najpierw zainteresować.

– Dobrze już, dobrze, co się taki gderliwy zrobiłeś? – Gleb dobrodusznie wyszczerzył zęby. – Jestem zaspany... A co, naprawdę jest coś do jedzenia? Skąd macie?... Jestem głodny jak wilk!

– Jak to skąd... Złowiliśmy!... – Chłopak wciąż się dąsał. – Pomyśleliśmy o tobie! A ty od razu ryczysz.

– Przecież przeprosiłem!

– Nie przeprosiłeś – zauważył Pistolet. – Powiedziałaś tylko, że jesteś zaspany.

– Dobra, przepraszam. – Mutant wykonał parodię ukłonu. – Teraz dobrze?

– Niedobrze – odparł Saszka, mrugając ukradkiem do ziomka. – Przepróż jak należy.

– Nie potrafię jak należy. – Gleb nagle spoważniał. – Nie słowami. Przeprzeszę potem czynem, dobrze?

Obaj łuzanie jakby naraz przygaśli.

– Bodra już – mruknął starszy. – Tylko tak żartujemy... I tak już nas naprzepaszaleś.

– Więc jemy kolację? – mutant znów zaczął mówić zwyczajnie. – Bo ja wcale nie żartowałem, kiedy mówiłem, że chce mi się jeść. I... że... dziękuję wam, że się o mnie zatroszczyliście.

Tym razem jedli w milczeniu, bez pośpiechu. W końcu nikt, może oprócz Gleba, nie czuł tak silnego głodu jak rano. A i ryb było tym razem mniej – Pistolet i Saszka we dwóch złowili tylko jednego szczupaka i cztery okonie.

Starszy łuzanin jadł, patrząc w zadumie na rzekę. W końcu się odezwał:

– To keciawe... Niby to jesteśmy na północy, a rzeka zanywa się Jug, czyli południe. Dlaczego?

– Pewnie właśnie dlatego – powiedział Gleb, obsysając rybi kręgosłup. – Ludzie żyli na północy, a marzyli o ciepłych krajach. Więc od tego nazwali rzekę.

– Czyli marzenie? – Pistolet pokiwał głową. – Północne południe... Też mi rzycimiele.

– Masz bardziej globalne marzenia? – Mutant się uśmiechnął.

– Moje marzenie to cięmiutkie łódeczko z jakąś... milutką i ciepłutką u boku. – Łuzanin głośno pacnął się w czoło. – I żeby te cholerne mokary nie gryzły!...

– Cóż, każdemu, co mu się należy – podsumował z uśmiechem Gleb.

– Kiepskie hasło – powiedział cicho Saszka.

– Dlaczego kiepskie?

– Słyszałeś o wojnie, która była prawie sto lat temu?

– No, słyszałem... Czytałem coś. Związek Sowiecki, nazistowskie Niemcy, Hitler... Poległy dziesiątki milionów ludzi. Oczywiście nie do porównania z ostatnią Katastrofą, ale...

– A ja czytałem taką książkę – przerwał mu chłopak. – Faszyci tworzyli takie obozy... obozy śmierci. Zwozili tam niewinnych ludzi tysiącami. I zabijali. Ot tak, za nic. Po prostu dlatego, że byli inni od nich... A na bramie jednego z takich obozów było właśnie napisane: „Każdemu, co mu się należy”.

Gleb pomilczał. A potem, też cicho, powiedział:

– To nie hasło jest złe. Faszyci wypaczyli jego sens. Specjalnie, wyśmiewając się z ofiar. A prawdziwy sens jest taki: każdy dostaje to, na co zasłużył, do czego dążył. Jednemu i gwiazdy z nieba będzie mało do szczęścia, a drugiemu wystarczy ciepłe łóżeczko.

– Filozofy! – prychnął Pistolet, który dotąd milczał. – Łapcie swoje gwiazdy, a ja chcę spać.

Rozmowa ucichła sama. Po kolacji Gleb jeszcze raz podziękował przyjaciółom i powiedział:

– Ja się już wyspałem. I w ogóle czuję się praktycznie normalnie. Więc kładźcie się spać, a ja będę waszym wartownikiem.

Saszka i Pistolet, których po jedzeniu ogarnęła senność, nie zgłaszali protestów.

– No, to gasimy ognisko – i lulu. Miejsce do spania jest w szuwarach. Noc nocą, ale do prawdziwych ciemnych nocy mamy jeszcze ze dwa tygodnie. I na pewno nie tylko ja widzę w ciemności.

Starszy łuzanin poszedł do „sypialni” jako pierwszy. Młodszy się

zatrzymał. Gleb widział, że chłopaczek chce coś powiedzieć, ale nie może się zdecydować.

– No, opowiadaj – Mutant mu pomógł.

– Nawet nie wiem... – wyszeptał, oglądając się w ciemność, Saszka. – Pewnie mi się wydawało... Albo...

– Nie przeciągaj, skoro już zacząłeś.

– To nieładnie, nie w porządku... O nim bez niego...

– Gadasz zupełnie jak Pistolet, coś nie mogę cię zrozumieć. Mów – potem się zastanowimy, czy to ładnie, czy nieładnie. I o nim, czyli o kim?

– Bo ja właśnie o Pistolecie chcę powiedzieć... – Saszka milczał przez jakiś czas, a potem jednak się zdecydował. – Ogólnie, kiedy spałeś, wydał mi się jakiś inny.

– Jak to inny? – Gleb spochmurniał. – Co masz na myśli?

– No, poważny... Nie śmiał się ani nie opowiadał głupot, nic nie wypadło mu z rąk. Trochę mi nawet rozkazywał.

– Czyli to cię zraniło? Że ci rozkazywał? – Mutant nie mógł powstrzymać uśmiechu. Chociaż w ciemności Saszka i tak nie mógł go dojrzeć.

– Nie – chłopak pokręcił głową – nie to. To tylko na dodatek do całej reszty... A poza tym... poza tym mówił poprawnie, nie mylił ani słów, ani głosek.

– Cóż, czasem tak z nim bywa. Zwłaszcza kiedy staje się poważny. Widocznie coś mu wtedy przeskakuje w mózgu – taka mutacja... A poważny stał się właśnie dlatego, że zostaliście we dwóch. W końcu jest o wiele od ciebie starszy, zdał sobie sprawę, że teraz cała odpowiedzialność spoczywa na nim, no i...

– Czyli niepotrzebnie nagadałem na człowieka? – Chłopak pochylił głowę.

– A co takiego nagadałeś? Powiedziałeś po prostu o tym, co cię zaniepokoiło. I słusznie. Nie musisz niczego w sobie gromadzić –

opowiadaj od razu. Jesteśmy teraz sami swoi, nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic... – Gleb urwał, wspomniawszy swoje rozmyślenia na temat chłopca, i wyjaśnił: – Nie mówię o rzeczach osobistych, z przeszłości, tylko tych dotyczących chwili obecnej. Teraz powinniśmy być razem. Inaczej zginiemy.

– Cóż... Wychodzi na to, że ja mam przed nim tajemnicę...

– Jaką?

– No, taką, że na niego donoszę.

– To nie jest żaden donos! To jest absolutnie właściwe działanie. Nie jesteśmy w takiej sytuacji, żeby mieć w nosie to, co wydaje nam się podejrzane...

– Ale lepiej, żebym powiedział to jemu, a nie tobie.

– Lepiej, żebyś przestał się teraz samobiczować i położył się spać. Uwierz mi, wszystko zrobiłeś tak jak trzeba. Po prostu mi uwierz. Mnie chyba możesz wierzyć?

– Mogę. Wierzę... Dobranoc.

– Miłych snów. – Gleb skinął głową i po chwili pozostał sam na sam z letnią nocą.

Ale, jak się okazało, nie na długo. Znów zaszeleściły szuware i do mutanta, poruszając rozczapierzonymi rękami, ostrożnie zbliżył się Pistolet.

– Gdzie jesteś? – odezwał się głośnym szeptem łuzanin.

– Tutaj – szepnął w odpowiedzi Gleb.

– A!... Myślałem, że to jakaś kosmata pęka.

– Sam jesteś pęka. Chociaż wyliniała. Po co przylazłeś? Podobno chciałeś spać.

– Chcę. – Pistolet usadowił się obok mutanta. – Ale jeszcze bardziej chcę ropozumawiać.

– Nie nagadałeś się przy kolacji? Kto ci przeszkadzał?

– Szaska. Nie tyle przeszkadzał, co... Chcę z tobą ropozumawiać bez niego.

Gleb westchnął w duchu. Najpierw jeden, teraz drugi! Czy to jakaś epidemia?

Ale na głos powiedział:

– No dawaj, kapuj.

– Dlaczego od razu pakuj? – zasyczał z urazą Pistolet. – A może przeprowadzałem ekskremunitet, chciałem człowieka lepiej poznać!

– Co przeprowadziłeś?...

– Ekskre... ekspro... eksper... Krótko mówiąc, doświadczenie.

– Eksperyment? – Mutant się zainteresował. – No, no, opowiadaj. Pokazujesz mi się z nieznanej strony!

– No właśnie, ja o tym. Ciągle nie mogłem zrozumieć Szoski... Nadal go nie zorumiem. Trochę jest z nami, a trochę sam... Zawija się w ten swój człapsz... Jest lato, a jemu jest jakoby ciągle zimno...

– Mówił przecież, że ciągle marznie. Taka mutacja. Albo po prostu właściwość organizmu.

– Aha, wómił. Z czołem spoconym z gorąca. Mówić żomna różne rzeczy.

Gleb sam się zastanawiał, co też może się kryć na ciele młodego człowieka, ale był ciekaw wersji Pistoleta.

– Dobrze. I jak myślisz, co chowa pod ubraniem?

– List.

– Jaki znowu list? Przecież już dawno by zamókł i się rozpląnął, jak twój notes.

– Nie poprzyminaj... – Łuzanin się zasępił. – Ale ja nie mówię o takim liściu, nie na papierze.

– A na czym? Na glinianych tabliczkach?

– Na ciele! – bardzo cicho szepnął mutantowi na ucho Pistolet.

– Ha! Przecież z ciała zmyłby się już sto razy!

– Tatuta... tatitu... titita... – zacykał nagle łuzanin.

– A ty co? – Gleb się zdziwił. – Bawisz się w szpiegów? Przekazujesz

mi zaszyfrowaną wiadomość alfabetem Morse'a?... Nie znam go.

– Bez żadnego morsa. – Pistolet machnął ręką. – Tati... ten... jak mu tam... Igiełkami pod skórę...

Mutant domyślił się już, o czym mowa, ale postanowił trochę się pośmiać z przyjaciela.

– Co? – Wytrzeszczył oczy z udawanym przerażeniem. – Igiełki pod skórę? Może jeszcze pod paznokcie?... Torturowałeś Saszkę?!... Niezły mi eksperyment...

– Nie wydurniaj się – powiedział nagle poważnym tonem łuzanin. – Wiesz, o czym mówię. Takie nakłucia... List nakłuty na ciele. Taki, którego nie da się mzyć.

– Przypuśćmy. – Gleb też spoważniał. – I od kogo ten list? Do kogo? O czym? Po co takie komplikacje i taka tajemnica?

– Tego nie wiem. Może od tych zamrażalców... zwyrodnialców z Łuzy. Najprawdopodobniej. Pewnie chcą nawiązać kontakt z bandytami z Ustiuga. Albo coś takiego. Trzeba go rozebrać i ojebrzeć.

– Nikogo nie będziemy rozbierać! – powiedział surowo mutant. – A jeśli nawet zaczniemy, to od ciebie. Żeby ci przylać na goły tyłek. Pieprzony eksperymentator się znalazł!... Nawiasem mówiąc, na czym polegał ten eksperyment, bo coś nie zrozumiałem?

Pistolet zasapał z urazą, ale potem jednak powiedział:

– Opodziewał ci o mnie?...

Gleb aż się zakrztusił. Niezła historia!... Odkaslnął w kułak i ostrożnie powiedział:

– No, przypuśćmy...

– O tym, że pławidrowo mówię, tak?

– Tak. – Mutant kiwnął głową po chwili milczenia.

– I to właśnie był ekskremunitet! – oznajmił uroczyście łuzanin.

– Nadal nie rozumiem – przyznał się Gleb.

– Pomyśl... Gdyby był sam, to łyboby mu wszystko jedno jak i z kim...

Żeby kylto jak najbyszciej trafić do Ustiuga. A jak sprawdzić, czy mu szwystko jedno? Potrasałem się... Kiedy psaleś, mówiłem go niedo pławidrowo. Ale mi było drutno, prawie mi mózg wyrapował!... Teraz zacząłem móciw jeszcze bajdzier niepławidrowo...

– Wciąż nie rozumiem sensu.

– Jak to! Przecież on ci to podziawał! To żwaczy, że mnie o coś dopejrzewa, to żwaczy, że mu nie wszystko jendo! Inaczej ruszyłyby ramionami i siedział chicio.

– Wniosek dyskusyjny, ale przypuśćmy, że prawdziwy. – Mutant spochmurniał. – Ale w takim razie dlaczego przyczepiłeś się tylko do Saszki? Zaczynij lepiej ode mnie. Ja to w ogóle jestem podejrzany, że hej! Z twarzy podobny zupełnie do nikogo, rzekomo niczego nie pamiętam. Ogień się mnie nie ima, woda też nie. Zresztą ten ogień wzbudzam siłą myśli. Widzę w ciemności, z wilkami rozprawiam się jak ze ślepyimi szczeniakami. Moim zdaniem to znacznie dziwniejsze i bardziej podejrzane niż jakiś tam płaszcz!

– Ale ty... – zaczął Pistolet, ale Gleb już się rozpędził:

– Co mi tam, przypuśćmy, że jestem w ogóle kosmitą! Wyszadzili mnie na Ziemi agresorzy z innej planety po to, żebym zniszczył tu pozostałości cywilizacji. Zaraz dotrę do Ustiuga, znajdę ładunki nuklearne – i bum! – nie ma już Ustiuga. Potem przebiegnę się do Wołogdy i tylko patrzeć, aż trafię do Moskwy – co mi tam?... No, co tak milczysz?

– To pardwa, jesteś dziwny. – Łuzanin opuścił głowę. – Ale za bardzo. Takiego widziaka by nie posłali. Zrobiliby bardziej przymopinającego człowieka. Żeby nikt nie miał dopejrzeń... Chociaż... dziś kaftycznie mówiłeś o gwiazdach...

– A widzisz!

– Ale to tak... Powiedz mi lepiej... Przypomniałeś sobie dzisiaj coś jeszcze, prawda? – Pistolet znów nie pomylił żadnego słowa i Gleba nieprzyjemnie ścisnęło w dołku.

– Co takiego sobie przypomniałem? – zapytał i nagle zrozumiał: tak, rzeczywiście przypomniał sobie! Przed chwilą. Powiedział przecież Pistoletowi, że przebiegnie się do Wołogdy i do Moskwy. Przy czym zrobił to zupełnie bez zastanowienia. A przecież jeszcze całkiem niedawno, widząc ten napis na „galerze”, zupełnie nie mógł sobie przypomnieć, co też oznacza to słowo. Teraz to było aż śmieszne: jak można było zapomnieć o Moskwie?... I powiedział: – Tak, coś sobie przypomniałem.

– Co? – Pistolet się zaniepokoił.

– Co to takiego Moskwa.

– A po co ją sobie przymopinać? Przecież spłonęła.

– Nie mówię o „galerze”, tylko o mieście. O stolicy Rosji, jeśli coś ci to mówi.

– Mówi. – Łuzanin machnął ręką. – Ale ja nie o tym. Typam: przypomniałeś sobie, kim byłeś?...

– Niczego sobie nie przypomniałem, skąd ten pomysł?

– Tak dobrze radziłeś sobie z autotamem, jakbyś... A co tam! Panewno już kiedyś miałeś go w rękach. I to nieraz. A buty masz dokładnie takie jak kiercewni.

– No tak. – Gleb wypuścił powietrze. – Wreszcie dogrzebaliśmy się do prawdy. No jasne, jestem cerkiewnym. To oni mnie tu nasłali, żebym wybadał, ile „dzicy” mają nielegalnych dzieci... Słuchaj, kolego, jak się zapatrujesz na to, żebym cię teraz udusił?

Widać w głosie mutanta zabrzmiało coś takiego, że Pistolet zerwał się i z ostrzegawczo wysuniętymi przed siebie rękami cofnął się w mrok. Prosto w stronę rzeki. Jeszcze kilka kroków i znalazłby się w wodzie.

– Na miejsce! – ryknął, tracąc cierpliwość, mutant. Wstał, podszedł do łuzanina i silnym szarpnięciem przyciągnął go do siebie. A potem zasyczał, przenikliwie i z pasją: – Tej paskudnej rozmowy nie było, rozumiano? A jeśli jeszcze raz zaczniesz któregoś z nas szpiegować, własnoręcznie utopię cię w pierwszej napotkanej kałuży. Obejdę się z tobą kompletnie

nieładzko, możesz mi uwierzyć. I zakarbuć sobie na swoim oblazłym nosie: jeśli jesteśmy razem, to do końca. A jeśli tak, to każdy z nas powinien wierzyć, ufać pozostałym jak samemu sobie. Nie możesz, nie chcesz – to odejdz! Teraz. Póki naprawdę cię nie uduśiłem...

– Mówiłeś, że utopisz... – ledwie słyszalnie bąknął wystraszony Pistolet.

– Jak wolisz. – Gleb westchnął zmęczony. – Wybór należy do ciebie.

– No to zostanę.

Mutant nic nie odpowiedział. Łuzanin powłóknął się z powrotem w stronę szuwarów. Zanim się położył, ostrożnie obmacał nos i burknął:

– I wcale nie jest oblazły.

ROZDZIAŁ 17

NARADA WOJENNA

Nazajutrz wszyscy zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Znów we trójkę nałowili ryb, wykorzystując do tego celu koszulę cerkiewnego – nie mieli ochoty moczyć swoich o tak wczesnej porze; schłyby zbyt długo, a chodzenie w mokrych ubraniach w porannym chłódzie nie należało do przyjemności. Kiedy Saszka piekł ryby, Pistolet poszedł narwać barszczu, tak że do śniadania mieli nawet „jarzynkę”. Do tego czasu zaczęło przygrzewać słońeczko, tak więc wszyscy mieli dziarski nastrój i po tym długim przymusowym postoju byli gotowi na nowy marsz.

I wtedy pojawiło się pytanie, jaką konkretnie trasą powinni iść dalej. Gleb wyciągnął i rozłożył mapę, zawołał przyjaciół.

– Już to razem omawialiśmy, ale w końcu do niczego konkretnego nie doszliśmy. Najwyższy czas postanowić, co robimy. Najpierw, wiadomo, pójdziemy wzdłuż rzeki... – Mutant przesunął po mapie palcami, obliczył coś w myślach i kontynuował: – Myślę, że jakieś osiem–dziesięć kilometrów przejdziemy spokojnie...

– Tfu-tfu-tfu! – wtrącił Pistolet.

– Tak – przytaknął mutant. – Właśnie „tfu-tfu-tfu”. A potem...

– Albo wioskami, albo na skróty przez las. – Saszka przypomniał sobie wcześniejszą dyskusję.

– Ja bym poszedł skrótem – powiedział starszy łuzanin.

– Szybko zapomniawsz o wilkach! – Młodszy spochmurniał. – Myślisz,

że jeśli masz obok Gleba, to żadne bestie nam nie straszne? Gleb też nie jest z żelaza.

– Za to autotam jest z żelaza! – Pistolet zamachał rękami. – Zapomniałeś, że mamy teraz broń?

– W automacie są tylko trzy naboje – przypomniał mutant.

– Strzelimy raz, to je wystraszy i uciekną – łuzanin się nie poddawał.

– Mocno wątpię. – Gleb pokręcił głową. – A jeśli uciekną jedne, to przybiegną drugie. I jest jeszcze jedno „ale”.

– Jakie? – spytali chórem obaj łuzanie.

– Widzicie na mapie te przerywane niebieskie kreski? Właśnie tam, gdzie musielibyśmy iść. Wiecie, co oznaczają?

– Skoro niebieskie, to pewnie wodę – przypuścił Saszka. – A skoro są krótkie, to pewnie jest jej tam mało...

– A skoro są przerywane – Pistolet zachichotał – to leje się z przerwami.

– Jak wiesz, to sam powiedz – burknął chłopak urażonym tonem.

– To bańga.

– Co?... Jaka bańka?

– Bagna – „przetłumaczył” Gleb. – I powiem wam, że to nie najlepiej, nawet bez dodatkowych niebezpieczeństw. A już kiedy coś nas zaatakuje, to przez bagna nie uciekniemy.

– No to nie ma się co zastanawiać – stwierdził Saszka. – W takim razie idźmy wzdłuż brzegu.

– Tak, tak! – Pistolet się poderwał. – „Dzicy” na pewno przestraszą się małotatu! Oni mają tylko kiesiery i widły.

– Po pierwsze, nie zamierzamy z „dzikimi” wojować – uciął mutant. – Po drugie, wcale nie jest powiedziane, że w ogóle będą się nas czepiać...

– No, no... – Starszy łuzanin spojrział na niego, mrużąc oczy. – Dokończ.

– Za to jeśli się przyczepią – ciągnął Gleb po krótkiej pauzie – to po prostu im się nie wykręcimy. Tak czy owak, strzelać do nich nie będę.

A seria w powietrze – jedna, więcej się nie uda – jeśli nawet z początku ich odstraszy, to i tak szybko zdadzą sobie sprawę, że nie mamy więcej naboju.

– Za to można ich poprosić o łódkę – rzucił pomysł Saszka.

– Odebrać! – rozwinął go Pistolet. – Zagrozić autotamem.

– Co ty się nagle zrobiłeś taki wojowniczy? – Mutant spojrzał na niego srogo. – Może lepiej się wymienić!

– Na co? – mruknął niepewnie łuzanin. – Na taumomat? A oni z niego – do nas...

– Na ciebie – odparł Gleb. – Ręce do pracy zawsze się przydadzą. Nawet jedna. I tak nie możemy dać im automatu. Nie sędzę, żeby mieli do nas strzelać, ale jeśli znajdą go potem u nich oddziały karne, to mogą spalić całą wieś, dla przykładu.

– Tarzowałeś, tak? – burknął ponuro Pistolet.

– Będziesz gadał głupoty i świństwa, to na pewno cię wymienię. Obawiam się tylko, że za bełkotka z jedną ręką zaoferują nam najpodlejszą łódkę i utoniemy, zanim dopłyniemy do Ustiuga.

Starszy łuzanin sapnął z urazą. A młodszy podrzucił niespodziewaną myśl.

– A co, jeśli się ubezpieczymy? Żeby na pewno na nas nie napadli.

– Wyjaśnij. – Gleb popatrzył na chłopca z zainteresowaniem.

– Niech Pistolet włoży płaszcz cerkiewnego... I maskę przeciwigazową.

Starszy łuzanin zerwał się, chcąc zaprotestować, ale mutant ostrym gestem usadził go w miejscu i skinął chłopakowi głową:

– Mów dalej.

– Niech weźmie i automat. A nam zwiąże ręce. I zażąda od „dzikich” łódki, żeby dostarczyć do Ustiuga tych, którzy napadli na „galere”. Tak na niby. A nawet jeśli wioskowi nie będą mieli łódki, to cerkiewnego z bronią i tak przepuszczą.

– A moje ręce?! – Pistolet zakręcił „niestandardowymi” dłońmi. – Nie

mamy rękawiczki! „Dzicy” nie są pługi! Ani ślepi!

– Ręce można obwiązać szmatkami, zostawić jeden palec, żeby naciskać spust. Powiedzmy, że jesteś ranny albo poparzyłeś sobie dłonie w pożarze, a rękawiczki straciłeś podczas walki...

– Pomysł ciekawy, ale się nie nada – powiedział Gleb po przemyśleniu.

– Dlaczego? – znów jednocześnie spytali obaj łuzanie, tylko starszy z ulgą, a młodszy z żalem.

– Po pierwsze – znów zaczął wyliczać mutant – jeśli wśród „dzikich” znajdą się ci, którzy uczestniczyli w ataku, od razu odkryją nasz fortel. Jeśli nawet nie zapamiętali każdego cerkiewnego z twarzy, to mnie na pewno nie mogliby zapomnieć. A ja zdecydowanie nie brałem udziału w ataku na „galere”.

– Ty ją podpaliłeś! – zawołał Saszka.

– To my o tym wiemy. Ale nie oni. I to dopiero po pierwsze. Bo po drugie, nawet jeśli napastników tam nie będzie i nikt nas nie rozpozna, to nie mamy żadnej gwarancji, że nie będą chcieli nas, rzekomych bohaterów, odbić, a „cerkiewnego” zlikwidować. I to tak, żeby nie zostało żadnych śladów, dla uniknięcia dalszych nieprzyjemności.

– Nie mów dalej! – zawołał Pistolet. – Twoje „po grudzie” mi już wyszczerzy!

– Ech... – Chłopak się zasmucił.

– Ale gdyby nieco twój plan zmodyfikować – mrugnął zachęcająco Gleb – i wywrócić do góry nogami...

– Ja mam być cerkiewnym?... – Saszka zamrugał osłupiały. – Czy... ty?... Oj, wybacz, przecież ty nie lubisz...

– Nie w tym rzecz. – Mutant machnął ręką. – Lubię, nie lubię... To nie wróżenie ze stokrotki. I nie to proponuję odwrócić. Nie rolę, ale sytuację. „Cerkiewnym”, rzecz jasna, zrobimy Pistoleta – nie ma tu dla niego konkurencji.

– Dziękuję! – burknął starszy łuzanin z kpiarskim ukłonem.

– Proszę – odparł Gleb i mówił dalej: – Ale automat będę miał ja i Saszka. I to my „poprowadzimy” cerkiewnego do Ustiuga, a nie on nas.

– „Dzicy” cerkiewnego do Ustiuga?... – Saszka rozdziawił usta.

Pistolet był nie mniej zdziwiony.

– Nie „dzicy” – wyjaśnił mutant. – Będziemy mrozowcami.

Widząc, że zdumienie we wzroku przyjaciół nie ustępuje, zaczął wyjaśniać:

– W ten sposób od razu rozbroimy problem, gdyby któryś z miejscowych uczestniczył w zdobyciu „galery”. Na pewno wielu widziało, że cerkiewni schwytali mnie i Saszkę i trzymali nas w zamknięciu. Tak można wyjaśnić i to, dlaczego „aresztowaliśmy” cerkiewnego i prowadzimy go do swoich – w końcu mamy niby zawieszenie broni. Chociaż w tym przypadku cerkiewni pierwsi naruszyli jego warunki... No, można niczego specjalnego nie wymyślać i się nie usprawiedliwiać – coś w rodzaju „tajemnicy wojskowej”. Im mniej powiemy, tym będzie nam łatwiej – mniejsze prawdopodobieństwo, że coś chlapniemy albo w ogóle pogubimy się w zeznaniach. Na naszą korzyść zadziała współczucie „dzikich” wobec mrozowców – ostatecznie chcą się z nimi zjednoczyć, więc po co psuć stosunki? Nawet jeśli ktoś będzie miał wątpliwości, uzna, że na wszelki wypadek lepiej się nie mieszać. A o łódkę można uprzejmie poprosić. Może i dadzą, z poczucia solidarności. Przy czym można zaproponować któremuś z nich, żeby popłynął z nami i potem wrócił z łódką.

– Wątpię, żeby ktoś się zgłosił. – Saszka niepewnie pokręcił głową. – Będą się bali pchać do Ustiuga dla jakiejś tam łodzi.

– Cóż, nawet jeśli nie dadzą łódki, to chociaż pozwolą nam przejść. I jak sądzę, nakarmią. Być może dadzą nam też przenocować.

– A ty im za to spalisz dom – burknął Pistolet, który wyraźnie nie miał ochoty grać roli cerkiewnego.

– Nie wymądrzaj się. – Gleb spochmurniał, doskonale rozumiejąc, że za

słowami łuzanina kryje się jedna z tych okoliczności, na które nie ma wpływu. A skoro tak, to lepiej nie ryzykować. I pospiesznie dodał: – Dobra, przepraszam. Masz rację. Nie będziemy się wpraszać na nocleg, to zbyt ryzykowne. Poza tym Saszka i ja dostaniemy lepsze miejsca, a ciebie w najlepszym razie wsadzą do chlewa ze świniami.

– A jeśli... – zaczął Saszka i urwał, spoglądając z przestachem na mutanta.

– Co „jeśli”? Mów dalej, jak już zacząłeś. Po to zwołaliśmy tę „nradę”, żeby dobrze rozważyć wszystkie możliwości.

– A jeśli tam będą ci, którzy wiedzą, że spaliłeś oborę u Makusina? Przecież Makusin wtedy, przy „galerze”, wszystkim to powiedział... No, o nas... o tobie... I Makusin wiedział, że nie jesteście mrozowcami.

– Zgadzam się, to słaby punkt planu. – Mutant ściągnął brwi. – Istnieje takie ryzyko. Ale nie ma się czego bać. Samego Makusina tu nie będzie. Z dużym prawdopodobieństwem. I w ogóle wątpię, żeby po ataku przyszedł tu ktokolwiek z Iljinskoje – musieliby nieźle nadłożyć drogi, a w domu zostały rodziny, po tym wszystkim strach je zostawiać same... No, myśląc logicznie. Tak więc prawdopodobieństwo oceniam na bardzo niewielkie. Można zaryzykować. A nawet jeśli ktoś słyszał o nas od Makusina, to trzeba po prostu wszystkiemu zaprzeczać. I to z jak największym przekonaniem, wręcz oburzeniem: tak, zatrzymaliśmy się w Iljinskoje, ale niczego nie podpalaliśmy. Dlaczego mrozowcy mieliby podpalać własność „dzikich”? Co my nie mamy lepszych rzeczy do roboty? Głupot ten Makusin naopowiadał! Po prostu łatwiej mu oskarżyć obcych niż na przykład własną żonę, która zapomniała zgasić łuczywo, kiedy karmiła świnię.

– A jeśli zapytają, co zormowcy w ogóle robili w Iljinskoje? – zadał kolejne podchwytliwe pytanie Pistolet.

Ale Gleb i teraz znalazł ripostę.

– To nie ich sprawa. Niby dlaczego mamy im składać sprawozdania,

raportować o naszych zadaniach i celach? Powtarzam: im mniej będziemy mówić, tym lepiej. Będziemy nawet odgrywać pewną wyniosłość – w końcu mrozowcy na pewną uważają się za lepszych od „dzikich”, tym bardziej że niespecjalnie ich u siebie chcą. Tak więc najprawdopodobniej sami „dzicy” nie będą nam zawracać głowy podobnymi pytaniami – głupi nie są.

– Głupi się wszędzie zjadą – rzekł filozoficznie Pistolet.

– No to wtedy im powiemy, że to nie ich sprawa. I w ogóle oczywiście rozumiem, że ten plan nie jest idealny, ale moim zdaniem w naszej obecnej sytuacji jest najbezpieczniejszy.

– Dla was! – zawołał Pistolet. – A mnie zarzną „dzicy”!

– Przy nas się nie odważą. Nie zechcą wchodzić w konflikt z mrozowcami. No i mamy automat.

– Z trzema bajonami... – burknął łuzanin.

– Pistolet... – Saszka spojrzał na ziomka błagalnie. – No, zrozum, żaden z nas poza tobą nie może zostać „cerkiewnym”!

– Ale ja też ich nie przypominam! – Pistolet skrzyżował ręce na piersi. Zdawało się, że jeszcze chwila i się rozpłacze.

Ale i chłopak niemal płakał.

– U ciebie to tylko ręce... Przewiążemy je! Teraz nie musisz trzymać automatu, owiniemy ci palce w całości i nikt nie będzie widział, że jest ich więcej niż pięć. Szybciutko przejdziemy przez te wsie! Nie będziemy się tam zatrzymywać. A o jedzenie poprosimy po prostu na drogę, tak, Gleb?

Mutant kiwnął głową. I nie wytrzymał, odwrócił się. On też bardzo nie chciał wystawiać towarzysza na niebezpieczeństwo. Nawet nie tyle niebezpieczeństwo, co poniżenie. Sądził oczywiście po sobie. Kiedy tylko wyobraził sobie, że to on miałby włożyć na siebie ubranie zabitego, a potem udawać cerkiewnego, poczuł mdłości. Nie tylko nienawidził tych ludzi – czuł wobec nich obrzydzenie. I teraz, zmuszając właściwie Pistoleta, żeby to zrobił, poczuł coś w rodzaju odrazy do samego siebie. I nagle powiedział:

– Tola, wybacz... Ale to naprawdę potrzebne. Nam wszystkim. Jeśli to

zrobisz, obiecuję: nigdy więcej nie usłyszysz ode mnie żadnej drwiny. I ja... na zawsze zapamiętam, co dla nas zrobiłeś. Nie zapomnę do śmierci, uwierz mi! Nawet jeśli cała pozostała pamięć odmówi mi posłuszeństwa.

Pistolet przełknął kulę w gardle i szybko odwrócił się do mutanta. Chciał coś powiedzieć – i nie zdołał. Wydusił tylko:

– Dziękuję...

Za to Saszka jednak się rozkleił – zaszlochał, zaczął ocierać oczy. Potem zerwał się, pobiegł nad rzekę...

Pistolet zaczął się uspokajać. Głęboko westchnął – raz, drugi... Patrzył przy tym na chłopca. I wreszcie odezwał się, nie odwracając głowy:

– Dobry z niego chłopak. Niepotrzebnie tak o nim wtedy... Ty też jesteś dobry. Przyzwoity. A ja...

– A ty co?

– A!... – Łuzanin machnął ręką. Potem przeniósł jednak wzrok na Gleba. – Zrobię to. I możesz drwić, to nic strasznego.

– Obiecałem. Czyli nie będę.

– A może naprawdę kiedyś zrobię coś nie tak?

– No to wtedy cię opieprzę, jakby co. – Mutant się uśmiechnął. – Nie obiecywałem, że nie będę opieprzał.

ROZDZIAŁ 18

WIOSECZKA

Trójka wędrowców ruszyła dalej, kiedy słońce zaczęło już porządnie przygrzewać. Ale tym razem Gleb niezbyt się przejmował późną godziną – mimo wszystko osiem, no, niech będzie dziesięć kilometrów można było przejść w jakieś trzy–cztery godziny, z uwzględnieniem nierównego brzegu, konieczności sforsowania dopływów Jugu i pokonania innych koniecznych, choć nie krytycznych naturalnych przeszkód. Znacznie bardziej niepokoiło go to, co czekało ich dalej. Kilka razy zamierzał nawet zrezygnować z opracowanego planu, chcąc machnąć ręką na środki ostrożności i iść przez wieś tak jak stali, mówiąc ludziom prawdę. Po zastanowieniu jednak niczego nie zmienił. Poza tym co to znaczy „mówić ludziom prawdę”? Jaka ta prawda jest? No dobrze, o Saszce i Pistolecie można powiedzieć. A o nim samym? Jaka prawdę przedstawi, skoro niczego o sobie nie wie? Bo mówić o problemach z pamięcią to znaczy wzbudzić niepokój u miejscowych „dzikich”, a co za tym idzie, nastawić ich przeciwko sobie: spotkanie tu kogoś, kto zetknąłby się z podobnym problemem, było mało prawdopodobne, a zatem nikt mu raczej nie uwierzy. A jeśli kłamie, to dlaczego? Coś ukrywa. I to na pewno coś podejrzanego. Przy czym, jeśli kłamie i ukrywa coś jeden z nich, to najprawdopodobniej kłamią też pozostali. Nie lepiej będzie pozbyć się tej podejrzanej trójki?... Tak właśnie mogą uznać miejscowi. Ryzyko jest niewielkie – prędzej po prostu nie będą chcieli mieć z nimi do czynienia – ale po co kusić los? Tak więc Gleb

pozostawił plan bez zmian. Niech będzie, co ma być!

Tym bardziej że szczęście, jak się zdawało, uśmiechnęło się wreszcie do wędrowców. Szli łatwo i szybko. Brzeg północnego Jugu nie sprawiał na razie szczególnych problemów. Na samym początku drogi trzeba było co prawda zdjąć buty i podwinąć nogawki – tak przekroczyli w bród rzeczkę Olszanę, która była oznaczona na mapie. A potem po prostu szli krok za krokiem, z rzadka wchodząc wyżej po nadbrzeżnym zboczu, jeśli w przejściu przy samej rzece przeszkadzały zbyt urwiste skarpy, gęste zarośla wikliny czy powalone drzewa. Na przyjaciół nie napadały dzikie zwierzęta, nie dokuczały im owady – co najwyżej z rzadka gryzły ich najzwyklejsze komary i bąki, do których cała ich trójka i tak przywykła już od dzieciństwa. Krótko mówiąc, wszystko szło całkiem nieźle. Gdyby nie czekający ich zamieszany odcinek drogi, każdy z przyjaciół był gotów z radością iść tak do samego Ustiuga. Ale niepokojący fragment zbliżał się z każdym krokiem. A nastrój wędrowców coraz bardziej się przy tym psuł. W końcu, sądząc z mapy, podeszli do zaznaczonych na niej osad na tyle blisko, że posuwając się dalej w sposób niezgodny z wymyśloną legendą, zaczęliby ryzykować. Zrobili więc przerwę, żeby się przebrać i nabrać odwagi.

Ubranie cerkiewnego było na Pistoleta nico za duże, ale nie na tyle, żeby mocno rzucało się to w oczy. Podwinęli rękawy „sutanny”, ją samą skrócili zaś lekko nożem. Spodnie wcisnęli w buty, które na szczęście okazały się pasować. Choć koszuli nie było widać, przycięli jej rękawy, żeby pozyskanymi paskami materiału „zabandażować” łuzaninowi ręce. Snurowadłami jego starych butów związali mu ręce – nie za mocno, tylko dla zachowania pozorów. Resztę ubrań Pistoleta razem z butami zawiązali w węzełek, który powierzyli Saszce. Automat, rzecz jasna, wciąż miał Gleb, który skierował teraz jego lufę w plecy starszemu łuzaninowi i zaciągnął bezpiecznik. W wypadku nagłego ataku jakiegoś stwora, spowodowałoby to

oczywiście około sekundy opóźnienia, ale mutant wolał pójść na to nie tak znaczące ryzyko niż wystawić na większe niebezpieczeństwo towarzysza – wystarczy się potknąć, przypadkiem pociągnąć za spust i...

Pistolet bardzo nie chciał zakładać maski przeciwgazowej. Sam łuzanin wyjaśniał to tak, że brzydzi się dotknąć rzeczy, która dotykała twarzy trupa. Ale Glebowi wydało się, że Pistolet trochę się boi strasznej wyłupiastookiej maski. Mutant wymyślił ją starannie i naciągnął przyjacielowi na głowę.

– Trzeba, bracie, trzeba. Teraz jest czysta.

Saszka spojrzał na swojego starszego ziomka i parsknął:

– Przynajmniej zrobiłeś się gładki, bo zarosłeś szczecina już niemal jak Gleb.

Chociaż szli teraz równie szybko jak wcześniej, to patrzyli na boki uważniej, z napięciem i obawą. A kiedy ujrzeli przed sobą pierwsze chaty, mimowolnie zwolnili kroku. Jednak wszystkie domy okazały się niezamieszkane i częściowo lub całkowicie zrujnowane. We wsi ewidentnie już od kilku lat nikt nie mieszkał. Co to była za wieś, też pozostawało tajemnicą. Jeśli wierzyć mapie, to chyba Kuzminska Wystawka. A może i nie – ta mapa miała sto lat, no i nie wszystko musiało być na niej oznaczone. Zresztą nazwa porzuconej osady tak czy inaczej niczego nie zmieniała.

Wydawałoby się, że należało się cieszyć, iż nie spotkali tu żadnych ludzi, ale wszystkim przyjaciołom, przeciwnie, zrobiło się jeszcze bardziej niespokojnie na duszy. Niezamieszkane zawałone chaty budziły smutek i przygnębienie, mimowolnie przywodząc na myśl śmierć i rozkład.

Rzeka skręciła już w lewo, tworząc zakole, które z początku zamierzali przeciąć. Wkrótce potem koryto rozdziwiło się, tworząc dwie wysepki – jedną mniejszą, bliżej dalszego brzegu, i drugą dość dużą, prawie pośrodku rzeki. A na drugim brzegu, naprzeciw drugiej wyspy, wędrowcy zobaczyli jeszcze jedną osadę. Tym razem zauważyli też dym unoszący się nad

niektórymi dachami. W tej wsi bez wątpienia żyli ludzie.

– Ustje-Powalichino. – Gleb sprawdził na mapie. – Prawie na pewno.

– Nie zobaczą nas stamtąd? – Saszka się zaniepokoił.

– Nie sądzę. To jednak kawałek. A jeśli nawet zobaczą, to wątpię, żeby od razu rzucili się nas łapać. Zresztą na początek musieliby jeszcze przepłynąć przez rzekę. Tak czy owak, my też to zobaczymy i zdążymy się przygotować.

– Jak przygotować? – zapytał chłopak.

– Psychicznie, a jak? – Mutant zrobił minę przypominającą uśmiech.

– Albo ukicniemy – powiedział głucho spod maski Pistolet.

– Cóż, niespecjalnie mamy dokąd uciec. O drodze przez las już rozmawialiśmy, a przed nami Wioseczka.

– Jak się nazywa?

– Właśnie tak: Wioseczka.

– Ach tak, była taka – chłopak przypomniał sobie, jak studiowali trasę.

– No i po co mielibyśmy uciekać? – Gleb spojrzał na starszego łuzanina. Chciał już zażartować, ale przypomniał sobie swoją obietnicę i mówił dalej poważnie: – Właśnie na tego typu spotkanie się nastawiliśmy. Nie ma znaczenia, czy dojdzie do niego wcześniej, czy później.

– Oby później... – westchnął Saszka.

– Też mi do niego nie śmieszno. – Pistolet się skulił.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział mutant, starając się, by jego głos brzmiał jak najpewniej.

– Wszystko będzie tak, jak być powinno... – oznajmił nagle starszy łuzanin.

– Oho! – zdziwił się Gleb. – Czytałeś Marka Aureliusza?...

– Już ci mówiłem, że przetyczałem może nie mniej książek od ciebie – odparł Pistolet.

– No to zakończmy ten aforyzm – zaproponował mutant.

– Nienokiecznie – burknął niewyraźnie pod maską łuzanin.

– A jak się kończy? – zapytał Saszka urażonym tonem. – Mnie to przecież ciekawi!

– „Nawet jeśli będzie inaczej” – zacytował Gleb.

– No to przecież dobrze – powiedział chłopak po zastanowieniu. – Tak czy owak – i tak będzie tak, jak być powinno.

– A co w tym bodrego? – Pistolet błysnął wizjerem maski. – Przecież nie wiemy, jak powinno być.

– Dlaczego nie wiemy? – zaproponował mutant. – Akurat wiemy. Wszystko powinno być dobrze. Inaczej po co w ogóle ruszyliśmy w tę drogę?... No, ja to wiadomo dlaczego. Saszka w sumie też. A ty akurat musisz sądzić, że poszedłeś ze mną nie na darmo, ale wyłącznie na spotkanie czegoś dobrego. A przynajmniej nie gorszego od tego, co było. A może już żałujesz?

– Nie żałuję. – Starszy łuzanin pokręcił ogumowaną głową. – Chodźmy dalej.

A dalej stało się to, na co czekali. Wioseczka, oznaczona na mapie jako maleńki punkcik, okazała się całkiem sporą osadą – chyba nie mniejszą od Iljinskoje. Przy czym, jak zauważył Gleb, większość stojących w niej domów była nowa, wzniesiona z bierwion, które nie zdążyły jeszcze pociemnieć ze starości. Prawdopodobnie ściągnęli tu mieszkańcy pobliskich wsi, żeby żyć razem. Widocznie właśnie dlatego porzucili Kuzminską Wystawkę. Chociaż kto wie, jakie przyczyny odegrały tu główną rolę.

Wędrowcy zostali zauważeni od razu. Ze skrajnej chaty na idącą przez wieś drogę wyskoczył chłop, zagwizdał co sił i od razu podbiegli do niego ludzie. Głównie mężczyźni. Wszyscy uzbrojeni w widły, siekiery, drągi... Dwudziestu pięciu–trzydziestu ludzi.

– Spokojnie – powiedział przyjaciołom Gleb. – Idziemy jak gdyby nigdy nic. W żadnym razie nie pokazujcie, że się boicie. A nie, ty, Pistolet, możesz pokazywać, tak będzie nawet lepiej. Tylko nie przeszarżuj.

– Cciekawe jjjak... – zabeczwał spod maski łuzanin.

Mutant demonstracyjnie szturchnął go w plecy lufą automatu:

– Ruchy! Co tak stoisz, draniu?

Doszli do tłumu powitalnego, zatrzymali się. Dalej i tak by nie przeszli. Gleb obrzucił szybkim spojrzeniem surowych, zasepionych chłopów. To wystarczyło, żeby się upewnić: przed nimi są ludzie łysi, pokryci strupami i wrzodami, jeden ma bielmo na oku, drugi jedną rękę, jeszcze ktoś jest powykęcany, inny garbaty, jeszcze inny rogaty – niewątpliwie mutanty, wszyscy co do jednego. „Dzicy”. Właśnie tego się spodziewali.

– Dzień dobry, panowie! – głośno, ale przyjaźnie powiedział Gleb.

– Dobry... – wydusił i Saszka.

– Ktoś ty? – odezwał się tylko jeden z nich, ten, który wołał pozostałych.

Patrzył tylko na Gleba, jakby nie dostrzegając pozostałych. Za to wszyscy pozostali, stłoczeni za jego plecami, pożerali wzrokiem każdego z nich. W milczeniu. Niewątpliwie uznając pytającego za swojego lidera.

– Jesteśmy z Ustiuga – odparł mutant. – Idziemy we dwóch. – Skinął głową na Sazkę. – Jesteśmy ludźmi Dziadka Mroza, słyszałeś o nim?

– Ano, słyszoł żem – burknął chłop. – A cerkiewny po kiego u was? – Dalej nie patrzył na Pistoleta.

– Przedwczoraj pod Słobodką wasi spalili „galere”... On na niej był, jest z kompanii karnej. – Gleb splunął.

– Jacy znowu „nasi”? – burknął miejscowy „starosta”. – Jo nic nie wiem. A wy skond się tam wzięliście? I czego się nagle mrozowcy z cerkiewnymi nie dogadali?

– A to już wybac, ale nie twoja sprawa – odpowiedział ostro mutant.

– Jo wiem, że nie moja – mruknął chłop, odwrócił się do swoich i komuś powiedział: – Ano, zawołajta Prokopija!

– Widzę, że nie zamierzacie nas przepuścić? – Gleb nieprzyjaźnie zmrużył oczy.

– A co, toć przepuszczajem? – Starosta wzruszył ramionami. – Idźta, kto wos trzymo? Ino daleko zajdzietta? Ustiug to stond oho!o!

– Czy to groźba?

– Jako tam groźba, co ty? – „Dziki” uśmiechnął się ledwie zauważalnie. – Ino wiedz, toć tu źwierzyny wiela... Co bendzietta z jednom pukowkom?

– Poradzimy sobie. – Gleb spochmurniał. – Ale zanim odejdzimy, chcielibyśmy, żebyście udzielili nam pomocy. Rzecz jasna zameldujemy o tym Dziadkowi Mrozowi.

– A co mie twoje meldunki łobchodzm – już mniej pewnym głosem oznajmił miejscowy. – A jakom chceta pomoc?

– Po pierwsze, chcemy poprosić o trochę jedzenia. Ze sobą. Na trzech.

– Na dwóch – poprawił „starosta”.

Gleb na razie nie oponował.

– Po drugie – mówił dalej – potrzebna nam łódka. To wszystko.

– Ino tyła? – udał zdziwienie chłop i w tłumie od razu rozległ się czyjś chichot. – Może jeszcze w bani zagrzejem, nalejem wom brażki i każdemu po babie?

Teraz tłum otwarcie zarżał. Gleb lufą automatu odsunął na bok Pistoleta i skierował broń na mówiącego.

– Widzę, że z ciebie dowcipniś – wycedził. – Ale moje kule to nie żarty. Chcesz się przekonać?

„Starosta” nie zdążył odpowiedzieć. W tłumie rozległy się nagle niespokojne szepty i ten jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki rozstał się na boki, tworząc pośrodku szerokie przejście. Mówca też zrobił krok w bok.

A przejściem, pomagając sobie sękatym kosturem, powoli kroczył zgarbiony starzec. Gdyby nie długa prawie do ziemi siwa broda, można by go chyba wziąć za ich niedawną znajomą – „Babę Jagę”. Zresztą twarz starca wyglądała znacznie dostojniej niż u „wiedźmy”. Mało tego, kiedy

podszedł bliżej, Gleb nie zdołał dostrzec u niego żadnych śladów mutacji – przygarbienie zdawało się raczej skutkiem wielkiej liczby przeżytych lat niż promieniowania.

Starzec obrzucił krótkim spojrzeniem wędrowców i przeniósł go na „starostę”. Chociaż nazywać go tak teraz choćby w myślach wydało się mutantowi śmieszne.

– Słyszałeś? – bardzo cicho spytał starzec. – Jedzenie dla trzech i łódkę. Bierz ludzi i do roboty.

– Na... dwóch – poprawił go niepewnie „dziki”.

– Nikszyn! – staruszek nieco podniósł głos. – Na trzech. Działaj.

Gleb był porażony. Jak ten zgrzybiały starzec mógł dosłyszeć jego prośbę? Przecież w tamtym momencie był jeszcze daleko, gdzieś na tyłach tłumu... Chociaż tłum ma wiele uszu.

Tymczasem chłop zamachał rękami, każąc ludziom odejść na bok, pospiesznie podszedł do nich sam, zaczął coś szeptać, wciąż przy tym gestykulując, w wyniku czego tłum bardzo szybko się rozproszył.

– Jak się nazywacie? – zapytał mutant starzec.

– Ja – Gleb, to jest Saszka. A ten... nie jestem pewny. Chyba Anatolij. A pan... Prokopij?

– Prokopij.

– Ale przecież pan... nie jest mutantem... – Gleb sam nie wiedział, jak wyrwało mu się to z piersi.

– Tak samo jak wy nie jesteście mrozowcami. A ten tu nie jest cerkiewnym. Prędzej już to on jest mrozowcem.

– Ja?!... Co?!... Nie!... – zawołał Pistolet i zaczął już ściągać maskę przeciwigazową, ale się powstrzymał. – Jaki ze mnie...

– A pan... skąd pan... – Mutant zdrętwiał, nie zwracał uwagi na oburzonego łuzanina.

– Nie bój się, nie obchodzi mnie, kim jesteście. Tylko można by nie kłamać.

– Trzeba było. – Gleb się zasepił. – Wasi i tak nas o mało nie tego...

– Niczego by wam nie zrobili. – Staruszek machnął ręką. – To tchórze. Stawiają się tylko, kiedy są w kupie. Ale nie gniewaj się na nich. Tacy już są, nic nie poradzisz. Mimo wszystko są ci obcy. I ty jesteś dla nich obcy. A mrozowcy tym bardziej są obcy, niepotrzebnie się za nich podaliście.

– Jak to?... Jak to rozumieć?

– Mrozowcy nie są dobrzy. To nie złoczyńcy, ale nie są też dobrzy.

– A ja co, jestem dobry? – burknął mutant.

– Ty nie jesteś zły.

– W porządku. – Gleb podniósł wzrok na staruszkę. – Nie jestem mrozowcem ani „dzikim”, tym bardziej nie jestem cerkiewnym... To czyj ja jestem?

– Nie wiem. – Prokopij rozłożył ręce. – Niczyj.

– Niemożliwe... – ledwie słyszalnie wyszeptał mutant.

– Możliwe. – Starzec kiwnął głową. – Ja na przykład też jestem niczyj.

– A dlaczego pan...

– Nie jest mutantem?... Jakoś nie bierze mnie radiacja. Jeszcze od czasów Czarnobyli... Ale ty pewnie nie wiesz, co to jest!

– Ja wiem! – odezwał się Saszka. – To była taka elektrownia, atomowa. Wybuchła, czytałem o tym... Chyba gdzieś w połowie zeszłego wieku.

– No, nie w połowie. – Staruszek się uśmiechnął. – W osiemdziesiątym szóstym, ale to i tak dobrze, że tyle wiesz. Wezwali mnie tam do likwidacji skażenia... A tu patrz, okazało się, że radiacja mnie nie bierze. Ani wtedy mnie nie wzięła, ani teraz... I śmierć też nie.

– A ile pan ma lat? – zapytał skrajnie zdumiony Gleb.

– Policzmy... W osiemdziesiątym szóstym miałem trzydzieści trzy. A teraz mamy trzydziesty trzeci... Czyli czternaście od Czarnobyli do dwutysięcznego... Wychodzi, że osiemdziesiąt. Wcale nie tak dużo, ale tutaj to i do połowy tego rzadko dożywają. A w ciągu tylu lat nauczyłem się czytać ludzi. Za to mnie tu... szanują. A raczej boją się. Czekają, kiedy

umrę. Ale boją się też mnie pospieszyć. Tak to.

– A pan... – Mutantowi przysłała nagle do głowy szalona myśl. – Może pan... wyczytać we mnie, kim naprawdę jestem? Może i jestem niczyj, ale mimo wszystko – choćby skąd pochodzę? Przecież skądś się wziąłem, gdzieś mieszkałem...

– A co, ty sam nie wiesz? – starzec się zdziwił.

– Nie wiem. Straciłem pamięć.

– No, synku – rozłożył ręce Prokopij – nie jestem wszechmocny, nie jestem czarodziejem... Chociaż... Mam taką jedną znajomą... – Staruszek nagle urwał z zakłopotaniem. Glebowi wydało się nawet, że się zarumienił, chociaż na stwardniałej, pomarszczonej, ciemnej od upływu czasu skórze trudno to było określić. – Tylko musielibyście zwrócić. To jest w lesie, w bok do Słobodki.

– Matriona Iwanowna? – Saszka znów się wyrwał.

– To ty, widzę, jesteś chodząca encyklopedia! – Starzec popatrzył na chłopaka. – Skąd o niej wiesz? Też w książce wyczytałeś?

– Byliśmy u niej – powiedział mutant. – Wczoraj nocowaliśmy.

– Ach tak?... Czyli moja przyjaciółka jeszcze żyje?

– Żyje. – Gleb się uśmiechnął. – Jeszcze jak! Nas też ożywiła.

– To ją trzeba było prosić o przywrócenie pamięci.

– Prosiłem...

– I co na to Matriona?...

– Spróbowała. Ale nic z tego nie wyszło. Prawie...

– Cóż, skoro Matronie nie wyszło – Prokopij znów rozłożył ręce – to chyba nikomu się nie uda.

– A Dziadek Mróz? – Mutant zrobił krok naprzód.

– Dziadek Mróz?... – Staruszek zmarszczył brwi. – Ja bym się do niego nie pchał.

– Ale ja muszę! – zawołał Gleb.

– Rób, jak chcesz, ja swoje powiedziałem. Tylko widzę, że i tak tam

pójdiesz.

– Nie mam wyboru! – powiedział ze złością mutant. – Ja tak dłużej nie mogę. To i tak nie jest życie, tak bez pamięci...

– Rób, jak chcesz – powtórzył starzec. Potem się odwrócił, przypatrzył czemuś i powiedział: – Właśnie niosą wam jedzenie.

– A łódka?...

– Będzie i łódka, spróbowaliby nie dać.

– Możemy wziąć kogoś ze sobą, dopłyniemy do Ustiuga, a on wróci z łodzią.

– Nikt nie popłynie do żadnego Ustiuga. – Prokopij machnął ręką. – Powiedziałem przecież, że to tchórze. No i nie mają tam nic do roboty... Ty też nie, ale to już mówiłem.

ROZDZIAŁ 19

OSTATNIE KILOMETRY

Postanowili jak najszybciej odbić od brzegu, bez zwłoki. A to wiadomo, co wpadnie miejscowym do głowy? Jednak łódka to łódka, co innego niż dreptanie piechotą. A skoro już dali, to mogą i odebrać. Dlatego szybko się naradzili, ustalili, żeby nieco odpłynąć, a potem znów przybić do brzegu, zjeść obiad i pokombinować, co robić dalej. Zwłaszcza że stary Prokopij uspokoił ich, mówiąc, że w najbliższych wsiach, oznaczonych na mapie jako Siemiennikowo, Gribcowo i Strielka, od dawna nikt nie mieszka. Tym razem Gleb już się zdziwił: jak to, przecież cerkiewni zabraniają „dzikim” się jednoczyć? Okazało się, że zdążyli jeszcze przed wprowadzeniem zakazu. I nie ma ich tu wcale tak wielu, więc cerkiewni pozwoli im się nie przesiedlać z powrotem. Tym bardziej że z Ustiuga jest względnie blisko i „kontrolerzy” są w Wioseczce częstymi gośćmi, nie rozpieszczają ich.

Zamieszkane było położone dalej w dole rzeki Karasowo, ale do niego był jeszcze szmat drogi – ze cztery kilometry, to jest, z uwzględnieniem szybkości prądu, prawie dwie godziny.

Pierwsze rozczarowania zaczęły się od razu po odbiciu od brzegu. „Podarowana” im łódka przeciekała. I to dość mocno. A wędrowcy nie mieli niczego, czym można było czerpać wodę. Tak więc trzeba to było robić dłońmi. Ale ponieważ przy wiosłach siedział Gleb, to logiczne było, że o pływalność jednostki musieli walczyć Saszka z Pistoletem, który zdjął już maskę przeciwgazową i „sutannę”. Dłonie młodszego łuzanina były

wąskie, młodzieńcze; starszy miał w ogóle tylko półtorej dłoni, tak że sprawdzali się w swoich rolach, delikatnie mówiąc, nędznie. Dość szybko trzeba było przycumować – akurat gdzieś przy wyludnionym Siemiennikowie, nie zdążyli odpłynąć nawet paru kilometrów.

– Czyli tak – zakomenderował Gleb, złożony wiosła – wyciągamy tę balię na brzeg i obracamy do góry dnem.

– Po co? – Saszka nie rozumiał.

– Żeby cackać szczeliny – podpowiedział Pistolet, który od razu odgadł zamysł mutanta.

– Jak to? – Saszkę podpowiedź Pistoleta wcale nie usatysfakcjonowała.

– Nasz przyjaciel chciał powiedzieć „zatkać” – wyjaśnił Gleb. – Czyli będziemy je zatykać czymś odpowiednim, najlepiej mchem, jeśli jakiś znajdziemy. Idealnie by było je jeszcze zasmolować, ale brakuje nam do tego paru rzeczy, w pierwszej kolejności smoły.

– Można zeszkrobać korę z sosen i świerków – zaproponował chłopak.

– I ile tak będziemy skrobać? Tydzień, dwa? A co będziemy jeść przez cały ten czas?... Nie, w ten sposób nie da rady. Zresztą i tak nie mamy metalowego naczynia, żeby tę smołę roztopić. Obejdziemy się bez smołowania. Do przepłynięcia mamy tyle co nic.

Mutant wygłosił ostatnie kilka zdań z jak największym przekonaniem, chociaż tak naprawdę wcale taki pewny nie był. Dostać się jak najbliżej Ustiuga – to już dobrze. Ale jeśli jakkolwiek nie zatkają szczelin, to na takiej dziurawej łajbie dalsze pływanie w ogóle nie będzie miało sensu, to było dla niego zupełnie jasne. Mimo wszystko „starosta”, choć formalnie usłuchał Prokopija, w gruncie rzeczy dał im zwykłego grata.

Na początek postanowili się posilić. W tej kwestii grzechem byłoby się na mieszkańców Wioseczki obrazić – w płóciennym worku, który im sprezentowali, znalazło się pod dostatkiem jedzenia. Pieczona ryba, gotowany kurczak, ziemniaki (gotowane i po prostu surowe bulwy – następnym razem można upiec w popiele), marchew, rzepa, brzozowy tujes

moczonych borówek... W sumie najedli się, jak to się mówi, po kokardę.

Gleb poobracał w dłoniach opróżniony tujes i powiedział:

– A przy okazji będziecie mieli i czerpak do wody. Dobrze by było upleść jeszcze jeden taki... Ktoś umie?

– Ja umiem – przyznał Saszka. – Trzeba tylko nadrzeć kory brzozonej.

– Zaraz pójdziemy szukać mchu, to nadrzesz.

– Daj mi tylko nożyk.

– A co poradzę?

Las zaczynał się od razu za opustoszałym Siemiennikowem. Przechodząc przez wieś, Gleb pomyślał, że byłoby nieźle przenocować w jakiejś najmniej zniszczonej chacie. Potem jednak uznał, że to kiepski pomysł. Dom mogą okrążyć, podpalić... Sam rozumiał, że to raczej paranoja, ale po ostatnim niezbyt ciepłym przyjęciu zgotowanym im przez „dzikich” nie mógł się pozbyć nieprzyjemnego uczucia niepokoju. No nie, nie dla nich te wygody! Obchodzili się bez nich i jeszcze się obejdą. Bezpieczeństwo jest ważniejsze.

Nabrali cały worek mchu. Saszka naciął kory brzozonej. Wrócili do łódki. Chłopak zaczął pleść czerpak. Gleb z Pistoletem mieli za zadanie uszczelnić dno swojej „jednostki pływającej”.

– Dasz radę? – Mutant spojrzał na pozbawioną palców dłoń łuzanina.

– Jasne, że dam – odpowiedział tamten. – Mapiętasz, jak nauczyłem się uszczelniać chatę w Iljinskoje? Tylko czym to brzozymy?

– Zaraz coś wymyślimy.

Gleb ściał młodą osikę, z nasady zrobił dwa młotki, z reszty wyciął kilka klinów.

– Proszę. – Podał Pistoletowi młotek i jeden z klinów. – Jak złamiesz, weź jeszcze.

Mutant i starszy łuzanin wzięli się do pracy. Okazało się, że szczelin w łódce jest mnóstwo. Gleb tylko wzdychał boleśnie, coraz bardziej się upewniając, że nie dopłyną do Ustiuga. Ale przecież nie będą tu siedzieć

przez tydzień, żeby uszczelnić to rzeszoto! W końcu – słowo daję! – nie płyną do Archangielska.

Mutant, wypowiedziawszy w myślach nazwę miasta, popadł w zadumę. Co to? Nowe wspomnienie?... Jednak jakkolwiek wyteżał pamięć, żadne związane z Archangielskiem obrazy nie wypłynęły na powierzchnię. Zwykła znajomość geografii: Dwina powstająca przy Wielkim Ustiu z połączenia Jugu i Suchony, niesie swoje wody dalej na północ, przez graniczący z obwodem wołogdzkim obwód archangielski, do Morza Białego. A Archangielsk jest położony tuż przy jej ujściu. To wszystko. Na pewno wszystko?... Z jakiegoś powodu przypomniała mu się wizja, jaką zobaczył w „chatce Baby Jagi”. Ale przecież nie było w niej Archangielska, tylko Ustiug. Na pewno, na sto procent, mówiły o tym napisy „Wielki Ustiug” na budynku dworca rzeczno-jezernego i na przystani. Dlaczego ta wizja wypłynęła mu właśnie teraz z pamięci? Czy nie dlatego, że to, co pierwotnie zobaczył, nie było jego, Gleba, wspomnieniem?... Tak, tak, nie jego, lecz ojca! Więc być może i Archangielsk jest związany z ojcem? Może to on się tam urodził, może się uczył... Wiadomo? W każdym razie w tej chwili wiedza o tym mieście w niczym nie mogła mu pomóc. Jednak zakamarki jego kalekiej pamięci dały mu jednak jakąś podpowiedź, może być wdzięczny i za to.

Tymczasem Saszka skończył wyplatać czerpak i zaczął pomagać starszym towarzyszom. Jako młotka użył kamienia, Gleb od razu zrobił zapas klinów, tak że chłopak nie musiał odciągać mutanta od roboty.

Ale nawet we trzech pracowali długo. Zaczęło zmierzchać. Nikt nie miał ochoty wyruszać w drogę na noc, mimo że podróż, która z początku zdawała się krótka, tak się przeciągnęła.

Gleb znów wyjął mapę, chociaż i bez niej znał już marszrutę na pamięć.

– To nic – powiedział, chowając ją za pazuchę po sprawdzeniu. – Zostało jakieś dwanaście kilometrów. Rzeką to będzie sześć godzin. Jeśli wstaniemy trochę wcześniej, w południe będziemy już w Ustiu. Jeśli

oczywiście... – Patrząc na łódkę, podrapał się po głowie. – W każdym razie jutro powinniśmy dotrzeć na miejsce. Jeśli obejdzie się bez specjalnych nieprzyjemności.

– Tfu-tfu-tfu! – Pistolet postukał w łódkę.

– Nie stukaj, bo się rozpadnie! – zaśmiał się mutant.

Potem rozpalili ognisko i zjedli kolację nie mniej obfitą od obiadu. Można było się obejść i bez ogniska, ale postanowili upiec wieczorem ziemniaki na następny dzień. Potem zaczęli się zastanawiać, gdzie przenocować. Gleb przedstawił swoją opinię na temat Siemiennikowa i Saszka z Pistoletem zgodzili się z jego argumentami – lepiej nie ryzykować. Za to tam, gdzie przybili, bliżej ich brzegu, widniała niewielka piaszczysta wyspa. Mutant zaproponował, żeby się tam przeprawić.

– Będzie bezpieczniej, a przy okazji wypróbujemy łódź – wyjaśnił.

Nie było głosów sprzeciwu. Obrócili łajbę, spuścili ją na wodę i dopłynęli na niej do wysepki. Co prawda mieli do przepłynięcia ledwie kilka pchnięć wiosłem, tak że choć łódka nie zaczęła przeciekać, to jakoś wyjątkowo się z tego nie cieszyli. Wyciągnęli ją na piasek i znów obrócili do góry dnem. Gleb podłożył pod jedną z burt kilka zabranych z brzegu pniaków.

– Proszę – powiedział – kto będzie chciał, może spać pod dachem. Albo będzie na wypadek deszczu.

– Albo na wypadek, gdyby trzeba było się przed kimś schować – dodał Pistolet.

– Miejmy nadzieję, że oprócz komarów nikt nie będzie nas niepokoił. – Mutant spróbował uśmiechnąć się zachęcająco. Chociaż w szarym nocnym półmroku i tak nikt nie mógł docenić jego próby.

– A szpatki? – spytał łuzanin.

– Fakt, mogą przylecieć i „ptaszki”. W takim razie wszyscy trzej powinniśmy się wcisnąć pod łódkę i nie oddychać. Ale we trójkę będzie

nam ciasno. Więc wy włączcie pod łódkę, a ja postoję na warcie w najciemniejszych godzinach. Jak zrobi się jaśniej, obudzę ciebie. – Gleb dotknął ramienia Pistoleta. – Zmienimy się.

– Dlaczego nie mnie? – Saszka poderwał się urażony.

– Ty jesteś młody, odpoczywaj, póki masz taką możliwość.

– A ty to co, stary? – Chłopiec się nadał.

„Rzeczywiście... – Gleb się zamyślił. – Ile mam lat?... Po twarzy, to jest po tym moim małym pysku, trudno ocenić... Cóż, sierść mam jakby bez siwizny, więc według ludzkich miar pewnie nie więcej niż trzydzieści pięć. Chociaż kto to wie... Takiego Prokopija radiacja nie bierze, chłop dożył do osiemdziesiątki i nic. Ja może mam taką mutację, że i po dziewięćdziesiątce nie siwieję! Może mam już sto lat. Może i pamięć straciłem, dlatego że zaczęła mi się starcza skleroza”. Pomyślał – i aż go to rozbawiło.

– Czego się śmiejesz? – burknął chłopak.

– A bo zapytałeś, czy jestem stary. Ala ja przecież nic nie pamiętam. Więc pomyślałem tak: może pamięć posypała mi się ze starości?

Ostatecznie Saszka i Pistolet wsunęli się jednak pod łódkę i Gleb został w ciszy w samotności. Głowę natychmiast wypełniły mu niespokojne myśli, jakby tylko na to czekały. Jako pierwsza wróciła niedokończona myśl o wieku. Jakby go określić, choćby w przybliżeniu? Jaki przyjąć punkt odniesienia?... Pomyślał i znów przypomniał sobie „ojcowską wizję”. Można było przypuszczać, że odnosiła się ona do okresu, kiedy ojciec i mama dopiero zaczęli się spotykać. W każdym razie z dużym prawdopodobieństwem Gleba nie było jeszcze na świecie. Poza tym wtedy raczej nie urodziłby się mutantem... „Tfu! – rozżłościł się na własną tępotę. – Jakich jeszcze chcesz punktów odniesienia, jeśli jedynym takim momentem może być tylko Katastrofa!” I faktycznie, mutacja u rozwijającego się płodu mogła się zacząć tylko w warunkach podwyższonego promieniowania. Albo jeśli pod jego wpływem doszło do

uszkodzenia genów rodziców. Tak więc, jakkolwiek by patrzeć, nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat. Uch! Czyli naprawdę jest niewiele starszy od Saszki... Jeśli w ogóle. Tak więc chłopak nie na darmo się obraził. Jest oczywiście pewna różnica. Po pierwsze, jest od Saszki silniejszy, to bezsporne. Po drugie, widzi w ciemności, a to przy nocnej wachcie prawdziwy skarb. Po trzecie, może coś podpalić... Ale może i nie podpalić. Tak że ta zaleta jest niepewna, jest to nawet nie tyle zaleta, co niebezpieczny mankament. Czyli wykreślamy z listy.

Potem Gleb wrócił myślami do najbardziej go nurtującego tematu: kim jest i skąd się wziął. Tu sprawa miała się znacznie gorzej niż w przypadku wieku. A jednak mutant spróbował sporządzić jakiś bilans tego, czego zdążył się dowiedzieć.

I tak na pewno jest z miasta. Z dużym prawdopodobieństwem z Wielkiego Ustiuga, chociaż nie można było zupełnie odrzucać Łuzy, Krasawina, a nawet Kotłasu. Ale jeśli założyć, że pochodzi z Ustiuga (dawał tej wersji jakieś 85 procent – a może i 90, co mu tam), to na pewno (to już na 99 procent, z czystym sumieniem) należał do mrozowców. Cerkiewne mutanty nie zdarzają się z zasady. I w ogóle na samą myśl o nich rośnie w nim wściekłość i robi mu się niedobrze. Tak więc przyjmijmy założenie: jest mrozowcem z Wielkiego Ustiuga. Co prawda stary Prokopij powiedział, że nie jest mrozowcem... Ale czy można wierzyć staruszkowi? Na czym opierał swoje twierdzenie? Na tym, że mrozowcy jakoby nie są dobrzy. Ale po pierwsze, skąd on może znać wszystkich mrozowców? Jeśli nawet ich spotykał, to przecież nie wszystkich! No i czemu mieliby być nagle dobrzy dla obcych? Może ryknęli na Prokopija, odgryźli mu się jakoś i stali się dla niego „niedobrzy”... A po drugie, skąd pomysł, że on, Gleb, nie jest zły! Przecież w nim jest tyle złości, że płomienie buchają same!... Tak więc to wszystko bzdura. Jeśli posłuchać staruszka, taki Pistolet jest mrozowcem! Czy to nie śmieszne?... Chociaż również „wiedźma” odniosła się do Pistoleta jakoś dziwnie, podejrzliwie. Cóż, nie na darmo starzec się

z nią przyjaźni. I to chyba blisko. Może nawet byli kochankami. Krótko mówiąc, bratnie dusze. Do tego oboje mają tyle lat, że aż śmiesznie jest liczyć na ich zdrowy rozsądek. Oczywiście bardzo im pomogli, dzięki im wielkie, jednak nikt nie powinien sądzić ludzi po pozorach, nawet oni. Dobra, jedziemy dalej.

Dalej... Jest wielce prawdopodobne, że jest sierotą... Dlaczego? A dlatego że jego rodzice nie są mutantami. A czy niemutanty mogą być mrozowcami?... Nawiasem mówiąc, bardzo ciekawe pytanie... To, że mutanty nie mogą być cerkiewnymi, to wiadomo, a na odwrót?... Dobra, ta kwestia na razie pozostaje otwarta. Tym bardziej że mówią, jakoby mutacje miały się pojawiać u zwykłych ludzi i później... Ale wtedy i kwestia jego wieku... Nie, nie! Aż taka mutacja jak jego za nic nie pojawiłaby się u normalnego człowieka!... Dobrze, czyli rodziców albo nie ma, albo też są mrozowcami. Ale najprawdopodobniej nie żyją. Po co mu płonne nadzieje!

Jedziemy dalej. Jest wykształcony i odcytany. Kiedy się ocknął, był dobrze ubrany. Miał przy sobie rzadkie, wedle dzisiejszych kryteriów bardzo drogie rzeczy – na przykład zapalki. Czyli jego wychowawcami, opiekunami, przybranymi rodzicami czy kimś w tym guście nie byli przeciętni ludzie. Poza tym pamięta ceglane ściany i książki. Wątpliwe, żeby prości szeregowi mrozowcy mogli tak żyć. Chłopi w Iljinskoje niby coś mówili: że jakoby niektórzy mrozowcy obsługują cerkiewnych. Ale żeby służba żyła w tak dobrych warunkach i do tego mogła zapewnić wykształcenie swojemu dziecku? Mało prawdopodobne. W takim razie wychodzi na to, że musiał to być ktoś zbliżony do Dziadka Mroza... Robi się ciekawie. Nawiasem mówiąc, można w ten sposób wyjaśnić i to, dlaczego tak łagodnie obchodzili się z nim karni z „galery”... W końcu jeśli jego opiekunowie są „na górze”, to powinni ich znać i cerkiewni. I było bardzo prawdopodobne, że mogli znać i jego.

Te rozmyślenia dodały Glebowi otuchy. Jeśli tak, to jego jutrzejsze przybycie do Ustiuga może się okazać wcale nie tak niebezpieczne. Jest

całkiem możliwe, że już pierwszy patrol mrozowców rozpozna go i zaprowadzi do domu. Każe im nie ruszać Pistoleta i Saszki. „Oho! Zaczynasz już rozkazywać mrozowcom? – Klepnął się w myślach po głowie. – Normalnie bohater z ciebie! Wodzu, prowadź!” I najbardziej trzeźwiąca myśl: „W takim razie co ciebie, wybitnego mrozowca, ściągnęło do tej głuszy? I jak tak łatwo dotarłeś, nie tylko cały i zdrowy, ale i ubrany w czyściutkie ubranie, z pełnym plecakiem zapasów?” To dopiero zagadka! Chyba tylko odrobinę mniej ważna od tej głównej: dlaczego stracił pamięć, co było tego przyczyną?

Tu umysł mutantu ostatecznie się zbuntował i poddał. Nawet jeśli przyjąć do wiadomości słowa „Baby Jagi”, że tę utratę pamięci ktoś „spowodował”, od razu pojawiały się nowe pytania, w pierwszej kolejności „kto”, „jak?” i „po co?”.

Gleb postanowił nieco się od tego oderwać i zaczął myśleć o swoich towarzyszach. To jednak fajnie, że się tacy pojawili. Z nimi mu dobrze, mniej się boi. A on, głupi, jeszcze się rzucał, najpierw nie chciał brać ze sobą Pistoleta, potem chciał się pozbyć Saszki. No naprawdę idiota. Co by teraz bez nich robił? W samej tej Wioseczce nabiliby go na widły i zatłukli kijami, jako straszliwe monstrum. I co z tego, że w ubraniu? To jeszcze gorzej – znaczy porwał jakiegoś nieszczęśnika i włożył jego rzeczy! Chociaż nie tylko w tym rzecz... Przeszedłby pewnie i sam. Biega szybko, a będąc samemu, nie trzeba się o nikogo martwić. Tyle że... Żle jest być samotnym. Oj, jak źle! Jak to powiedział Prokopij: jest niczyj? Może i tak. Ale do Pistoleta i Saszki jednak się przywiązał. Zdaje się, że oni do niego też. Więc jakby nie jest już zupełnie niczyj...

Snując te i podobne myśli, mutant nie od razu zauważył, że niebo na wschodzie zaczęło się stopniowo różowić. Czas budzić Pistoleta, ale z jakiegoś powodu zupełnie nie chciało mu się spać. Za to nie mógł się doczekać, żeby jak najszybciej ruszyć w drogę. Przecież Ustiug jest już tak blisko! Dostać się do Dziadka Mroza, dowiedzieć się wszystkiego o sobie...

Niech będzie, że nie od razu, najpierw chociaż to, co najważniejsze!... Ech, a może naprawdę wyruszyć już teraz? Przy okazji może minęliby Karasowo przed wschodem słońca?...

Gleb klepnął się w czoło. O czym on w ogóle myślał? Oczywiście, że trzeba było przeskoczyć Karasowo w nocy i dopiero potem stawać na nocleg! Może i noce nie są jeszcze całkiem ciemne, ale też nie na tyle jasne, żeby od razu dojrzeć, co tam płynie na rzece. Więc po co samemu dodawać sobie dodatkowych problemów? A jeśli mieszkańcy Karasowa są tacy sami jak chłopcy z Wioseczki? Albo jeszcze bardziej podejrzliwi? I żadnego Prokopija raczej u nich nie znajdą! Nie, trzeba pilnie odbijać od brzegu, póki jeszcze nie jest za późno! Albo odwrotnie, póki jest jeszcze za wcześnie i wioskowi prawie na pewno śpią.

Gleb obudził towarzyszy.

– Aha?... Co?... – Pistolet zamrugął zaspany. – Moja dolej?...

– Nie, moja. – Saszka ziewnął szeroko. – Dziękuję, Gleb.

– Nie będzie więcej dyżurów – powiedział mutant. – Wstawajcie, płyniemy.

– Dokąd?...

– Do Wielkiego Ustiuga.

Minęli Karasowo przed wschodem słońca, tak jak planował to Gleb. I właśnie wtedy łódka znów zaczęła przeciekać – woda widocznie wypłukała mech z niezasmołowanych szczelin. Dobrze, że na krótko przedtem, w drodze, „skończyli” resztki jedzenia, bo nie byłoby kiedy jeść śniadania – Pistolet z Saszką zabrali się energicznie do wylewania wody. Ale tej przybywało szybciej, niż przyjaciele nadążali wylewać. I akurat wraz ze wschodem słońca, dokładnie na wysokości następnej osady, Gorłowa, łódka ostatecznie zatoneła. Co prawda Gleb, przewidując oczywisty obrót wydarzeń, zdążył zbliżyć tonącą „łódź” do brzegu, tak że zamoczył tylko nogi do kolan, chociaż miał potem buty pełne wody.

Pistolet, a szczególnie Saszka przemokli nieco bardziej. Ale nie było to nic strasznego. Gorzej, że z najbliższej chaty – a ta stała całkiem niedaleko miejsca „katastrofy” – ktoś już do nich szedł...

Gleb rozpostarł ramiona i odruchowo zasłonił swoim ciałem Saszkę i Pistoleta. Ten ostatni znów miał na sobie własne ubranie – strój cerkiewnego, razem z maską przeciwgazową i „sutanną” utopili zawczasu, targać je w pobliże Ustiuga byłoby ryzykowne. Pistolet zostawił sobie tylko nowe buty – stare niósł w worku po jedzeniu. Trzeba też było utopić automat, nie wykonując z niego ani jednego strzału – iść z nim dalej byłoby prawdziwym szaleństwem. Mutant zostawił sobie tylko nóż, kryjąc pas z pochawką pod podartą kurtką.

Nie zdążyli wymyślić żadnej legendy, Gleb szepnął tylko przyjaciółom: „Wszyscy jesteśmy z Łuzy, idziemy do Ustiuga”.

Spieszący w ich stronę człowiek okazał się pozbawioną nosa i mocno koślawą mutantką. Obojętnie prześlizgnęła się po nich wzrokiem i przeszła obok, widocznie do jakichś swoich spraw. Przyjaciele spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Mutant z zadumą podrapał się po głowie, a potem powiedział:

– Właściwie co w tym dziwnego? Dlaczego wszyscy koniecznie muszą zwracać na nas uwagę? Ustiug jest tuż obok. Są też inne miejscowości. Pewnie bywa tu tyle ludzi, że nie każdy każdego zna z widzenia. Tak więc przyzwyczajajmy się do cywilizacji i przestańmy skakać na widok każdego krzaka. W ten sposób ściągniemy na siebie mniej uwagi... No, chyba że ja. Tu już wybaczcie, ale nic na to nie poradzę.

– Ale tamta – powiedział Saszka, wskazując głową w kierunku, w którym poszła kobieta – cię nie zobaczyła.

„Może już mnie kiedyś widziała” – wspomniawszy swoje nocne rozmyślenia Gleb, a na głos powiedział:

- Racja. Więc wylewamy wodę z butów, wyzimy spodnie i idziemy.
- Dokąd? – Pistolet się zainteresował.
- No, do Ustiuga! Mam pewien pomysł.

Pomysł polegał na tym, że na starej mapie była zaznaczona droga „Wielki Ustiug–Łuza”, która przechodziła całkiem niedaleko stąd. Co prawda kończyła się ona (albo zaczynała, zależy, jak patrzeć) nie w samym Ustiugu, ale w dużej wsi, czy raczej osiedlu podmiejskim o nazwie Kuzino. Ale obok niego znajdowało się właśnie „skrzyżowanie” rzek Dwina, Jug i Suchona, po którego drugiej stronie, za Suchoną, leży miasto Wielki Ustiug. Gleb oczywiście rozumiał, że ta droga nie prowadziła już do żadnej Łuzy i dawno zarosła, gdzieś niedaleko stąd. Ale zarósł odcinek do Łuzy, do której nikt nie zamierzał się pchać, zaś tu była najprawdopodobniej całkiem możliwa do przebycia. Poza tym pamiętał, a po wyjęciu mapy upewnił się, że to właśnie od Gorłowa prowadziła do tej szosy mniejsza dróżka. Wystarczyło spróbować ją znaleźć – a wtedy... O! Wtedy do Kuzina można by było dojść dosłownie w godzinę–półtorej.

I doszli! Obie drogi okazały się w doskonałym stanie. Mało tego, spotkali na nich – nie raz i nie dwa – ludzi! Oczywiście zmutowanych, ale ludzi. A nawet... co wszystkim trzem wydało się niemal cudem... raz wyprzedził ich najprawdziwszy wóz, do którego był zaprzężony najprawdziwszy koń! Co najwyżej trochę wyliniały i prawie pozbawiony ogona, co mogło być zarówno wynikiem mutacji, jak i po prostu oznaką starości nieszczęsnego zwierzaka.

Już nad rzeką, mimowolnie wzięwszy się za ręce, przyjaciele obrócili głowy w lewo. Tam, za „skrzyżowaniem” rzek, widniały ruiny dużego miasta. Ale nawet stąd, z daleka, nie wiadomo już którym zmysłem, szóstym czy dziesiątym, można było wyczuć unoszącą się nad tymi ruinami aurę. Aurę życia. Zburzone miasto nie było martwe!

ROZDZIAŁ 20

WIELKI USTIUG

Gleb prznosił wzrok z miasta na przyjaciół i z powrotem. Oto on – Wielki Ustiug! A więc dotarli, dotarli! Mimo wszystkich niebezpieczeństw i mimo że powinni byli już nieraz umrzeć: utonąć, spłonąć, zginąć od ukąszeń owadów, od zębów i pazurów zmutowanych drapieżników, od siekier, wideł i pałek „dzikich”... Dotarli!... Brudni, umorusani, poparzeni, obdarci... Pistolet już przedtem nie był grubasem, ale teraz schudł tak, że marynareczka wisiała na nim jak na strachu na wróble. I tak bardzo obrósł szczecina, że z twarzy niewiele różnił się od Gleba. Gdyby zobaczył go w tej chwili któryś z dawnych znajomych, za nic by go nie poznał! Co najwyżej po dłoniach.

Kiedy opadła pierwsza fala euforii, mutant zapytał swoich towarzyszy:

– Co robimy dalej? Popłyniemy przez rzekę? Znow przywiążemy ubranie do kłody i...

– Żebym znow się upocił? – Pistolet pokręcił głową. – Tu jest błęoko i rzeka jest szersza.

– Cóż, do nocy moglibyśmy znaleźć i związać ze dwa–trzy bale. Wsadzilibyśmy cię na tratwę razem z ubraniami i przeprawilibyśmy się.

– Dlaczego do nocy? – zapytał Saszka. – Co my, nocą popłyniemy?

– Tak mówili w Iljinskoje... – zaczął Gleb, ale się spostrzegł. – Ach tak, przecież wtedy jeszcze cię z nami nie było. Ogólnie rzecz biorąc, w Ustiugu mieszkać i w ogóle przebywać mogą tylko zarejestrowane mutanty. Pilnują

tego surowo patrole cerkiewnych. A w nocy, jak sędzę, łatwiej będzie się przed nimi schować.

– Za to w nocy samych partoli jest więcej i są bardziej sprukulatne. – Starszy łuzanin zmarszczył brwi.

– Skąd wiesz? – Mutant spojrzął na niego.

– Nie wiem, tak myślę. To goliczne... chciałem podziewieć, logiczne.

– A może logiczniej będzie poprosić, żeby nas przewieźli? – zapytał nagle Saszka.

– Kogo? Czym? – zapytali jednocześnie Gleb i Pistolet.

– A tam jacyś dwaj łowią z łódki. – Chłopak skinął głową w prawo.

Mutant i łuzanin popatrzyli w tamtym kierunku i Gleb dojrzał w oddali małą łódkę, w której rzeczywiście siedzieli dwaj ludzie.

– Skąd pomysł, że łowią ryby? – Mutant się zainteresował.

– Przecież trzymają wędkę. – Chłopak się zdziwił a Gleba po raz kolejny zdumiała ostrość jego wzroku. Czy to taka mutacja? Jeśli tak, to bardzo przydatna.

– Ale jeśli to „dzicy”, to za nic nas nie przewiozą, nie będą ryzykować – powiedział.

– Wątpię, żeby „dzicy” łowiliby ryby tak blisko taśma – poddał sensowną myśl Pistolet.

– A jeśli to cerkiewni?

– Wątpię, żeby kiercewni łowili ryby, jeśli caprują dla nich mrozowcy. No i nie mają masek.

– No dobrze. Powiedzmy, że to mrozowcy. Powiedzmy, że nas przewiozą. Ale patrole od tego nie znikną!

– A czy patrole znikną, jeśli przepłyniemy rzekę sami? – zapytał z uśmiechem Saszka.

– Przecież powiedziałem: popłyniemy nocą! – odparł nieco rozdrażniony mutant.

– Do zmierzchu możemy posiedzieć i na tamtym brzegu. Zobacz, ile

tam zarośli!

– Poza tym może – przypuścił Pistolet – sami dędkarze nam coś podpowiedzą.

– No dobrze – mutant się poddał, zdając sobie sprawę, że argumenty przyjaciół naprawdę są bardzo logiczne. – Czyli co, pójdziemy ich zawołać?

– Wtedy na pewno nigdzie nas nie zawiozą. – Chłopak pokręcił głową. – Rozzłoszczą się, że odciągamy ich od pracy, a do tego płoszymy ryby krzykami.

– Więc co, mamy siedzieć i czekać, aż znudzi im się wędkowanie?

– Przecież i tak proponowałeś, żebyśmy czekali do zmierzchu.

– Obaj dziś jesteście wprost krynicą mądrości. – Gleb się uśmiechnął. – Dobrze, zaczekamy.

– Gdyby tak jeszcze co nieco zjeść... – Chłopiec przełknął ślinę.

– W tej kwestii, jak sądzę, nawet wasza mądrość nie pomoże. Trzeba będzie wytrzymać.

Bliżej wieczora niebo zaczęło się chmurzyć, wzmógł się wiatr.

– Zwijają wędkę! – Saszka się zerwał.

Wstali i leżący na trawce pod krzakiem Gleb i Pistolet.

Po jakimś czasie łódka z wędkarzami zbliżyła się na tyle, że można było rozróżnić twarze ludzi. Były to opalone prawie na czarno mutanty – jednemu sterczał na plecach garb, nos drugiego przypominał sople i zwiślał poniżej podbródka. I to on właśnie siedział przy wiosłach.

– Ej! Chłopy! – zawołał Gleb z dłońmi przytkniętymi do ust. – Przewieźcie nas!

– A wy to kto? – spytał nosaty, nie przestając wiosłować.

– Ludzie – odpowiedział mutant.

– No co ty? – Garbus się roześmiał. – No to oczywiście, że przewieziemy. Jeśli zapłacicie.

– Czym?!... – już mniej pewnie zawołał Gleb.

– To my was chcemy zapytać. – Garbaty znów się zaśmiał. – Czym nam zapłacicie?

Mutant mimowolnie przytknął dłoń do boku, gdzie pod przepaloną załataną kurtką krył się pas z pochewką. „No nie, nie ma mowy! To ostatnie, z czym się rozstanę z własnej woli”. Intensywnie myśląc, Gleb szybko przebiegł wzrokiem po swoich towarzyszach. Saszka miał puste kieszenie, płaszcz nie odda nawet pod groźbą śmierci, zresztą kto by chciał takie łachmany. Pistolet też jest goły jak święty turecki... Chociaż stop! Wzrok Gleba padł na worek w rękach łuzanina.

– Mamy buty – powiedział. – Prawie nowe.

– Ej!... – Pistolet zamrugał zakłopotany. – Przecież to moje tuby!

– Nie ma tu niczego twojego ani mojego – cicho, żeby nie usłyszeli ich nadpływający wędkarze, powiedział mutant. – Wszystko tu jest nasze.

– I moje ręce są nasze, i twoje nogi też?

– Oczywiście – Saszka podchwycił surowym tonem. – Kiedy Gleb ratował nas przed wilkami, to czyje były jego nogi?

– Ja tylko tak – burknął z zakłopotaniem starszy łuzanin. – Ja w zasadzie... Dla sprawy mi nie żal. – Podał worek mutantowi. – Tylko... przecież buty nie są nowe, a ty powiedziałeś, że są...

– Gdybym zaoferował im stare, mogliby się na nie nie skusić.

– I tak się nie skuszają – powiedział Pistolet z pewną nadzieją w głosie.

– Zobaczymy.

Wędkarze się skusili. Trochę poburczeli, ale buty złapali tak pospiesznie, jakby bali się, że klienci zmienią zdanie. Mutant z żalem zdał sobie sprawę, że przepłacił – obuwiu w Ustiuğu musiało być towarem deficytowym. Ale sprawa była przyklepana, już im ich nie odbierze.

Miał jeszcze wielką nadzieję, że mężczyźni go rozpoznają. Nie rozpoznali. Z początku nawet się przestraszyli, kiedy podpłynęli bliżej – oczy zrobiły im się zupełnie okrągłe. Nosaty chwycił nawet mocniej wiosło obiema rękami.

Na Pistoleta obaj też patrzeli nieco dłużej, niż potrzeba, jakby łuzanin wydał im się znajomy. Ale nie – nie poznali go, odwrócili wzrok. „Bo skąd by go mieli znać – pomyślał Gleb – wątpliwe, żeby bywali w Łuzie, a łuzanin tym bardziej nie odwiedzał Ustiuga”.

Jedynie Saszka nie okazał się godny najmniejszej uwagi ze strony miejscowych – jasne, co w tym pokrytym strupami, umorusanym, okutanym w brudny, przepalony chałat smarkaczu mogło być interesującego dla poważnych mężczyzn?

– Płyniemy do przystani – powiedział garbaty po tym, jak wepchnął buty głęboko do plecaka. – A wam dokąd trzeba?

– W sumie to do Dziadka Mroza. – Mutant postanowił nie kręcić, w końcu i tak trzeba będzie gdzieś spytać o drogę.

– Oho! – Siedzący przy wiosłach wędkarz potrząsnął długim nosem niczym indyk. – Do samego Dziadka Mroza?

– Do samego Dziadka Mroza – powiedział Gleb, wchodząc do łódki. – Podpowiecie, jak tam dojść?

– Nietrudno podpowiedzieć – znów zabrał głos garbus. – Tylko coś mi się zdaje, że nie jesteście zarejestrowani.

– Nie jesteśmy. – Mutant skinął głową, pomagając przyjaciołom przedostać się na łódkę. – A co, nie dojdziemy bez tego?

– Dojść to dojdziecie, ale czy daleko?...

– Do Dziadka Mroza – powtórzył Gleb.

– To już słyszeliśmy – naciskając na wiosła, znów włączył się do rozmowy „indyk”. – Ale to zależy od tego, gdzie jest teraz Dziadek Mróz. Jeśli w miejskiej rezydencji, to może jeszcze uda wam się do niego dostać, a jeśli jest w Wotczynie... To wtedy, chłopaki, trzeba gasić światło – zanim tam doczłapiecie, capną was jak dzieci.

– A daleko ta Wotczyna? I co to w ogóle jest?

– Wotczyna? To jest, bracie, też jego rezydencja, tyle że główna. On tam ma prawdziwy terem – rzeźbiony z drewna! Normalnie bajka. Tyle że leży

za miastem, daleko stąd.

– No to żeby chociaż dojść do miejskiej rezydencji. – Mutant lekko zmarkotniał. – A nuż jednak tam jest? Powiecie, gdzie to jest?

– Powiemy, powiemy. – Garbaty wędkarz machnął ręką. – Powiedz nam lepiej, kim jesteś. Czyś ty zgłupiał, żeby przedzierać się do Dziadka Mroza przez patrole i bez dokumentów?

– Jestem mutantem, a co, nie widać? – Gleb wyszczerzył zęby. – A czy zgłupiałem, czy nie, to już przyszłość pokaże. Jeśli dostanę się do Dziadka Mroza, to okaże się, że nie jestem taki głupi.

– A on się ciebie spodziewa? – Garbus się uśmiechnął.

– Nie spodziewa. Ale nie przegoni nas chyba, jeśli przyjdziemy?

– Zależy, po co przyjdziecie.

– Po prezenty. – Mutant się skrzywił. – Po cuda.

– Do Nowego Roku jeszcze daleko. – „Indyk” roześmiał się, trzęsąc nosem. – Kto latem prosi Dziadka Mroza o prezenty?

– Właśnie my. Nie mamy czasu, żeby czekać do zimy.

Na takich pustych, niczego nikomu nie zdradzających rozmowach minęła im droga do przystani dla łodzi. Gleb domyślił się, że są blisko, po tym, że wędkarze skręcili w stronę brzegu, do cumowiska z desek, przy którym stało jeszcze kilka łódek.

Chmury zakryły całe niebo. Od razu zrobiło się duże ciemniej. I zimniej. Zaczął kropić deszcz. Po przybiciu do brzegu wędkarze wyładowali sprzęt, plecaki, przywiązali łódź. Trzej przyjaciele wyszli na cumowisko w ślad za nimi.

– To co, pokażecie nam drogę? – mutant zwrócił się do mężczyzn z najważniejszym pytaniem.

– A co tu pokazywać? – Nosacz odwrócił się i wskazał ręką w lewo. – Idźcie tam. Nie skręcajcie w pierwszą uliczkę, druga to będzie Szczelkunowa. I idźcie nią aż do ulicy Sowiecki Prospekt. A potem prosto

Sowieckim aż do samej rezydencji. Numer osiemdziesiąt pięć. Nie przegapicie – na Sowieckim nie przetrwał żaden inny dom. Piętrowy, kamienny, stoi na rogu. Kiedyś był różowy, ale teraz, po ciemku, i tak nie dojrzycie.

– Zaczekaj no, Kola. – Garbus szturchnął nosacza w ramię. – Odejźmy na chwilę...

– To my pójdziemy, tak? – rzucił do odwróconych plecami wędkarzy Gleb.

– Chwila, na razie poczekajcie... – odparł garbaty.

Mężczyźni odeszli i zaczęli gadać. Do uszu mutanta dochodziły urywki zdań: „Dokąd oni... zapłacili... za to... po drodze... wędkę... zanieś... na razie się rozlicz”.

Po chwili garbus wrócił. „Indyk” szybkim krokiem skierował się do słabo widocznego w zapadającym półmroku długiego niskiego budynku. Mutant na razie nie uaktywniał „nocnego wzroku” – nie było po co.

– Dokąd on poszedł? – zapytał Gleb.

– Rozliczyć się za łódkę. My ją tylko wypożyczyliśmy, za ryby. No, oddajemy część połowu... Ale to nic. A ty... – Garbus zbliżył się do mutanta i ściszył głos: – Odprowadzimy was. I tak mamy po drodze. Damy wam do niesienia wędkę i ryby, a sami pójdziemy przodem. Jeśli zatrzyma nas patrol, pokażemy swoje papiery – a nuż nie będą sprawdzać u wszystkich... No a jeśli sprawdzą – to wybaczenie! Wtedy udamy, że się nie znamy. Rozumiesz?

– Rozumiem. – Gleb niemal zatańczył z radości. Ale wszystko się szczęśliwie składa! – Wielkie dzięki!

– Za co ty dziękujesz. – Garbaty machnął ręką. – Czy ty chociaż wiesz, co można było wytargować za te buty?

– Nie wiem – powiedział szczerze mutant. – Ale nam nic więcej nie potrzeba – byleby trafić do Dziadka Mroza.

– Ty to naprawdę jesteś głupi. – Garbus westchnął. – No dobra,

chodźmy, Kola już wychodzi.

Wędkarze szli przodem. Kilka kroków w tyle, z plecakiem na plecach i wędką w ręku – Gleb. Za nim – Pistolet z drugim plecakiem i Saszka z jeszcze jedną wędką. Ulica Szczelkunowa, na którą skręcili najpierw, wydała się Glebowi bardzo brzydka i ponura. Z pewnością w słoneczny dzień też nie wyglądała sympatycznie. Mutant posłużył się swoją zdolnością widzenia w ciemności, ale ulica wyglądała tylko nieco lepiej. Stosy czarnych, na wpół rozsypujących się w próchno bierwion zmieszane z najrozmaitszymi śmieciami w miejscu dawnych budynków przeplatały się z ocalałymi lub odbudowanymi domkami, które też były nędzne, czarne – w Iljinskoje i w Wioseczce wiele chat wyglądało na znacznie weselsze i ładniejsze.

Sowiecki Prospekt, na który wyprowadziła ich ulica, prezentował się nieco lepiej. Trafiały się tu wprawdzie kamienne ruiny, ale domami mieszkalnymi, tak jak wcześniej, pozostały drewniane parterowe chatki. W niektórych paliło się nawet słabe światło – najprawdopodobniej pochodni, tak jak w wioskach.

– Jak to jest – nie wytrzymał i zapytał wędkarzy Gleb – wszystkie kamienne domy zburzone, a wiele drewnianych ocalało?

– Bo te zniszczenia to nie przez Katastrofę – powiedział nosaty wędkarz. – Samego Ustiuga nikt nie bombardował – komu to potrzebne? No, dotarło tu kilka fal uderzeniowych – z czego jedna po wybuchu w Krasawinie, który spowodowała sama Święta. A poza tym burzyli przeważnie swoi, kiedy zaczęła się awantura przy podziale miasta. I częściej niszczyły mutanty, bo cerkiewni głównie siedzieli pod ziemią, bojąc się wyściubić nos na zewnątrz, wychodząc tylko z rzadka. A ich złość, to znaczy nasza, obróciła się głównie przeciwko cerkwiom, bo to pod nimi chowali się cerkiewni. A że drewniane domy? Komu to przeszkadzało... Tylko sobie nie myśl – my wtedy byliśmy jeszcze dziećmi, niczego nie burzyliśmy.

– A co mnie to... – Mutant wzruszył ramionami. – Tak tylko spytałem; widzę, że więcej ocalało domów z drewna.

– Ale drewniane też nie wszystkie – dodał garbus. – Mało które się ostały. Fale uderzeniowe położyły je jako pierwsze, szczególnie te słabsze. Potem postawili je na nowo – drewniane łatwiej zebrać do kupy. A co jest, proszę ciebie, ciekawe, to, że po bombach czy awanturach całe pozostały tylko dwie rezydencje Dziadka Mroza! I miejska, kamienna, i drewniany terem w Wotczynie. A przecież dokładnie naprzeciwko tej miejskiej jest plac Soborowy, gdzie wszystkie trzy cerkwie zostały zburzone – i Zaśnięcia Matki Bożej, i Świętego Jana z Ustiuga i Świętego Prokopija...

– Prokopija? – dopytał zdziwiony Gleb, przypomniałszy sobie starca z Wioseczki.

– No tak, Prokopija, a co?... Tam teraz tylko sobór Zaśnięcia jeszcze jako tako wygląda, pozostałe leżą w gruzach. Nie na darmo Święta w nim urządziła sobie siedzibę – widocznie wewnątrz jeszcze dużo ocalało. No i podziemia, wiadomo...

– Zaczekaj – zbity z tropu mutant przerwał rozmówcy. – Powiedziałaś: Święta?... W soborze Zaśnięcia?... Ale mówisz przecież, że to naprzeciwko miejskiej rezydencji Dziadka Mroza?...

– No tak. A co? Tak łatwiej się nawzajem kontrolować. – Garbus, a w ślad za nim i nosaty wędkarz zaczęli się śmiać. Skończywszy, garbaty kontynuował: – Ale chcę ci powiedzieć co innego. U cerkiewnych same ruiny... no, powiedzmy, że mają jeszcze podziemia, nie byłem tam, więc nie wiem, ale to inna rzecz... a u Dziadka Mroza wszystko stoi. Czyli co?...

– Co?

– Czyli Dziadek Mróz naprawdę jest czarodziejem. Nic się ot tak nie dzieje.

– Przecież jeśli cerkwie burzyły przede wszystkim mutanty, to wiadomo, dlaczego nie ruszyły rezydencji Dziadka Mroza!

– Ale fale uderzeniowe też je oszczędziły. Terem w Wotczynie jest

w końcu drewniany.

– Jeszcze Lenin ocalał – powiedział nagle „indyk”.

– Jaki Lenin? – Gleb zmarszczył brwi, wspominając zasłyszane kiedyś nazwisko.

– Wódz – odezwał się milczący dotąd Saszka.

– Że Indianin?... – Mutant zamrugął osłupiały, niespodziewanie przypominając sobie powieści Mayne’a Reida i Fenimore’a Coopera. – Co on tu robi?...

Wędkarze roześmiali się niepewnie – wątpliwe, żeby kiedykolwiek słyszeli to słowo. Ale „indyk” mimo wszystko odpowiedział:

– Jaki ideanin? Idee mają żywi. A Lenin to pomnik. Z żelaza. Na czerwonym kamieniu.

– Z brązu – poprawił go garbaty. – Jedną rękę ma tak... – Prawą ręką chwycił się za klapę kurtki.

– Podobny do Dziadka Mroza – dodał nosacz. – Tylko brodę ma całkiem małą. Może jeszcze mu nie urosła, kiedy go postavili.

– Czyli Lenin to Dziadek Mróz w młodości? – uściślił Gleb.

– Kto to wie? – Garbaty wędkarz wzruszył ramionami. – Pewnie tak. Jak by inaczej ocalał?

– Lenin zrobił rewolucję – zauważył półgłosem Saszka. – Czytałem.

– Dziadek Mróz też! – powiedział z dumą „indyk”. – Inaczej gdzie byśmy teraz byli!... Sami cerkiewni ze szklanymi gałami by tu łazili.

– Ciekawie by było zerknąć na tego Lenina – powiedział mutant.

– Zerkniesz. Będziemy go mijać. Akurat niedaleko rezydencji. Po drugiej stronie, tam gdzie plac Soborowy – garbaty wskazał lewą stronę alei – kawałek przed.

– Uwaga! – Gleb popatrzył na swoich przyjaciół. – Słyszeliście? Ocalały Lenin. Po lewej stronie Sowieckiego Prospektu. Jeśli z jakiegoś powodu się zgubimy – tam się spotkamy.

I zwrócił się do wędkarzy:

– Czy to otwarty teren?

– Skwerek... Drzewa, krzewy – powiedział „indyk”. – A pośrodku Lenin.

– No to świetnie. – Gleb się ucieszył. – Jakby co – od razu w krzaki.

Szczęściu pewnie przejadło się sprzyjanie trójce przyjaciół. Najpierw wzmógł się deszcz, ale jako że ciepły, nie był wielkim problemem. Gleb zdążył nawet pomyśleć, że teraz tym bardziej będzie ich trudno zauważyć, no i patrole cerkiewnych raczej nie będą zbyt aktywne przy takiej ulewie – prędzej przeczekają ją gdzieś pod dachem. Jednak na próżno na to liczył. Czy to poziom dyscypliny patrolujących okazał się wysoki, czy to w ich długich ni to płaszczach, ni to „sutannach” z kapturami deszcz był im nie straszny, dość że wędkarze – prawdziwi i rzekomi – natknęli się jednak na cerkiewnych.

Patrol był dwuosobowy. Obaj z automatami. Jeden niósł zgaszoną lampkę olejną.

– Stać – spokojnie, całkiem powszednim tonem powiedział jeden z nich spod zasłaniającej twarz przejrzystej maski. – Rejestracja jest?

Nawet w nich nie celował, chociaż dłonie obu spoczywały na karabinkach.

– Jest. – Garbaty i nosacz sięgnęli za pazuchy.

– Zaczekajcie, nie wyjmujcie – powiedział drugi członek patrolu. – Zamoczyć papiery na deszczu. Chodźcie tam, pod drzewo.

Być może obeszłoby się bez kłopotów. Być może sprawdziliby dokumenty tamtej dwójce i puściliby wszystkich w pokój. Ale Sasce nie wytrzymały nerwy. Chłopak zostawił wędkę i rzucił się w stronę ruin po prawej stronie ulicy.

– Stać! – Patrolowi zadudnili za nim buciorami.

Widząc to, Pistolet krzyknął do Gleba: „Uciekamy!”, zrzucił plecak i popędził w stronę lewego chodnika. Mutant chciał ryknąć: „Stójcie,

idioci!”, ale zdał sobie sprawę, że akurat teraz w żadnym razie nie wolno im się zatrzymywać – szansa na uniknięcie kontroli została beznadziejnie zaprzepaszczone. Teraz, gdyby nawet Saszka i Pistolet byli zarejestrowani, tamci i tak by im nie darowali.

Gleb miotał się przez kilka chwil, zastanawiając się, za kim pobiec, i rzucił się w ślad za Saszką i patrolowymi – chłopakowi groziło jednak bardziej realne niebezpieczeństwo niż starszemu łuzaninowi.

– Ej! – usłyszał z tyłu. – A plecak? A wędka?...

Mutant odrzucił wędkę, w biegu zerwał z siebie plecak i odrzucił go za siebie. Chciał wyciągnąć nóż, ale zmienił zdanie: nóż i tak nie ochroni go przed automatem, za to prędzej będą do niego strzelać, kiedy będzie uzbrojony. I w ogóle, wolnymi rękami łatwiej machać. A więc naprzód!

Ledwie zdążył dobiec do sterty gruzu, za którą zniknął patrol i Saszka, kiedy wyskoczył mu naprzeciw jeden z cerkiewnych – widocznie uznał, że jego towarzysz poradzi sobie z pierwszym uciekinierem w pojedynkę, i przypomniał sobie o reszcie zatrzymanych.

– Stać! – rozkazał Glebowi cerkiewny, unosząc automat.

Ale mutant nie usłuchał. Unosząc ręce i udając, że się zatrzymuje, wykonał fałszywy ruch w lewo, a naprawdę skoczył w prawo, za stertę śmieci, potem od razu, nie zatrzymując się, popędził w stronę najbliższych ruin, a następnie, wkładając wszystkie swoje siły w mięśnie nóg, tak jak wtedy, kiedy uciekał przed mutowilkami, pomknął zygakiem niczym zając od jednej osłony do drugiej. Oczywiście korzystał też w pełni z „nocnego wzroku”, zdając sobie sprawę, że cerkiewni są pozbawieni tej oczywistej przewagi. Nie byli mutantami i na tym teraz polegała ich słabość.

Gleb w każdej chwili spodziewał się, że z tyłu zabrzmi seria z automatu. Ale z jakiegoś powodu nikt nie strzelał – najprawdopodobniej stracili go z oczu, a wypuszczanie naboju na ślepo uznali za marnotrawstwo. Mutant biegł z pełną prędkością jeszcze przez jakiś czas, po czym przyhamował i zaczął nasłuchiwać. Deszcz przestał padać, żadne postronne dźwięki nie

przeszkadzały, jednak mutant nie usłyszał odgłosów pościgu. Wniosek narzucał się sam: cerkiewni go sobie odpuścili i skierowali uwagę na dwóch pozostałych uciekinierów. Najprawdopodobniej na Saszkę, w końcu Pistolet pobiegł w zupełnie inną stronę.

Co robić? Oczywiście trzeba ratować chłopca. Ale jak? Wracać, szukać patrolowych, zwrócić ich uwagę na siebie? Ale to trzeba było robić od razu. Jeśli już złapali chłopaka, to go nie wypuszczą, a na widok Gleba po prostu otworzą ogień. Dając się zabić, w niczym nie pomoże chłopcu. Poza tym jest pewna szansa, że Saszce też się udało uciec. Wtedy w ogóle głupio wyjdzie: niepotrzebnie wplącze się w awanturę i też na pewno zarobi kulkę – tym razem, znając jego zwinność, cerkiewni nie będą robić ceregieli.

Ale nawet jeśli Saszka wpadł im w łapy, to, kiedy Gleb dostanie się do Dziadka Mroza, będzie mógł wstawić się za chłopakiem – w końcu on też dążył do tego spotkania, przebył taką drogę! Czyżby przywódca mrozowców miał nie pomóc? Przecież mają ze Święta rozejm, spotykają się, rozwiązują wspólne problemy... Dlaczego by nie poprosić, żeby ta wypuściła jednego bezbronnego chłopaczka, który nikomu nie zrobił niczego złego?...

W efekcie tych rozmyślań mutant postanowił przedostać się do pomnika Lenina. W końcu umówił się z przyjaciółmi, że spotkają się tam, jeśli nagle się zgubią. No to się zgubili. Nawet jeśli Saszkę złapali, Pistolet powinien tu przyjść. Ale możliwe, że i chłopak jest wolny i też pójdzie pod pomnik.

Gleb odbiegł daleko, ale pamiętał przybliżony kierunek, z którego przybył. Niemniej jednak długo szukał Sowieckiego Prospektu. Ale kiedy wreszcie go znalazł – po przeciwległej stronie ulicy od razu ujrzał skwer, gdzie na wysokim cokole, przyciskając prawą rękę do kłapy marynarki, stała duża czarna postać. Za pomnikiem, w oddali, blado połyskiwała rzeka. „Suchona” – przypomniał sobie Gleb.

Pochylił się i rozejrzał na boki, po czym przebiegł przez drogę. Do

samego pomnika nie poszedł – było tam za dużo otwartej przestrzeni. Ale po obu jego stronach rosły krzaki i drzewa. Wydawało mu się, że te po prawej są odrobinę bliżej, więc popędził w tamtym kierunku. Ledwie złapał oddech, kiedy usłyszał radosny szept:

– Przyszedeś! Myślałem, że was płazali...

Jak się okazało, Pistolet siedział tu już całkiem długo. Wyszło tak, że uciekając, trafił właśnie tutaj. A ponieważ nikt go nie gonił, postanowił tu zostać, czekając na przyjaciół. I bardzo się bał, że ci nie przyjdą, że został sam na sam z obcym, nieprzyjaznym, niebezpiecznym miastem!

Opowiedziawszy o wszystkich swoich przeżyciach i zachwytach, łuzanin wreszcie się spostrzegł.

– A gdzie jest Szaska?

– Nie wiem. – Gleb zwiesił głowę. – Pobiegł za nim jeden z patrolowych, a za mną drugi...

– Może uciekł?

– Mam nadzieję. Będziemy czekać.

– Jasne, poszczekamy. A długo?

– Tyle, ile będzie trzeba – uciął mutant. – Aż przyjdzie.

– A jeśli...

– Bez jeśli! – Gleb zaczął się złościć, ale spostrzegł się, wiedząc, że akurat Pistolet nie jest niczemu winien, i nieco łagodniej powiedział: – Zaczekajmy do rana. Tak czy owak, w nocy nie będziemy się do Dziadka Mroza dobijać.

– Do nara. – Pistolet się zgodził. – Z tobą chociaż mniej się boję.

– Witamy w Wielkim Ustiugu!... – mruknął sarkastycznie mutant.

– Marzenia się spieszą.

– Trafiłeś w punkt. – Gleb uśmiechnął się gorzko. – Nasze marzenia chwilowo się spieszyły.

– Nie no, miałem co innego na... – zaczął łuzanin, a potem machnął pozbawioną palców ręką. – Niezawne! Jak się spieszyły, to się odpieszą.

ROZDZIAŁ 21

SPOTKANIE Z DZIADKIEM MROZEM

Zaczekali do rana. Pistolet zdrzemnął się wprost na wilgotnej trawie, pościeliwszy sobie worek po butach, który nie wiedzieć czemu zachował. Mutant siedział w kucki, oparty plecami o drzewo.

Poranek był słoneczny, w niczym nie przypominał wczorajszego chłodnego wieczora i deszczowej nocy. Mimo słońca Gleb był nachmurzony i posępny. Ataki złości sprawiały, że chwilami ciężko mu było oddychać. No bo naprawdę – przebyli pięćdziesiąt kilometrów, pokonując lichy wie co, aż strach wspominać! Dotarli. Zostało im może dwieście, może trzysta kroków – i masz, stracili towarzysza. Sami też na razie utknęli. Tak, oczywiście, wszyscy wiedzieli, na co się piszą. I on, Gleb, nieraz ostrzegał tegoż Saszkę, że wyprawa do Ustiuga jest niebezpieczna, że to niemal niechybna śmierć... Wszyscy o wszystkim wiedzieli, ale szli. Przyszli i... I co? Co się właściwie stało? Przecież Saszka nie umarł! Nocą na pewno byłoby słycać wystrzały!... Oczywiście cerkiewni mogli zabić chłopaka i potem, w podziemiach. Jako nauczkę dla łamiących prawo. Ale z drugiej strony, jeśli to nauczka, to powinni karać przy ludziach, inaczej jaki by to miało sens, kto się o tym dowie?... A skoro tak, to Saszka prawie na pewno żyje. A więc on, Gleb, zrobi tak, jak już postanowił: poprosi o pomoc Dziadka Mroza. Nawet jeśli okaże się, że

brodaty czarownik może spełnić tylko jedno życzenie, to niech ją szlag, tę jego pamięć! Żeby tylko Saszka pozostał przy życiu. Wszyscy trzej zgłoszą akces do mrozowców i będą sobie żyć jak pączki w maśle... Zbudują tratwę, popłyną do Ustiuga...

Mutant nie zauważył, jak zaczął drzemać.

– Ej! – Pistolet zaczął nim potrząsać. – Już rano!

– Co, przyplłynęliśmy?... – Gleb się zerwał. Zobaczył łuzanina, potrząsnął głową, nieco otrzeźwiał, z trudem stanął na zdrętwiałych nogach.

– Ludzie już chodzą po cieście – szepnął Pistolet.

– Po czym chodzą?... – Mutant znów potrząsnął głową. – A! Po mieście... No, to my też chodźmy. I wiesz co, pójdziemy takim pewnym krokiem, nie rozglądając się za bardzo na boki, żeby nie przyciągać uwagi. Jaki miał Dziadek Mróz numer domu, osiemdziesiąt pięć?

– Tak chyba powiedzieli dędkarze. I że jest różowy.

– Tak, pamiętam. Piętrowy, stoi na rogu. I powinien być po drugiej stronie ulicy. Ale my pójdziemy tą stroną, tak będziemy lepiej widzieć.

Nie trzeba było długo iść, wystarczyło dosłownie kilka kwartałów. Zwrócili uwagę na ruiny placu Soborowego, gdzie jedna z cerkwi – prawdopodobnie właśnie sobór Zaśnięcia, o którym mówili wędkarze – faktycznie wciąż jeszcze przypominała w zarysach budynek, a nie zwykłą stertę kamieni. Przy czym podejście do niej zostało oczyszczone. „Czyli można powiedzieć, że pchamy się do samej nory Świętej!” – pomyślał mimowolnie Gleb i przeniósł wzrok na przeciwległą stronę ulicy, gdzie na rogu skrzyżowania stał piętrowy dom. Kiedyś pewnie faktycznie był różowy, teraz jednak różowawe fragmenty tylko miejscami wyglądały spod warstwy kurzu i brudu. Lewe skrzydło, równoległe do Sowieckiego Prospektu, miało dziesięć zaokrąglonych u góry okien – pięć na parterze i pięć na piętrze. Przy czym te górne były odrobinę wyższe od dolnych. Prawa część budynku, ciągnąca się wzdłuż ulicy prostopadłej do Prospektu, była nieco krótsza, tylko na sześć okien: trzy na górze, trzy na dole.

Natomiast środkowa część budynku była okrągła: pięć okien na górze, cztery na dole i drewniane drzwi pośrodku, zwieńczone daszkiem z ażurowej czarnej kraty. Nad wejściem nie wiedzieć czemu wisiał pociemniały od upływu czasu, wytarty napis: „Sklep”. I jeszcze na prawym skrzydle pod samym dachem wisały bezładnie trzy granatowe litery: „D”, „M” i „A”. A na lewym, między pierwszym a drugim oknem, licząc od środka budynku, widniał niebieski, oczyszczony przez kogoś z błota kwadracik z dwoma białymi cyframi: „8” i „5”.

– Oto on – powiedział cicho Gleb. – Dom numer osiemdziesiąt pięć.

– A dlaczego „Sklep”? – Pistolet wciąż miał wątpliwości.

– Może dla zmylenia przeciwnika... – Mutant się uśmiechnął. – Spójrz w górę. „D”, „M” i „A”. Na pewno kiedyś było tu napisane „Dziadka Mroza”. A po lewej albo pośrodku – „rezydencja” albo coś w tym stylu.

– To twoje przyszczipienie – powiedział łuzanin. – A może, skoro jest napis „Sklep”, to te litery pochodzą ze słów „woda” – „mąka” albo „adidasy” – „manna”...

– Jakie znowu adidasy?

– To takie buty, z gumową podeszwą. Kiedyś takie miałem.

– Widzę, że wciąż nie możesz zapomnieć o swoich butach... No, a co to takiego manna?

– O! To taka kasza. Można ją gazotować w mleku. Pyyycha! Tylko robią się grudki. Fuj!...

– To pycha czy fuj?

– Gdyby nie grudki, to pycha. Co pardwa, próbowałem jej tylko w dzieciństwie. Teraz jej nie robią.

– Mimo wszystko wątpię. – Gleb pokręcił głową. – Jakież adidasy... Co tu mają do rzeczy adidasy? I kasza z grudkami?... Wyraźnie nam powiedzieli, że w domu numer osiemdziesiąt pięć mieści się rezydencja Dziadka Mroza, tak?

– Tak. – Pistolet wzruszył ramionami. – Tak powiedzieli. Ale ludzie

mówią różne rzeczy...

– Czyli trzeba po prostu iść i się dowiedzieć – powiedział mutant. – Inaczej po co w ogóle tu dotarliśmy? Przecież nie po adidasy.

– Abibasy też by się przydały. – Łuzanin westchnął. – Ale masz rację, chodźmy się dowiedzieć. Kylko boję się.

Gleb wziął Pistoleta za rękę jak małe dziecko i przeszedł przez ulicę do budynku. Przed drzwiami stanął, głęboko westchnął i zapukał. Z początku w środku było cicho. Potem dały się słyszeć kroki i surowy głos zapytał:

– Kto tam?

– Ja – bąknął zdenerwowany mutant. – To jest, my... Tfu!... Tu mutanty. Chcemy porozmawiać z Dziadkiem Mrozem.

Drzwi nieco się otwały. W szczelinie pokazało się oko – nieprzyjemne, przekrwione, z opuchniętymi czerwonymi powiekami.

– Dokumenty! – zażądał właściciel oka.

– Nie mamy dokumentów – powiedział Gleb. I pospiesznie dodał: – Nie jesteśmy mrozowcami! I w ogóle nie jesteśmy stąd. Chyba...

– Jak to „chyba”? – zapytał głos zza drzwi. – Co wy, nie wiecie, skąd jesteście?

– On jest z Łuzy. – Mutant wskazał palcem Pistoleta. – A ja... nie wiem... Nie pamięta mnie pan?

– Takiej maskary na pewno bym nie zapomniał! Nigdy cię nie widziałem. Zabierajcie się stąd! W Ustiugu nie wolno przebywać bez rejestracji.

Drzwi zaczęły się zamykać. Ale Pistolet zdążył wsunąć nogę w szczelinę.

– Zaczekaj no! – powiedział rozkazującym, ostrym, kompletnie nieznanym Glebowi tonem. – Kim ty jesteś, żeby podejmować decyzje, kogo wpuszczać, a kogo nie? Mamy meldunek dla Dziadka. Otwieraj szybko, jeśli ci dupa miła!

Gleb gapił się na łuzanina z opadniętą szczęką. Ten tylko puścił mu

oczko. A drzwi w końcu się otwały. Na progu z automatem w dłoniach stał potężny mutant – bez nosa, bez warg, łysy, z małymi, spiczastymi jak u kota uszami. Mięśnie rysowały się pod koszulą – szarą, prawie w kolorze jego twarzy. Strażnik wzrostem i budową niewiele ustępował Glebowi.

– Dziadek jest u siebie? – lodowatym tonem spytał Pistolet, robiąc krok za próg. – Czy w Wotczynie?

– U sie... – zaczął zmieszany bysior, ale opamiętał się i znów zaczął świdrować nieproszonych gości małymi, nalany krwią oczkami. – Ale kim wy jesteście?!

– To raczej kim ty jesteś? – spytał łuzanin, niby spokojnie, ale tak, że Gleba ciarki przeszły pod sierścią. Pistolet podniósł ręce i potrząsnął dłońmi, jakby straszył ochroniarza. – Coś mi się widzi, że nie nadążasz. W tył zwrot, marsz do Dziadka Mroza i zamelduj mu, że ma gości. Którzy bardzo... słyszysz?... bardzo chcą z nim pomówić. Zobaczysz, ucieszy się.

Bysior chrząknął niewyraźnie, ale ku zdziwieniu Gleba odwrócił się i odszedł.

– Tak z nimi trzeba. – Pistolet znów mrugnął mutantowi. – No, wchodź, co tak zastygłeś.

– Ale mu nagadałeś!... – zdołał tylko wydusić mutant, wchodząc do środka.

– A jak! Przyzwyczailem się. Jak się z taką chamską mordą cackasz, to się tylko staje bardziej bezczelna.

– A dlaczego on ma automat? – Gleb wciąż jeszcze nie mógł dojść do siebie po tym, co zobaczył. – Przecież mutanty mają zakaz posiadania broni.

– Nie wiem. – Łuzanin wzruszył ramionami. – Pewnie dla ochroniarzy Dziadka Mroza zrobili wyjątek.

– Słuchaj... – dotarło nagle do mutantu. – Ty zaczęłeś mówić bez pomyłek!

– Serio? – Pistolet zareagował dość obojętnie. – Pewnie dlatego, że się denerwuję. Sytuacja jest poważna.

– No, tak... W sumie czasem ci się to zdarza. Co prawda zwykle, kiedy ludzie się denerwują, mają odwrotnie...

– Ale przecież ty i ja jesteśmy niezwykli, prawda? – Łuzanin jeszcze raz puścił mutantowi oko i uśmiechnął się. Też niezwyczajnie, nie tak jak zawsze. Sucho, z napięciem, bez śladu wesołości czy głupkowatości.

– Ty na pewno zachowujesz się teraz niezwykle – powiedział cicho Gleb po chwili wahania. – Mam wrażenie, jakby podmienili cię na całkiem innego człowieka.

– Ludzie się zmieniają.

– Ale nie w pięć minut!

– Gleb – Pistolet odwrócił się do mutanta i spojrzał mu uważnie w oczy. – Po to, żeby zrozumieć, czy ktoś się zmienił, trzeba na początek wiedzieć, jakim ten ktoś był wcześniej. A czy ty mnie znałeś?

– No... – Mutant niepewnie rozłożył ręce.

– No właśnie: „no”. Nie tylko mnie nie znałeś, ale i nie zamierzałeś poznawać. Nie winię cię, nie miałeś obowiązku tego robić, sam się do ciebie przyczepiłem. Po prostu chcę powiedzieć, że nie masz porównania. Kim ja dla ciebie byłem? Najpierw irytującą przeszkodą, potem błaznem, potem...

– Byłeś dla mnie przyjacielem! – Gleb przerwał łuzaninowi. – Stałeś się moim przyjacielem. Tak, nie zdążyłem cię poznać jak należy, ale najważniejsze zrozumiałem...

– I na czym polega to najważniejsze?

– Na tym, że nie zdradzisz człowieka, nie porzucisz go w biedzie. Tyle razem przeszliśmy!

– Tak, przeszliśmy. A dużo ze mnie było pożytku w nieszczęściu? Miałem możliwość zdrady? Może nie zdradzałem i nie porzucałem dlatego, że było to dla mnie korzystne? Przecież bez ciebie najprawdopodobniej bym przepadł.

– Nie mów tak! – zawołał mutant. – Nie mów! Nie rozumiem, po co to

robisz. Nie rozumiem, dlaczego chcesz, żebym źle o tobie myślał. Przecież i tak ci nie uwierzę!

– Niedługo zrozumiesz – cicho powiedział Pistolet, nie spuszczać wzroku. I jeszcze ciszej dodał: – I uwierzysz.

Gleb był tak oszołomiony, że nawet nie zauważył, jak wrócił strażnik. Ocknął się dopiero, kiedy ten po raz drugi mu powiedział:

– Czekaj tu, rozumiesz? Dziadek Mróz przyjmie was po kolei.

– To chyba mnie pierwszego! – Mutant się zerwał.

– Dziadek Mróz powiedział: najpierw tego bez palców. – Bysior skinął głową w stronę Pistoleta.

Łuzanin rozłożył ręce z przeproszającym geście. Chociaż z jego twarzy nie dało się odczytać niczego podobnego do przeprosin. Widniała na niej nietypowa dla niego powaga i skupienie.

– Masz broń? – Mrozowiec z jakiegoś powodu spojrzał tylko na Gleba.

„Nie” – chciał odpowiedzieć tamten, nie mając ochoty rozstawać się z jedyną ochroną, ale Pistolet zmarszczył brwi i ledwie zauważalnie skinął głową: oddaj, nie kłóć się. Mutant zazgrzytał zębami, odsunął połą kurtki, odczepił pochewkę i podał ją bysiorowi.

– Czekaj – powtórzył ochroniarz i poprowadził Pistoleta korytarzem.

Nie, inaczej... Ochroniarz odprowadził Pistoleta. W jego sposobie chodzenia dało się nawet odczytać cień służalczości, jakby łuzanin był dla bysiora nie jakąś tam szarą masą i nawet nie kimś równym, ale człowiekiem o wyższej randze.

Gleb niczego nie mógł pojąć, choćby nie wiadomo jak próbował. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to, że faktycznie bardzo słabo znał Pistoleta. A ten zachował się teraz tak, dlatego że inaczej chyba nie udałoby im się dostać do Dziadka Mroza. Łuzanin odpowiednio się nastawił, wziął w garść i wcielił w rolę, a potem, kiedy mu się to udało, po prostu nie umiał wyjść z roli. Albo specjalnie nie wychodził, mając w pamięci rychłą audyencję u brodatego czarodzieja. A może... może to naprawdę czary?

Może już zadziałały? Co jeśli wewnątrz tego domu wszystko jest zaczarowane i zaczarowany jest sam dom? A nuż sny i życzenia spełniają się tu bez pośrednictwa Dziadka Mroza albo wystarczy do tego tylko obecność Dziadka w domu?! Być może właśnie dlatego Pistolet zaczął mówić poprawnie, nie myląc słów i głosek, że jego życzenie już się spełniło?

„A moje? – Gleb poczuł, jak po ciele znów przechodzą mu ciarki. – Może spełniło się i moje?...” Zamknął oczy, skoncentrował się, zaczął myśleć o sobie. Ale jakkolwiek się starał, nie zdołał przypomnieć sobie niczego, czego by nie wiedział przed wizytą w tym domu.

Strażnik wrócił i w milczeniu stanął przy drzwiach. „Jakby się bał, że ucieknę – pomyślał nieprzyjaźnie mutant. – Wasze niedoczekanie. Póki nie zrobię wszystkiego, co się da, dla Saszki, nie wyjdę stąd”. Starał się nie myśleć o Pistolecie. Postanowił nie zaprzętać sobie teraz tym głowy. Najważniejsze, że ten jest żywy i zdrowy, a reszta jakoś się wyjaśni.

Czekać trzeba było dosyć długo, Gleb zaczął się nawet denerwować. Ale dokładnie w chwili, kiedy zamierzał już zwrócić się do ochroniarza z pytaniem, na stojącym nieopodal stoliku zadzwonił telefon. Że to był właśnie telefon, tego mutant domyślił się od razu – być może miał już do czynienia z takim aparatem w swoim „poprzednim życiu”, a może po prostu gdzieś o nim czytał.

Bysior podbiegł do stolika, podniósł słuchawkę do ucha:

– Tak. Tak jest! Rozkaz! – Opuścił słuchawkę na aparat i skinął łysą głową: – Idziemy!

Gleb oczekiwał, że Dziadek Mróz przyjmie go, siedząc na baśniowym tronie w jakiejś dużej sali... No, albo coś w tym rodzaju – coś uroczystego, tajemniczego, magicznego. A i samego pana domu wyobrażał sobie jako kogoś ogromnego, wyższego od niego, w czerwonej czy niebieskiej szacie do ziemi, z długą siwą brodą.

Ale Dziadek Mróz siedział w zwykłym pokoju, przy zwykłym stole, na zwykłym fotelu (w każdym razie Gleb był przekonany, że widział już kiedyś podobne meble i w ogóle wystrój wnętrza). Sam też bardzo się różnił od fantazji Gleba i wyglądał na zwykłego starszego (ale nie starego, całkiem jeszcze silnego i żyłastego) mężczyznę w mundurze o barwach maskujących i takiej samej koszuli. Ale na ciemnej twarzy z rzadkimi płytkimi zmarszczkami widniały oczy – jasnoszare, zimne jak lód, ostre i lepkie. Jedynymi atrybutami, których można się było spodziewać u Dziadka Mroza, były długa do pasa siwa broda i czerwona czapka. Zresztą, oprócz koloru czapka też wyglądała całkiem zwyczajnie – mniej więcej taką samą miał wcześniej sam Gleb, tyle że bez daszka. „Nie, do pomnika Lenina na pewno nie on pozował” – przemknęło mutantowi przez myśl.

Dziadek Mróz wstał z fotela, wyszedł zza stołu i zrobił kilka kroków w jego kierunku. Okazało się też, że nie był niezwykle wysoki – ot, nieco więcej niż średniego wzrostu. Za to głos... O, tak! Głos mężczyzny brzmiał tak, jak powinien brzmieć głos potężnego czarodzieja – dźwięcznie, gromko, władczo:

– Któż się do nas pofatygował! Glebuszka!... – Dziadek Mróz obszedł mutantą dookoła: – Olbrzym, prawdziwy olbrzym!

– Zna mnie pan?... – Gleb odkleił przyschnięty do podniebienia język.

– Teraz tak – odparł basem „czarodziej”.

– A... wcześniej?... I skąd pan wie, jak mam na imię?

– Widzę cię po raz pierwszy, a imię podał twój towarzysz.

– Pistolet? Gdzie on jest?

– Co powiedziałaś? – Dziadek Mróz uniósł gęste brwi. – Pistolet? Dlaczego tak?

– No, tak wyszło... – Mutant pokręcił głową. – Nadałem mu takie przezwisko. Nieważne. Gdzie on jest?

– Wszystko z nim dobrze. Odpoczywa. Zjadł i położył się odpocząć.

Zaraz i ciebie nakarmimy. Na pewno jesteś głodny... Twój Pistolet opowiedział o waszej tułaczce. Proszę, weź krzesło, siadaj przy stole, zaraz to załatwię.

Dziadek Mróz wrócił na swoje miejsce i podniósł słuchawkę telefonu.

– Jeden obiad i dwie herbaty.

Gleb wziął jedno ze stojących wzdłuż ściany krzesel, postawił je z boku przy stole Dziadka Mroza i usiadł na brzegu.

– Zaraz przyniosą – powiedział do niego „czarodziej”. – Ja też wypiję z tobą filiżankę. A na razie opowiadaj.

– A co tu opowiadać? – Mutant wzruszył ramionami. – Jeśli Pistolet już wszystko opowiedział...

– Opowiedz o sobie, mnie to ciekawi.

– O sobie akurat nic nie wiem. – Gleb się zasepił. – Straciłem pamięć. Ocknąłem się w lesie – nic o sobie nie pamiętam, nawet jak się nazywam. Glebem nazwał mnie Pistolet. Ja nadałem imię jemu, a on mnie.

– Całkiem jak ojcowie chrzestni. – Dziadek Mróz roześmiał się dobrodusznie, ale szybko ukrył uśmiech. – A więc nic nie pamiętasz? Zupełnie nic?

– Nic. Prawie. Niewyraźnie pamiętam ceglane ściany, książki na półkach... Przypomina mi się wiele z tego, co przeczytałem. A o sobie – gdzie mieszkałem, z kim, co robiłem – absolutnie nic.

Gleb postanowił nie opowiadać o cudzym wspomnieniu, które pojawiło się w jego pamięci dzięki staraniom „Baby Jagi”. Po pierwsze, to nie były jego wspomnienia. A po drugie... Nie umiałyby wyjaśnić, dlaczego konkretnie, ale po prostu nie chciało mu to przejść przez gardło.

– No, a po co tak się do mnie przedzierałeś? Tyle przeszedłeś... Mogłeś zostać w tamtym Iljinskoje – żyć nie umierać. Tam twoja przeszłość nikogo by nie obchodziła.

– No właśnie chciałem... – Mutant zaczął, ale od razu przypomniał sobie o Saszce. – Nie, to nie takie ważne, czego chciałem. To potem... Albo

w ogóle... Chcę pana teraz poprosić o coś innego. Był z nami jeszcze jeden człowiek, też mutant, ale całkiem młody, osiemnaście lat... jeśli nie kłamie.

– Saszka? – zapytał Dziadek Mróz, uśmiechnąwszy się w gęste białe wąsy.

– Tak. To też opowiedział Pistolet?... No tak, oczywiście, że on... Bo powiedział panu, że Saszkę schwytał patrol cerkiewnych?

Wtedy do drzwi gabinetu zapukał drab bardzo podobny do ochroniarza z dołu, tylko z dziurami zamiast uszu, ale za to z szerokim nosem, wtoczył mały stolik na kółkach, na którym stał parujące talerze i filiżanki. Rozstawił wszystko szybko i zręcznie na dużym stole i od razu zrejterował.

Gleb głośno przełknął ślinę.

– Dawaj, bierz się do jedzenia. – Dziadek Mróz przysunął mu talerz z odurzająco pachnącą zupą. – Potem opowiesz.

– Nie, nie potem! – zawołał mutant z pełnymi ustami, omal się nie udławiwszy. – Saszkę trzeba ratować! Proszę mu pomóc! Rozstrzelają go!

– Nie rozstrzelają. – Dziadek Mróz się uśmiechnął i upił łyk z filiżanki z herbatą. – Jedz i słuchaj.

Gleb znów chwycił za łyżkę. Spokojnie znosić woń tak pysznego gorącego jedzenia było ponad jego siły. Tym bardziej że to, co miał do powiedzenia w pierwszej kolejności, już powiedział.

„Czarownik” kiwnął głową z aprobatą i kontynuował:

– W tym mieście bez mojej wiedzy nie można karać śmiercią żadnego mutanta. Nie rzucaj się, jedz, wiem, co chcesz powiedzieć. I podkreślam: żad-ne-go! Nieważne, czy mrozowca, czy nie. Jedyne wyjątek to kiedy ktoś z bronią napadnie na cerkiewnego, wtedy, oczywiście, takiego delikwenta zastrzelą. Ale twój Saszka nie miał broni. Czyli żyje.

– A zdoła go pan uwolnić? – zapytał mutant, odsuwając pusty talerz i stawiając przy sobie następny.

– Od razu powiem, że nie będziemy dla niego atakować cerkiewnych. Ale pomówię ze Świętą, obiecuję. Jeśli nawet nie odda mi twojego Saszki,

to i tak nie wydam zgody na jego egzekucję. Zresztą zwykle nie karzą śmiercią za to, że złapali kogoś bez rejestracji – co najwyżej go wybatożą i wyrzucą za rzekę. Gorzej, że zaczął uciekać przed patrolem... Ale to też nic strasznego. Najważniejsze, żeby się nie bronił.

– Nie mógł się bronić! – Gleb odłożył widelec. – To przecież jeszcze dzieciak! Jak miał się bronić przeciwko dwóm automatom...

– Skoro tak, to nie ma się czym martwić. W najgorszym razie skaleczą mu trochę skórę na grzbiecie i wydalą z miasta. Ale sądzę, że zdołam ich ugadać, żeby mi go oddali.

– Uf!... – mutant odetchnął z ulgą. – Bardzo panu dziękuję!

– Na razie nie ma za co. – Dziadek Mróz znowu się uśmiechnął. – Kończ jeść i pij herbatę. Mam prawdziwą, nie z wierzbownicy. W końcu nie powiedziałeś mi, czego sam chcesz, dla siebie. Chociaż zaczekaj, nie spiesz się, żuj, sam się domyślę... Pewnie chcesz, żebym przywrócił ci pamięć. Tak?

Gleb znów z pełnymi ustami energicznie pokiwał głową.

– Cóż mogę rzec. – Dziadek Mróz zrobił poważną minę. – Niczego nie obiecuję, ale spróbować można. Tylko do poważnych czarów potrzebuję czarodziejskich atrybutów i odpowiednich warunków. A to wszystko mam w terenie, w mojej Wotczynie, za miastem. Tutaj rozstrzygam głównie kwestie administracyjne. Ale właśnie zamierzałem tam jechać. A więc jedź, odpocznij godzinę–dwie, jeśli trzeba, i pojedziemy.

– Nie potrzebuję odpoczywać, później odpocznę! Pojedźmy od razu!

– Cóż, jak od razu, to od razu. W takim razie zaraz każę zaprzęgać konie i powiem, żeby wydali ci czystą bieliznę.

ROZDZIAŁ 22

WOTCZINA

Glebowi wydano dokładnie takie samo ubranie, jakie już miał – ciemnoszarą koszulę, spodnie, kurtkę. Tyle że wszystko czyste i nowe. Przyszło mu nawet do głowy: „Pochodzi to z tego samego magazynu. Czyli na pewno jestem tutejszy. Ale w takim razie dlaczego Dziadek Mróz mnie nie zna?... Czy...”.

Nie pozwolili mu dokończyć myśli. Strażnik bez uszu poprowadził go do wyjścia. Na Sowieckim Prospekcie przed domem naprzeciw drzwi stała... zaprzężona w parę koni kareta. Bładoniebieska, ozdobiona białymi „mroźnymi” wzorkami, reliefami w kształcie śnieżynek i innymi świecidełkami. Nie tyle kareta, co dzieło sztuki! Nawet koła miała „obute” w opony. Na koźle siedział ubrany w granatowy strój stangret z długimi wąsami i... trzema rękami! Gleb mimo woli pomyślał, że byłoby mu pewnie wygodniej powozić trzema końmi, a nie dwoma. Zresztą mutant nie miał w ogóle pojęcia, jak to się robi. A konie też były piękne – białe, czyściutkie. Chociaż Gleb zauważył, że jeden z nich ma na zadzie przy ogonie zabliźniony siny „kleks”, i zdał sobie sprawę, że to najprawdopodobniej ślad po usuniętym drugim ogonie. Drugi koń, jeśli nawet był zmutowany, to zewnętrznie w żaden sposób się to nie ujawniało.

Z boku karety były otwarte dwie pary drzwiczek. Przy przednich stał Dziadek Mróz.

– Zapraszam! – Wskazał ręką tylne i powiedział, kontynuując myśl

Gleba: – Oczywiście w zasadzie powinienem mieć trójkę koni, ale przed nami dużo osypisk, niektóre miejsca są bardzo wąskie, więc...

Dziadek Mróz wszedł na stopień i zwinnie wskoczył do karety. Gleb zrobił to samo, tyle że znacznie bardziej niezgrabnie. W ślad za nim wszedł i usiadł obok niego bezuchy ochroniarz. Jeszcze jeden, nieznamy, siedział z przodu, po lewej Dziadka Mroza. Obaj mieli w dłoniach automaty.

„Czarodziej” odwrócił się.

– Wybacz, Glebuszka, ale będziemy musieli zawiązać ci oczy. Na razie nie jesteś mrozowcem, więc... Wiem, że to niewielka tajemnica, ale tak już u nas się przyjęło – nie pokazywać obcym drogi do Wotczyny.

– Dobrze. – Mutant wzruszył ramionami. – Jak trzeba, to trzeba. A nóż mi oddadzą?

– Potem. Po co ci teraz nóż? Tutaj sami swoi.

– No... tak. Swoi... Tylko... a gdzie jest Pistolet? Czyżby z nami nie jechał?

– A po co ma jechać? Przecież będziemy się zajmować twoją głową. Poza tym śpi. Po co go budzić? Jeszcze się zobaczycie, nie przejmuj się.

– Ja się nie przejmuję. – Mutant się uśmiechnął. – Skoro tak, to jedźmy.

Siedzący z prawej ochroniarz wyciągnął pasek czarnej tkaniny i zawiązał Glebowi oczy. „Jeśli mamy długo jechać, to przynajmniej się zdrzemnę” – pomyślał tamten. I od razu usłyszał:

– Możesz się na razie zdrzemnąć, będziemy jechali dość długo.

„Czy on przypadkiem nie czyta w myślach? – przemknęło mu od razu przez myśl. – Może to też część jego mutacji, na równi z »czarodziejstwem«? W każdym razie żadnych zmian na ciele nie widać...”

Zadzwończyły kopyta, kareta zaczęła się lekko kołysać. Ale jazda okazała się dość komfortowa, resory dobrze sobie radziły z nierównościami drogi. Zresztą, jak zdążył wcześniej zauważyć mutant, nawierzchnia głównej alei miasta była zupełnie znośna. „Dalsze drogi na pewno okażą się gorsze” –

pomyślał. Jednak tym razem Gleb nie mógł ocenić ich jakości – po dwóch nieprzespanych nocach, wymęczony nocnymi nerwami i emocjami związanymi ze spotkaniem z Dziadkiem Mrozem, prawie od razu zasnął. A obudził się, jak mu się wydało, zaledwie po paru chwilach – od tego, że rozwiązano mu oczy.

– Jesteśmy na miejscu. – Dziadek Mróz odwrócił się do niego. – Zapraszam do mojej Wotcziny.

Mutant w ślad za strażnikiem wysiadł z karety i zamarł.

Terem był wspaniały! Zupełnie jakby opuścił stronice baśni. Może i drewniane belki pociemniały z upływem czasu, może i rzeźbione tralki i balustrady ciągnące się szerokim tarasem wokół parteru poprzekrzywiały się, a niektórych brakowało... Ale i tak był to najprawdziwszy baśniowy terem! Choćby te ośmioramienne gwiazdy-śnieżynki na trzech sześciociennych piramidach – duża pośrodku, dwie mniejsze po bokach – które wieńczyły jego dach!

Na ganek po obu stronach prowadziły szerokie drewniane schody. Do jednych z nich w asyście ochroniarza skierował się Dziadek Mróz. Drugi strażnik dał znać Glebowi pozbawioną uszu głową.

– Idziemy, co tak stoisz?

Gleb poczuł, że w jego wnętrzu wszystko triumfuje. Od tego baśniowego piękna, od tak ciepłego przyjęcia, którego wcale się nie spodziewał, od obietnicy Dziadka Mroza, że pomoże Saszce, od czekającego go magicznego uzdrowienia, w które wierzył teraz bezwarunkowo...

Wchodząc na ganek, dogonił Dziadka Mroza.

– Czy właśnie teraz będziemy przywracać moją pamięć?

– Nie bądź taki prędko – powiedział Dziadek Mróz, tym razem bez uśmiechu. – Muszę się przygotować. A ty koniecznie musisz się wyspać, inaczej myśli ci się będą plątać, przeskakiwać, rozplątać. Tak nam się nie uda.

– Ale przecież teraz spałem!

– Spałeś, a tu trzeba się wyspać. Nie spieraj się ze mną, bo cię zamrozę! – Przez wąsy „czarodzieja” przemknął jednak krótki uśmiech. – Zaraz zaprowadzą cię na dół, tam jest cicho, nikt nie będzie cię niepokoił. Połóż się i śpij. Kiedy będzie trzeba, wezwę cię.

Ochroniarz poprowadził Gleba wąskimi schodami w dół, do piwnicy. Pachniało wilgocią. Mutant poczuł nagle chłód, ale szybko odegnał nieprzyjemne uczucie: też coś, piwnica! I co z tego? To przecież nie więzienie! Powiedział przecież: to po to, żeby nikt ci nie przeszkadzał. Dla twojego, przygłupa, dobra!

W piwnicy nie było oświetlenia albo po prostu nie włączono go z oszczędności, dlatego ochroniarz niósł lampkę olejną.

Pokoik, do którego zaprowadził mutant, okazał się bardzo mały. Ale było w nim łóżko. Zasłane czystą pościelą, z miękką poduszką i brązową sukienną kołdrą. W kącie stało wiadro, którego przeznaczenie rozumiało się samo przez się.

– Połóż się. – Ochroniarz skinął głową. – Na razie poświecę, tu nie będzie światła.

– Nie potrzebuję. – Gleb zmusił się do uśmiechu. – I tak będę spał.

O swojej umiejętności widzenia w ciemności postanowił nie mówić.

Strażnik zaczekał, aż mutant rozbierze się i schowa pod kołdrą, a potem wyszedł za drzwi.

Zabrzączał klucz, szczerknął zamykany zamek.

„Dla twojego dobra!” – przypomniał Gleb budzącemu się robaczce wątpliwości. Pomyślał jeszcze: „Przecież i tak nie zasnę” – i natychmiast zapadł w czarną otchłań snu.

Ile spał, tego nie wiadomo. Nie było okien, więc zupełnie nie dało się zorientować w czasie. Ale ponieważ mutant czuł się doskonale wyspany i wypoczęty, uznał, że minęło nie mniej niż pięć–sześć godzin. I jeśli założyć, że przyjechali do Wotcziny w okolicach południa (co też nie jest

pewne, w końcu podczas przejażdżki karetą też spał), to powinno być teraz około szóstej wieczorem. „Pewnie niedługo będzie kolacja – pomyślał Gleb – i bardzo dobrze”. Wstał z łóżka, tylko żeby skorzystać z wiadra, a potem znów położył się w oczekiwaniu na strażnika. Ale czas mijał i nikt do niego nie przychodził.

„Czyżbym przespał ponad sześć godzin?” – powątpiewał mutant. Faktycznie, jeśli spał zbyt długo, mogła się już zacząć noc, a to znaczyło, że przyjdą do niego dopiero rano. Taka perspektywa nie bardzo mu się uśmiechała – naprawdę chciało mu się jeść, nie miał też ochoty wylegiwać się przez całą noc na łóżku.

„No nie – uspokoił sam siebie – nie może być teraz noc! Obudziliby mnie na kolację. W końcu jestem gościem, a nie jeńcem”. Pomyślał tak – i znów go zaświerbiało... Czy na pewno nie jest więźniem?... Ta ciemna piwnica coś dziwnie przypomina celę. No i nie jest chyba przyjęte, żeby zamykać gości na klucz...

Gleb wstał z łóżka, podszedł do drzwi i zapukał.

– Ej! – krzyknął. – Zapomnieliście o mnie?

Odczekał chwilę i zabębnił mocniej.

– Ej! Hej, hej! Otwórzcie!

Walił tak i krzyczał dość długo. I kiedy postanowił już wrócić do łóżka, w zamku zazgrzytał klucz.

– Czego się drzesz? – burknął strażnik. – Wali, krzyczy!... Jak będą cię potrzebować, to cię zawołają.

– A kiedy będą? – wycedził mutant, gotując się ze złości. – I kto? Bo ja potrzebuję już teraz!

– Ciebie tu nikt nie pyta. Potrzebuje mi tu!... Idziemy, człowieku w potrzebie.

– Dokąd? – Zaskoczony Gleb zmieszał się, myśląc już, że ochroniarz zjawił się po prostu, żeby go zwymyślać.

– Do Dziadka Mroza, a dokąd... Wzywa cię.

Dziadek Mróz oczekiwał go tym razem w znacznie przestronniejszym gabinecie. Ubrany był tak samo – w strój w barwach ochronnych i czerwoną czapkę, ale nie był już taki serdeczny jak przy pierwszym spotkaniu. Na oddzielnym małym stoliku na Gleba czekał talerz z pieczonym mięsem i szklanka kompotu z borówek.

– Najpierw zjesz, potem porozmawiamy – ponuro i kategorycznie polecił Dziadek Mróz.

Mutantowi całkiem zepsuł się nastrój i zjadł kolację bez apetytu, nawet nie czując jej smaku. Przez cały czas myślał: „Co to jest? Co się stało? Może coś z Saszką? Nie udało się go wyciągnąć? Nie zdążyli?...”.

Po tym jak strażnik wyniósł puste naczynia, Dziadek Mróz wskazał Glebowi wzrokiem „gościnny” fotel przy swoim dużym stole i powiedział:

– Siadaj. Porozmawiamy.

– Coś się stało? – spytał od razu mutant, przesiadając się na fotel.

– Stało?... – dopytał przywódca mrozowców. – To już dawno się stało. Ponad dwadzieścia lat temu. I trwa do tej pory.

– Ja nie o tym, ja...

– Ale teraz wszystko jest tylko o tym. I gdyby nie to, nie siedzielibyśmy tu teraz. A ciebie – takiego – w ogóle nie byłoby na świecie. A i ja byłbym inny...

Dziadek Mróz podniósł nagle rękę i ściągnął z głowy czerwoną czapkę. Gleb mimowolnie drgnął: łysina Dziadka Mroza też okazała się czerwona, prawie tak samo jak czapka. Ale żeby to było tylko to... Cała była upstrzona bąblami i guzami – w większości purpurowymi, spiczastymi jak mnóstwo rożków. „Czarodziej” ostrożnie przesunął po niej dłonią i znów włożył nakrycie głowy.

– Ale jeśli masz na myśli, czy nie stało się coś konkretnie teraz – kontynuował jak gdyby nigdy nic Dziadek Mróz – to odpowiem: stało się. To, że jesteś u mnie. Dla mnie ma to bardzo duże znaczenie i zaraz dowiesz się dlaczego.

Mutant naprężył się. Poczul: zaraz coś powinno wyjść na jaw. Coś, co rzuci nowe światło na tajemnicę jego pochodzenia, coś związanego z jego przeszłością. I nie wiedzieć czemu złapał się na tym, że nie chce tego wiedzieć. Właśnie teraz – nie chce. Zaczął się naprawdę bać. Zrobiło mu się niedobrze ze strachu. A jednak zapytał:

– Więc przywróci mi pan pamięć?...

– Pamięć? – powtórzył w zadumie Dziadek Mróz. – Nie mogę przywrócić ci pamięci. Niestety, nie jestem czarodziejem. Ale opowiem ci, kim jesteś. Dlaczego i jak tę pamięć straciłeś. W jaki sposób znalazłeś się w lesie... Chcesz?

– Ja... – Glebowi tylko tyle udało się wydusić.

– Teraz już nieważne, czy chcesz, czy nie. Mogę, oczywiście, niczego ci nie mówić, ale chciałbym, żebyś to wiedział. Tak będzie lepiej dla mnie. To, czego chcesz ty osobiście, mam generalnie gdzieś, wybac mi szczerłość.

Mutant poczuł, jak na całym ciele sierść staje mu dęba. Nie domyślał się już, nie przypuszczał – wiedział: zaraz stanie się coś nie do naprawienia. Jego wewnętrzny świat, jakkolwiek byłby mały i okrojony po utracie pamięci, zaraz wywróci się do góry nogami, runie, rozwali się na kawałki, miażdżąc przy tym i jego samego. A jednak musiał to wiedzieć. Nie wiedzieć wszystkiego teraz, po takich słowach Dziadka Mroza, byłoby jeszcze gorzej.

– Jestem gotów... – Poruszył nieposłusznymi ustami. – Niech pan mówi. Kim jestem?...

– Naprawdę masz na imię Gleb – przemówił lider mrozowców. Ton jego głosu stał się spokojny i miarowy. Widocznie rzekomy czarodziej też właśnie coś postanowił. Odrzucił ostatnie wątpliwości. I kontynuował, równie miarowo i spokojnie: – I, rzecz jasna, jesteś mutantem – sędzę, że nie była to dla ciebie tajemnica. Ale od innych mutantów różni cię jedna bardzo ważna okoliczność. A konkretnie – to, kim jest twoja matka.

– Kim jest moja matka?... – powtórzył jak echo mutant.

– Nie przerywaj, dobrze? Wszystko ci opowiem. A potem odpowiem na pytania. Na te, na które znam odpowiedź. A znam na wiele, możesz mi wierzyć. Nie będę niczego wymyślał. A więc twoja matka nazywa się Maria Aleksandrowna Kudriawcewa, w dzisiejszych czasach bardziej znana jako...

– Święta... – mutant mimowolnie wypuścił powietrze. Usłyszał swój głos – i wzdrygnął się.

– Tak, Święta. Brawo! Doniesienia o twoim nieprzeciętnym umyśle nie były przesadzone... Ale prosiłem, żebyś mi nie przerywał. Jeszcze jedno nieproszone słowo i moja opowieść się skończy. Zrozumiano? Pozwalam ci odpowiedzieć na to pytanie. Zrozumiano?...

– Tak... – Gleb i tak nie zdołałby teraz wydusić więcej.

– Urodziłeś się już po Katastrofie – ciągnął Dziadek Mróz, kiwając głową – dokładnie w czasie konfliktu między mutantami a tymi, których organizmy nie uległy mutacji. Na czele tych drugich stanęła Maria, twoja matka. Wyjęła mutanty spod prawa, zagroziła, że spali Wielki Ustiug w nuklearnym ogniu, jeśli ci nie przystaną na jej żądania. Całym sercem nienawidziła mutantów, a my odpowiadaliśmy jej pięknym za nadobne. Za wierność swoim ideom, za fanatyczną pewność co do ich racji ściągający do niej „wierni” – praktycznie wszystkie niemutanty w mieście i okolicach – przezwali ją Świętą. I oto urodziła dziecko... Ale urodziła mutantą. I to jakiego! Ukryć podobną mutację byłoby po prostu niemożliwe – nie pomogliby nawet najlepsi chirurdzy i kosmetolodzy. Pokazać takie dziecko społeczeństwu to była zdrada samej istoty głoszonych przez nią idei; oznaczało automatyczną utratę stanowiska przywódczyni, albo nawet i życia. Dlaczego od razu cię nie zabiła, tego nie wiem. Pewnie pierwiastek macierzyński był w niej równie silny jak cała jej osobowość. I ukryła cię przed wszystkimi. Zarówno przed nami, mutantami, jak i przed swoimi, cerkiewnymi. A wiesz, że cerkiewni zyskali to miano dlatego, że kryli się

przed promieniowaniem w rozległych piwnicach zburzonych świątyń i łączących je podziemnych przejściach. Rozszerzyli te podziemia, wygodnie urządzili, przystosowali do mieszkania. I tam, w jednym z dalszych kazamatów, znalazło się też miejsce dla ciebie. Święta miała kilku ludzi, dosłownie pojedyncze osoby, którym ufała niemal jak sobie samej. Tylko przed nimi się otworzyła, tylko oni wiedzieli o twoim istnieniu. I dorastałeś pod dobrym nadzorem. Wychowywali cię, dobrze cię uczyli. Do twojej dyspozycji była piękna biblioteka, dużo czytałeś. Dosłownie wszystko chwytałeś w lot. Rozwijałeś się nie tylko umysłowo, ale i fizycznie. Miałeś najlepsze przyrządy do ćwiczeń. Nauczyli cię skutecznie się bić i strzelać.

Ale rosłeś i ukrywanie twojego istnienia stawało się coraz trudniejsze. Do tego pojawiła się u ciebie pewna bardzo nieprzyjemna właściwość – w jakiś sposób, sądząc z wszelkich oznak, niezależnie od swojej woli, zacząłeś wzniecać ogień. Spowodowałeś jeden pożar, potem drugi, wreszcie trzeci – który niemal zakończył się katastrofą, gdyż nad twoją „celą” mieścił się skład amunicji... To było dla Świętej ostatnią kroplą. Postanowiła się ciebie pozbyć. Ale nie zabić – nie mogła jednak podnieść na ciebie ręki – tylko skazać na banicję. Na zawsze, na wieki wieków. Ale przegnać cię ot tak, z wiedzą o własnym pochodzeniu, którą posiadałeś, znaczyłoby wcześniej czy później zdradzić swoją sprawę. Nawet gdybyś dał słowo, że będziesz milczeć, to na torturach czy w malignie mógłbyś się wygadać. I wtedy... wymazała ci pamięć. Tak, tak, Święta ma takie zadatki. O wiele bliżej jej do miana czarownicy niż mnie. Kiedyś o takich ludziach mówiono, że mają zdolności parapsychiczne, jeszcze wcześniej nazywano ich wiedźmami i magami. W istocie Święta też jest mutantką, tyle że bez żadnych zewnętrznych przejawów. Nawiasem mówiąc, piękna z niej kobieta... Ale to nieważne. A więc wymazała ci pamięć – osobistą, pozostawiając bagaż zdobytych umiejętności i wiedzy – po czym zapadłeś w głęboki hipnotyczny sen i Święta wysłała cię z dwoma bardzo rzetelnymi

i lojalnymi ludźmi. W każdym razie tak o nich myślała... Dali im kuter – jeden z niewielu, dla których trzymano nienaruszalny zapas paliwa – i nocą wywieźli cię rzeką jak najdalej od Ustiuga. Mijając wsie i osady, płynęli przy użyciu wiosł, gdzie było można – włączali silnik. Celem było wywiezienie cię, jak najdalej się da. Ale tam, gdzie żyły mutanty. „Dzicy”. Gdzie nie daliby ci zginąć. Gdzie z biegiem czasu stałbyś się jednym z nich. Takim miejscem była wybrana przez nich wieś Iljinskoje. Ci dwaj przyczaili się nieopodal. Potem zanieśli cię w las. Wtedy jeden z tej dwójki wrócił. Drugi został z tobą: by cię doglądać, kierować na właściwą ścieżkę – krótko mówiąc, podcierać ci nos i niańczyć cię. On też powinien był przesyłać razem z ekspedycjami inspekcyjno-karnymi cerkiewnych informacje o tobie dla Świętej w postaci szyfrowanych notatek. Ale... nie zechciałeś zostać z „dzikimi”. Chciałeś odzyskać pamięć. Chociaż resztę znasz i beze mnie. A więc teraz wszystko o sobie wiesz, tak jak chciałeś. W każdym razie wiesz to, co najważniejsze. Widzę, że masz dużo pytań, ale na razie nie pozwalam ci mówić, wytrzymaj. Teraz opowiem ci, czego chcę ja. A chcę jednego: dowiedzieć się, gdzie się znajdują ładunki jądrowe, którymi szantażuje nas Święta. I czy w ogóle istnieją. Teraz to ja będę ją szantażował. Tobą. Jeśli opowie wszystko, co mnie interesuje – pójdziesz do mamusi. Jeśli się uprze – też pójdziesz, ale wszyscy się o tobie dowiedzą. O tym, kim jesteś i od kogo. To wszystko. Teraz możesz pytać.

– Nie wierzę panu... – wychrypiał Gleb.

– Spodziewałem się tego – Dziadek Mróz zareagował spokojnie.

Sięgnął po leżący na stole plastikowy prostokąt – o bokach mniej więcej dwadzieścia na trzydzieści i grubości półtora centymetra. Otworzył go jak muszlę, nacisnął coś w środku i obrócił tak, żeby widział i Gleb. Teraz przedmiot przypominał otwartą książkę. Jego dolną część, jak w prawdziwej książce, zajmowały litery – każda na oddzielnym kwadraciku. Górna stanowiła ekran, na którym też biegły teraz litery – białe na czarnym tle – tyle że nie z rosyjskiego alfabetu.

– Wiesz, co to takiego? – zapytał fałszywy czarownik.

Mutant skinął głową. Naprawdę wiedział, przypomniał sobie. To był komputer, laptop, nieraz miał z takim do czynienia. W skorupie, która skuła Glebowi pamięć, pojawiło się kolejne pęknięcie.

Tymczasem system operacyjny komputera się załadował. Na ekranie zastygł obrazek – piękne miasto nad rzeką z licznymi białymi cerkwiemi. Nie trzeba było żadnych wyjaśnień i podpowiedzi, żeby zdać sobie sprawę, że to Wielki Ustiug. Taki, jaki był przed Katastrofą.

Palce Dziadka Mroza przebiegły po klawiszach. Obrazek się zmienił. Teraz Gleb zobaczył na ekranie jakieś zwierzątko – kosmate, pocieszne, nie wiedzieć czemu ubrane w niebieskie pasiaste dziecięce ubranko. Zwierzątko trzymało w pokrytych brunatną sierścią łapkach piłeczkę i wesoło szczyrzyło śnieżnobiałe ząbki. Z tyłu widać było nieostrą, słabo oświetloną ceglana ścianę. Taką samą jak we wspomnieniach Gleba.

– Poznajesz? – zapytał przywódca mrozowców.

– To... ja?... – Na tę myśl zaczęły mu płonąć policzki.

– Zgadza się. Masz tu dwa latka.

– Ale... Takie zdjęcie można było zrobić gdziekolwiek...

– To też się zgadza. A takie?

Na następnej fotografii mały Gleb siedział na podłodze i płakał, podnosząc do oczu kosmatą piąstkę. A nad nim, uspokajając go, pochylała się kobieta...

Mutant zadrzał. W oczach mu pociemniało i zacisnął powieki. Nie miał już wątpliwości – to była dziewczyna z „ojcowskiego wspomnienia”. Maszeczka... Troszkę doroślejsza, ale wciąż równie piękna – tylko złociste włosy miała krótsze, chociaż w oczach krył się wciąż ten sam błękit górskiego jeziora...

– Mama... mama... – wyszeptał i jęknął w myślach: „Jak tak mogłaś? Jak mogłaś tak... ze mną?...”.

– Widzę, że poznałeś – usłyszał Gleb i otworzył oczy. – Pokazywać

dalej?

– Nie trzeba... Ale kto?... Skąd pan to ma? Jak się panu udało wszystkiego dowiedzieć?!

– Dobre pytanie. Teraz można już i na nie odpowiedzieć. – Dziadek Mróz przesywał mutanta lodowatym wzrokiem. – Pamiętasz, jak mówiłem, że Święta myślała, że w jej bliskim otoczeniu są jedynie absolutnie oddani jej ludzie? Myliła się. Jednym z tych ludzi był mój agent. Nie rozstawał się z tobą od drugiego roku życia aż do dziś.

ROZDZIAŁ 23

PO RAZ PIERWSZY SAM

Pistolet!... Jeśli nowina o tym, że jego matką okazała się Święta, wstrząsnęła nim do głębi, to wieść o prawdziwej roli jego bełkotliwego przyjaciela dosłownie zszokowała Gleba. Jeśli prawdy o matce – teraz można się przed sobą przyznać – gdzieś głęboko w środku zaczynał się już domyślać, a w każdym razie przypuszczał, że jego rodzicom daleko do bycia zwykłymi ludźmi, że znajdują się blisko szczytów władzy, to w kwestii Pistoleta nigdy w życiu nie wyobraziłby sobie czegoś podobnego. Coś takiego nie mieściło mu się w głowie, to było po prostu niemożliwe!... Ale jeśli przypomnieć sobie teraz kawałek po kawałku, przeanalizować, zestawić – wszystko idealnie wpisywało się w to, co powiedział Dziadek Mróz. Pistolet był obok, kiedy Gleb się ocknął. Pistolet „wymyślił”, by nazwać go Glebem. To Pistolet przekonywał go, żeby osiedlili się w Iljinskoje, i nie zgodził się tam zostać, kiedy zorientował się, że decyzja Gleba, by ruszyć do Ustiuga, jest nieodwołalna. Kiedy spotkali Saszkę i chłopaczkę zaczął pytać Pistoleta o to, gdzie mieszkał w Łuzie, ten ewidentnie zaczął się płatać. Wtedy Gleb nie nadał temu znaczenia, złożył wszystko na karb poplątania w głowie przyjaciela, teraz zaś stało się jasne: Pistolet nigdy w Łuzie nie był. A jego notatnik, w którym zaczął prowadzić swoją kronikę? A to, że „galernicy” zaprowadzili go osobno do swojego dowódcy? Potem jeszcze fałszywy łuzanin uzalał się, że tamten wyrwał stronie z zapiskami! Teraz było jasne, że kartki zostały oddane

cerkiewnemu świadomie, by przekazać szyfrogram Świętej. Co jeszcze? Jeśli się zastanowić, to mnóstwo. Choćby ostrzeżenie „Baby Jagi”! I stary Prokopij otwartym tekstem stwierdził, że Pistolet to najpewniej mrozowiec. A dziś rano, kiedy Gleb sam zobaczył, jak zadziwiająco zmienił się jego przyjaciel... Przyjaciel?!... Jaki to teraz przyjaciel! Nikczemny, przekłety zdrajca!...

– Jak wam się udało oszukać ma... Świętą? – wycedził Gleb, nie patrząc na Dziadka Mroza. – Przy jej darze.

– Szczap też ma dar.

– Kto?... – Mutant uniósł wzrok.

– Ach, tak... Szczap – tak nazywaliśmy Anatolija. No, tego twojego... jak mu tam?... Pistoleta.

– On nie jest mój. – Gleb splunął ze złością. – Dlaczego Szczap? Dlatego, że jest chudy jak szczapa?

– Domyślny jesteś. Więc tak, on ma talent – umie się zasłonić. Ale nie grubą ścianą – wtedy twoja matka podejrziałaby coś złego – tylko miękką sprężystą powłoką, która starannie zepchnie na bok niebezpieczne pytania. Poza tym... Poza tym postanowiliśmy wykorzystać kobiecą litość. Oczywiście w odniesieniu do Świętej brzmi to niedorzecznie, a jednak. Spróbowaliśmy i udało się. Sam pewnie widziałeś, jaki Szczap może się wydawać bezradny, naiwny i wzruszający. A tutaj przyszedł prosić o ochronę przed złymi mrozowcami, których sama Święta nienawidziła z całego serca. Do tego pożalił się, jak go wyszydzali, torturowali – pokazał krwawiącą, okaleczoną rękę...

– Więc to wy mu to zrobiliście?!...

– No jasne. Szczap sam wpadł na ten pomysł. A ostatnią kropką w tej kwestii był zamach na Świętą. Oczywiście starannie zaplanowany i odegrany. Musieliśmy nawet rzeczywiście poświęcić życie jednego z ochotników. Ten przebrał się za cerkiewnego, przeniknął do podziemi i wystrzelił do Świętej, kiedy ta występowała przed „wiernymi”. Szczap

zasłonił ją własnym ciałem. Ryzyko było ogromne, w końcu dostał najprawdziwszą kulę w brzuch. Ochotnik, chociaż długo trenował, nie stał się jednak prawdziwym snajperem. Ale podjęliśmy ryzyko – i wygraliśmy. Szczap długo się leczył, ale potem został dopuszczony do najświętszego sakramentu, wybaczył kalambur. Został twoją główną niańką. A jednocześnie osobistym ochroniarzem, nauczycielem, opiekunem...

– To zdrajca! Ohydny, bełkotliwy drań!

– Dlaczego bełkotliwy?... Ach tak, opowiadał... To była jego improwizacja. Szczap obawiał się, że pomimo utraty pamięci będziesz mógł go rozpoznać. W końcu spędziłeś z nim prawie całe życie. Jego głos, manieri mogły wzbudzić u ciebie jakieś skojarzenia, spowodować zdjęcie mnemoblokady. No więc udawał takiego bezużytecznego błazna, pajaca. I „ozdobił” swój sposób mówienia tymi... sztuczkami. Mówi, że prawie zwichnął język razem z mózgownicą. Ale udało mu się. Bo nie miałeś żadnych podejrzeń.

– Nie miałem.

– A co do zdrajcy... Wybaczył, oczywiście rozumiem, że to dla ciebie bardzo nieprzyjemne, ale jeśli już mamy być szczerzy, to kogo on zdradził? Szczap od początku był moim wiernym towarzyszem broni i nim pozostał. Tak więc na twoim miejscu nie spieszyłbym się z przyklejaniem etykietek.

– Na moim miejscu jestem ja – odburknął Gleb. – Mogę zobaczyć tego pańskiego... towarzysza broni?

– Na razie nie możesz. Wykonuje teraz nowe zadanie.

– Oczywiście nie powie pan jakie.

– A to dlaczego? Przeciwnie. Ma bardzo odpowiedzialną misję: prowadzenie negocjacji z twoją mamusią.

– Ona go rozstrzela.

– Prędzej powiesi. Ale to nic strasznego. Najważniejsze, żeby dowiedziała się tego, czego trzeba.

– Nic strasznego?... Mówi to pan tak lekko o swoim „wiernym

towarzyszu broni”?

– Proponuję, żebyśmy odrzucili sentymenty. Litość, miłość, cała reszta... Życie jest teraz takie, że te tak zwane uczucia tylko przeszkadzają. Szczap wiedział, na co się pisze. Można powiedzieć, że poświęcił temu zadaniu pół życia. I wykonał je celująco. Ale teraz Szczap jest spalony. Nie zdołam go już wykorzystać w charakterze agenta. Wątpię, żeby po tym wszystkim zechciał wegetować jako zwykły chłopiec na posyłki. Tak więc jeśli zginie, jak to wcześniej mówił, „w boju”, również dla niego będzie to niezły finał. I co w tym strasznego?

– Straszne jest to, jak pan dzieli ludzi na potrzebnych i niepotrzebnych, przydatnych i nieprzydatnych.

– Tak właśnie powinienem na moim stanowisku. Gdybym dzielił ich inaczej, to my, miejskie mutanty, dawno zostalibyśmy niewolnikami cerkiewnych. Ja tu nie prowadzę grupy baletowej ani kółka kroju i szycia – ja walczę o naszą wolność, o nasze przetrwanie. Powiesz, że to wielkie słowa, tak? Ale to nie słowa – to życie. Nasze życie! Może i z punktu widzenia „normalnych” ludzi jesteśmy potworami, ale my też jesteśmy ludźmi! Chyba nie zaprzeczysz? Nie zaprzeczysz, bo ty też taki jesteś. I gdybyś urodził się w rodzinie mutantów, to byłbyś teraz z nami. Zresztą, myślę, że i tak będziesz.

– Nie będę – Gleb się odgryzł. Ale pewności w jego głosie ubyło.

– Zobaczmy. – Dziadek Mróz nie ciągnął tematu. – Masz jeszcze pytania?

– Kim jest mój ojciec? – Mutantowi wyrwało się niespodziewanie.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Nie mam zielonego pojęcia. Ale mocno wątpię, żeby był teraz wśród cerkiewnych – byłby jakiś przeciek. A tym bardziej nie ma go wśród naszych.

– W takim razie mam jeszcze jedno pytanie...

– Mów.

– Dlaczego postanowiliście zaszantażować Świętą dopiero teraz? Jeśli

wiedzieliście o mnie od samego początku... Jeśli mieliście moje zdjęcia...

– „Wiedzieliście” – to nie do końca prawda. Ja wiedziałem. Sam. No, oczywiście jeszcze Szczap, ale podejmowanie globalnych decyzji to nie jego prerogatywa, poza tym nie było go tu. A ja o tym myślałem. Oczywiście, że tak. Ale co ja takiego miałem? Zdjęcie Świętej z zabawną małpką? I co?... To ty od razu wszystko zrozumiałeś, a raczej wyczułeś... A pozostali – co im po tej fotografii?... No i jak mam ją pokazać ludziom? Będę chodzić z laptopem po ulicach?... No dobrze. Przypuśćmy, że jakoś udało by mi się ją pokazać dużej liczbie ludzi. Przypuśćmy, że przekonałem swoich, że „zwierzątko” to dziecko Świętej. A jak mam do tego przekonać cerkiewnych? Tak, słuchy szybko się rozchodzą. Ale słuchy to tylko słuchy. A Święta nie jest głupia. Co by zrobiła w pierwszej kolejności? Pozbyłaby się ciebie. Nie wiem jak – zesłałaby cię na wygnanie, tak jak teraz, czy jednak by cię zabiła... Znalazłaby sposób. Ostatecznie po prostu powiedziałyby, że przygarnęła „zwierzątko” z ulicy. Dla zabawy. Krótko mówiąc, prawdopodobieństwo, że moja awantura zakończy się sukcesem, byłoby zbyt małe, żeby w tym celu ryzykować.

– Ryzykować? Czym? Nie wyszłoby – i wszystko po prostu zostałoby tak, jak było.

– O nie! Nie znasz Świętej! Ona by tak po prostu tego nie zostawiła. Przypomniałaby mi to! Wszystko wtedy rozważyłem i postanowiłem zaczekać. No i proszę – doczekałem się.

– Ale przecież i teraz może się wszystkiego wyprzeć.

– Może tak być. Ale teraz mam ciebie. A żywy, realny ty – to nie „zwierzątko” na zdjęciu. I nie wypełzłeś z mysiej dziury – takiego barwnego mutanta nie mogliby wcześniej nie zauważyć. A fotografia będzie wyglądać zupełnie inaczej jako dodatek do ciebie, żywego i prawdziwego. Przy czym mam niejedno takie zdjęcie, utrwalone zostały wszystkie etapy twojego życia, Szczap o to zadbał. Jest jeszcze ta historia z twoją banicją. Nawet jeśli Święta zamknie usta Szczapowi, to świadków i tak jest aż nadto.

Mieszkańcy Iljinskoje, Słobodki, Wioseczki... Podsumowując, Świętej będzie bardzo trudno się wykręcić. Niechby nawet większość uwierzyła w jej wyjaśnienia – zostaną też tacy, którzy uwierzą mnie, którzy przestaną ufać „nieomyślnej” Świętej. A nieufność to wirus, który szybko rozprzestrzeni się między cerkiewnymi. I koniec – już po Świętej. A ta, jak już mówiłem, nie jest głupia. I też doskonale wszystko rozumie. Stawiam dziewięć do jednego, że nie będzie tak ryzykować.

Gleb się zamyślił. W słowach Dziadka Mroza kryła się oczywista logika. Ale nawet jeśli myli się w swoim rozumowaniu, to co za różnica? Osobiście dla Gleba.

– Nie mam więcej pytań – powiedział.

– W takim razie proponuję, żebyś wrócił do swojego apartamentu. – Dziadek Mróz rozłożył ręce.

– Jakiego znowu „apartamentu”?

– Kiedyś tak się nazywały luksusowe mieszkania i pokoje w hotelach... No, w specjalnych domach, w których zatrzymywali się przyjezdni.

– Czytałem o hotelach. Tyle że mój pokój nie przypomina niczego luksusowego. Raczej celę więzienną.

– Może i tak. Wybacz. I tak nie zostaniesz tu długo – dziś przenocujesz i... Jakkolwiek odpowie Święta na moją propozycję, i tak do niej wrócisz. Najwyżej, gdyby odmówiła, nieco później... Myślę, że jutro rano wszystko będzie już jasne.

Dziadek Mróz nacisnął guzik na stole i do gabinetu wszedł ochroniarz.

– Odprowadź naszego gościa z powrotem – powiedział fałszywy czarodziej. – I przekaz wszystkim: on jest dla mnie bardzo cenny. Jakby co – odpowiecie głowami.

Gleba znów zamknięto w podziemnym pokoiku. W celi, jak dopiero co powiedział Dziadkowi Mrozowi. Mutant, nie rozbierając się, wyciągnął się na łóżku. Nie chciało mu się spać – wyspał się. I nie mógłby teraz zasnąć po

tym wszystkim, co usłyszał.

Jest synem Świętej! Zdawałoby się, że większej bzdury nie wymyślisz, ale to najprawdziwsza prawda. Nawet bez zdjęć, które pokazał mu Dziadek Mróz, w końcu by w to uwierzył. Dlatego że czegoś takiego nikt o zdrowych zmysłach by nie wymyślił. Dlatego że inaczej ten szantaż nie miałby żadnego sensu. I jeszcze dlatego że teraz obraz złożył się w całość, nie było w nim już wyraźnych luk. Może tylko ojciec... Kim jest jego ojciec? Gdzie teraz jest?... Gleb uznał, że musi to wyjaśnić na spotkaniu z matką.

A przecież dojdzie do niego już jutro... Czy on na nie czeka, chce go?... Mutant wsłuchał się we własne uczucia. Te nie wiedzieć czemu milczały. Pewnie dlatego, że jego pamięć ostatecznie się nie przebudziła. Tak, teraz poznał swoje pochodzenie, swoją przeszłość. Ale on to wiedział, a nie pamiętał. Ciekawe, czy to znaczy, że uczucia też żyją w pamięci? W końcu pewnie czuł coś wobec Świętej: synowską miłość, przywiązanie, czułość czy coś w tym rodzaju. Ale kiedy zabrakło pamięci, zabrakło i uczuć. Teraz nie czuł w stosunku do matki niczego, o dziwo, nawet tej nienawiści, którą dotąd żywił do przywódczyni cerkiewnych. Ale ta nienawiść odnosiła się właśnie do przywódczyni, do Świętej, a nie do matki. A do matki – zupełnie nic. Oprócz co najwyżej urazy za to, że go wygnała. Chociaż uraza, i to bardzo silna, to, jakkolwiek by patrzeć, pochodna emocji, nie umysłu. W głowie rozumiał, i próbował przekonać samego siebie, że „wygnała” to nie całkiem właściwe słowo. Przecież nie wyrzuciła go precz ot tak, na pastwę losu. Przymuszona, z konieczności odesłała go daleko od domu rodzinnego z nadzieją, że znajdzie tam nowy. Dała mu przewodnika: człowieka, który był przy nim od dziecka, który w zasadzie wychował go, znał go nie gorzej od własnego syna...

Myśląc o Pistolecie, Gleb wściekle potrząsnął głową: „Nie, nie, nie! Nie chce o nim wspominać! Jak on mógł?! Jak mógł? Zdrajca!”. I od razu przypomniały mu się słowa Dziadka Mroza: „...kogo on zdradził? Szczap

od początku był moim wiernym towarzyszem broni i nim pozostał”. To wszystko prawda, trudno się z tym spierać. Ale przecież dla niego, dotkniętego amnezją Gleba, Pistolet też stał się towarzyszem, więcej – stał się przyjacielem! Mutant wyraźnie, jasno pamiętał to, co powiedział Anatolijowi już prawie u kresu podróży: „na zawsze zapamiętam, co dla nas zrobiłeś. Nie zapomnę do śmierci, uwierz mi! Nawet jeśli cała pozostała pamięć odmówi mi posłuszeństwa”. I co teraz? Plunąć na swoją obietnicę? Wyrzucić i zapomnieć?... Ale przecież Pistolet naprawdę to zrobił... Nieważne, czym był przy tym agentem – Dziadka Mroza, Świętej... W pierwszej kolejności był wtedy człowiekiem, przyjacielem i zrobił to, co zrobił, dla przyjaciół, a nie na rozkaz swoich przywódców.

Gleb zagryzł zęby i zacisnął pięści. No dlaczego, dlaczego tak to wszystko wyszło?!... Zdobył przyjaciół, po raz pierwszy zaczął wierzyć, że nie jest już „niczyj”. A teraz?... Teraz znów nie przynależy do nikogo. Nigdy nie zdoła być z mrozowcami, cokolwiek by mówił Dziadek Mróz. Dowiedział się, kim jest jego matka, ale z zasady nie będzie mógł z nią być, nawet jeśli sam tego zechce, chociaż wcale takiej chęci nie ma. I przyjaciele... Przyjaciół też stracił. Pistolet... Nie, o Pistolecte nie może myśleć, za bardzo boli. A Saszka? Co teraz będzie z Saszką? Nie można już liczyć na obietnicę, którą dał mu przywódca mrozowców. Jeśli w nosie ma los jednego ze swoich najlepszych agentów, to co go obchodzi jakiś młodociany mutant?... Zresztą, jeśli jemu, Glebowi, jest sądzone zobaczyć się jutro z matką, to koniecznie poprosi ją, żeby nie ruszała Szaski. Oczywiście, jeśli go posłucha – przecież ona też ma to gdzieś. I jeśli Saszka jeszcze żyje...

Nagle mutant z ostrą, zimną jasnością poczuł, że po raz pierwszy został sam. Całkiem sam. Jeden jedyny na całym świecie! Sam – i niczyj... Jakże słusznie to powiedział stary Prokopij!

„Ale za co?!... – Gleb znów zacisnął pięści. – Czy jestem czemuś winny?! Czy to moja wina, że urodziłem się potworem? Czy to moja wina,

że w ogóle przyszedłem na świat? Kogo o to prosiłem?!...”

Mutanta ogarnęła niepokonana złość na cały świat. Dlaczego Katastrofa nie unicestwiła wszystkich? Dlaczego nie wyrwała z korzeniami tego ohydneho chwastu – gatunku ludzkiego? Tchórzliwego, chciwego, złośliwego, kłamliwego, żalnego w swoim sileniu się na bycie pępkiem wszechświata! Co po was pozostało, korono stworzenia, wy, którzy uroiliście sobie, że jesteście bogami? Przywódcy śmieci, książęta odpadków! Szczury gotowe wgrzyźć się sobie nawzajem w gardła za kawałek stęchłej padliny!... Pleśń!

– Nienawidzę!!! – krzyknął mutant, zrywając się z łóżka.

Ruszył w stronę drzwi, zamierzając wyważyć je kopniakiem, uniósł nawet nogę. Ale nagle usłyszał krzyki. Gdzieś tam, w głębi korytarza, a może i wyżej, krzyczeli przestraszeni ludzie. Co dokładnie – tego Gleb nie zdołał usłyszeć. Ale jego pierwszą myślą było: „To mama. Dowiedziała się od Pistoleta, że jestem u Dziadka Mroza, i postanowiła mnie odbić!”.

Wybicie drzwi okazało się dla mutanta fraszką: jedno kopnięcie – i te wyleciały na korytarz. W nos od razu uderzył go smród spalenizny. Gleb włączył nocny wzrok i zobaczył opadające do piwnicy kłęby dymu. Na górze z całą pewnością coś się paliło, przy czym bardzo intensywnie – teraz oprócz ludzkich krzyków mutant usłyszał też szum buzujących płomieni.

Zdaniem Gleba, możliwe były trzy wersje: przypadek, napaść cerkiewnych i jego pirokineza. Przy czym prawdopodobieństwo tych wariantów rosło od pierwszego do trzeciego. I na ostatnią wersję postawiłby dziesięciokrotnie więcej niż na dwie pozostałe razem wzięte.

Jednak nie było teraz czasu na wyliczanie prawdopodobieństwa. Choćby nawet pożar wywołała iskra spod kopyta renifera, niczego to nie zmieniało. Trzeba było się stąd wydostać, i to natychmiast.

Mutant rozejrzał się w poszukiwaniu strażnika. Czyżby uciekł? To takich ma pachółków Dziadek Mróz?...

Ach, więc to tak!... Strażnik leżał pod wyważonymi drzwiami.

Wypadając, uderzyły bysiora w czoło i pozbawiły go przytomności. Gleb odrzucił drzwi na bok, podniósł upuszczony przez ochroniarza automat, zarzucił go sobie na plecy i nachylił się nad mężczyzną.

– Wstawaj, żołnierzu! – Mutant poklepał go po policzku. – Dostyc spania, bo w ogóle już się nie obudzisz.

Strażnik zajęczał, ale nie otworzył oczu.

– No dobra, niech stracę!... – Gleb splunął, przykucnął, złapał bysiora za nogi, zarzucił je sobie na ramię i z trudem wstał.

Chwiejąc się, dobrnął do wychodzących z piwnicy schodów. Te były zbyt kręte, żeby wejść po nich z takim ciężarem. Mutant zrzucił strażnika na ziemię i znów zaczął chłostać go po policzkach:

– No, ocknij się, wieprzu! Zaraz się tu upieczesz!

Zdawszy sobie sprawę, że te wysiłki są nieskuteczne, Gleb pobiegł schodami w górę. Na parterze dym zasnuwał już wszystko wokół, nic nie było widać. Niemniej jednak trzeba było natychmiast znaleźć kogoś, kto pomógłby wynieść nieprzytomnego ochroniarza.

I wtedy mutant usłyszał głos Dziadka Mroza. Fałszywy czarodziej wrzeszczał, przechodząc w pisk:

– Do piwnicy!!! Żywo, do piwnicy!!! Ratujcie jeńca, bydlaki! Jaja wszystkim urwę, jeśli on zdechnie!!!

„Bardzo wygodnie” – pomyślał Gleb, zasłaniając sobie nos i usta rękawem, i gdy tylko dostrzegł w dymie czyjąś sylwetkę, zawołał:

– On jest na dole, pod schodami! Nieprzytomny, nałykał się dymu... Nie dałem rady go podnieść...

– No to chodź, zabierzemy go!

– Nie mogę – mutant zaniósł się nawet niezbyt udawanym kaszlem – sam nałapałem dymu, zaraz upadnę...

– Olać go! – zawołał obok inny głos. – Idziemy, ze mną jest jeszcze Pietrucha, we trzech wyniesiemy... Bo Dziadek naprawdę nas wykastruje!

Teraz z czystym sumieniem można było ratować się samemu. „Czasem

jednak znacznie wygodniej jest być samemu” – pomyślał Gleb.

ROZDZIAŁ 24

WNIEBOWSTĄPIENIE

Po tym, jak znalazł się na zewnątrz, mutant zaczął się rozglądać. Przykro byłoby, gdyby go teraz złapali. Ale panujące wokół zamieszanie i zapadająca noc posłużyły mu za doskonałych sprzymierzeńców. Co prawda noc nie była zupełnie ciemna, ale tego światła nie było na tyle dużo, żeby dobrze się przyjrzeć człowiekowi w oddali. Na szczęście Gleb był ubrany tak samo jak wszyscy, i niczym, oprócz kosmatego pyska, się od nich nie różnił.

A terem Dziadka Mroza płonął, zamieniwszy się w baśniowy ognisty pałac. Polewano go wodą z wozu strażackiego – okazuje się, że był tu i taki – ale z równym powodzeniem można było wodzić wokół niego korowód i śpiewać: „Ogniska już dogasa blask...”.

„Jednak dureń z ciebie – pomyślał z uśmiechem mutant o przywódcy mrozowców. – Wiedziałeś przecież, że jestem łatwopalny. Pistolet cię informował, ale nie – przywiozłeś mnie tutaj. Czyżby nie znalazł się jakiś inny kamienny budynek, jeśli w tamtym, blisko klasztoru Świętej, bałeś się mnie trzymać? Bo teraz sam rzuciłeś zapałkę na stertę chrustu. Durny z ciebie lider! No, to teraz skacz, podstawiaj tyłek, kogucie pieczony”.

Od fasady teremu prowadziła w dal szeroka świerkowa aleja. Gleba kusiło, żeby się nią przejść – niespiesznie, pogwizdując, bezczelnie. Ale nie można było uważać przeciwników za kompletnych głupców. Dlatego poprawił automat i czmychnął za najbliższe świerki. Poszedł wzdłuż alei,

która służyła jednak za pewien rodzaj punktu orientacyjnego i na pewno musiała wyprowadzić go na drogę. Mutant nie miał pojęcia, w którą stronę był Ustiug, ale droga to droga – wcześniej czy później doprowadzi go do ludzi, a ludzie mają języki. On zaś, jakby co, ma teraz automat, żeby te języki rozwiązać.

No, a ostateczny cel był teraz jasno określony: miasto Wielki Ustiug, sobór Zaśnięcia Matki Bożej. Nagle przypomniała mu się zasłyszana kiedyś piosenka: „Witaj, mamó, wróciliśmy tu nie wszyscy...”. „Chociaż dlaczego nie wszyscy? – pomyślał Gleb. – Jeden z tych, co wrócili, już u niej jest. A teraz wejdę ja: kocha, lubi... może chociaż szanuje?”

W końcu nie wyszedł na drogę. Zabrakło mu naprawdę mało, ale widać nie było mu pisane. W górze rozległ się nagle szum, jakby silny poryw wiatru przemknął po czubkach świerków. Właśnie tak pomyślał mutant, dlatego też nie zadzierał głowy. Widocznie ostatnie wydarzenia zakłóciły jego psychikę, osłabiły uwagę, przytępiły poczucie niebezpieczeństwa, więc... Silne pchnięcie w plecy, trzask rozrywanego materiału i już chwilę później Gleb zdał sobie sprawę, że leci.

Świerki błyskawicznie zostały w dole i zrobiły się malutkie niczym zabawki. Zabawkowy stał się też pożar – ot, ognisko na polance. Ten widok byłby pewnie bardzo ciekawy, ale mutant miał teraz co innego na głowie. Co jak co, ale umiejętność latania absolutnie nie wchodziła w zestaw jego zdolności, tego był pewny. Jak i tego, że coś złapało go od tyłu, rozdzierając materiał kurtki i koszulki – teraz z przodu ubranie wpiło mu się w pierś pod ciężarem jego ciała. Trudno mu było oddychać, ale w zasadzie dało się to wytrzymać. Trzeba jeszcze było zrozumieć, co to takiego zdołało złapać go jak kociaka za kark?

Trzeba od razu zaznaczyć, że to, co napisano wyżej, nie było prawdziwymi, „dosłownymi” myślami Gleba. To prawda, jego wrażenia i wnioski wyglądały, najogólniej rzecz ujmując, właśnie tak. Jak to się

mówi, w ogólnym zarysie. Ale w rzeczywistości mutant w pierwszej kolejności poczuł dziki, pierwotny strach. Nigdy wcześniej nie miał okazji latać, dlatego teraz, zapominając o wstydzie, poczuciu własnej godności, męskiej dumy i innych „obowiązkowych męskich cechach”, gotów był piszczeć jak dziewczynka. Nie zrobił tego wyłącznie dlatego, że gardło i szczęki ścisnęło mu przerażenie. No, i jak już wspomniano, wpijająca się w pierś koszulka i kurtka utrudniały mu oddychanie. I zauważcie, że było to, jeszcze zanim Gleb poznał przyczynę swojego „wniebowstąpienia”!

A kiedy podniósł głowę... W sumie wszystko, co zostało wyżej powiedziane o dzikim strachu i przerażeniu, które ogarnęły mutantą, o ściśniętym gardle i innych bzdetach – wszystko to można było teraz skreślić i zapomnieć. Bo najprawdziwsze, najżywsze ucieleśnienie przerażenia znajdowało się teraz obok Gleba. Nawet nie tyle obok – ono trzymało go w swoich szponach. I to nie figura retoryczna, nie metafora, to najprawdziwsza prawda, dosłowna konstatacja faktu. Mutanta niósł w łapach taki sam „ptaszek” jak ten, który zaatakował tratwę uciekinierów przy wsi Iljinskoje.

Można być odważnym, przepływając przez burzliwą rzekę, jeśli umie się pływać. Można być odważnym, odpierając napaść bandytów, jeśli umie się pływać. Można być odważnym, nawet idąc do ataku na bagnety na dobrze uzbrojonego wroga, jeśli ma się pewność, że ginie się w słusznej sprawie. Znacznie trudniej być odważnym, wisząc między niebem a ziemią w szponach koszmarnego potwora, kiedy warianty rozwoju dalszych wypadków są tylko dwa: rozbić się, spadając z ogromnej wysokości, albo zostać zjedzonym żywcem – nieważne, w czasie lotu czy po nim. Nie ma też żadnej moralnej podpory; niosący cię potwór ma oczywiste prawo napełnić sobie brzuch. Tobą. I czy będziesz zachowywał się jak prawdziwy mężczyzna (nawiasem mówiąc, ciekawe, jak by to miało wyglądać w tej sytuacji – może należy z wytrzeszczonymi oczami ryczeć *Międzynarodówkę?*...), czy jak histeryczna baba, nie zepsujesz tym bestii

apetytu.

Pokryta jasną łuską „łabędzia” szyja „ptaszka” wygięła się w dół i na Gleba spojrzało błyszczące żółtym fosforem oko. Ogromne, puste, obojętne. Pionowa źrenica odrobinę się zwężyła – ptaszysko nastawiało ostrość. Mutant zacisnął powieki: to koniec... Ale minęła sekunda, druga – a może cała minuta, dwie albo dziesięć; czas zmienił swój bieg – i nic się nie działo.

Gleb ostrożnie otworzył oczy. Wciąż leciał. „Ptaszek” już się nim nie interesował. Mutantowi wróciła jako taka zdolność myślenia: „Pewnie stwór jest najedzony. Niesie mnie do swojego gniazda, żeby zjeść później. Albo żeby nakarmić pisklęta...”.

Znalazł w sobie siłę, żeby spojrzeć w dół. Zobaczył ciągnącą się nitkę drogi z rozrzuconymi tam i sam pudełeczkami chatek. Z boku, po prawej, połyskiwała wstęga rzeki. Nieco z przodu, na lewym jej brzegu, widniało jakieś wysypisko śmieci. Wielkie wysypisko, poprzecinane wzdłuż i w poprzek cienkimi liniami. „Przecież to Ustiug! – dotarło do Gleba. – Co mnie podkusiło, żeby do ciebie wrócić! No trudno, więcej się nie zobaczymy. Dziobcie się tam dalej, mnie zadziobią jeszcze wcześniej”.

Zburzone miasto zbliżało się. „Czyżby ten stwór miał tam gniazdo? – przemknęła mutantowi nowa myśl. – Czyżbym jednak miał tam wrócić? Jakby się ze mnie nabijał... Przykre. Chociaż co za różnica?”

Jednak nie, „ptaszek” zaczął skręcać w lewo. Dziwne, ale to zirytowało mutantą. Przecież dopiero co żałował, że potwór leci do Ustiuga, a teraz... Jakby podświadomie liczył, że mimo wszystko skrzydlaty stwór „dowiezie” go w odpowiednie miejsce, pożegna się grzecznie i spłynie. A teraz i ta nadzieja okazuje się płonna.

I to niespodziewane, idiotyczne w tej sytuacji rozdrażnienie sprawiło, że Gleb zaczął myśleć. Przede wszystkim przypomniał sobie o automacie, a nawet zaryczał ze złości na swoje zapominalstwo. Spróbował ściągnąć z ramienia pasek – nie udało mu się; widocznie broń ugrzęzła między pazurami stwora. Szarpnął mocniej, pasek nieco ustąpił. Szarpnął jeszcze

raz... „Ptaszek” znów wygiął szyję i zasyczał, wysuwając z zębatego pyska rozdwójony język. Niespodziewanie to nie tylko nie wystraszyło, ale przeciwnie, zmotywowało mutanta. „Nie podoba ci się? – pomyślał ze złośliwą satysfakcją. – No i dobrze. Będę cię nękał, bydlaku. Może chociaż się rozzłościsz i szybciej mnie zeżresz. Znudziła mi się ta zabawa w latający pasztecik”. I zaczął ciągnąć pasek od automatu ze wszystkich sił. „Ptaszek” syczał już non stop. Zatrzeszczał materiał kurtki. „O! To nawet lepiej! Upadnę, roztrzaskam się, a potem niech sobie je, niech nosi dzieciom po kawałku – będzie mi to już wisiało”.

– Żebyś się udławił, skrzydlaty sukinsynu! – krzyknął wściekle Gleb, zupełnie nieprawdopodobnie wykręcił się do tyłu, dosięgnął do rękojeści automatu i nacisnął na spust.

„Ta-ta-ta!” – zaterkotał automat i umilkł.

– Co? Tu też tylko trzy naboje?! – Mutant roześmiał się histerycznie.

Zresztą, histeria nie trwała długo. Skrzydlaty stwór wydał z siebie zgrzytliwy pisk i zaczął szybko spadać, zalewając Gleba lepką, gorącą, ohydnie śmierdzącą krwią.

Namoknięta kurtka wyslizgnęła się ze szponów. Mutant znów był wolny. Teraz już do końca życia. „Szkoda tylko – zdążył pomyśleć – że tego życia zostało najwyżej kilka sekund”.

Uderzenie było mocne, od razu zabrakło mu tchu. Ale upadek się nie skończył – ani pogrążeniem w niebycie, ani w ogóle jako taki. Gleb dalej leciał w dół, tylko jakoś powoli, miękko, szorstko... Lot się skończył, ale na samego mutanta coś dalej padało z szelestem. Coś kłującego, odurzająco pachnącego... Gleb spróbował wstać, zachwiał się, upadł w to coś odurzającego i kłującego, a zarazem bezpiecznego, miękkiego. Zakręciło mu się w nosie. Kichnął ogłuszająco. I jeszcze raz. Ukłąkł, potrząsnął głową. I dopiero teraz wpadł na to, by otworzyć oczy, które, jak się okazało, zamknął, kiedy tylko zaczął spadać.

Gleb wstał z kolan i rozejrzał się wokół. Otaczała go sterta pachnącego

siana. Obejrzał się i zobaczył rozrzucony stóg. Jęknął w myślach: takie szczęście wydało mu się wręcz niemożliwe. Jeśli miarą nieprawdopodobieństwa jakiegoś zdarzenia jest zwykle szukanie igły w stogu siana, to tu w roli igły wystąpił sam stóg.

Mutant, chwiejąc się, wyszedł na puste miejsce. Zaczął strząsać siano, ale to przykleiło się do krzepnącej krwi, którą był zalany od stóp do głów.

„Muszę pilnie znaleźć jakiś zbiornik wodny! – pomyślał Gleb. – Bardzo pilnie. Inaczej zdechnę od tego smrodu. A jeśli ktoś obserwował mój lot, to wolałbym nie zostać bohaterem legendy o krwawym duchu, który zszedł z nieba”.

Z jednej strony pola, na którym znajdowało się jeszcze kilka stogów, ciemniała gęsta ściana lasu. Z drugiej, znacznie bliżej, widniał niewielki zagajnik. Nad nim pokazał się właśnie skrawek tarczy słonecznej. Tam skierował swoje kroki mutant.

Nie dochodząc jeszcze do najbliższych drzew – wysokich, ale powykręcanych radiacją jak artretyzmem brzoź – Gleb zobaczył na ich koronach coś dużego i ciemnego.

Zbliżywszy się, od razu rozpoznał swojego niedawnego „znajomego” – latającego potwora, zębatego „ptaszka”. Martwy stwór zaczepił rozpostartymi skórzastymi skrzydłami o górne gałęzie i wisiał teraz rozpięty, jakby się suszył. Gdy Gleb podszedł jeszcze bliżej, starając się nie trafić pod ciężkie krople gęstej krwi wciąż jeszcze ciekącej z ran, zauważył, że potwór trzyma w skręconych przez agonię łapach jego podartą kurtkę i automat zwisający na pasku z krzywego pazura. Pierwszą myślą było wleźć na drzewo i odzyskać broń, ale mutant natychmiast ją odrzucił: bo co mu ten bezużyteczny bez nabojów blaszak?

Po przejściu przez zagajnik znalazł w końcu to, czego szukał: wzdłuż drzew na jego skraju, wesoło szemrząc, płynęła niewielka rzeczulka, czy raczej strumyk. Gleb szybko się rozebrał, wlaź do zimnej wody i zaczął się w niej tarzać, rycząc z zimna i zadowolenia. Potem, stojąc na czworaka jak

wielkie zwierzę, napił się do woli, wyszedł na brzeg i zaczął pracować. Z poszarpanej szponami „ptaszka” koszuli zostały strzępy. Mutant stwierdził jednak, że lepiej już tak niż straszyć ludzi gołym kudłatym torsem – wezmą go jeszcze za jakiegoś niedźwiedzia i nabiją na widły!

I wtedy kątem oka dostrzegł w lasu jakiś ruch. Coś białego mignęło między białymi pniami. Mutant spiął się wewnętrznie i prał dalej. Przy tym zerkając z ukosa, starał się lepiej temu czemuś przyjrzeć. Nie zobaczył niczego, ale usłyszał.

– Kto to? – dobiegł do niego niespokojny szept. Głosik wyraźnie należał do dziecka, najprawdopodobniej dziewczynki.

Gleb nieco się rozluźnił, ale wciąż nasłuchiwał.

– Misio – odpowiedział szept. Też jakby dziewczynki, tyle że odrobinę starszej.

– A co łon tu robi?

– Łowi ryby.

– A nas nie złowi?

– My łuciekniemy.

– Lepiej chodźmy stond, trza pracować, matula nam nagada.

– Strachasz się, młoda? Nie bój się, nie dotknie cie misio. Łon latem je syty.

– Nie stracham. Ale czasu ni ma! A dużo trza jeszcze siana nagrabić, do nocy nie wyrobim.

– Wyrobim. Matula przyjdzie, pomoże. A misio se pójdzie i już go nie zobaczymy.

– A co tu patrzeć? Już żeśmy popatrzyły. Oj!...

– Co ty?

– Ten misio... Toć on nie łowi ryb. On pierze portki!

– Jakie portki? Na co jemu portki?

– No to patrzaj!...

– Tak jest – portki...

– Kogoś łon zjadł i łubranie teraz płucze... Patrzaj no, wodiczka płynie czerwona!... Toć to krew!

Mutant przestał prac i znieruchomiał, czekając, aż dziewczynki odejdą. Ale te też zamarły, przyczaiły się i umilkły.

Gleb zaczął się zastanawiać, co ma robić. Odwrócić się i zaryczeć, żeby dzieci przestraszyły się i uciekły? A co, jak wystraszy dziewczynki na śmierć albo zrobi z nich jakały? A może wyjść do nich, powiedzieć, że jest człowiekiem, i przy okazji zapytać o drogę? Przecież i tak może je wystraszyć – niedźwiedź, i to jeszcze gadający! Z drugiej strony, jakoś tak niezręcznie: do dziewczynek, i to bez spodni!...

Dobra, spróbujemy tak bez odwracania się, ostrożnie...

– Hej, dziewczynki! – zawołał mutant najłagodniej, jak potrafił.

– Aj!... Oj!... – zawołały obie naraz.

– Łon mówi!... – zaszepotała jedna.

– Może to nie misio, tylko diabeł? – syknęła druga.

– Nie jestem niedźwiedziem ani diabłem – powiedział Gleb. – Jestem człowiekiem. Tyle że zmutowanym. Mam na imię Gleb. A wy?

Z początku w lasku zrobiło się cicho. Potem jeden z głosików odezwał się nieśmiało:

– Jo żem jest Olka.

– A jo Niurka – zabrzmiał i drugi. Dziewczynka, nie wiedzieć czemu, dodała: – A naszom matule nazywajom Julia.

Mutant od razu mimowolnie przypomniał sobie tamtą, zamordowaną Niurę. Westchnął i zapytał:

– Jesteście mutantami?

– A jak? – odparła jedna z dziewczynek, chyba ta młodsza, Ola. – Przeca nie cerkiewni!

– A to wy wiecie o cerkiewnych? – Gleb się zdziwił.

– Kto ło nich nie wie! – prychnęła Niura. – Przeca myśmy nie som „dzikie”.

– To znaczy... jak to nie „dzikie”? – Mutant się zdumiał. – W takim razie kim jesteście?

– Nasz tatko jest mrozowiec – oznajmiła z dumą jedna z dziewczynek. – Znaczy my też.

– Zaczekajcie... – Gleb zaczął się odwracać, ale w porę przypomniał sobie o swojej nagości i wycofał się z tego pomysłu. – Ale przecież mrozowcy żyją w Ustiugu!

– Toć i my som w Ustiugu. Ło, Ustiug jest tam, za borem świerkowym. Bardzo jest duży, a tu jest ino jego skraj.

– Ach, więc to tak! To dobrze, dziękuję wam. – Gleb szczerze się ucieszył. – I... wybaczcie mi, ale chyba zniszczyłem wasz stóg...

– Dlaczego? – spytała gniewnie Niurka.

– Niechcący. I jeszcze... Nie chodźcie przez ten zagajnik, lepiej obejdźcie go bokiem.

I znowu, tym razem Olka:

– Dlaczego?

– Bo tam... – zaczął szukać odpowiedniego słowa mutant. – Tam taka paskuda wisi... Martwa. Straszna!

– To ty jom żeś zabił?

– Ja.

– Chodźmy łobejrzyć paskudę! – wypaliła zachwycona Niura.

– Nie... – odparła Ola. – Matula byndzie zło. Trza pracować.

– Strachasz się, młoda!

– Nie stracham!...

Głosy dziewczynek zaczęły się oddalać. Gleb skończył prać spodnie, wyjął je razem z koszulą, rozwiesił do wyschnięcia na najbliższym krzaku i zabrał się do zmywania krwi z butów.

ROZDZIAŁ 25

BŁĘDNA DECYZJA

Słońce wędrowało po niebie coraz wyżej. Mutant wyciągnął się na trawie i zaczął drzemać. „To nic – pomyślał już na wpeł pograżony we śnie. – Przekimam się... Akurat ubranie mi podeschnie”.

Spało mu się wspaniale. Kiedy się obudził, słońce stało już w zenicie. Spodnie i koszula prawie wyschły. Gleb ubrał się i usłyszał, jak zaburczało mu w brzuchu. Co tam mówiły dziewczynki o rybach? Podszedł do strumienia, zaczął się przyglądać. Żadnych ryb nie zauważył. A jeśli nawet, to czym je złowić? Znow moczyć koszulę? Nie, lepiej już w suchej przejść się do miasta, a tam może uda mu się coś zdobyć. W najgorszym razie zapuka do pierwszego lepszego domu i poprosi choć o parę marchewek. Mieliby mu odmówić?

Mutant zmarszczył brwi. Gdzie on chce pukać? Kogo prosić? Mrozowców? Przecież na pewno szukają go pełną parą! Teraz jest ich wrogiem. To nie żarty – spalił terem samego Dziadka Mroza! To oczywiście wątpliwe, żeby go za to stracili. W każdym razie nie teraz. Najpierw Dziadek Mróz dogra do końca rozpoczętą partię. A potem?... Dojdzie do przekazania Gleba Świętej, tak jak pierwotnie było w planach? Czy może przywódca mrozowców zabije go z zemsty, gdy tylko pokaże go matce i dopnie swego? A jeśli Święta się uprze, to zabije go na sto procent. Tak więc wpadnięcie w łapy mrozowców było niebezpieczne aż strach! I widziały go dziewczynki. Na pewno opowiedzą matce, ta mężowi,

a potem... Ty kosmaty idioto, rozłożyłeś się tu, a mrozowcy może zaciskają już wokół ciebie pierścień! Trzeba uciekać, i to natychmiast. Tylko dokąd?...

Gleb, który zdążył odejść na sto kroków od strumienia, znów się zatrzymał. Więc tak, do miasta nie wolno, tam są mrozowcy. Nawiasem mówiąc, są tam i cerkiewni. A co z cerkiewnymi? W końcu teraz niby właśnie do nich powinien iść... Mutant zamyślił się. Ostatecznie wszystko mu się poplątało w głowie. Do cerkiewnych też nie chciał iść. No bo co on im powie: zaprowadźcie mnie do mamy, zgubiłem się? A to się mamusia ucieszy z jego przybycia! Ale jej zrobi niespodziankę! Zakończy jej panowanie bez żadnego Dziadka Mroza. Na co zresztą zasłużyła. Nie trzeba było trzymać rodzonego syna w podziemiu, a potem wyrzucać, jak uprzykrzonego psa!...

Pomyślał tak – i zrobiło mu się wstyd. Znów poobracał w głowie to, nad czym się już zastanawiał. I znów doszedł do wniosku, że jakkolwiek osobiście było mu przykro, Święta w zasadzie nie mogła postąpić inaczej. Oczywiście, można go było zabić, ale przecież tego nie zrobiła. Tylko z litości czy dlatego, że go kochała?... A co za różnica – nie zrobiła tego, i już!... A on się teraz zjawi i wyrządzi jej podłość. Nie, tak też nie można. To nieludzkie, choćby nawet nie żywił wobec Świętej żadnych synowskich uczuć. Nieludzkie?... Nagle Gleb znów sobie przypomniał, jak planował gołymi rękami udusić Świętą za śmierć małej Niury, mutantki poetki Oluszki, za własną amnezję... Czemu więc teraz tak ta nienawiść złagodniała?... A co tam złagodniała – został oczywiście ból w sercu, doszła do niego uraza, że to właśnie jego mama była winna temu wszystkiemu (choć kto wie, jak wielka jest konkretnie jej wina), ale akurat nienawiści, najprawdziwszej, nieznośnej, złej, kłującej, przeszywającej na wylot, już nie było. Czyżby poczucie pokrewieństwa mogło tak wpłynąć na myśli i uczucia?... Widocznie jednak tak. Jakkolwiek to było smutne. Zresztą jakie tam smutne! Ohydne, wstrętne!... Jakby był

jej współnikiem.

Dobrze. I co ma teraz robić? Dokąd iść? Może donikąd? Wrócić do strumienia, włożyć głowę pod wodę, zrobić wdech... Nie, nie będzie umiał, instykt samozachowawczy nie pozwoli mu tam wytrzymać wystarczająco długo, a rzeczka jest płytka. To już lepiej iść nad Suchonę. Wypłynąć na środek koryta, tam gdzie najgłębiej, zanurkować do dna albo ile będzie mógł, a potem już nabrać do płuc solidną porcję wody...

Więc tak. Jest niczyj. Teraz już na pewno. Jaką słuszość miał Prokopij! Dokładnie wszystko dostrzegł. O nich wszystkich! I to, że Pistolet nie jest cerkiewnym i że Saszka i on nie są mrozowcami...

Saszka!... Gleb drgnął. Jak mógł zapomnieć o Saszce?!... Ale... Co teraz będzie z chłopakiem? Jak teraz może mu pomóc? Jednak iść pokłonić się matce? Wtedy ona po natychmiastowej utracie władzy i tak nie zdoła Saszce pomóc. Wrócić pokornie do Dziadka Mroza? Przecież on i przedtem ani myślał pomagać jakiemuś Saszce... Pójść samemu, przebojem? Zdać się na łut szczęścia, a nuż go odbije?... Skąd, nie odbije. Nie miał nawet pojęcia, dokąd iść.

Więc co robić?!... Wyjście jest chyba naprawdę tylko jedno: na główkę do Suchony.

Mutantowi zrobiło się tak ciężko na duszy jak jeszcze nigdy w życiu. W każdym razie w tym jego wycinku, który pamiętał. A i w tamtym, poprzednim, najprawdopodobniej nigdy się tak nie czuł. Wtedy, choć żył pod ziemią, nie widząc światła słonecznego (czy może czasem wyprowadzali go potajemnie na zewnątrz?), to jednak wszystko miał podsuwane pod nos, nie znał trosk ani smutków. Miał książki, dobrych nauczycieli (tego cholernego drania Pistoleta!), troskliwą i może nawet kochającą mamusię... Wątpliwe, żeby wtedy jego duszę mógł wypełniać tak beznadziejny mrok jak teraz. Jego życie rzeczywiście całkowicie dosłownie straciło sens. Dla niego, Gleba, zagubionego, nikomu niepotrzebnego szkaradnego mutantu, nie było w nim absolutnie żadnej

przyszłości. Był nie tyle po prostu niczyj, był zbędny. Nawet nie biała plama, ale zawada. Więc o czym tu jeszcze myśleć? Pod wodę – i kropka.

A może powiesi się tutaj, na brzegu strumyka? Pasek ma, brzózek jest od... cholery i trochę!... Ale z jakiegoś powodu wieszanie wydało mu się niegodne, wstrętne. Gdzieś nawet czytał (teraz już sobie nie przypomni gdzie i kiedy), że kiedy człowiek się wiesza, opróżnia mu się pęcherz, a czasem i jelita. Wyobraził sobie, jak będzie dyndać z mokrymi, śmierdzącymi spodniami – i poczuł mdłości. Do tego jeśli natkną się na niego Niura z Olą!... Nie, nie! Tylko do rzeki! Tam i tak będzie cały mokry i nie będzie miał kto wachać – ryby zjedzą każdego. Ech, po co on, głupi, zabił „ptaszka”? Ten chociaż nakarmiłby nim dzieci – byłby z niego jakiś pożytek!...

Decyzja, by iść nad rzekę, zrodziła się, dojrzała i stała się teraz jedynym celem Gleba. Ale nie należało pędzić do niej na oślep. Wpaść teraz w ręce czy to cerkiewnych, czy to mrozowców, znaczyłoby wszystko zepsuć, nie tylko przedłużyć swoje męki, ale i zaszkodzić matce. I nieważne, że nic do niej nie czuje; matka to matka, po co mieć dodatkowy grzech na sumieniu?

Mutant przypomniał sobie, co powiedziały dziewczynki: za świerkowym zagajnikiem zaczynają się obrzeża Ustiuga. Dlatego tam nie pójdzie. Ale na początek nie zawadzi zorientować się, gdzie dokładnie się te obrzeża znajdują, żeby przypadkiem nie zapuścić się właśnie tam.

Gleb rozejrzył się dookoła. Tu jest jeszcze jeden brzozowy zagajnik, tu zarośla, a tu, obok zarośli, świerkowy las. Pewnie to o niego chodzi, innych choinek jakoś nie widać.

Mutant nie od razu wyszedł na otwartą przestrzeń, ruszył skrajem zagajnika. Potem przeciął wąski fragment pola prowadzący do zarośli. Nie wszedł w krzaki, te rosły zbyt gęsto – też poszedł ich skrajem. Kiedy dotarł do świerków, odetchnął pełną piersią. Żywiczna woń iglaków orzeźwiła, zaczął mu się nawet poprawiać nastrój. Ale od razu przypomniała mu się sentencja: „póki oddycham, mam nadzieję”, i w jego sercu znów zagościł

mrok. Gleb przeszedł przez lasek i ostrożnie wyjrzał zza ostatniego szeregu świerków.

W dół prowadziło łagodne zbocze. Pięćdziesiąt metrów dalej widać było drogę. Wzdłuż niej po lewej stały domki – parterowe, drewniane, najzwyczajniejsze wiejskie chaty. Ale Gleb wiedział już, że przeważnie właśnie w takich domach mieszkają mutanty z Ustiuga, czyli to musiał być ten „skraj” miasta, o którym mówiły dziewczynki. Dalej widok zasłaniały drzewa, więc ruin Ustiuga nie zobaczył, sądząc z wszelkich oznak, zorientował się prawidłowo, nie było chyba widać innych możliwości. Tym bardziej – i to było teraz dla Gleba najważniejsze – że daleko przed sobą, w przerwach między licznymi kępami drzew i krzewów, zobaczył błysk wody. To musiała być Suchona, jego cel. Teraz należało posuwać się bardzo ostrożnie, przebiegając między tymi wysepkami roślinności. I najlepiej na początek zbroczyć w prawo, jak najdalej od tych domów.

Na to, żeby dotrzeć do rzeki, zużył bardzo dużo czasu. Nikogo nie spotkał, ale za to zgłodniał tak, że nie mógł myśleć o niczym oprócz jedzenia. Próbował nawet żuć trawę, ale od razu ją wypluł, nie dało się tego jeść. Oczywiście Gleb wiedział, że w tych okolicach istnieją jadalne trawy – Pistolet znalazł przecież wtedy całkiem smaczny „barszcz” – ale jak on wyglądał i gdzie go szukać, pozostawało dla niego zagadką.

Mutant zaczął się zastanawiać, gdzie by tu zdobyć jakiegokolwiek jedzenie, ale szybko sobie przypomniał, co zamierzał teraz zrobić. „Z ciebie to jest jednak najgorszy idiota, jakiego znam – powiedział do siebie w myślach. – Planujesz się utopić, a myślisz, co by tu zjeść! Może logiczniej będzie jednak zmienić priorytety? Najpierw zdechniesz i tylko patrzeć, jak ten drugi problem się rozwiąże”.

Gleb podszedł do wody. Najpierw pomyślał, że w tym miejscu zbyt łagodnie schodzi dno – długo trzeba będzie brodzić, zanim osiągnie się środek nurtu. Potem ryknął na siebie: „Nie szukaj wymówek! Zdecydowałeś

się, i koniec. Daleko mu! To nic, trochę się na koniec przespacerujesz”. Ale wtedy świadomość, która widocznie zupełnie nie miała ochoty odchodzić w niebyt, postanowiła przeciągnąć jeszcze czas i zadała kolejne pytanie: ma się rozebrać czy utopić się tak, jak stał, w ubraniu? Zresztą mutant od razu uznał to pytanie za głupie. Po pierwsze, w ubraniu łatwiej i szybciej utonie – mokre samo pociągnie go na dno, a kiedy woda wleje mu się do butów, to pociągnie dość szybko. Po drugie, jeśli już kiedyś znajdą jego ciało, to niech będzie ubrane. Będzie mu już wszystko jedno, ale jeśli sobie wyobrazić... Nieprzyjemna myśl.

– Dobra, dość tego przeciągania – powiedział na głos. – Jak masz iść, to idź!

Zrobił głęboki wdech, jakby już teraz zamierzał dawać nurką, uniósł nogę nad wodą. I usłyszał zza pleców:

– Kapać się chcesz? Wodiczka jest zimna.

Mutant odwrócił się. Na brzegu stało pięciu mężczyzn. Wszyscy byli ubrani w łachmany, wszyscy mieli szpecące mutacje twarzy. Do tego byli niemożliwie brudni i śmierdzący – odór walił po nosie z odległości dziesięciu kroków! Ewidentnie nie cerkiewni. Ale nie przypominali też mrozowców – tamci byli mimo wszystko schludniejsi, nie wyglądali jak obdartusy. Może to „dzicy”, którzy dotarli do miasta, nie mając jednak rejestracji, wałęsali się po jego obrzeżach? Jednym słowem: włóczędzy.

Dwaj z nich wystąpili naprzód. Jeden wyjął spod łachmanów nóż.

– Czego w łubranie leziesz? Zdejmuj, a potem idź, kaj chcesz.

– A co się tak o mnie troszczycie? – Gleb zmrużył oczy.

– Nie o ciebie. – Drugi włóczęga posłał mu uśmiezek. – O twoje łubranie. Patrzaj, jakie buty szykowne. Spodnie tyż niczego sobie. A koszule to dlaczego tak żeś podarł?

– A spotkałem takich jak wy. Zanim nauczyłem ich rozumu, koszula się porwała. Może zaszyjecie?

– Zara zaszyjem. – Pierwszy obdartus zbliżył się o krok do mutantą.

Gleb napiął mięśnie i nieco ugiął nogi w kolanach. Poczłł złośc, bo trząsł się z głodu, chociaż drzenie się zmniejszyló – widocznie dzięki wyrzutowi adrenaliny do krwi.

Włóczęga wciąż podkładał się do niego, wystawiając przed siebie nóż, kiedy mutant z miejsca do niego przyskoczył i chwycił w przegubie rękę z nożem, jednocześnie podcinając napastnika, wykręcił rękę przewracającemu się obdartusowi, przechwycił nóż i przyciskając nogą rozpostarte na ziemi ciało, przystawił mu ostrze do gardła.

– Wszyscy stać – przemówił spokojnie Gleb. – Albo on jest trupem.

Drugi włóczęga, który był bliżej od pozostałych, też wyszarpnął skądś nóż i z rykiem rzucił się na mutanta.

– Jak wolicie – powiedział Gleb, ciachnął nożem po gardle pokonanego bandyty i, nie prostując się, zanurkował na spotkanie biegnącego. Fałszywy skok w lewo, gwałtowny wypad w prawo – i machnięcie ręki z nożem z dołu do góry, które rozpruło wychudzony brzuch wojowniczego łachmaniarza.

Na ziemię zsunęły się niebieskawe wstęgi kiszek. Bandyta zamarł, wpatrując się ze zdumieniem w swój rozcięty brzuch. Wyduził: „Co to?“, i zwałił się na śmierdzącą stertę własnych wnętrzności.

– Kto następny? – spojrzął mutant na pozostałych trzech obdartusów. Przeniósł wzrok na nóż, ocenił: badziewie; drewniany trzonek, ostrze zeszlifowane do postaci nierównego wąskiego paska, dobrze chociaż, że był ostry. A kiedy uniósł wzrok, zobaczył, że bandytów była już szóstka.

– Następny byndziesz ty! – zaryczał jeden z nich, dał sygnał do ataku machnięciem siekiery. Oho! Chyba wcześniej takich nie było? I cała szóstka obszarpańców wyciągnęła spod łachmanów noże i rzuciła się na Gleba.

Mutant zaczął szybko myśleć. Powiedzmy, że dwóch położy od razu. Trzeci też raczej nie zdąży go pchnąć. Ale pozostali mogą zdążyć, jeśli mają choćby odrobinę oleju w głowie. Chyba trzeba zmykać.

I Gleb pobiegł. Najpierw wzdłuż wody, ale tam nogi co chwilę więzły

mu w piasku albo ślizgały się na glinie. Wtedy zręcznie wgramolił się na niewysoką skarpe brzegu i pomknął na ukos od rzeki, zauważając w oddali jakieś sterty gruzu.

W normalnym stanie odsadziłyby się od ścigających raz-dwa. Ale teraz dawała o sobie znać przekłeta słabość. I nie chodziło chyba tylko o głód: widocznie ujawniało się nerwowe i fizyczne zmęczenie po niechcianym nocnym locie. A i potem dał sobie niezły wycisk... Jakkolwiek było, teraz nogi wprost uginały się pod nim, mutant zdawał sobie sprawę, że długo takiego tempa nie wytrzyma. Ale cokolwiek się stanie, musi dociągnąć do ruin. Jest tam dużo kamieni i potłuczonych cegieł. Stanie plecami do sterty kamieni, osłoni sobie tył, żeby nie mogli go okrążyć, i zacznie się „ostrzeliwać” tym, co wpadnie mu w ręce.

Gleb nie dobiegł do ruin, zabrakło mu dosłownie odrobinę. Ziemia nagle zapadła mu się pod stopą, stracił równowagę, klapnął na tyłek i poczuł, że leci w dół. Na szczęście tym razem lot zakończył się szybko, zaraz po tym, jak się zaczął. Coś głośno zaszumiało mu nad głową, mutant instynktownie przeturlał się na bok, wyciągnął się twarzą w dół i osłonił głowę rękami.

Prawie od razu wszystko ucichło. Gleb obrócił się na bok i spojrzał za siebie. Z początku widział tylko kompletną ciemność. Włączył „nocny wzrok” i zrozumiał: zasypało go. Leżał w wąskiej norze o wymiarach metr na półtora, a wejście do niej, które otworzył swoim upadkiem, zostało całkowicie zasypane. To, jak głęboka była nora z drugiej strony, pozostawało jeszcze do wyjaśnienia, ale pierwsza myśl, która przysłała mu do głowy, bardzo przypominała prawdę: „Jestem w dupie. I to prawie dosłownie”.

Mutant obrócił się na plecy, nabrał tchu i zaczął się zastanawiać. Po pierwsze: w tym, co się stało, jest jeden plus – nie dosięgną go teraz bandyci. Jeszcze jeden... Nie, więcej plusów nie ma. Cała reszta wyglądała jak jeden ogromny tłusty minus.

„Jeśli ta nora kończy się ślepo – pomyślał Gleb – to po prostu zdechnę

z głodu i pragnienia”. Pomyślał tak – i zaczął rzeć ze śmiechu. To ci dopiero minus! A kto ledwie kilka minut temu chciał się utopić? No i masz – też jaja, tylko z profilu. Chociaż nie, jaja podobne, ale nie te same. Końcowy rezultat będzie bezsprzecznie ten sam, ale sposób jego osiągnięcia... Tonie się szybko: dajesz nurka głęboko, wydychasz powietrze, połykasz wodę, rzucasz się przez chwilę i już, ryby i raki mają ucztę. A może w Suchonie nie ma raków? Nieważne, niech to będą tylko ryby, więcej zostanie dla nich... Więc tak, tonie się szybko. A śmierć z głodu i pragnienia potrwa długo. Bez wody można, zdaje się, przeżyć siedem albo i dziesięć dni. Ale jakie to muszą być męki!...

„Ja to jednak jestem głupcem – przyszła mu do głowy następna myśl. – Nie, nie zwykłym głupcem, ale najprawdziwszym bezmózgim idiotą! To oczywiście nie nowość, ale żeby zrobić coś tak durnego jak ja teraz, to już się trzeba postarać! Po co odbiegłem od rzeki?! Dlaczego nie wskoczyłem do wody?! Przy czym trzeba było to zrobić od razu, nie wdając się w rozmowy z tymi obdartusami. Co, poszliby za mną? Mało prawdopodobne. A nawet jeśli, to i tak dotarłbym do głębiny przed nimi. Dałbym nurka – i koniec! Od razu poniósłby mnie prąd. Wątpliwe, żeby włóczędzy ryzykowali dla jakichś butów i spodni. A jeśli nawet, to mi to już będzie wisieć!... Ale to jest jedno... No dobra, nie pomyślałem o rzece. Chociaż bardzo dziwnie jest o niej zapomnieć, stojąc tuż obok i planując się utopić. No, niech będzie... Łeb mam dziurawy, co poradzisz. Ale po co w ogóle uciekać przed bandytami? Zakłuliby mnie – i dobrze, nie trzeba by było mieć na sumieniu samobójstwa. A tak – doszły do tego dwa zabójstwa... Nawiasem mówiąc, pierwszy raz własnymi rękami pozbawiłem ludzi życia, jeśli nie uznać za człowieka tej swołoczy, która zabiła Niurę. Co dziwne, sumienie w ogóle mnie nie dręczy. Może już go nie mam? Skończyło się? Jeśli w ogóle kiedyś było...”

Przypomniawszy sobie o zabójstwie, mutant wspomniał i nóż. Z początku się ucieszył: nie trzeba będzie umierać z pragnienia i głodu,

wszystko można rozstrzygnąć jednym ciosem, pozostanie tylko wybrać – w gardło, w serce czy może podciąć sobie żyły i powolutku stracić przytomność od upływu krwi. Ale nóż zniknął. Najprawdopodobniej wypadł mu z dłoni, kiedy tu spadał. A potem go zasypało. Można spróbować go odkopać, ale nadzieje nie są wielkie.

A jednak mutant doczołgał się do zawału i zaczął rozgrzebywać rękami jego podstawę. Kopał długo, połamał co do jednego wszystkie paznokcie, ostatecznie się zmęczył i zrezygnował. Znowu położył się na plecach i momentalnie zasnął.

ROZDZIAŁ 26

W NORZE

Glebowi śniło się, że siedzi przy stole w dziwnym pomieszczeniu bez okien. Ściany pokoju są ponure, wykonane z ciemnych czerwonych cegieł. Wzdłuż jednej długiej ściany stoją regały z książkami od podłogi po sufit. A sufit jest wysoki – czy to się tylko Glebowi zdaje, bo sam jest jeszcze małym chłopcem? – zwisa z niego blaszany klosz z jasną żarówką. Gleb wie, że prąd do żarówki produkuje słońce, w tym celu rozkładają na powierzchni specjalne płytki. A kiedy słońca nie ma, włączają specjalną maszynę – generator. Ale paliwa do maszyny jest mało, oszczędzają je, dlatego włączają ją rzadko, tylko kiedy naprawdę trzeba. Kiedy indziej zapalają lampy olejne, których światło nie jest tak silne. Ale teraz na powierzchni jest lato, często świeci słońce i można korzystać z elektryczności. Co to takiego elektryczność, Gleb też wie. Jeszcze nie bardzo dobrze, ale niedługo się nauczy – Lik właśnie kazał mu się tego nauczyć na następną lekcję. Mama mówi, że dla niego jest jeszcze za wcześnie, żeby wiedział o elektryczności, ale Lik kłóci się z mamą, nie zawsze jej słucha. Mówi, że Gleb to mądry chłopczyk i że ważne rzeczy... jak on je nazwał?... prak-tycz-ne... należy poznawać w pierwszej kolejności.

Lik też jest bardzo mądry. Ale on jest dorosły. I wie tak dużo! I jeszcze źli mrozowcy ucięli mu palce przy dłoni... Za to u drugiej ma ich aż sześć!

Oj, Lik właśnie teraz patrzy tak surowo!...

– Co się tak zamyśliłeś, dziecko? Rozumiem, że nigdy nie polecisz w kosmos, ale trzeba jednak wiedzieć, gdzie się żyje.

– Ja wiem... – mówi mały Gleb.

– A więc gdzie?

– W Ustiu. W Wielkim Ustiu! To miasto nad rzeką Suchoną, w obwodzie wołogdzkim.

– A obwód wołogdzki jest gdzie?

– W tej, no... W Rosji... Tak?

– No, a gdzie jest Rosja?

– Nigdzie... No, to znaczy wszędzie.

– Ech, ty, niedouczony globalisto! A co ci przed chwilą opowiadałem?

Gleb ponuro spuszcza kosmatą główkę.

– Dobra, powtórzę. Tylko słuchaj uważnie. Żyjemy na Ziemi. Ziemia to planeta, czyli taka ogromna kula, która leci w kosmosie, gdzie w ogóle nie ma powietrza, wokół Słońca, a razem z nim wokół centrum naszej galaktyki, w której jest mnóstwo gwiazd – takich jak nasze Słońce, a zdarzają się też mniejsze i znacznie większe. Wokół naszego Słońca oprócz Ziemi wiruje jeszcze siedem planet, ale nikt na nich nie mieszka. Za to na planetach, które obracają się wokół innych gwiazd, być może coś żyje. Nawet na pewno, przecież gwiazd w naszej galaktyce jest ogromna liczba, tak jak i galaktyk we wszechświecie.

– A kto tam mieszka? – Glebowi zapalają się oczka. – Cerkiewni? Czy mrozowcy? Czy ci, no... „dzicy”?...

– Mam ogromną nadzieję, że tam jest zupełnie inaczej. Że są gdzieś takie miejsca, gdzie żyją po prostu szczęśliwi ludzie, którzy nie wpadli na pomysł, żeby zrobić z własnej planety śmietnik i zabić ją własnymi rękami.

– A my ją zabiliśmy?

– My tak. – Lik wzdycha. – I co z tego, że planet jest wiele? Ziemię i tak mamy jedną. Jej rzeki, morza, lasy, góry – to wszystko jest niepowtarzalne! I prawie wszystko to bezpowrotnie straciliśmy... Jeśli nawet jest gdzieś we

wszechświecie coś podobnego, to i tak czymś się różni. A my nigdy tam nie dotrzemy.

– A przecież ludzie też są jak te, no... jak planety – mówi po długich rozmyślaniach, marszcząc brewki, Gleb. – Też są różni. Ich też nie wolno zabijać, choć jest ich dużo. Jak się kogoś zabije, to dokładnie takiego samego już nigdy nie będzie.

– Nieźle. – Lik ze zdziwieniem patrzy na Gleba. – Zuch z ciebie... Szkoda tylko, że wielu myśli zupełnie inaczej i dalej zabija.

– Może oni nie wiedzą? Może trzeba im powiedzieć?

– Wiedzą wszystko – mówi szorstko Lik. – Przecież ty też wiesz, a i kat zabiłeś. Niedrawpaż?

Gleb patrzy na Lika z przerażeniem... Nie, co to niby za Lik? Dlaczego Lik? Przecież to Pistolet! Bełkotliwy oszust... A i sam Gleb wcale nie jest małym chłopcem, tylko potężnym i strasznym mutantem.

– Tak, zabiłem – cedzi przez zęby. – Ale zabiłem w obronie własnej. I zabiłem nie ludzi, lecz ścierwo. A ty zrobiłeś jeszcze gorzej. Nie zabiłeś, tylko zdradziłeś!

– Nikogo nie zdradziłem. A już na pewno nie ciebie. Mogę za ciebie umrzeć, jeśli będzie trzeba.

– Nie trzeba. Niczego mi już nie potrzeba! Sam chcę umrzeć.

*

Gleb otworzył szeroko oczy i znów je zmrużył. Przypomniawszy sobie! Wyraźnie coś sobie przypomniał! Ten sen... To nie była zwyczajna gra chorej wyobraźni. Pokój o ceglanych ścianach, regały z książkami, żarówka pod blaszanym kloszem – wszystko to istniało naprawdę! Była też taka lekcja. Co prawda skończyła się inaczej, nie tak jak we śnie.

I nauczyciel imieniem Lik... Tak, teraz też go sobie przypomniał. Mama zwracała się do Pistoleta po imieniu – Tolik. Ale Gleb, kiedy był malutki,

nie umiał tego w całości wymówić, wychodziło mu z tego: „Lik”. I tak go nazywał, nawet kiedy zrobił się większy.

Lik był wtedy jego przyjacielem. I za drugim razem, już w postaci bełkotliwego Pistoleta, też nim został. A potem okazał się zdrajcą... Ale to znów mówią emocje, gorzkie poczucie krzywdy w sercu samego Gleba. A jeśli użyć tylko rozumu, odrzucając uczucia? Dziadek Mróz ma rację: Pistolet, od początku będąc jego agentem, pozostał wierny jemu, swojemu szefowi. No, a czy zdradził Gleba? Był przy nim od początku do końca. Tak, oszukał go, udając kogoś, kim naprawdę nie był. Ale to jest oszustwo, nie zdrada. I to oszustwo wymuszone. Więc kim jest dla niego Lik-Pistolet – przyjacielem, wrogiem, oszustem, zdrajcą?... Nie ma odpowiedzi. Nie da się pogodzić uczuć z rozsądkiem.

A co z samym Glebem? Zabił już trzech ludzi. Przecież wtedy, w dzieciństwie, szczerze uważał, że nie wolno zabijać. Każdy człowiek jest niepowtarzalny, każdy jest nawet nie planetą, lecz całym wszechświatem! Ale jaki wszechświat może się kryć w bandytach?! Jaki – w zabójstwie dziecka z zimną krwią? Wszechświat zła, okrucieństwa, chciwości, żądzy, kłamstwa? Czy taka „niepowtarzalność” jest komukolwiek potrzebna? Czego jak czego, ale tego rodzaju plugastwa jest na tym świecie aż nadto, świat jest nim wypełniony jak ohydny wrzód – jeszcze chwila i pęknie! Zresztą pękł już, ale znów zaczął nabrzmiwać. Lekarze otwierają ropienie skalpelem, Gleb zrobił to nożem. Czy postąpił źle? Nie, nie potrafi przykleić sobie etykiety z napisem „zabójca”! Jeśli nawet nie jest lekarzem, to sanitariuszem – wymiół z tego świata trochę łajna, nieco oczyścił powietrze.

Dobrze, niech będzie... A co z samobójstwem? Co będzie z tym wszechświatem? Chce go zniszczyć pomimo jego niepowtarzalności, dlatego że uważa go za swój. Tylko jego i niczyj więcej. Ale czy tak jest naprawdę? A jego matka? Co, jeśli ona w rzeczywistości go kocha? Co, jeśli jego wszechświat należy też do niej? Czy ma prawo go jej odebrać?

Bez pytania, tylko dlatego, że tak chce. Dlatego że jest zmęczony, dlatego że nie widzi sensu w swoim dalszym istnieniu... Ale to, że sam go nie widzi, nie znaczy jeszcze, że ten sens nie istnieje. Być może samo jego istnienie ma dla innych sens. Dla matki, dla ojca, dla Saszki, dla... Pistoleta... A oto i sens! Ojciec. Gdzie on jest, co z nim?... Przecież to on, Gleb, uznał, że nie jest potrzebny matce, że jest jej tylko zawadą. Być może to tylko jego okrutny, egoistyczny błąd, ale kto wie, może to i prawda. Przypuśćmy, że tak faktycznie jest. I że nie da się pomóc Saszce... Pewnie to tylko małoduszna wymówka, żeby nawet nie próbować czegoś zrobić. Niech będzie! Powiedzmy, że i to jest prawdą. I że Pistolet nie zasługuje na nic prócz pogardy i dlatego na to, że widzi on w czymkolwiek sens, można przymknąć oko. Załóżmy i to, a co tam! Ale ojciec? Co tu można przypuszczać, nie wiedząc zupełnie nic? A jeśli spróbowałby się dowiedzieć? Co, nie chce się? Lenistwo?... Po co ma się wysilać, jeszcze korona spadnie mu z głowy?... Lepiej już się powiesić, rzucić do rzeki, podciąć sobie żyły! Tak jest przecież łatwiej. Żadnego wysiłku, żadnych komplikacji. Zamykasz oczka i lulu!... A wy wszyscy spadajcie na drzewo. Matki, ojcowie, Saszki i Pistolety. Możecie sobie wziąć i Szczapa z Likiem na dokładkę. Dziecko się zmęczyło. Dziecko chce lulu. Na wieki wieków.

Och, jak się mutant rozzłościł! Rozzłościł się tak, że wyraźnie zapachniało spalenizną, tylko nie miało co się palić. Co najwyżej sam mógł zapłonąć, ale z jakiegoś powodu jego zdolność nie rozciągała się na niego samego. Pewnie też chroniła jego niepowtarzalny wewnętrzny wszechświat.

Poza tym ostatecznie się zaplątał. We wszystkim i wszystkich, a w sobie przede wszystkim. Jest czyjś czy niczyj? Ma żyć czy nie? Jeśli żyć, to po co i dla kogo? I jeśli żyć, to jak to teraz fizycznie zrobić – że tak powiem, praktycznie? Nie przekopie się przez zawał. Nie znajdzie jedzenia i wody.

„Tak? – w głowie Gleba jakby naprawdę odezwała się jakaś obca osoba. – A szukałeś? Czy znów chciałeś się poddać? A zawlec swój tyłek w głąb nory próbowałeś?”

Zresztą i bez podpowiedzi jasne było, że jeśli już coś robić, to posuwać się dalej wzdłuż nory. W tej sprawie los poszedł mu nawet na ustępstwo, nie dał innych możliwości, żeby nie musiał wybierać, na próżno nie wysilać główki. Pozostało mu podjąć najważniejszą decyzję: będzie coś w ogóle robił? Czy też, jeśli ma być kanonicznie: być albo nie być?

No dobrze, powiedzmy, że „być” (och, dziękuję, jak miło!). Choćby nawet nie na długo, tyle żeby choć spróbować cokolwiek zrozumieć, a potem już będzie wiadomo. Ostatecznie może ci bandyci nie zjawili się tak po prostu? Może to był znak? Przecież gdyby nie oni, to kapałby się już w Suchonie. Ale w takim razie może i ta nora nie jest przypadkowa? A sen, który właśnie miał, jest proroczy? Czy w tym życiu w ogóle cokolwiek dzieje się „bez powodu”?... Nie, trzeba jednak obejrzeć do końca ten wystawiony na jego cześć spektakl. Zaczęło go to nawet interesować!

I poczołgał się w głąb nory. Dosłownie pełzł, brzuchem po ziemi. Dlatego że stanąć tu wyprostowanym było niemożliwością z zasady, a nie miał po prostu sił, żeby iść przygięty, w półprzysiadzie, jego nogi by tego nie wytrzymały. W posuwaniu się naprzód pomagał mu też fakt, że nora miała zauważalnie pochyłe dno, i im dalej Gleb pełzł, tym przesuwał się głębiej pod ziemię. Co prawda nie trwało to długo; pochyłość robiła się coraz łagodniejsza, póki całkowicie nie zniknęła. Teraz było trudniej.

Mutant pomyślał, że obciążenie nerwowe wycieńcza znacznie bardziej niż fizyczne. Wtedy gdy ostatkiem sił uciekał przed mutowilkami, do tego z dwojgiem ludzi na plecach... Mięśnie bolały go tak, że zdawało się, iż nie mógł się ruszyć! Dokładnie do chwili, kiedy ruch okazał się konieczny – wtedy ból i zmęczenie jakby same gdzieś zniknęły. Potem, co prawda, ogarniały go z nową siłą, ale nie to było ważne... A teraz, po przeżyciach i wstrząsach psychicznych, naprawdę nie może ustać na nogach. Do tego chce mu się jeść. Bardzo, ale to bardzo chce mu się jeść! Może odgryźć sobie rękę? Cóż, trzeba będzie dobrze się zastanowić, jeśli całkiem go przyciśnie.

I jeszcze, wracając do swoich nużących rozmyślań, nad wnioskami z których wciąż wisiał znak zapytania, gdzieniegdzie zdołał jednak postawić kropkę. Nawet dwie. Nigdy nie będzie z mrozowcami. Kropka. Nigdy nie będzie z cerkiewnymi. Kropka. Sprawa z „dzikimi” była bardziej skomplikowana. Tu będzie jeszcze trzeba pomyśleć. Jakoś w wolnym czasie. Potem. Niech na razie zostanie wielokropka...

Tymczasem nora ku radości mutanta stopniowo się poszerzała. Nie dało się jeszcze wyprostować, ale nie trzeba już było co i rusz ocierać się bokami o ściany. Żeby jeszcze znaleźć jakieś jedzenie! Wtedy życie zacznie się układać. Ale o jakim jedzeniu może być mowa w kreciej norze! Chyba tylko o samym krecie?... Ale sądząc z rozmiarów nory, krecik ten może się okazać taki, że sam człowieka z łatwością schrupie.

„Nawiasem mówiąc, skąd się wziął ten chodnik?” – pomyślał Gleb. Mocno wątpił w możliwość istnienia „superkreta”. Czym by się taka bestia żywiła? Przypadkiem wpadającymi do nory mutantami? Takie racje żywnościowe byłyby chyba zbyt skąpe. Jednorazowy posiłek. Raz na dwa lata. Albo i trzy, jeśli nie rzadziej. Kiteę można odwalić w oczekiwaniu na kolejną porcję. Jeszcze bardziej szalone było przypuszczenie, że pod ziemią żyje kilka różnych gatunków stworów, które zjadają się nawzajem. Zresztą znajomość biologii nie była silną stroną mutanta i niczego nie twierdził na pewno.

Po to, by wyjaśnić kwestię pochodzenia nory, Gleb przypatrzył się jej ścianom. W jego wyobrażeniu, gdyby tunel wyryło jakieś zwierzę, musiałyby pozostawić ślady pazurów. Ale niczego podobnego teraz nie zobaczył. Ścianki były chropawe, bez charakterystycznych dla szponów zagłębień i „zadrapań”. Mutantowi wydało się w ogóle, że chodnik powstał bardzo dawno, ale w takim razie, gdyby wykopał go jakiś „superkret”, śladów mogłoby już nie być – w końcu ziemia powoli osypuje się ze ścian i po wielu latach po prostu skryłaby niezbite dowody jego zwierzęcego pochodzenia.

Kiedy Gleb przesunął się dalej w głąb nory, odkrył całkowicie sprzeczną z poprzednią wersją „poszlakę” – szalunki z bali. Było jasne, że nie mogły ich postawić zwierzęta, szczególnie że były na nich wyraźne ślady siekiery. Czyli norę (choć sądząc ze znalezionych oznak, był to raczej tunel lub podziemne przejście) wykonali ludzie. Mogło być oczywiście i tak, że była to nora jakiegoś zwierzęcia, a ludzie wykorzystali ją potem dla swoich potrzeb. Ale mówiło to przynajmniej tyle, że nie powinien tu spotkać żadnych kretopodobnych mutantów. To dobrze. Gleb nie miał teraz sił na walkę z krwiożerczymi stworami. Zresztą bez żadnej broni byłoby to dość kłopotliwe. A jakoś odechciało mu się umierać. Nie to, żeby zupełnie, ale lepiej nie teraz. W końcu postanowił pooglądać jeszcze przez chwilę przedstawienie pod tytułem „życie mutanta Gleba”, żeby spróbować trochę się w nim połapać.

Dalej szalunki zaczęły się trafiać coraz częściej. A i wysokość tunelu pozwoliła mu wreszcie stanąć na nogi. Co prawda często jeszcze trzeba było się schylać, ale i tak iść było znacznie wygodniej niż czołgać się. A do tego znacznie szybciej.

Pierwsza przeszkoda pojawiła się, kiedy Gleb dotarł do rozwidlenia korytarzy. W prawo i w lewo szły absolutnie jednakowe odnogi. Zdawałoby się, że skoro są jednakowe, to można iść którąkolwiek. Ale mutant nie lubił działać na chybił trafił – w każdym razie tyle zdążył u siebie zauważyć przez te dni. A i teraz poczuł się nieswojo. Jak to tak? Pójdzie lewym korytarzem, a ten być może zaprowadzi go do jakiegoś koszmarnego miejsca! Albo pójdzie prawym i cały czas będzie myślał: masz ci, poszedłbym lewym i żywcem trafiłbym do raj! Znał powiastkę o ośle Buridana¹⁰ i rozumiał, że to właśnie o nim, ale nie mógł nic na to poradzić.

Gleb usiadł na ziemi. Co tu przedsięwziąć, jakiego dokonać wyboru? Najlepiej byłoby oczywiście wiedzieć, dokąd prowadzą obie odnogi, ale po co marzyć o mrzonkach. Byłoby też niezłe, gdyby ktoś podjął decyzję za niego. Ale i ten wariant oczywiście odpadał. A jeśli nie „ktoś”, tylko „coś”?

Na przykład los. Znaleźć dwa kamyczki: jeden będzie oznaczał „lewo”, drugi „prawo”. Włożyć je, powiedzmy, do czapki, potrząsnąć i wyjąć jeden z nich. Ale czapki brak. Można zdjąć but... Albo nie, los to ślepy traf, nie ma ochoty na nim polegać. Co, jeśli poszukać jakichś znaków? Znaków przeznaczenia. Śmiesznie brzmi, ale... A nuż?... Jakże to mogą być znaki? Cyfry? Litery?... Z cyframi chyba niczego nie wymyśli. A z literami? Litery są w imionach. Jeśli przyjąć, że „lewo” to litera „L”, a „prawo” – „P”, to w jego imieniu jest tylko „L”. Czyli idziemy w lewo!

Taki nieskomplikowany i, delikatnie mówiąc, wątpliwy trik dodał mutantowi pewności. Wstał i ruszył lewą odnogą podziemnego chodnika. Zaszedł jednak całkiem niedaleko – i znów zobaczył rozwidlenie. Przy czym nie podwójne, lecz potrójne. I co teraz? Znów iść w lewo? Ale lewe względem skrajnego prawego są dwa. I w ogóle Gleb zaczął złościć się na siebie, że zajmuje się bzdurami. Jakież znaki, litery, cyfry! A gdyby miał na imię na przykład Wieńka? Nie ma ani „L”, ani „P”. Jest za to „W”. I co, nakazecie teraz „wracać”? Albo „Ń” – czyli stać „nieruchomo”? O „K” w ogóle strach myśleć...

Ale jak ma wybrać kierunek? Choćby po zapachu!... A co? Jest to jakiś pomysł! I to całkiem rozsądny.

Mutant zaczął węszyć, powiódł nosem z boku na bok. Pachniało ziemią i wilgocią. Nie należy wahać wszystkiego naraz, ale każde wejście z osobna. Gleb wszedł w lewy korytarz i wciągnął nosem powietrze. To samo – ziemia i wilgoć. Przeszedł do środkowego – taki sam obraz sytuacji. Zrezygnowany, postanowił mimo wszystko doprowadzić sprawę do końca i wszedł w prawą odnogę. Powąchał i... Co to? Przywidziało mu się z głodu czy naprawdę pachnie jedzeniem?... Pociągnął nosem jeszcze raz – faktycznie jedzenie! W każdym razie zapach zdecydowanie „mieszkalny”.

„Ciekawe – pomyślał mutant – istnieją halucynacje wzrokowe, bywają też omamy słuchowe. A węchowe?” Jakkolwiek by było, nie łamał już sobie głowy, tylko poszedł w prawo.

ROZDZIAŁ 27

SPOTKANIE Z CERKIEWNYMI

Wyglądało na to, że tak czy inaczej wybrał ten chodnik nie na darmo. Najpierw korytarz zrobił się jeszcze szerszy, a po jakimś czasie zaczęły się ceglane ściany! A zapach jedzenia i paleniska już na pewno nie był przywidzeniem. Sądząc z wszelkich oznak, gdzieś całkiem niedaleko znajdowali się ludzie. Tylko kto konkretnie? Czy to bandyci urządzili tu sobie nocleg? A może zaczynała się tu „strefa zamieszkania” cerkiewnych? Gleb nie chciał się pokazywać ani jednemu, ani drugiemu. Dlatego zwolnił kroku i dalej szedł, uważnie nasłuchując. I węsząc, choć mimowolnie.

Potem usłyszał głosy. Nie jakieś oddzielne – ogólny niezrozumiały gwar. Wyglądało na to, że ludzi przed nim było dużo. Szanse na to, żeby napęścić sobie brzuch czymś do jedzenia, znów stawały się iluzoryczne. Wprawdzie pozostawała nadzieja, że kiedyś ci ludzie położą się spać i można będzie spróbować do nich podejść i po cichutku poszukać pożywienia. Tyle że mutant nie wymyślił jeszcze, co robić dalej. „Będę rozwiązywać problemy, w miarę jak będą się pojawiać” – pocieszył się, przypomniawszy sobie przeczytane kiedyś zdanie.

Gleb może i poweselał, ale nie zrobił się od tego mniej głodny. Przeciwnie, od woni bliskiego jedzenia usta wypełniła mu ślina i zakręciło mu się w głowie. „A może, no... – pomyślał w desperacji – raz kozie śmierć? Wyjdę do ludzi, powiem, że niczego nie pamiętam, że umieram z głodu, czyżby mieli mnie nie nakarmić? A już z pełnym żołądkiem będę

się zastanawiał, co robić dalej”.

Tak by pewnie postąpił i nawet skierował się już w stronę coraz wyraźniejszych głosów i migoczącego z przodu słabego światła, tyle że nagle zobaczył nową odnogę prowadzącą w prawo. Z początku chciał ją ominąć, jednak zajrzał tam i ujrzał skrzynki.

Mutanta to zaciekało i wszedł do tunelu. Rozejrzał się wokół i westchnął: okazało się, że to wcale nie było przejście, ale niewielkie pomieszczenie pełniące funkcję magazynu. Jedna na drugiej do samego sufitu stały tam drewniane skrzynki, tuliły się do nich zawiązane worki.

Gleb rozwiązał ten, który stał najbliżej, i zajrzał do środka. Worek okazał się pełen marchwi. Bez zastanowienia i nie będąc w stanie się powstrzymać, mutant wyciągnął od razu dwie, otarł je o koszulę i zaczął chrupać ze smakiem, gryząc na przemian to jedną, to drugą. Wyciągnął dwie kolejne – i tak samo je schrupał. Potem jeszcze jedną i jeszcze... Zatrzymał się tylko dlatego, że zaciekało go, co jest w innych workach i skrzynkach.

Znalazł tam rzepę, ziemniaki i suszone ryby. Ryba okazała się bardzo słona i Gleb postanowił jej nie jeść – zachce mu się potem pić, a skąd weźmie wodę? Za to rzepy najadł się do woli. Spróbował nawet pogryźć kartofla, ale był już zbyt najedzony, żeby się z nim uporać – surowy ziemniak nie przypadł mu do smaku.

Mutant poleżał trochę na workach i odpoczął, po czym postanowił jednak ostrożnie zbliżyć się do ludzi i wywiedzieć, kto tu mieszka. Co prawda, sądząc po tym zorganizowanym składzie prowiantu, i tak było już jasne, że nie byli to raczej bandyci. A i mrozowcy nie mieli czego szukać pod ziemią. A jednak, jak to się mówi, lepiej raz zobaczyć niż sto razy usłyszeć.

Gleb przeszedł do głównego tunelu i chyłkiem ruszył dalej. Pomyślał jeszcze: „Dziwne, dlaczego nie widać żadnej ochrony? Czyżby byli tak niefrasobliwi?” – i od razu zobaczył przed sobą człowieka z automatem na

plecach. Ten stał tyłem do mutantu i uważnie słuchał rozmowy ludzi, których Gleb na razie nie mógł widzieć. Za to zobaczył, że tuż przed wartownikiem tunel się rozszerza, tworząc coś w rodzaju sali o ścianach z cegieł. Pewnie te mury dawały dobry rezonans – każde dochodzące z sali słowo mutant słyszał teraz zupełnie wyraźnie.

Zaczął się już odwracać, by znaleźć schronienie w spiżarni i tam doczekać nocy, gdy nagle usłyszał:

– Nie wiem już, gdzie ty byłeś, ale pleciesz jakieś bzdury. Żeby Święta – a tu coś takiego? Dziecko mutant?... Zdecydowanie bredzisz. Pewnie znów biegałeś do swojej Aleksiejewny degustować bragę!

Dał się słyszeć chóralny śmiech na wiele głosów. A u Gleba w środku jakby coś pękło. Teraz nie cofnąłby się nawet pod lufą automatu. Po prostu musiał usłyszeć, co powiedzą dalej.

A dalej, starając się przekrzyczeć śmiechy, wołał inny głos:

– Cicho bądźcie! Cicho! Jaka Aleksiejewna?! Jaka braga?! Przecież byłem na tej przemowie razem z Lolką! Jak nie wierzycie, to spytajcie jej!

Rechot nieco przycichł. Ktoś krzyknął:

– Lola, naprawdę tam byłaś?!

– Opowiedz, Lola, co tam Święta mówiła – zabrzmiał jeszcze jeden głos. – Miałbym temu bajkopisarzowi wierzyć...

– Ja jestem bajkopisarz?! A w mordę chcesz?...

– Zamknij się wreszcie i przestań ciągle nawijać! I wy też się zamknijcie! Niech Lolka opowie wszystko jak należy. Lolka nie będzie kłamać.

– A po co mam kłamać? – dał się słyszeć dźwięczny kobiecy głos. – Tak, byliśmy dziś pod soborem Zaśnięcia. Święta nie na darmo zebrała ludzi...

– I co powiedziała? Naprawdę był u niej mutant?

– Oj, Lolka zaraz powie, że jest córeczką Świętej, przecież mają takie samo nazwisko!... – Jakaś kobieta zaśmiała się nieprzyjemnie.

– Nazywam się Kudriaszowa, a nie Kudriawcewa – odparła posiadaczka dźwięcznego głosu. – I mam swoją mamę.

– A co to zmienić kilka literek. – Kobieta wciąż śmiała się paskudnie. – Za to mamę będziesz miała fajniejszą od własnej!

Ze wszystkich stron zaczęli na nią syczeć, a na dodatek jeszcze ją skłębili. Wyglądało na to, że niewidoczna dla mutantów Lola Kudriaszowa cieszyła się wśród słuchaczy szacunkiem.

W końcu ktoś ryknął tak gromko, że nawet Gleb poczuł ból w bębenkach usznych:

– Cicho tam, zamknijcie się!!! Niech sama Lolka mówi, bo drzecie się bez sensu jak przekupy!

– Mów, Lola, mów, już nie będziemy! Tylko wszystko opowiedz, ze szczegółami.

– Nie przerywajcie mi tylko, bo nic nie powiem – odezwała się znowu Lola. – Gardło mnie rozboli od tego przekrzykiwania... Więc tak, Święta zebrała ludzi, żeby do czegoś się przyznać. Okazuje się, że w tajemnicy przed wszystkimi wychowywała sierotę mutantów... Znalazła go porzuconego przez rodziców, kiedy był jeszcze całkiem malutki, i zlitowała się nad nim. Trzymała go z dala od wszystkich, pielęgnowała, wychowywała, uczyła. Tak to. I Święta poprosiła nas wszystkich o wybaczenie, że nie znalazła w sobie determinacji, żeby przyznać się do tego wcześniej. Nawet się rozpłakała, wyobrażacie sobie?... Do tego opowiedziała, że wczoraj ten młody chłopak, wychowany jak „normalny” człowiek został schwytany przez Dziadka Mroza. A ten posunął się teraz do brudnego szantażu. Grozi, że wszystkim opowie o tym mutancie i Świętej. A żeby to się nie stało, żąda od Świętej ujawnienia wszystkich naszych tajemnic. Ale Święta powiedziała nam dzisiaj, że choć serce jej pęka z bólu z powodu przybranego syna, to za nic nie pójdzie na ustępstwa przed bezdusznymi mutantami. A jeśli jej wychowanek zostanie zabity, to publicznie straci mrozowskiego pacholka, którego z dobrego serca

i w naiwnej ufności przyjęła do własnego domu.

Lola umilkła. I od razu zaczęły się rozlegać okrzyki – zdziwione, oburzone, ale już bez ironii, kpin i niedowierzania:

- Gdzie ona go trzymała?
- Czego chce ten brodaty drań?
- Co to za pacholek? Kto to jest?

Kiedy harmider nieco ucichł, znów zabrzmiał głos Loli:

– Święta nie powiedziała, gdzie go trzymała. Zresztą, co za różnica? A co do pacholka – to jeden z jej sług, były mrozowiec. To jest, w rzeczywistości wcale nie były, tylko udawał, że się do nas przeniósł. To on niby to wczoraj porwał chłopaka. Jakiś Anatolij Denisow, nie pamiętam takiego... A co do Dziadka Mroza, to co, nie wiecie, czego chce? Wszystkiego i jeszcze więcej. Święta nam wszystkiego nie mówi, i dobrze, a temu staremu rogowemu piernikowi już nawrzuca co trzeba!

W sali znów zrobiło się gwarno, miejscowi cerkiewni zaczęli gorąco dyskutować nad niewiarygodną nowiną, coraz bardziej się nakręcając. Ale mutant już ich nie słuchał. Stał jak przygnieciony zakurzoną workiem i przetrawiał to, co usłyszał. Nieprawdopodobne! Święta nawet teraz znalazła wyjście! Czyli kiedy otrzymała od Pistoleta ultimatum Dziadka Mroza, nie pobiegła z podkasaną spódnicą do przywódcy przeciwników, nie zaczęła histerycznie walić głową o ścianę... Przeciwnie, postanowiła rozegrać i tę, zdawałoby się kompletnie przegraną kartę, zamieniając ją w atut! Żeby tak to odkręcić!... Teraz ona wyszła na szlachetną, kochającą dzieci męczennicę, a mrozowcy to bezduszne potwory. Teraz nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, żeby winić ją za wstrętne macierzyństwo; do tego przedstawiła swojego syna jako znajcę. Teraz będzie odwrotnie, wielu weźmie jej postępek niemal za bohaterski wyczyn. Teraz bez żadnych skrupułów odmówi wyjawienia Dziadkowi Mrozowi jakichkolwiek sekretów. Wychodzi na to, że knując tę intrygę, stary dureń tylko sam sobie zaszkodził. Za to jego, Gleba, matka wyraźnie postanowiła poświęcić – było

wielce wątpliwe, żeby Dziadek Mróz zechciał wymienić go na Pistoleta.

Tymczasem pośród cerkiewnych coraz częściej i głośniej zaczęły się podnosić okrzyki:

– Trzeba się zebrać i razem uratować chłopaka!

– Tak, zbierzemy wszystkich i ruszymy do szturm na rezydencje tego brodatego capa!

– Tak jest! Kamień na kamieniu nie zostanie!

– A jeśli chowa się za miastem, w tej swojej durnej Wotczynie, to i tam dojdziemy!

– Przy okazji pokażemy i reszcie mrozowców, kto naprawdę rządzi Ustiugiem!

– Tak, tak, rozbestwiły się zmutowane dranie!...

– Tak ich załatwimy, że im się odechce takich łajdactw!

– Chodźmy, chodźmy! Od razu, nie ma na co czekać! Po drodze zbierzemy pozostałych z tej strony!...

Mutant poczuł się nieswojo. Co tu się dzieje? Czy to on będzie przyczyną wybuchu nowej wojny między cerkiewnymi a mrozowcami?... On – niepotrzebny nikomu, niczyj?... Chociaż nic w tym dziwnego, czytał w książkach, jak nedorzeczne były czasem powody, by rozpętać wojnę: ktoś nie podniósł grzebienia do włosów¹¹, ktoś inny ukradł naszyjnik¹²... Przez porwanych ludzi też zaczynały się konflikty, jak na przykład wojna między Trojanami a Grekami z powodu pięknej Heleny. Zdawałoby się, bzdura – mało to w Grecji było pięknych kobiet?... A jednak nie, bili się do końca, zmarnowali na tę wojnę mnóstwo środków i stracili mnóstwo ludzi. Ale Ustiug to nie Grecja, tu ludzi i bez tego jest mało. A i on nie jest Heleną, tym bardziej piękną. A jednak nie zatrzymają się, nawet kiedy zrozumieją, że nikt go już nie trzyma w zamknięciu – zdążą już zapomnieć, od czego się ta rzeź zaczęła. Nie, trzeba to wszystko zdusić w zarodku!

Nie myśląc nawet, co z nim będzie, Gleb popędził w stronę sali.

– Stójcie! Stójcie! – zawołał, machając rękami. – Przestańcie! To ja!

Wartownik wreszcie się ocknął, odwrócił i skierował w niego automat. Ktoś zawołał:

– Nie strzelać!

Ktoś inny jęknął:

– A to maskara!...

Mutant dojrzał w końcu wszystkich cerkiewnych. Było ich tu trzydziestu–czterdziestu, nie więcej. Niektórzy siedzieli na ławkach z desek, wielu zerwało się na nogi. Jakoś dwa razy więcej mężczyzn niż kobiet. Ale wszyscy, co Gleb dostrzegł od razu, mieli choć czyste, pozbawione oznak mutacji, to jednak bardzo blade twarze. „Biali ludzie” – pomyślał mimowolnie z nutką niezrozumiałej nawet dla niego samej pogardy.

– To ja – powtórzył mutant, stając przed cerkiewnymi. – To mnie wychowywała Święta.

„Niemożliwe! – przebiegło przez tłum. – To straszne! Żeby u Świętej taki...”

– A nie kłamiesz? – zawołał jeden z mężczyzn.

– Po co miałbym kłamać? Może i jestem maskarą, ale nie idiotą, żeby samemu iść na stryczek!

– Ale podrzutka wykradł Dziadek Mróz! Zgadza się, Lola?

Niewysoka młoda kobieta o czarnych prostych włosach do ramion ubrana, podobnie jak mężczyźni w workowate czarne spodnie i kurtkę, ale mimo to obdarzona dużym wdziękiem, popatrzyła na Gleba, ale od razu odwróciła wzrok. Skuliła się, potem krótko skinęła głową.

Mutantowi zrobiło się nagle przykro. Już nie raz i nie dwa ludzie okazywali strach na jego widok, mało tego – prawie zawsze bali się, widząc go po raz pierwszy. Ale Gleba to nie ruszało, czasem pojawiała się nawet złośliwa satysfakcja: „Aha, strach was obleciał? Tak, taki jestem, bójcie się mnie, bójcie!”. Ale teraz, kiedy drgnęła, nie mogąc na niego patrzeć, ta miła dziewczyna, Gleb jeszcze wyraźniej poczuł swoją niepełnowartościowość, swoją przerażającą obcość dla ludzi – nie tylko tych tutaj – w ogóle. I ta

świadomość go zaboląa. Gorzka gula niespodziewanie podeszła mu do gardła i przełknięcie jej było dużym wysiłkiem.

Jednak trzeba było odpowiedzieć przyglądającym mu się uważnie cerkiewnym. Co im powiedzieć? Prawdę? Ale prawda była zbyt skomplikowana, żeby powiedzieć ją szybko i zrozumiale. No i czy można przedstawić tym ludziom całą prawdę, czy on ma do tego prawo? Poza tym w dużej mierze sam jeszcze tej prawdy nie zna. A kto ją zna?... Pewnie tylko Święta, jego matka. A teraz, kiedy ta złożyła publiczne oświadczenie, raczej jej nie zaszkodzi, kiedy do niej przyjdzie. Tym bardziej że innego wyjścia, jak się zdaje, nie ma.

I mutant podjął decyzję.

– Możemy długo dyskutować – powiedział. – Cokolwiek powiem, i tak nie zdołam tego udowodnić. A wy nie bardzo wierzycie słowom...

– Zależy czyim – dał się słyszeć głos z sali.

– Otóż to. Na pewno nie moim. A... Świętej uwierzycie?

Cerkiewni zaszumieli. Naprzód wyszedł niemłody mężczyzna o wąskiej podłużnej twarzy. Jego blisko osadzone oczy wpiły się w Gleba jak ostre haczyki.

– Proponujesz, że do niej pójdziesz?

Mutant poznał po głosie tego, który dotąd najczęściej powstrzymywał ludzi, kierował rozmowę w rzeczowym kierunku. On też zakazał wartownikowi strzelać.

– Oczywiście. – Gleb kiwnął głową. – Czyżby były inne warianty?

– Nie boisz się?

– Gdybym się bał, można by było mnie załatwić od razu. To by znaczyło, że kłamię.

– Można kłamać i udawać brak strachu.

– Mówiłem już, że nie widzę w tym sensu. – Mutant wzruszył ramionami.

– Sens jest w tym, żeby z naszą pomocą dostać się do Świętej. –

Mężczyzna zmrużył oczy.

– I co dalej? Jestem bezbronny, wokół będziecie wy...

– Igor, Artem... – cerkiewny odwrócił się do swoich ludzi – sprawdźcie no tego bystrzaka, co ma pod łachmanami. I kieszenie, i buty – wszystko obejrzyjcie. A ty – skinął na wartownika – trzymaj go na muszce. Jakby co – strzelaj.

Gleb rozpiął koszulę. Ale ta naprawdę była tak podarta, że wyglądało to tylko na formalność. Podeszli do niego dwaj cerkiewni i starannie go przeszukali. Potem zmusili go do zdjęcia butów.

– Wkładaj. – Ten, który wziął na siebie przywództwo, machnął ręką. I znów odwrócił się do reszty cerkiewnych. – Ma ktoś niepotrzebną koszulę? Niekoniecznie nową, ale chociaż całą. Bo wstyd pokazywać Świętej takiego oberwańca.

– A kto ci cokolwiek znajdzie na takiego słonia. – Ktoś się zaśmiał.

– Ja mogę szybko zaszyć. – Starsza kobieta podniosła rękę. – Zawsze będzie porządniej.

– Zdejmij koszulę – powiedział mężczyzna do mutanta. – Galina zaszyje.

Gleb ściągnął zezmaconą koszulę i podał ją kobiecie. Spojrzenia cerkiewnych przesuwaly się po jego potężnej, szerokiej i włochatej klatce piersiowej i wydatnych górach mięśni. W niektórych dało się odczytać strach, w innych szacunek. Mutant stłumił uśmiezek i odwrócił się.

Ale ten, który przejął inicjatywę, nie zostawił go w spokoju.

– Masz chociaż jakieś imię, siłaczu?

– Gleb.

– Ja jestem Wieńka.

Mutant niemal się roześmiał, przypominając sobie swoje niedawne ćwiczenia lingwistyczne. Masz tu swoje „wracać” i „nieruchomo”! Ale zdusił śmiech i poważnym tonem powiedział:

– Miło mi cię poznać, Wieńka.

– Na pewno tak miło?

– Oczywiście. W ogóle po raz pierwszy widzę cerkiewnego bez maski przeciwigazowej.

– No i wpadłeś, Gleb. – Wieńka chrząknął i pokiwał głową.

– Nie rozumiem... – Mutant zmarszczył brwi.

– Jeśli przygarnęła i wychowywała cię Święta, to akurat ją musiałeś widzieć z bliska.

Gleb zbeształ się w myślach za nieprzemyślane słowa, ale spokojnie odpowiedział:

– Święta jest dla mnie matką, więc jej tak nie postrzegałem. Czy jest cerkiewna, czy nie, nie myślałem o tym, szczególnie w dzieciństwie.

– Dobrze, przypuśćmy. Ale przecież nie wychowywała cię sama. Ktoś jeszcze się tobą opiekował, zajmował, uczył.

– Święta trzymała mnie w izolacji od innych, nie słyszałeś, co powiedziała Lola? Uczył mnie jeszcze Pi... no, ten, którego nazwała pachołkiem, Anatolij Denisow. Ale to nie cerkiewny, tylko mrozowiec, mutant.

– Dobra. – Wieńka się uśmiechnął. – Powiedzmy, że się wywinąłeś.

– Wcale się nie wywijałem. Nie mam powodu. Nie wzięliście mnie do niewoli, sam do was przyszedłem. I w ogóle, jeśli tak we mnie wątpisz, to załóżmy się.

– Jak to? – Cerkiewny zdziwiony uniósł brwi.

– Bardzo prosto. Jeśli Święta mnie uzna, to znaczy, że ja wygrałem. A jeśli nie – to ty.

– I co z tego? Jaki mam w tym interes?

– Cóż... nawet nie wiem. Przecież niczego nie mam... Można zagrać na prztyczki w ucho. Jeśli wygram, to daję ci prztyczka, a jeśli przegram – ty mnie.

– Ha! – Wieńka się ucieszył. – Nieźle to wymyśliłeś! Jeśli ty mnie prztykniesz, to ja tu kopnę w kalendarz! A jeśli przegrasz, to i beze mnie

dostaniesz tyle prztyczków, że hej!...

– Jak chcesz. – Mutant wrzucił ramionami. – Ale skoro nie chcesz się zakładać, to znaczy, że jednak mi wierzysz.

– Gdybym ci wcale nie wierzył, sam już dawno dostałbyś prztyczka. Z łowiu, między oczy. Ale żeby wierzyć wszystkim we wszystko – to już wybaczyć, ale tak się u nas nie da żyć. Ty sam wierzysz wszystkim?

Gleb zaczął się zastanawiać. Tak naprawdę miał okazję wierzyć tylko Pistoletowi i Saszce. Pistolet, jak się okazało, oszukał go. Jeszcze jak – absolutnie we wszystkim! Saszka przypadł... Ale jemu oczywiście wierzył i wierzy nadal. Ten wspaniały chłopak to już na pewno nie mógł się okazać czymś pacholkiem! I koniecznie trzeba mu pomóc! A właśnie...

– Masz rację, nie wolno wierzyć wszystkim – powiedział szybko mutant. – Ale chciałem jeszcze spytać o coś innego. Jeśli patrol złapie mutanta bez rejestracji, to co się z nim stanie?

– Zależnie od sytuacji. – Wieńka wrzucił ramionami. – Jeśli stawi opór, mogą się z nim nie cackać i stuknąć go na miejscu... Jeśli nie będzie walczył, ale schwytają go nie po raz pierwszy, też mogą go zlikwidować. A jeśli to pierwszy raz i jest spokojny, to zaciągną go do paki, dadzą wycisk i wyrzucą na drugą stronę Suchony. Ale jeśli mam być szczery, to słyszałem, że czasem nie chce im się nigdzie jeździć i takich też po cichu likwidują. A co? Co tak ci się sierść zjeżyła?

– Mojego przyjaciela schwycił patrol. Przedwczoraj w nocy. Jest szansa, że żyje? To jeszcze całkiem młody chłopak, osiemnaście lat, mieliby go ot tak zabić?...

– Pierwszy raz go złapali?

– Pierwszy.

– No to możesz się zbytnio nie przejmować. Powiedziałem przecież, że czasem po cichu likwidują, nie za każdym razem. Młodego pewnie pożałują. Jeśli się nie stawiał. Najważniejsze, żeby się nie sprzeciwiał i nie pyskował. Inaczej kaput.

– On jest spokojny! Dobry... Lubi czytać książki.

– Zaczekaj, mówiłeś przecież, że to mutant? – Wieńka wybałuszył oczy.

– No tak, mutant...

– No to jakie książki?... Przecież mutanty nie znają liter, w głowie mają tyle co kot napłakał!

Gleb ze zdumienia aż zamrugął.

– Ty tak na poważnie?... – wydusił w końcu.

– Oczywiście, że na poważnie. Mówimy o mutantach! Jakie książki?

– Ja też jestem mutantem. Przeczytałem bardzo dużo książek.

– Ale to ty. – Wieńka machnął ręką. – Byłeś specjalnie uczony.

– Po pierwsze mnie też uczył mutant. Choćby był pachołkiem i zdrajcą, ale sądzę, że przez całe życie przeczytał jeszcze więcej książek niż ja. Po drugie, gdybyśmy mieli takie ptasie mózdzki, to czyby nas uczyli, czy nie, nic by to nie dało. Nieprawdaż?

– Nie wiem. – Wieńka zaczął się złościć. – Jeśli naprawdę wychowała cię Święta, to z tobą jest inna rozmowa, nie jesteś zwykłym mutantem. A ten, kto cię uczył... No, bywają wyjątki. Ale mutanty to niedorobieni ludzie, nie zmienisz mojego zdania.

ROZDZIAŁ 28

NOWE ZNAJOMOŚCI ZE STARYMI ZNAJOMYMI

Staruszka Galina zaszyła koszulę całkiem porządnie. Gleb podziękował kobiecie, wziął koszulę, włożył ją, zapiął, wkaśał do spodni i powiedział:

– Jestem gotowy. Idziemy?

– Zaczekaj. Co ci się tak spieszy?! – Wieńka zmarszczył czoło i powiódł wzrokiem po swoich ludziach. – Więc tak, Igor, Artem, mieliście już z nim do czynienia, pójdziecie z nami, dla bezpieczeństwa. Przydałby się automat, ale nie wpuszczą nas z nim do Świątej... Z drugiej strony po co nam u Świątej automat? Przyda się tylko na drogę. Potem zostawimy go u ochrony... Ej, straż, gdzie jesteś? Chodź tutaj!

Wartownik był widocznie niedaleko – usłyszał i szybko podszedł.

– Jura, wezmę od ciebie automat na drogę – oznajmił Wieńka.

– A co ze mną?... – oburzył się wartownik.

– A co ma być? Weźmiesz kilku mocniejszych chłopaków i popilnujecie tak przez kilka godzin. Przecież nie zabieram ci go na zawsze!

– Aha, kilku chłopaków!... Podobno nad rzeką, tam, gdzie prowadzi korytarz, grasuje cała banda! Jeśli wierzyć pogłoskom, jest tam ich już ponad stu. A jeśli zaryzykują i tu przyleżą? Mamy tu z nimi walczyć gołymi rękami?... Zarzną nas i pójdą dalej. I co wtedy?

– Nie przyleżą – burknął Gleb.

– A ty skąd wiesz? – Wieńka spojrział na niego. – I co taki ponury się zrobiłeś? Obraziłeś się, że będziemy cię prowadzić z automatem? Przecież sam przed chwilą mówiłeś, że nikomu nie można wierzyć. A z ciebie jest kawał chłopca! Nawet we trzech możemy sobie nie poradzić. To jest asekuracja, rozumiesz? Nie będziemy cię przecież prowadzić związanego...

– A zwiążcie. – Mutant uśmiechnął się krzywo. – A to się Święta ucieszy, jak mnie przyprowadzicie.

– Prędzej ukaże nas za bałaganiarstwo, surowo tego przestrzega. Ale nie odpowiedziałeś na najważniejsze pytanie: skąd wiesz, że bandyci tu nie przyleżą?

– Tam jest zawał – powiedział Gleb. – Właśnie przed nimi uciekałem, kiedy wpadłem do tego korytarza. Wyjście jest całkowicie zasypane. Długo tam... odpoczywałem i nikt nie przyszedł.

– Ach tak!... – Wieńka powiódł wzrokiem po cerkiewnych. – Słyszeliście? Wyjście nad rzekę jest zasypane. Kiedy tylko załatwię sprawę z bandytami, trzeba je będzie przywrócić. A ty, Jura, też słyszałeś? Możesz się nie obawiać bandytów, więc obejdiesz się bez automatu.

– A inne przejścia? – wartownik się zapalił. – Przecież są jeszcze trzy!

– Te nie prowadzą przecież do bandytów. Jedno do ar... – Tu Wieńka zerknął na mutantą, urwał, kaszlnął i zakończył: – Sam wiesz dokąd. Nie wygłupiaj się. Jeśli niebezpieczeństwo przyjdzie stamtąd, to znaczy, że już po nas.

Wartownik Jura niechętnie oddał automat. Wieńka zarzucił broń na ramię.

– To tyle, teraz wychodzimy. Ja z Glebem idziemy przodem, Artem i Igor z tyłu.

– W takim razie daj nam automat – powiedział jeden z chłopaków. – Jaki to ma sens, żebyśmy szli za wami na pusto? Obezwładni cię, zabierze broń – i będziemy ugotowani.

– Racja. – Wieńka podał chłopakom broń. – To wszystko? No to

chodźmy.

Szli długo. Tunel kilka razy skręcał, rozwidlał się, odchodziły od niego boczne korytarze. Po drodze napotykali i większe „jaskinie”, „sale”, podobne do tej, z której wyszli i jeszcze większe. A niektóre z nich, jak wyjaśnił Wieńka, były tylko pierwszymi pomieszczeniami w długich amfiladach. Tak było z zasady pod ruinami starych cerkwi, gdzie już wcześniej istniały podziemia z korytarzami, które cerkiewni po Katastrofie rozbudowali, dostosowali, „uszlachetnili” i połączyli chodnikami z innymi podziemiami, jeśli tych połączeń jeszcze nie było.

Wszędzie spotykali ludzi, im bliżej centrum, tym więcej i częściej. Wielu miało broń. Prawie wszyscy od razu zaczęli się gapić na Gleba: ze zdziwieniem, strachem, wstrętem... Z początku drażniło to mutanta, potem przyzwyczał się i przestał zwracać uwagę. Po prostu szedł i patrzył w plecy idącego z przodu Wieńki, z którym, nawiasem mówiąc, dość często witali się napotkani mieszkańcy.

Wreszcie doszli do dużej „sali”, w której ludzi było najwięcej. Przy czym ci nie tylko siedzieli czy stali, ale też chodzili, biegali, roili się jak w mrowisku. Oczywiście ta sala, podobnie jak wcześniejsza, nie była pusta. Stały w niej brezentowe namioty, duże i małe, a także drewniane konstrukcje przypominające szopy, przy czym niektóre z nich były całkiem długie, z mnóstwem drzwi, przez które co chwila przechodzili ludzie – z zasady z bardzo poważnymi minami. I wszystkie sale, które mijali, a także przejścia między nimi, były oświetlone lampami elektrycznymi. Podziemne korytarze – gorzej, rzadko wiszącymi słabymi żarówkami, byle tylko było widać, gdzie idziesz, a sale – dość jasno. Ale Gleb zauważył na ścianach i sufitach ślady sadzy i wspomniął swój sen, który otworzył jeden z fragmentów jego zablokowanej pamięci. Teraz wiedział, skąd tu biorą elektryczność. Baterie słoneczne. Póki na zewnątrz jest lato i słońce długo świeci, jego energia wystarcza na potrzeby ludności podziemi.

W pochmurną pogodę, a szczególnie zimą, kiedy dni na północy są krótkie, trzeba używać lamp olejnych, a czasem i smolnych pochodni. Także i ta sala była bardzo ładnie zdobiona. W niektórych pomieszczeniach, które - minęli, mutant widział już liczne dekoracje: połączone stoliki, rzeźbione świeczniki na łańcuchach, ikony na ścianach, gdzieś tam nawet szafy i półki z książkami. Tutaj tego wszystko było znacznie więcej, szczególnie ikon. Niektóre z nich były bardzo duże – wyższe niż człowiek. Gleb nie wiedział (albo nie pamiętał), kto właściwie jest na nich przedstawiony, ale jego pamięć zachowała informację, że są to właśnie ikony z wizerunkami świętych.

W ścianach tej sali znajdowało się kilkoro drzwi. Wieńka skierował się właśnie do jednych z nich, szerokich, podwójnych, rzeźbionych i bogato zdobionych. Z obu stron drzwi stali uzbrojeni cerkiewni. Widząc zbliżającą się „delegację”, wartownicy naprężyli się i skierowali lufy w stronę idących.

– Stać! – nakazał surowo jeden z nich, kiedy do drzwi pozostało pięć-sześć kroków.

– Stoimy – odparł pokornie Wieńka, zatrzymując pozostałych rozkazującym gestem. – Musimy zobaczyć się ze Świętą.

– W jakim celu?

– Przeprowadziliśmy jej... wychowanka. Ma na imię Gleb. Przekażcie Świętej, że to bardzo ważne!

Strażnicy zmierzli mutantą badawczymi spojrzeniami. Ale z ich twarzy trudno było cokolwiek wyczytać – widać Święta porządnie szkoliła swoją ochronę i nie brała do niej kogo popadnie.

Jeden z wartowników uchylił drzwi i powiedział do kogoś za nimi:

– Do Świętej przyszli ludzie z Glebem. Zamelduj – powiedział, po czym znów zamknął drzwi i rzucił sucho do przybyszów: – Czekajcie.

Gleb nie wiedział, jak długo będą musieli tu stać. Ale w żadnym razie nie sądził, że matka, słysząc o jego przybyciu, natychmiast przybiegnie do niego w podskokach i rzuci mu się na szyję. Tym bardziej zadziwiające

było to, że drzwi nagle otwały się na oścież i z radosnym piskiem rzuciła się na niego drobna dziewczęca figurka w długiej czarnej sukience i czarnej chustce na głowie. Wszystko stało się na tyle szybko, że mutant nie zdążył dojrzeć jej twarzy – odnotował tylko te dwa detale: czarną sukienkę i czarną chustkę. Z początku przemknęło mu przez myśl, że to właśnie Święta, ale zbyt krucha i lekka wydała mu się jej postać, i ten pisk – zbyt niepoważny, zbyt dziewczęco cieniutki jak na twardą przywódczynię cerkiewnych, a do tego, jakkolwiek by popatrzeć, kobietę w dość poważnym wieku.

– Gleb! Glebuszka! Żyjesz!!! – Dziewczyna rzuciła mu się na szyję. Zawisła, ledwie dotykając posadzki czubkami wypolerowanych na wysoki połysk butów, przyłgnęła twarzą do szerokiej piersi, rozplakała się.

Mutant osłupiał. Spojrzał błędnym wzrokiem na strażników, ale ci tylko z niezmaconym spokojem zamknęli drzwi. Przeniósł wzrok na swoich towarzyszy – ci wyglądali na nie mniej zaskoczonych od niego, zdumiony Wieńka tylko rozłożył ręce.

– Żyjesz, żyjesz – zawodziła dalej dziewczyna wśród szlochów.

Coś w tym głosie wydało się Glebowi znajome. To był ktoś, kto go zna, z kim zetknął go już kiedyś los. Pewnie jakaś przyjaciółka z dzieciństwa, córka któregoś z bliskich cerkiewnych, z którą pozwalano mu się bawić. Mutant niezdecydowanym ruchem dotknął dłonią ramienia nieznajomej. Kaszlnął, wychrypiał z zakłopotaniem:

– Kim pani jest?...

Dziewczyna opuściła ręce obejmujące jego szyję i całkowicie stanęła na ziemi. Sięgała Glebowi ledwie do piersi. Duże szare oczy pełne łez patrzyły na niego z dołu, promieniejąc szczerą radością. Coś w tych oczach też zdawało mu się znajome. I to bardzo. Jak mu się wydało, z całkiem niedawnej przeszłości, a nie z zapomnianych czasów dzieciństwa.

– Kim pani jest? – powtórzył już pewniej.

– Nie poznajesz?...

Dziewczyna szybkim ruchem ściągnęła z głowy chustkę. Bardzo krótkie

jasne włosy... I te duże szare oczy... Coś tak znajomego, że można zwariować!... Ale... żeby w pełni ją rozpoznać, czegoś mu brakuje... Co to jest?... Gleb w myślach zasłonił ciemną woalką twarz dziewczyny poniżej oczu. Zrobił to – i cofnął się ze zdumieniem: patrzył na niego: Saszka!... Ale to... To po prostu niemożliwe!!! Mutant w wyobraźni namalował na twarzy dziewczyny krosty, zwichrzył jej krótkie włosy...

– Saszka... – Gleb wypuścił powietrze.

– Poznałeś... – Dziewczyna pociągnęła nosem. – Tylko teraz nie jestem Saszka, ale Saszeńka.

Saszka... to znaczy Saszeńka... Ale jak? Dlaczego Saszeńka?!... Znów przyskoczyła do mutanta, objęła go w talii na tyle, na ile starczyło jej rączek, przycisnęła mu twarz do piersi.

– Przecież ty... tego... – wymamrotał kompletnie ogłupiały Gleb – ty przecież nie chciałeś... nie chciałaś, żebym cię... tego... przecież obiecałem...

– Przecież to nie ty mnie przytulasz, tylko ja ciebie. – Saszeńka podniosła szczęśliwą mokrą twarz. – I teraz już można!

– Dlaczego?... Dlaczego teraz można?...

– Dziwak z ciebie, Gleb! – Dziewczyna roześmiała się dźwięcznie. – Nie dlaczego teraz można, tylko dlaczego nie można było wcześniej? Nie dociera?

Mutant pokręcił głową z zakłopotaniem.

– A dlaczego ty... – zaczął, ale wtedy znów otworzyły się drzwi, jeden ze strażników nachylił się i wysłuchał kogoś, wyprostował się i powiedział:

– Wejdźcie.

Wieńka odwrócił się do Artema i Igora:

– Idźcie na razie na spacer. Nie jesteście tam potrzebni.

Mężczyźni z widoczną ulgą na twarzach natychmiast wyruszyli na „spacer”, a Wieńka, Gleb i wczepiona w niego Saszeńka weszli przez otwarte na oścież drzwi.

Mutant spodziewał się, że zaraz za nimi będzie czekała Święta. Chociaż, szczerze mówiąc, teraz sam już nie wiedział, czego ma się spodziewać. Saszka, który okazał się Saszeńką, swoim niespodziewanym pojawieniem się kompletnie zbił go z tropu, wywrócił na lewą stronę jego i tak skołowany mózg. Pomyślał nawet, śmiejąc się w duchu: „Teraz, dla wzmocnienia efektu, mama powinna się okazać tatą – i wtedy będzie mnie można śmiało odizolować od społeczeństwa pod nadzorem odpornych na stres i silnych fizycznie mężczyzn. Myślę, że trzech wystarczy. Jeśli dobrze mnie przedtem zwiążą”.

Ale za drzwiami stali kolejni dwaj cerkiewni, wprawdzie już bez broni – w każdym razie nie było takowej widać. A za nimi był korytarz – szeroki i długi, ozdobiony sztukateriami i złotymi lamperiami. Na parkietowej podłodze ciągnął się zielony dywan z wzorzystymi czerwonymi bordiurami. Wstęga prowadziła do następnych podwójnych drzwi – praktycznie dokładnej kopii poprzednich. Przy nich, też na baczność, stała para wyszkolonych strażników.

Jednak Gleb i jego przewodnicy nie zdążyli do nich dojść – skrzydła drzwi otwały się i na korytarz wyszła postawna, wysoka kobieta. Mimo ascetycznego, jak u Saszeńki, stroju – długiej czarnej sukni i czarnej chustki – mutant od razu ją poznał. To była dziewczyna z „ojcowskiego wspomnienia”, kobieta z fotografii Dziadka Mroza, to była jego matka! Maria Aleksandrowna Kurdiawcewa, Maszeczka, Święta... Prawie się nie zmieniła, czas sprawił tylko, że jej twarz stała się surowsza – oczy pozostały wciąż tak samo niebieskie, tyle że mieniły się teraz nie błękitem jeziora, ale odcieniem hartowanego metalu.

Święta uśmiechnęła się do Gleba – raczej dyżurnym niż radosnym uśmiechem, a potem sucho rzuciła do Wieńki:

– Nie będzie pan już potrzebny, dziękuję.

Wieńka skłonił głowę i odszedł w milczeniu. Potem matka podeszła do syna i wreszcie go objęła. Ale zupełnie inaczej, niż zrobiła to Saszeńka,

tylko znów rutynowo, bez specjalnych emocji.

– Witaj – powiedziała, kiedy się odsunęła. – Jak się masz? Oberwało ci się, wiem.

– Witaj – odparł Gleb. – Oberwało, tak. Ale czuję się dobrze.

– Jesteś taki obszarpany i brudny. – Święta się skrzywiła. – Zaraz każę im wydać ci nowe ubranie. A Saszeńka zaprowadzi cię i pokaże, gdzie można się umyć. Potem porozmawiacie – sądzę, że macie sobie dużo do powiedzenia. Natomiast ja muszę teraz odbyć kilka spotkań, wydać mnóstwo poleceń, wszystko w związku z ostatnimi wydarzeniami. Tak więc porządnie o wszystkim porozmawiamy po kolacji. Nie masz nic przeciwko?

Gleb nie miał nic przeciwko. Sam chętnie doprowadziłby się do porządku, a tym bardziej pomówił z Saszeńką. Z matką też, ale ta miała rację: trzeba to zrobić porządnie i najchętniej na osobności. Oczywiście, choć podświadomie był na to gotowy, pewien chłód matki podczas spotkanie nieco rozstroił mutanta, który jednak przypomniał sobie, że dla niej minęło tylko kilka dni od czasu, kiedy go widziała, tak więc po prostu nie zdążyła się stęsknić. W rezultacie rozciągnął usta w wymuszonym uśmiechu i powiedział:

– Oczywiście, zgadzam się. Dziękuję.

– W takim razie opuszczę was. – Święta poruszyła palcami uniesionej ręki i już odwróciła się do drzwi, kiedy Gleb rzucił jej w plecy:

– Jedno pytanie! Co z Pistoletem... Z Likiem?

Matka odwróciła się. Na jej twarzy nie było już uśmiechu. Z oczu w dziwny sposób zniknął błękit, pozostał tylko błysk zimnej stali.

– Żyje. Na razie.

Święta obróciła się na pięcie i szybko zniknęła za drugimi drzwiami.

Mutant myślał, że Saszeńka wyprowadzi go przez pierwsze drzwi. Ale dziewczyna podeszła do ściany i nacisnęła jeden z wzorzystych paneli. Ten poruszył się, okazując się drzwiami. Za nimi znajdował się niewielki przedpokój z dwiema parami drzwi, jedno naprzeciw drugich, i jeszcze

jednymi drzwiami, nieco większymi od tych pierwszych, na końcu pomieszczenia. Saszeńka otworzyła właśnie te:

– Wejdz.

Gleb wszedł do środka. Znalazł się w małym, ale bardzo przytulnym pokoju: pod przeciwległą krótką ścianą coś w rodzaju tapczanu, przy tej z drzwiami stół z dwoma krzesłami, miękka piękna sofa pod ścianą naprzeciwko, pod czwartą szafa z dwoma drzwiczkami: jednym skrzydłem ze szklanymi wstawkami i drugim gładkim, nieprzezroczystym. Za szkłem widać było na półkach naczynia, jakieś przedmioty codziennego użytku i grzbiety kilku książek.

– Właśnie tu mnie zakwaterowali – powiedziała Saszeńka, dalej gładząc mutantą wzrokiem. – Aż dziwnie...

Gleb, zostawszy sam na sam z dziewczyną, spieszył się, czując się jak niezgrabna, nieociosana niezdara. Wszystkie słowa jakby naraz wyleciały mu z głowy.

– A... tego... – wybąkał. – Gdzie można się umyć?...

– Tam. – Saszeńka wskazała palcem drzwi. – Pokażę ci, ale...

Rozległo się pukanie do drzwi. Do środka weszła starsza kobieta – też cała na czarno – i położyła na sofie złożone w kostkę ubranie. Krótko się skłoniła i bezgłośnie wyszła.

– A oto i twoje ciuchy. – Dziewczyna się uśmiechnęła. – Chodźmy, pokażę ci, gdzie wszystko jest.

W przedpokoju wskazała na drzwi po lewej:

– Tu jest toaleta – a potem na prawo: – a tu łazienka. Jest też prysznic, wyobrażasz sobie? I gorąca woda sama leci, nawet nie trzeba grzać! Nigdy nie widziałem... nie widziałam czegoś takiego, czytałam o tym tylko w książkach. W Łuzie nawet zimna woda była tylko w studniach.

– Dobra, pójdę się umyć, a potem porozmawiamy – mutant przerwał potok jej wymowy.

– Jasne, potem – przytaknęła Saszeńka. – Na półkach jest mydło, gąbka,

na haczyku wisi ręcznik...

– Zorientuję się. – Gleb się uśmiechnął.

– Na pewno?...

– Jakoś się postaram. Czy chcesz iść ze mną, wytrzeć mi plecy?

– Nie! – Dziewczyna odskoczyła z przestachem. Momentalnie poczerwieniała na twarzy.

– W takim razie zaczekaj na mnie w pokoju. I przygotuj się na rozmowę. Bardzo poważną!...

Saszeńkę jakby zdmuchnął wiatr. Mutant uśmiechnął się i pokręcił głową.

Potem skorzystał z ubikacji, ale nie wziął kąpieli – ograniczył się do prysznicza – nie mógł się doczekać rozmowy z przyjacielem. Czy raczej z przyjaciółką. Nawiasem mówiąc, w drugiej kolejności Gleb chciał, żeby Saszka rzucił... to znaczy Saszeńka rzuciła nieco więcej światła na tę swoją tajemniczą przemianę. Zaś najpilniejsza była kwestia jej ocalenia i dziwnej łaskawości, jaką obdarzała ją Święta. Chociaż co jest po pierwsze, co po drugie, a co po trzecie, to stanie się jasne już w toku rozmowy – mutantowi zdawało się, że nie wszystko jest tu takie proste i na pewno mocno się poplątało, a on bardzo chciał ten węzeł rozwikłać.

Kiedy wrócił do pokoju dziewczyny, na stole znalazł dwie szklanki z herbatą i talerz z rumianymi bułeczkami.

– Oho! – Gleb, siadając przy stole, wciągnął nosem zapach świeżego chleba. – Skąd takie bogactwo?

– Nie wiem. – Saszeńka, zajmując drugie krzesło, wzruszyła ramionami. – Przynieśli. Ja nie prosiłam.

– Dobra, pochodzenie tego wszystkiego mało mnie teraz interesuje. – Mutant wziął bułkę i wgrzyzł się w nią. Przeżuł, popił herbatą – też prawdziwą, nie gorszą niż u Dziadka Mroza – i kontynuował: – Nurtują mnie teraz inne kwestie. Jak rozumiesz, związane z tobą.

Saszeńka skurczyła się do rozmiarów zaniepokojonej kulki. Zdjęła już

chustkę i ze swoim bielutkim, nieregularnym językiem przypominała teraz nastroszonego wróbla albinosa.

– Jedz, jedz – mutant się uśmiechnął – bo może już nie dostaniemy.

Dziewczyna nieśmiało wzięła z talerza bułeczkę i ugryzła ją.

– No cóż, połączmy przyjemne z pożytecznym. – Gleb włożył sobie do ust ostatni kawałek bułki i upił kolejny łyk herbaty. – Zaczynajmy. Pytanie pierwsze: jak się tu znalazłaś i dlaczego?

– Złapał mnie tamten patrol... Zaprowadzili mnie tu. Szło się niedaleko, ale nie bardzo rozumiałam, gdzie jesteśmy, było ciemno. Weszliśmy między jakieś wielkie ruiny, było tam zejście w dół – takie szerokie schody... Potem znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu, bardzo jasnym, z takimi samymi lampami jak tu. – Saszeńka wskazała ruchem głowy sufit, z którego zwisała żarówka w matowym szklanym kloszu. – Dookoła chodzili jacyś ludzie, już bez masek, rzaden z nich nie był mutantem. Usłyszałam, jak ktoś mówi o „galerze”, coś o tym, dlaczego tak długo nie wraca. Wtedy wspomniałam, że wiem o tej „galerze”. Powiedziałam to patrolowym, ale obok nas akurat przechodzili ludzie, wśród nich kobieta, Święta. Cóż, wtedy nie wiedziałam, że to ona... Usłyszała, przystanęła. Zaczęła mnie wypytywać. Opowiedziałam o „galerze”, a kiedy wspomniałam o tobie, Święta zabrała mnie i patrol i zaprowadziła do siebie. A ja jej wszystko... W sumie, wszystko jej opowiedziałam. Przepraszam, Gleb!...

– W porządku, postąpiłaś słusznie! – Mutant machnął ręką. – To znaczy postąpiłaś. Mów dalej!

– Dalej było tak, że wysłała mnie do mycia, dała mi ubranie...

– Damskie? – Gleb zmrużył oczy.

– Jasne, że damskie. Przecież od razu powiedziałam Świętej, że jestem dziewczyną.

– A dlaczego mnie od razu nie powiedziałaś?

– Bałam się. Przecież nie wiedziałam, kim jesteście... Najpierw bałam się powiedzieć, dlatego że myślałam: jak tylko się dowiesz, od razu mnie

zostawisz. A potem... potem już po prostu się bałam: obrazisz się za to, że cię oszukałam.

– Kto mnie tylko nie oszukiwał! – wykrzyknął mutant. – Ale najbardziej przykre jest to, że z dwojga ludzi, których uważałem za swoich przyjaciół, oboje mnie oszukali.

– Ale dlaczego?... A to Pistolet...

– Dlaczego – tego właśnie chciałbym się dowiedzieć! O Pistolecte pomówimy potem, najpierw opowiedz o sobie.

– Przecież już powiedziałam...

– Powiedziałaś, dlaczego bałaś się przyznać. Mnie ciekawi, dlaczego od początku udawałaś chłopca.

– A byłeś kiedyś dziewczyną? – Saszeńka nagle wybuchła. Jej oczy zapłonęły i rozbłysły, głos stał się drżący i dźwięczny jak naciągnięta struna. – Mieszkałeś kiedyś w mieście pełnym mutantów, sam będąc przy tym niemutantem? Niemutantem i dziewczyną?

– Ani jednym, ani drugim – burknął Gleb. – Mów dalej!

– A ja byłam. Wokół bandy zwyrodnialców, którzy nawet swoich nie żałują – i ja... Mamy w ogóle nie pamiętam, ale dopóki żył tata, ukrywał mnie. On też nie był mutantem, ale wcześniej pracował jako chemik... Zrobił taki klej – mocny, ale bezpieczny dla skóry. Przykleił sobie do twarzy świerkową korę, żeby się nie wyróżniać. Dopóki byłam mała, chował mnie w domu. A kiedy podrosłam, zaczął przyklejać taką korę i mnie. Ostrzygł mi włosy, zaczął mnie ubierać jak chłopca. To mnie ocaliło. Ale urosłam i... Generalnie, teraz musiałam nosić szeroki płaszcz, żeby inni nie zobaczyli... – Saszeńka znów się zarumieniła.

– Rozumiem. – Mutant spuścił wzrok. – Mów, co było potem...

– Potem był koniec. Któregoś razu tata poszedł po jedzenie i nie wrócił. Zrozumiałam, że jeśli zostanę w Łuzie, to nie przeżyję, wcześniej czy później mnie odkryją. Gdybyś tylko wiedział, jaką wtedy czułam beznadzieję! Wcześniej też nie miałam życia, ale teraz ono zupełnie straciło

sens. Pozostały mi tylko dwa wyjścia: skończyć ze sobą albo dokądś uciec. Zabić się było prościej, ale nie dałam rady... Jestem takim tchórzem!... I postanowiłam uciec do Ustiuga, bo słyszałam, że jest tu dużo niemutantów, którym nieźle się żyje. Przekradłam się nocą nad rzekę, ukradłam łódkę... Resztę znasz. Tak więc wybaczone, że cię oszukałam, ale to nie było po to...

– Wystarczy! – Gleb położył dłoń na ręce Saszeńki. – To ja przepraszam! Jestem zapatrzonym w siebie, egoistycznym idiotą. Tępak ze mnie, jakich mało!... A ty... – uśmiechnął się i mrugnął do niej – ty jesteś doskonałą aktorką.

– Gdybym nie przywykła do tego od dziecka – dziewczyna uśmiechnęła się w odpowiedzi – to długo bym nie dała rady grać, migiem byście mnie rozgryźli. I tak dwa razy byłam na granicy wpadki, nie licząc tych momentów, kiedy próbowałeś mnie obłąpać.

– Nie próbowałem cię obłąpać! – Mutant aż podskoczył. – To co innego, przecież rozumiesz!...

– Rozumiem, rozumiem... – Saszeńka się roześmiała. – Siadaj, pij herbatę, już pewnie ostygła.

Gleb usiadł, machinalnie upił łyk ze szklanki i ożywił się:

– A co to za dwa razy na granicy wpadki? Kiedy to było? Jeden to pewnie u „Baby Jagi”?

– No tak. Matriona Iwanowna od razu wszystko przejrzała, nawet zanim jeszcze mnie zdążyła rozebrać, żeby wyleczyć. Cały czas bałam się, że ci opowie. Do tej pory dziwię się, dlaczego tego nie zrobiła.

– Pewnie z żeńskiej solidarności. – Mutant się uśmiechnął. – A drugi przypadek?

– Drugi właśnie ci opowiedziałam. Za to pierwszy... Pamiętasz małą Niurę?

– Jak mógłbym nie pamiętać. – Gleb przestał się uśmiechać. – Ja jej teraz do końca życia nie zapomnę...

– No więc poszłam się umyć nad rzeką, pamiętasz? A Niurka, jak się okazało, przyczepiła się do mnie. No i zobaczyła mnie nagą...

– A! – zawołał mutant. – A ona wtedy z takimi okrągłymi oczami przybiegła: „On! On! On ma!...”. Wtedy przed wpadką uratowali cię „galernicy”, Niura nie zdążyła nam powiedzieć, czego masz za dużo, a czego ci brakuje.

– No dobra. – Saszeńka się zawstydzila i klepnęła Gleba dłonią. – Teraz lepiej opowiedz o sobie. I o Pistolecie. Jak on cię oszukał? I gdzie teraz jest? Dlaczego zapytałeś Świętą o to, czy żyje? I dlaczego powiedziałeś o nim Lik?...

– Ale masz dużo pytań. – Mutant spróbował się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło. – Dobrze, opowiem po kolei, wtedy wszystko będzie dla ciebie jasne.

ROZDZIAŁ 29

KOLACJA ZE ŚWIĘTĄ

Gleb opowiedział Saszeńce wszystko. Absolutnie wszystko, postanawiając nie ukrywać nawet najdrobniejszych detali. Stwierdził tak: dość już niedopowiedzeń i kłamstw! Skoro nie chce się już taplać w tym cuchnącym bajorze oszustwa, to trzeba zacząć od siebie. No i po co miałyby coś ukrywać przed tą wspaniałą dziewczyną? Przecież ona też powiedziała mu o sobie wszystko i teraz było dla niego jasne, że „Saszka” nie jest żadnym oszustem, lecz jedynie ofiarą ohydnych okoliczności.

Zaskoczona opowieścią mutanta dziewczyna słuchała go z otwartymi ustami, nie będąc w stanie powiedzieć słowa. Oboje zostawili niedopitą herbatę, żadne z nich nie tknęło też już nawet bułeczek.

Kiedy Gleb zakończył opowieść, między nimi zapanowało długie milczenie.

Wreszcie Saszeńka wydusiła:

– Biedny Pistolet! Żal mi go...

– Biedny? – Mutant się oburzył. – Przecież to zdrajca!

– Sam wiesz, że nie. Przecież on też nie okłamywał cię z własnej woli...

– Wiem o tym, wiem! – Gleb ciachnął dłonią powietrze. – A jednak...

Wcale się nie cieszę z tego, co może się z nim stać. Na pewno porozmawiam z ma... ze Świętą. Zrobię wszystko, co mogę, żeby go ocalić.

– A wiesz co jeszcze?... – Dziewczyna się zamyśliła.

– Co?

– Sama zaczęłam się domyślać, że nie jesteś dla Świętej po prostu obcym mutantem. Kiedy mówiłam jej o tobie, w jej oczach coś się zmieniało... Robiły się takie niebieskie i głębokie jak leśne jezioro. Rozmarzone, smutne... I od razu zaczęła się inaczej odnosić do mnie, jakbym też była dla niej rodziną... Chociaż przedtem pokazała mnie jednemu... Zaczekaj, mówisz, że Dziadek Mróz nosi czerwoną czapkę i ma długą brodę?

– Tak, długą siwą brodę i czerwoną czapkę. Bez daszka.

– No nie, ten był cały na czarno, jak wszyscy cerkiewni. I czapkę miał czarną, materiałową, z daszkiem. Ale jego broda też była długa i siwa.

– Myślisz, że Świętą odwiedził Dziadek Mróz? – Gleb się roześmiał. – Niemożliwe. To śmiertelni wrogowie! Co prawda teraz panuje między nimi rozejm, ale nie sądzę, żeby spotykali się osobiście – pertraktacje i inne takie na pewno prowadzą parlamentariusze.

– Pewnie tak... Po prostu przypomniałam sobie o brodzie.

– Brodę każdy może zapuścić.

– Ja nie mogę. – Saszka parsknęła śmiechem.

– Teraz już nie jestem pewny. – Mutant znów się zaśmiał. – Jeśli nawet nie zapuścisz, to przykleisz. Swoim superklejem.

– Nie moim, tylko taty. – Dziewczyna od razu posmutniała. – Ale jego już nie ma. Ani taty, ani kleju.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Tak? – powiedzieli jednocześnie Gleb i Saszeńka.

Do pokoju weszła ta sama kobieta, która przyniosła im herbatę z bułeczkami.

– Święta zaprasza pana na kolację – oznajmiła uroczyście.

– No, no, co za zaszczyt – burknął pod nosem mutant i obrócił się do Saszeńki: – To co, pójdziemy?

– A przejdźmy się. – Tamta się uśmiechnęła. – Bo trochę zgłodniałam...

Oj, przecież nie dojedliśmy bułeczek!

– Myślę, że nakarmią nas teraz czymś konkretniejszym – powiedział Gleb. – Idziemy!

– Nie. – Kobieta pokręciła głową. – Zaproszony jest tylko pan.

– Czyli Saszka zostanie głodna? – Mutant zmarszczył brwi.

– Aleksandrze kolację przyniosą tutaj – z niezmaconym spokojem odpowiedziała kobieta. – I proszę pójść za mną.

Gleb myślał, że zostanie poprowadzony do drzwi, zza których wychodziła do nich Święta. Ale nie, szli jakimiś splątanymi, pogrążonymi w półmroku korytarzami, które, robiąc pętle, schodziły coraz niżej. W końcu wprowadzono go do pomieszczenia o ścianach z cegły, całkowicie pustego, jeśli nie liczyć drewnianego stołu pośrodku i stojących przy nim dwóch zбитych z desek ławek. Gdyby nie nakrycie na tym stole – wytworne, dla dwojga – i obfitość dań i napojów (może nie obfitość, ale było co zjeść i wypić), mutant pomyślałby, że umieścili go w celi więziennej. Jednak wszystkie wątpliwości rozwiały się bardzo szybko, kiedy do pokoju weszła Święta.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziała. – Zatrzymały mnie sprawy. Jeszcze ta „galera”! Rozpasali się ci „dzicy”, trzeba coś z nimi zrobić.

– Wezwałeś mnie, żeby omówić problem „dzikich” mutantów? – Gleb nieprzyjaźnie popatrzył na matkę.

– Oczywiście, że nie, jeszcze raz przepraszam. – Święta się skrzywiła. – I nie obraż się, że będziemy jeść kolację i rozmawiać w tych kazamatach. Ale pewnie domyślasz się dlaczego.

– Żeby nie było dodatkowych uszu?

– Nie tylko.

– Więc dlaczego jeszcze?

– Przez pewną twoją nieprzyjemną właściwość.

– A więc o to chodzi! Domyśliłaś się już, że palę wszystko wokół, tylko kiedy jestem zły?

– Tak. Właśnie dlatego wybrałam to pomieszczenie. Stołu i ławki nie żal.

– Czyli już zawczasu sądzisz, że wpadnę w złość? – Mutant uśmiechnął się niemiło.

– To całkiem możliwe – odpowiedziała spokojnie jego matka. – Rozmowa nie będzie z tych prostych. Ale usiądźmy przy stole, uczcijmy twój powrót, zjedzmy.

– Dobrze. Tylko może najpierw coś zrobisz.

– Co takiego? – Święta uniosła jedną brew.

– Przywróć mi pamięć. Jakie w ogóle miałaś prawo mi ją odbierać?

– To było dla twojego dobra. Ale teraz to już nie ma znaczenia. Zbliź się.

Gleb podszedł do matki. Ta położyła mu ręce na ramionach, stanęła na palcach i spojrzała w oczy. Poczuł, że leci – jakby znów chwycił go „ptaszek” i uniośł w przestworza. Przed oczami zamigotały mu obrazy – niewyraźne, rozmazane, nie dało się czegokolwiek w nich dojrzeć. Zakręciło mu się w głowie. Zniosło go na bok, zaczął spadać. Zdawało mu się, że będzie to trwało wiecznie, jakby spadał z Księżyca. A kiedy się ocknął, zdał sobie sprawę, że siedzi na ławce. I... wszystko pamiętał, wiedział wszystko o sobie. Chociaż odsłonięte wspomnienia, o których tak marzył, nie przyniosły mu czegoś szczególnie nowego, co najwyżej różne drobiazgi, z których zresztą zasadniczo składa się życie.

– Zadowolony? – zapytała siedząca naprzeciwko Święta. – W takim razie wypijmy, uczcijmy twój powrót. Teraz już w obu znaczeniach.

– Coś mi się zdaje – powiedział mutant, biorąc od matki kieliszek z czerwonym jak krew winem – że nie bardzo jesteś rada mojemu powrotowi. Przynajmniej temu fizycznemu.

– Nie będę ukrywać, że niespecjalnie. – Święta obróciła w dłoni swój kieliszek. – Zmartwiło mnie nawet nie to, że zburzyłeś mój plan twojej „wyprowadzki” i wróciłeś do Ustiuga. Znacznie bardziej mnie denerwuje,

że uciekłeś od Dziadka Mroza.

– Ach tak? – Gleb zamrugał oszołomiony.

– Tak. Jak widzisz, jestem z tobą szczerą. Ale najpierw wypijmy, tak będzie łatwiej rozmawiać.

Matka wyciągnęła do syna swój kieliszek, chcąc się stuknąć, ale mutant, jakby tego nie dostrzegając, opróżnił swój w dwóch szybkich łykach. Święta, wykrzywiając usta w uśmiechu, zrobiła to samo, ale znacznie wolniej. Osuszyła usta serwetką, nabiła na widelec solony grzyb, starannie go przeżuła, przełknęła i mówiła dalej:

– Jedyne jasne punkty – prychnęła – to, że spaliłeś mi Wotczinę, strasznie się nią pysznił stary cap. Ale ogólnie – skryła uśmiech Święta – uciekając od niego, pomieszałeś szyki nam obojgu.

– Tobie i mnie?

– Mnie i jemu. Twój powrót i „wzięcie do niewoli” poddało nam pomysł zrobienia niezłego przedstawienia. Przeprowadziliśmy już z Dziadkiem tajne rozmowy, a tu...

– Jakże z nim można prowadzić rozmowy?! – zawołał oburzony Gleb. – Jakże przedstawienie, jeśli Dziadek Mróz to wróg! Chciał tylko od ciebie, żebyś zdradziła mu tajemnicę ładunków jądrowych w zamian za milczenie o moim pochodzeniu?!

– Jesteś naiwny, mój chłopcze. Dziadek Mróz od dawna wie, że żadne ładunki jądrowe nie istnieją, ale jemu też jest wygodniej trzymać na tym haczyku swoich poddanych, w końcu strach przed śmiercią to potężny czynnik ograniczający, wraz z jego utratą może się zacząć anarchia, co, rzecz jasna, nie jest mu potrzebne. Ale długa stagnacja też jest niedobra, ludziom trzeba co jakiś czas spuścić nieco pary, żeby trochę ich to podniosło na duchu. A tu – co za szczęśliwy przypadek! On jakoby mnie szantażuje, ja wydaję oświadczenie, w którym sama ujawniam prawdę o tobie i oskarżam go o twoje uprowadzenie i szantaż. Kipią namiętności, lud po obu stronach jest pobudzony... Krótko mówiąc, nadarzyła się piękna

możliwość zagrania na uczuciach i nerwach poddanych, dodania wigoru ludziom po obu stronach.

– Ale jak zamierzaliście kontrolować te namiętności? A co, gdyby ta para nie uleciała, ale rozsadziła przegrzany kocioł?

– Możesz mi wierzyć, umiemy sterować temperaturą pary. Przez jakiś czas byśmy pograli, rozpalilibyśmy ludzkie masy do określonego, maksymalnego bezpiecznego poziomu, a potem poszlibyśmy na nowy kompromis: znów przysięgłabym na wszystkie świętości, że nie zdetonuję ładunków, jeśli Dziadek Mróz mi cię zwróci. A tu – twoja ucieczka. Co ja mam teraz zrobić?... Nie, to pytanie retoryczne. – Święta machnęła widelcem, widząc, jak mutant poruszył się, chcąc odpowiedzieć. – Jedz, jedz!

Glebowi zupełnie odechciało się jeść. Miał teraz takie uczucie, jakby przełknął coś obrzydliwego, w rodzaju rozdeptanego karalucha.

– Już się najadłem – burknął. – Po dziurki w nosie!

– Przestań, nie wygłupiaj się. Tak, wszystko to wygląda nieładnie i brudno. Ale to jest polityka, mój drogi, ona nigdy nie jest czysta, a tym bardziej w takim świecie jak nasz.

– I co zamierzasz... co ty i ten rogaty brodacz zamierzacie teraz zrobić? – Mutant się skrzywił. – Nie wróć do niego, możesz mnie o to nie prosić. W ogóle nie życzę sobie...

– O twoich życzeniach pomówimy później, dobrze? – Święta przerwała synowi, odcinając kawałek pieczonego mięsa i wsadzając go sobie do ust.

Gleb niecierpliwie czekał, aż przeżuje. Coś w tonie matki wydało mu się niepokojące. Z pewnością wymyśliła jakieś kolejne świństwo... I jego obawy się potwierdziły. Święta uporała się z mięsem, po czym oznajmiła, jakby to nie było nic znaczącego:

– Spotkałam się dziś z Dziadkiem Mrozem i postanowiliśmy się z nim spowinowacić.

– Jak to spotkałaś? – Mutant nie od razu pojął sens. – Dziadek Mróz tu

był?!...

– Tak, był, a co w tym szczególnego? Przecież się z tym nie afiszował.

– Czyli to jego widziała Saszeńka?!...

– Aż tak? Mądra, domyślna dziewczynka.

– Jaka tam domyślna... Zaczekaj... – dotarło nagle do Gleba. – Jak to spowinowacić?... Co, postanowiliście wziąć ślub?!...

Święta roześmiała się. Dźwięcznie, w głos. Śmiała się bardzo ładnie i zadzierzyście, natychmiast przy tym młodziej i stając się niemal taką, jaką widział ją Gleb w „ojcowskim wspomnieniu”. Chustka zsunęła się matce na ramiona i syn z żalem zauważył, że złoto jej włosów w równych proporcjach wymieszało się ze srebrem siwizny. Mimo wszystko była bardzo piękna.

Po tym, jak się wyśmiała, Święta powiedziała:

– Ale mnie rozśmieszyłeś. Dawno się tak... – Otarła łzy i znów spoważniała. – Nie. Nie my. Ty i jego wnuczka, Śnieżynka.

– Co?! – Mutant zerwał się z miejsca, przewracając kieliszek, który sturlał się ze stołu i rozbił z brzękiem o kamienną posadzkę. – Jaka znowu Śnieżynka? Co to za samowola? Nie zamierzam się żenić z żadną Śnieżynką!

– Siadaj! – Święta go ofuknęła. – To nie samowola. To polityka, już ci mówiłam. A Śnieżynka to wspaniała dziewczyna, nie przejmuj się. Najważniejsze, że – co powiem ci w tajemnicy – ona cię kocha.

Gleb, który zdążył już usiąść na ławce, teraz znów się zerwał.

– Jak może mnie kochać jakaś nieznajoma mutantka, której ani razu nie widziałem?

– No, nie taka z niej mutantka... Tyle że znosi bez szkody promieniowanie, a to akurat nieźle. A poza tym niczego sobie ta Śnieżynka. I wdzięk ją wiele razy.

– Wczoraj pierwszy raz widziałem na oczy Dziadka Mroza! Nie nie było z nim żadnej wnuczki.

– Bo dopiero dziś się u niego pojawiła, dlatego jej nie widziałeś. Wczoraj w nocy przybyła z Łuzy, żeby odwiedzić dziadka. Co prawda, na razie zatrzymała się u mnie.

– Z Łuzy?... – Gleb wytrzeszczył oczy na matkę. – U ciebie?... O kim ty mówisz? Chyba nie o Saszce?...

– Niezbyt lotnego mam syna. – Święta się uśmiechnęła. – Oczywiście, że o Saszeńce. A o kim?

– Ale Saszka nie jest dla niego żadną wnuczką! – Mutant zaprotestował. – Skąd u Dziadka Mroza krewni w Łuzie? I przecież ona nie mogła... – Gleb chciał dodać: „znów mnie oszukać”, ale urwał gwałtownie, rozumiejąc, że oczywiście nie mogła, że wypowiedziane na głos przypuszczenie stanie się z jego strony niemal zdradą w stosunku do Saszeńki. Dlatego zakończył inaczej: – ...się zgodzić.

– W gruncie rzeczy to nieważne, czy to jego wnuczka, czy nie. Dla nas. Najważniejsze, żeby uwierzyli w to pozostali. A uwierzą. Saszy nikt wcześniej nie widział, dla wszystkich jest i tak jasne, że przybyła skądś z daleka. Tym bardziej że naprawdę jest z Łuzy... Myślisz, że trudno wymyślić prawdopodobną legendę? Do tego jaką piękną: przecież Dziadek Mróz bez wnuczki Śnieżynki jest jakiś taki nieprawdziwy. A lud lubi bajki, szczególnie takie – sentymentalne i wzruszające. Sama Saszeńka też jest śliczna – z tym, mam nadzieję, nie będziesz się kłócił? A co do jej zgody... Dlaczego uważasz, że nie mogła się zgodzić? – Matka udała zdziwienie. – Co w tym złego – połączyć się z najważniejszymi rodami miasta? Poza tym, jak już ci mówiłam, ona cię kocha.

– A to już jest naprawdę niemożliwe! – zaoponował zapalczywie mutant. – Co, sama nie widzisz, kto przed tobą siedzi?! Mutant, potwór, straszycło!

– A do tego głuptas. – Święta się uśmiechnęła. Łagodnie, życzliwie, może nawet szczerze. – Czyżby kochało się za wygląd? Kocha się za to, co jest tam... – Postukała się palcem w pierś. Po chwili milczenia nieco ciszej

dodała: – Chociaż często w ogóle wbrew wszystkiemu.

– Ale nawet gdyby... – Gleb gorączkował się dalej. – Nawet gdyby ona... Nie, i tak nie uwierzę, ale... Skąd ty możesz o tym wiedzieć? Co, sama ci o tym powiedziała?

– Otwartym tekstem, nie. Ale kiedy o tobie mówiła... O! Trzeba było widzieć wtedy jej oczy! Dawno nie widziałam w czyichś oczach tyle ciepła i światła. Widziałam też potem, jak na ciebie patrzyła. Jak trzymała cię za rękę... Gleb, uwierz mi, umiem się w tym zorientować. Umiem czytać jeśli nie ludzkie myśli, to na pewno uczucia. Gdybym nie umiała, nie stałabym się tą, którą jestem.

– Umiesz trochę więcej. – Mutant wspomniał słowa Dziadka Mroza o tym, że jego matka ma zdolności parapsychiczne. Chociaż co mu po słowach, skoro doświadczył jej umiejętności na samym sobie.

– Otóż to. – Święta nie zaprzeczyła. – Ale po to, żeby poznać uczucia Saszeńki, wcale nie musiałam wciskać się jej do głowy.

– Dobra. – Gleb pokręcił głową. – I tak nie wierzę, ale powiedzmy... Zresztą nieważne, tak czy owak, nie zgadzam się. Ale jednego nie rozumiem: po co wam to? Przecież Dziadek Mróz i ty jesteście wrogami.

– Mówiłam ci już o polityce. A w tym wypadku dla nas obojga otwierają się nowe horyzonty. W pierwszej kolejności mam na myśli siebie i Dziadka Mroza. Ale i ty z Saszeńką nie będziecie stratni.

– Nie – warknął mutant. – Nie gram w wasze gry.

– Może najpierw pomówisz z Saszą? – Matka spojrzała na niego. – Bardzo kategorycznie podejmujesz decyzje dotyczące nie tylko ciebie. Czy może masz wszystko i wszystkich gdzieś?

Gleb drgnął. Matka dotknęła zbyt bolesnego miejsca. Od razu przypomniał mu się Pistolet.

– Nie mam wszystkich gdzieś. I na pewno porozmawiam z Saszeńką. Ale powiedz mi teraz, tylko szczerze: co zamierzasz zrobić z Likim?

– Dziwne pytanie. Co się robi ze zdrajcami? Rzecz jasna wiesz się ich,

i to publicznie. Dobra pokazowa egzekucja nigdy nie zaszkodzi.

– Lik nie jest zdrajcą! – zawołał Gleb. – Od początku do końca był wierny Dziadkowi Mrozowi i nie zmieniał swoich przekonań!

– Mnie też przysięgał na wierność. Nieważne, czy udawał, czy nie. Złożył przysięgę wierności, ale nie dotrzymał słowa. Dlatego dla mnie jest zdrajcą. Mimo że jest banalnym szpiegiem. I proponujesz, żebym mu to wybaczyła?

– Tak, szpiegiem... Ale... Tak, proponuję, żebyś mu wybaczyła. Proszę cię o to. Bardzo!

– Zdajesz sobie chociaż sprawę, za kim się wstawiasz? W twoich starych wspomnieniach to dobry nauczyciel, opiekun, towarzysz dziecięcych zabaw... Nowa pamięć pokazuje ci go jako śmiesznego cudaka, z którym dotarłeś do Ustiuga. Zabawny towarzysz podróży, wesoły przyjaciel... Zgadza się? Ale nie widziałeś jego prawdziwej twarzy. Pojęcia nie masz, kim jest Anatolij Denisow!

– Nie widziałem – przyznał mutant. – Pozwól mi ją zobaczyć. Daj mi z nim porozmawiać.

– Cóż, rozmawiaj. – Święta skinęła głową. – Jest akurat niedaleko stąd. Tylko niedługo, jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy.

ROZDZIAŁ 30

DWIE DONIOSŁE ROZMOWY

Matka wezwała cerkiewnego, który stał na warcie za drzwiami, i kazała mu zaprowadzić Gleba do celi z więźniem.

– Ale niech zostawi nas sam na sam! – zażądał mutant.

– Zostawi – powiedziała Święta, dając znak strażnikowi, i powtórzyła: – Tylko nie siedź tam zbyt długo! Sam szybko zrozumiesz, że nie masz z nim o czym gadać. A ja tymczasem spokojnie dokończę kolację.

Droga była rzeczywiście krótka, cela, w której trzymano Pistoleta, była, jak się okazało, na tym samym poziomie, co zaimprovizowana, „przeciwpożarowa” jadalnia. Agent Dziadka Mroza siedział w ciemnym pokoiku, przegrodzonym w połowie kratą z grubych żelaznych prętów. Towarzyszący Glebowi cerkiewny włączył słabą żarówkę i zostawił go po tej stronie kraty, a przed zamknięciem za sobą drzwi rzucił:

– Zapukaj, jak skończysz.

Gdy tylko strażnik wyszedł, Gleb zbliżył się do prętów. Za nimi na drewnianej leżance siedział Pistolet. Chociaż nie. To faktycznie nie był już żaden Pistolet, ani nawet Lik, którego mutant też dobrze teraz pamiętał, tylko właśnie Anatolij Denisow – obojętny i nieobecny duchem, pewny siebie i doskonale rozumiejący, co go czeka w najbliższej przyszłości.

– Dzień dobry – wydusił Gleb.

– Niewiele mi już zostało tych dni. – Anatolij uśmiechnął się krzywo. – Ale miło mi cię widzieć, dziękuję, że przyszedłeś. Chcesz we mnie splunąć

albo po prostu się powyzłóśliwiać?

– Nie. – Mutant zazgrzytał zębami. – Nie mierz wszystkich swoją miarą.

– Więc po co przyszedłeś?

– Porozmawiać.

– Czyżby było o czym?

– Sądzisz, że nie ma o czym? Dla ciebie wszystkie te lata, które razem przeżyliśmy, nic nie znaczą?

– Co za różnica, ile dla mnie znaczą. – Więzień znów się skrzywił. – Przecież i tak ich nie pamiętasz.

– Teraz już pamiętam. – Gleb chwycił kratę obiema rękami i zbliżył do niej twarz, dotykając czołem i policzkiem zimnych prętów. – Ale nawet gdybym nie pamiętał minionych lat, na pewno nie zapomniabym naszych ostatnich dni.

– To akurat tym bardziej należy zapomnieć. Przecież doskonale wiesz, że po prostu udawałem.

– Udawałeś przyjaźń? Dobrze ci wychodziło.

– Czego chcesz? – znów zapytał Anatolij i mutant wyraźnie usłyszał w jego głosie nuty smutku i bólu. – Po co te wszystkie słowa?

– Te może po nic. Ale pamiętasz, co powiedziałem ci tam, pod Wioseczką?... Powiedziałem, że na zawsze zapamiętam to, co dla nas zrobiłeś. I obiecałem, że nie zapomnę tego do śmierci, nawet jeśli cała reszta pamięci odmówi mi posłuszeństwa.

– Pamiętam, i co? – Były Lik-Pistolet wzruszył ramionami.

– To, że to już nie tylko słowa. Zrobię wszystko, żeby cię wypuścili.

– I tak niedługo mnie wypuszczą. Na tamten świat.

– Nie! Przekonam matkę, żeby tego nie robiła! Poza tym Dziadek Mróz mówił mi, że bez jego pozwolenia cerkiewni nie rozstrzeliwują żadnego mutanta.

– Tak, bez pozwolenia nie rozstrzeliwują. Dlatego że mają mało nabojów. Częściej wieszają. Oczywiście z pozwoleniem. A czasem i proszą

o pomoc.

– Żarty sobie stroisz, a ja mówię poważnie.

– Ja też. Co ty, naprawdę myślisz, że mrozowcy i cerkiewni czymś się od siebie różnią? Że Dziadek Mróz i Święta są wrogami? Nie, to już od dawna sojusznicy. A ich wspólnym wrogiem są „dzicy”. Przecież Dziadkowi Mrozowi, nie mówiąc już o Świętej, są w Ustiugu zupełnie niepotrzebni: trzeba by ich było gdzieś kwaterować, czymś karmić, pilnować porządku... Komu to potrzebne, kiedy sami nie mamy już gdzie żyć i co jeść? A teraz, po tym, jak ci debile napadli na „galery” cerkiewnych, w ogóle dali obojgu miejskich przywódców oręż do ręki – teraz Święta jest w prawie wydać „dzikim” najprawdziwszą wojnę, a Dziadek Mróz też ma wymówkę, żeby się nie mieszać – w końcu Święta naprawdę nie podżega do wojny, ona tylko „adekwatnie reaguje” w odpowiedzi na rozpoczęte przez „dzikich” działania. Tak więc wszyscy mają swoje racje – i wszyscy są zadowoleni. A ty mówisz, że bez pozwolenia nie wykonują egzekucji. Wszystkie pozwolenia dawno już zostały wydane. A i Dziadkowi Mrozowi, tak czy owak, nie jestem już potrzebny.

– Mimo wszystko będę się za tobą wstawiał! – powtórzył uparcie Gleb. – Będę żądał, błagał, ale dowolnym sposobem dopnę swego.

– Jak dopniesz, to dobrze, nie mam nic przeciwko – powiedział Anatolij, bacznie patrząc w oczy mutanta. – Ale jeśli ci się nie uda, nie miej wyrzutów sumienia. Tak czy owak, dziękuję ci. Teraz będzie mi lżej umierać.

– Dlaczego? – Gleb nie zrozumiał.

– Dlatego że masz rację, dla mnie spędzone z tobą lata to nie był zmarnowany czas. Widzę, że dla ciebie też nie... Że ty... – Więzień wstał, też podszedł do krat, chwycił je tak jak i mutant, niemal przytknął twarz do twarzy Gleba i wyszeptał ledwie słyszalnie: – I... rozumiesz przecież, że ciebie samego nigdy nie zdradziłem?...

– Rozumiem – odparł mutant. – Nikogo nie zdradziłeś. A dla mnie byłeś i pozostałeś przyjacielem.

– Dziękuję. – Anatolij położył swoją dłoń o sześciu palcach na dłoni Gleba, a potem znów odsunął się od krat i usiadł na pryczy. – Teraz idź. Pozostań sobą. Widzę, że swoją pracę wykonałem dobrze.

Gleb odwrócił się już, żeby iść do drzwi, gdy były Lik-Pistolet powiedział:

– I jeszcze jedno. Jeśli spotkasz Saszkę, powiedz, żeby też nie myślał o mnie źle. Dobry z niego chłopak, szkoda by było, gdyby zginął.

– Nie zginął – mutant odwrócił się do kraty z uśmiechem – znalazł się. I to nie chłopak, tylko dziewczyna. Owinęła nas wokół palca. I specjalnie nakleiła sobie „krosty”, żeby „zamrażalcy” z Łuzy się na nią nie połakomili.

– No co ty?!... – Anatolij wytrzeszczył oczy, na chwilę znów zamieniając się w Pistoleta. – Saszka nas nabrał?... Że ciebie, pocziwinę, to mniejsza, ale żeby mnie!... A ja ciągle myślałem, że z chłopakiem jest coś nie tak!... Pamiętasz, jak ci mówiłem?... Ten wieczny płaszcz... Przecież naprawdę myślałem, że skrywa pod nim coś niebezpiecznego, a ten, jak się okazało, chował tam cycki!

Więzień głośno się roześmiał. Gleb nie wytrzymał i dołączył do niego. Klucz zazgrzytał w zamku, drzwi otwarły się na oścież, do celi wbiegł zaniepokojony wartownik.

– Co tu się dzieje?...

– Nic. – Mutant otarł łzy. – Spadaj.

– Polecono mi dostarczyć cię do Świętej, za długo rozmawiacie. – Przez twarz cerkiewnego przemknął wyraz skrajnego zdumienia, jednak strażnik starał się ze wszystkich sił zachować pozory spokoju i zimnej krwi.

– Idź, idź, Gleb. – Anatolij skinął głową z uśmiechem. – I pamiętaj: „Wszystko będzie tak, jak być powinno, nawet jeśli będzie inaczej”.

Na koniec jednak spytał, kiedy już Gleb był odwrócony plecami:

– A jak ma na imię?

– Saszka. – Mutant odwrócił się przed wyjściem z celi.

– Ładna jest?

– Bardzo.

– Wypuść Anatolija – powiedział do matki zaraz po powrocie do jadalni Gleb. – Bardzo cię proszę: wypuść.

– Nie – odparła zimno tamta. – Powiedziałam już: jest zdrajcą i zostanie stracony.

– On nie jest zdrajcą! – zawołał mutant. – To ty jesteś zdrajczynią! Ty zdradziłaś mnie, swojego syna, podałaś mnie za znajdę!

– Gleb!... – zachnęła się Święta. – Ależ co ty mówisz?... Tak, wychowywałam cię od małego, jesteś dla mnie jak rodzina, ale... Nie urodziłam cię...

– Nieprawda! – krzyknął Gleb. – Nie okłamuj mnie! Widziałem!...

– Widziałeś?... Co ty mogłeś widzieć?

– Widziałem cię cudzymi oczami. Piękne, niezburzone miasto, zielona przystań, statek „Moskwa”, ty – piękna, młoda, szczęśliwa... Pamiętasz czerwono-białe tulipany?... I on nazwał cię...

– Jak?!... – Święta zerwała się, jakby zamierzała dokądś bieć, uciekać – tam, w tamtą przeszłość, do zielonej przystani, do tego, kto przyniósł jej tulipany...

– Maszeczka – powiedział cicho Gleb.

Jego matka zastygła, jakby dotknął jej czarodziejski kostur prawdziwego Dziadka Mroza. Niewiarygodnie pobladła twarz i podobne do szronu srebro we włosach faktycznie sprawiły, że wyglądała na zamrożoną.

– Rozumiesz przecież – ciągnął mutant już ledwie słyszalnie – że „pamięć genetyczna” nie mogłaby się we mnie obudzić, gdyby ten człowiek nie był ze mną spokrewniony. Bo to był mój ojciec, tak?

– Tak – poruszyły się bezkrwiste wargi Świętej.

I wtedy nagle „roztajała”, rzuciła się Glebowi na szyję i wybuchnęła

płaczem:

– Wybacz mi, Gleb, Glebuszka, wybacz!... Synku mój!... Błagam cię, wybacz!

– Wybaczam ci – powiedział mutant, kiedy matka wypłakała się, opuściła ręce i odsunęła się od niego, kryjąc załzawione oczy. – Ale powiedz mi, kim jest mój ojciec. Gdzie on jest?...

– Nie wiem, gdzie on jest, i nie chcę wiedzieć – odparła ostro Święta, rzucając synowi świdrujące spojrzenie. Zdumiewające, ale łyzy już całkowicie wyschły. – I nigdy więcej o niego nie pytaj. Nigdy!

– Dobrze. W takim razie zapytam o coś innego. Jeszcze raz. Wypuścisz Lika?...

– Nie.

– Mamo... Dawno o nic cię nie prosiłem. A o coś naprawdę poważnego – tym bardziej. Chcę wrócić do „dzikich”, do jakiejś odległej wsi. Z Likiem, tak jak chciałaś. Zrozum, tak czy inaczej nie mogę z tobą zostać. Jestem w tym mieście obcy. Jestem mutantem, a...

– Tu wszyscy są mutantami – ledwie otwierając usta, wycedziła Święta.

– Ccco?... – Gleb osłupiał.

– W tym mieście wszyscy są mutantami – powtórzyła sucho matka. – Z wyjątkiem być może pojedynczych osób.

– Ale sam widziałem... Widziałem dziś cerkiewnych, i to wielu! I wśród nich nie było ani jednego mutantą.

– A ja?

– Co ty?...

– Czy ja nie jestem mutantem? – Święta wykrzywiła w uśmiechu usta.

– Ale ty...

– Chcesz powiedzieć, że nie jestem maskarą? A czy mutacja koniecznie musi się przejawiać zewnątrz? Moja zdolność wchodzenia ludziom do głów, wymazywania pamięci, robienia różnych sztuczek ze świadomością pojawiła się już po Katastrofie. Co to jest, jeśli nie mutacja?

Z wieloma cerkiewnymi też jest coś nie tak. Na zewnątrz wyglądają normalnie, ale za to w środku... Znam takich, co mają dwa serca, kobiety bez macicy, bardzo wielu hermafrodytów... Nie mówię już o chorobach psychicznych – w głowach wielu z nich wyprawia się lichy wie co! I to jest tylko to, o czym wiem na pewno. Katastrofa nie oszczędziła nikogo. W końcu w tamtym momencie nikt nie siedział w podziemiach, napromieniowało praktycznie wszystkich! Po prostu każdy zniósł to oddziaływanie inaczej. Weźmy chociaż naszą Śnieżynkę – Saszeńkę. Jej rodzice na pewno nigdzie się nie ukryli, w Łuzie zwyczajnie nie było gdzie. Ale dziewczynka urodziła się całkowicie normalna z zewnątrz.

– Dlaczego tylko z zewnątrz? – Mutant się obruszył. – W śro...

– Milcz. – Matka uniosła palec. – Najpierw posłuchaj. Chociaż i tak znasz co najmniej jedno, najważniejsze odchylenie Saszy od tak zwanej normy.

– To, że nie straszna jej radiacja?

– Otóż to. Co to według ciebie jest, jak nie mutacja?

– Ale... to przecież dobrze – zaproponował Gleb, ale już nie tak pewnie.

– Przecież nikt nie mówi, że to źle. Mutacje nie zawsze tylko szpecą, bywa, że przynoszą korzyść. Nawiasem mówiąc, jestem odporna na promieniowanie, tak samo jak ty.

– Co? – Mutant zamrugął oczami. – Jesteś odporna na radiację?... Ale w takim razie dlaczego mieszkasz pod ziemią?

– Dlatego że mieszka tu też reszta cerkiewnych. Podejrzewam, że dobrej połowy z nich też nie rusza promieniowanie. Ale kto będzie to sprawdzał na sobie? A mnie jest oczywiście znacznie wygodniej straszyć ich okropnościami choroby popromiennej niż przeprowadzać tego rodzaju eksperymenty. Tak, prościej jest zatrzymać ludzi pod ziemią, pod moją opieką i władzą. Inaczej wszyscy zechcą żyć na powierzchni i wtedy cerkiewni po prostu znikną.

– To okrutne... – wymamrotał Gleb.

– Okrutne? A to dlaczego? Cerkiewni są ubrani, obuci i najedzeni. Ktoś za nich myśli i o wszystkim decyduje. Myślałby kto: nie widzą zielonej trawki i ciepłego słońca! Przecież nie na tym polega szczęście.

– A na czym? – Mutant spojrział uważnie na matkę.

– W naszym świecie szczęście to pozostać przy życiu. Cała reszta to drobiazgi. A już trawka ze słońcem na pewno.

– A dla mnie lepiej jest zdechnąć na trawce pod słońcem niż przez całe życie krzątać się w grobie! – wycedził Gleb.

– Dobrze. – Święta zmrużyła oczy. – Przypuśćmy, że wezwę teraz wszystkich i powiem: nie straszna wam radiacja, możecie żyć na powierzchni, leżeć sobie na trawce i grzać się na słońcu. I co wtedy będzie, jak myślisz?

– Jak to co? Wtedy dla cerkiewnych nastanie szczęście.

– Czyżby? Na początek kilkudziesięciu, albo i kilkuset z nich zapadnie na chorobę popromienną i umrze w straszliwych męczarniach. Nie zapominaj, że powiedziałam, że odporni na promieniowanie są nie wszyscy... Ale i ci, którym się poszczęści... Gdzie będą mieszkać na powierzchni? Całą przestrzeń mieszkalną zajęli mrozowcy.

– Niech żyją tam, gdzie żyli, i po prostu wychodzą na powierzchnię... – powiedział mutant, całkiem już zbity z tropu.

– Opalać się na trawce? – Święta skończyła za niego zdanie. – Nie, synku, trawką i słońcem będą się zachwycać tylko w pierwszej chwili. Ale szybko zdadzą sobie sprawę, że jakoś nie zrobili się od tego szczęśliwsi. I pomyślą: a czemuż to my, tacy piękni, my, „biali ludzie” żyjemy pod ziemią, a jakieś szkarady, niedołudzie, zajmują nasze miejsce pod słońcem? Poza tym cerkiewni mają broń, a kto ma siłę, ten ma i rację. Nie zamierzam nawet zgadywać, i tak wiem, co będzie dalej. Zauważ, że bez żadnych moich poleceń! Cerkiewni zaczną zabijać mrozowców, zajmować ich domy. Ale mrozowcy tak po prostu się nie poddadzą, nie pójda w ciszy na rzeź. Zgadnij, co będzie dalej.

Ponury jak chmura burzowa Gleb zamyślił się.

– Na miejscu mrozowców – odezwał się w końcu – zwróciłbym się o pomoc do „dzikich”.

– Brawo, synku! Właśnie tak postąpią. Poślą wici do najbliższych wsi i osad, wyślą gońców i do dalekich. „Bracia! Naszych biją! Pomóżcie!” Obiecują dać zameldowanie w Ustiugu tym, którzy ruszą na pomoc. Wiesz, ilu tu popłynie chętnych?... Cerkiewnym nie pomoże żadna broń, tym bardziej że liczba nabojów jest daleka od nieskończonej. W efekcie cerkiewni zostaną unicestwieni. Ale w Ustiugu i tak nie nastąpi cisza i spokój. Teraz znów nie starczy przestrzeni dla przybyłych „dzikich”. W najlepszym razie zaproponują im osiedlenie się w naszych podziemiach. Ale to było dobre dla cerkiewnych – niektórzy mieszkają tu już od dwudziestu lat, a wielu się tu urodziło, dla nich to norma. A „dzicy”, którzy przywykli do życia „w naturze”, pod gołym niebem? Dla nich przeprowadzka pod ziemię to jak pójść żywcem do grobu. I powiedzą: a dlaczego to właśnie my mamy tam iść? Tak samo jak mrozowcy walczyliśmy z cerkiewnymi, wyzwalamy to miasto! Ono jest teraz tak samo nasze, jak ich. I zaczną wyganiać mrozowców z domów. Zaczną się nowe zamieszki, które mogą trwać bardzo długo, w końcu „dzicy” będą ciągle przybywać z wiosek regionu. Ulice Wielkiego Ustiuga spłyną krwią, trawa przestanie tu rosnąć. Dym pogorzeliśk zasłoni słońce. I masz swoje „opalenie na trawce”. To co, mam wezwać cerkiewnych, ogłosić im nadejście szczęścia?...

– Wstrętne to wszystko u was. – Mutant się skrzywił.

– U nas? – Matka spojrzała mu w oczy. – A u was?... Czy jesteś z innej planety? Chyba jednak nie, w końcu tu cię rodziłam... I co, myślisz, że przed Katastrofą na Ziemi było jakoś inaczej? Było dokładnie tak samo, uwierz mi, tylko w innej skali. Ci, którzy mieszkali w chałupach, nienawidzili tych, którzy żyli w pałacach, i chcieli zająć ich miejsce. Ci, którzy mieli biały kolor skóry, nienawidzili kolorowych. I na odwrót.

Czerwoni – biali, biedni – bogaci, kapitaliści – robotnicy, faszyci – komuniści, islamiści – chrześcijanie... Doktryny przeciwko doktrynom, religie przeciwko religiom, kraje przeciwko krajom. Wszyscy byli przeciwko komuś, a niektórzy przeciwko wszystkim. Nigdy nie było nawet mowy o żadnej „wolności, równości i braterstwie”. Taka jest już natura człowieka – nienawidzić tych, którzy choćby odrobinę różnią się od ciebie. A jeśli ktoś ma jeszcze jakiś lepszy i tłustszy kąsek!... Trzeba prac takiego w pysk, a kąsek odebrać i zjeść. Jeśli zdążysz. Bo sam też możesz oberwać od kogoś w mordę. Strach – oto jedyny czynnik hamujący. Dla jednych takim strachem jest promieniowanie na powierzchni, dla drugich – ryzyko wybuchu nuklearnego. Jak będzie trzeba – stworzymy nowe lęki. Albo wymyślimy, fantazji nam nie brakuje. Żeby tylko było komu mieć sytuację pod kontrolą i inteligentnie tymi lękami zarządzać. Mocna władza, silna ręka – oto, czego ludzie zawsze naprawdę potrzebowali. Teraz w Ustiugu są dwie takie władze – ja i Dziadek. Najmądrzej będzie się dogadać. Jak zaczniemy przeciągać kołdrę, na pewno ją porwiemy. Ale dogadywać się też trzeba z głową. Ja i Dziadek Mróz możemy połączyć siły, ale cerkiewni z mrozowcami – nigdy. Musi istnieć równowaga. Mamy obowiązek ją utrzymywać, a w tym celu należy uwzględniać wszystkie realia i wykorzystywać wszystkie możliwości. Teraz pojawiła się możliwość wykonania dobrego ruchu – ożenienia cię z Saszeńką. Dziadek i ja widzimy już mnóstwo plusów takiego aliansu.

– A czy nas ktoś o to zapytał?!... – Gleb zamachał rękami.

– Uspokój się, bo zaraz spalisz meble. – Święta się skrzywiła. – Coś widzę, że niczego w końcu nie zrozumiałeś...

– Zrozumiałem jedno. – Mutant postarał się wziąć się w garść. – Wszystko mnie tu brzydzi. Nie chcę i nie mogę dłużej tu być. Chcę wziąć Lika i Saszkę i zabrać się stąd jak najszybciej.

– Dopiero co robiłeś mi wymówki, że nikt was nie pytał o naszą decyzję. Przeformułuję twoje własne pytanie: a czy ty zapytałeś Saszeńkę,

czy chce się stąd zabrać?

– Ale czy... – zaczął Gleb i umilkł. Przecież naprawdę nie wiedział, jak może zareagować Saszka. Sądził, że to się rozumie samo przez się, że dziewczyna na pewno poprze jego decyzję, ale matka miała rację: nie wie tego na sto procent. I wyduśił: – Dobrze, pójdę teraz i zapytam ją o to...

– Nie – cicho, ale twardo powiedziała matka. – Teraz Sasza już śpi. Nie warto jej budzić z powodu głupot.

– Głupot?!...

– Tak, głupot. Bo wasze rozmowy nie mają żadnego znaczenia. Weźmiecie ślub, czy tego chcesz, czy nie.

– Za nic! – Mutant się rozwścieczył, dziwiąc się, dlaczego jeszcze nic się nie zapaliło. – Teraz nie zrobię tego, nawet gdybym chciał!

– Na złość mnie?

– Tak! – wyrwało się Glebowi.

– Bardzo dorosłe. I po męsku, i w ogóle bardzo mądrze. Brawo! – Święta zaklaskała. Potem nagle zmarszczyła czoło, robiąc minę, jakby coś zapomniała. – Przypomnij mi no, mój dorosły i mądry synu, o co ty tam prosiłeś dla pewnego zdrajcy?...

– Lik nie jest zdra... – zaczął wciąż oburzony i zły mutant, ale natychmiast dotarło do niego, że matka nie zadała tego pytania bez powodu, i od razu zmienił ton. – Prosiłem, żebyś uwolniła Lika. Zrobisz to?... – Gleb wstrzymał oddech.

– Tak – odparła Święta. – Wypuszczę go. Mało tego, rozkażę, żeby wywieźli go najdalej, jak się da, do najbardziej zapadłej wsi. Pod jednym warunkiem. Szkoda, że się na niego nie zgadzasz. A więc niestety, Anatolija Denisowa trzeba będzie stracić.

– Ale nie powiedziałaś, jaki to warunek!!!

– A po co? Przecież już odpowiedziałeś. „Za nic! Teraz nie zrobię tego, nawet gdybym chciał!” Czy to nie twoje słowa?

– Moje. – Mutant opuścił głowę i znów ją podniósł. – Ale...

– Żarty na bok – przerwała mu matka, robiąc się nagle bardzo poważną. – Zapomnijmy o tym, co nagadałeś w złości i z głupoty. Oczywiście i tak już wszystko zrozumiałeś, ale nie będę się lenić i powiem to głośno. Oto mój warunek: żebyś uwolnił Anatolija Denisowa, musisz dać zgodę na swój ślub z Aleksandrą. Będziecie musieli mieszkać w Ustiugu, gdzie dokładnie – jeszcze to ustalę z Dziadkiem Mrozem. Zgadzasz się?

Gleb czekał na te słowa matki. Kiedy obiecał Likowi, że zrobi wszystko, by wywalczyć jego uwolnienie, zdawał sobie sprawę, choćby i nieświadomie, że taka właśnie będzie cena. A jednak w tym momencie świat wokół niego jakby zamarł, zatrzymał się, a czas przestał biec. A potem naraz runęło wszystko, grzebiąc pod zwałami nieuniknionej konieczności delikatne pędy nadziei.

– Tak – usłyszał jakby z boku własny głos.

A potem jednak zapłonął stół.

EPILOG

Słońce już zaszło, ale malinowy blask wciąż jeszcze odbijał się w spokojnych wodach Suchony. Gleb i Saszeńka, trzymając się za ręce, stali nad rzeką i patrzyli na blaknące kolory kończącego się dnia. Dziewczyna miała na sobie atłasową długą do pięt błękitną suknię i srebrzysty kokosznik z wzorem ze śnieżynek, spod którego zwisał jej na plecach fałszywy jasny warkocz. Strój Śnieżynki wyglądał na byłym Saszce idiotycznie, chociaż wciąż nie tak, jak czarny trzyczęściowy garnitur i śnieżnobiała koszula z kołnierzykiem i muszką na ogromnym kosmatym mutancie.

– Zupełnie się z tego nie cieszysz? – spytała cicho Saszeńka.

– Cieszę – powiedział Gleb. – Jasne, że się cieszę, no co ty?

– Przecież widzę... Wcale mnie nie kochasz, tak?

– Nie złość mnie, bo zaraz rzeka zacznie się palić. Patrz, już zaczyna się tlić.

– Dobra, możesz nie kochać... Tylko mnie nie porzucaj, dobra? Proszę, Glebuszka! Nie mogę bez ciebie żyć.

– Co ty za głupoty wygadujesz? Nie zamierzam cię porzucać. Teraz już żyć bez ciebie nie mogę. Mam tylko ciebie. Na całym bożym świecie.

– Martwisz się o Pistoleta, tak?

– Oczywiście, że się martwię. A ty nie?

– Ja też. Gdzie on teraz jest?...

– Jakaś Palema. Wioseczka leżąca jeszcze dalej, za Iljinskoje, w stronę Łuzy. Oczywiście jeśli matka nie kłamie.

– Nie wierzysz jej?

– Teraz nikomu nie wierzę.

– Nawet mnie?

– Tfu ty! Nie łap mnie za słówka. Proszę, już dym poszedł od rzeki.

– To mgła. Jak pięknie... Jakbyśmy wciąż jeszcze byli tam...

Gleb zrozumiał, co chciała przez to powiedzieć Saszka. Sam mimowolnie wspomniął teraz te dni, kiedy szli do Ustiuga. Kiedy mieli cel. Kiedy jeszcze żyła w nim nadzieja... Wtedy jeszcze nie wiedział, że jest niczyj.

Jakby słysząc jego myśli – a może tak właśnie było? – dziewczyna mocniej ścisnęła cieniutkimi paluszkami ogromną włochatą rękę mutanta.

– Jesteś mój! Słyszysz? Mój! Na zawsze. Bardzo cię kocham i zawsze będę cię kochać.

Gleb przełknął ślinę, kiwnął głową w milczeniu. A potem zapytał:

– A chcesz znów tam być?

– Z tobą – wszędzie.

– Ucieknijmy stąd! – Mutant spojrzał błagalnie na Saszkę. – Ukradniemy kuter albo piechotą – wszystko jedno!... Znajdziemy Pistoleta...

– Oczywiście, jak będziesz chciał! Tylko oni i tak nas znajdą. Wiedzą przecież, że do niego pójdziemy.

– I co teraz, mamy całe życie tańczyć, jak nam zagrają? – Gleb zazgrzytał zębami. – Ja tak nie mogę...

– Dlaczego całe życie? Jeśli zechcesz, na pewno uciekniemy. Ale najpierw powinniśmy wszystko przemyśleć. Na pewno nam się uda! W końcu jesteśmy mądrzy. – Saszeńka puściła mu oko.

– I silni. – Mutant się uśmiechnął.

– I uparci.

– I jesteśmy razem – niespodziewanie dla siebie powiedział Gleb.

– I niech się wali i pali! – Unosząc pełne szczęścia oczy, roześmiała się jego żona.

Sierpień 2013 r.–styczeń 2014 r.

OD AUTORA

Moi drodzy Czytelnicy!

A więc spotkaliśmy się ponownie, znów na jakiś czas związała nas ze sobą ta czarodziejska nić, którą można nazwać twórczym czy nawet duchowym współuczestnictwem. Powstaje ono zawsze, kiedy autor (pisarz, artysta, kompozytor – nieważne) tworzy, a czytelnik, widz, słuchacz przyjmuje powstały utwór. Czasem między tymi dwoma wydarzeniami mijają miesiące, częściej lata, a czasem całe wieki. To ostatnie odnosi się tylko do autorów uznanych za klasyków, nie jestem na tyle ambitny i naiwny, żeby na coś takiego liczyć, ale sama świadomość faktu, że słowa, które piszę tu i teraz, będą czytać ludzie mieszkający setki i tysiące kilometrów stąd, za pół roku, rok, trzy lata od chwili obecnej, budzi we mnie jakiś nabożny lęk. Przecież to najprawdziwszy cud, kiedy moje obecne myśli i uczucia ta sama nić wiąże z myślami i uczuciami należącymi do was, moich drogich czytelników. Jesteście dla mnie teraz ludźmi z przyszłości, choćby niezbyt odległej. Co to jest, jeśli nie prawdziwy działający wehikuł czasu?

Ale jedna rzecz to nawiązać kontakt, a zupełnie inna – sprawić, by był on harmonijny i nierozzerwalny, przynajmniej na czas naszego „podłączenia” do tego, o czym myślałem, co czułem i co chciałem wam powiedzieć, kiedy pisałem książkę. Wy jesteście przenikliwi i mądrzy, nie da się was oszukać samymi tylko pięknymi słowami i obrazkami. Jeśli myśli są puste, jeśli emocje są fałszywe, po prostu zamkniecie książkę, odrzucicie ją jak niepotrzebny rupieć. Dlatego mój główny cel to dotrzeć do was, do waszych serc, być z wami maksymalnie szczerym i prawdziwym, nie zniżając się do kokietowania i kuszenia kolorowymi papierkami,

w których są wcale nie cukierki, ale szara, lepka i ciężkostrawna masa. To bardzo trudne zadanie. Istnieje tu bardzo cienka granica między pustą bezsensowną rozrywką i nudnym, choćby nawet słusznym moralizatorstwem. Zawsze staram się nie zbaczać z tej wąskiej ścieżki, utrzymując równowagę między tymi skrajnościami. Książka powinna wciągać, ale jednocześnie zmuszać do myślenia. Pewnie nie zawsze mi się to udaje – to wam sądzić – ale wiercie mi, bardzo się staram.

Chciałbym trochę porozmawiać o książce, którą dopiero co napisałem, a wy przeczytaliście. Co to jest? Oczywiście fikcja, baśń. Z łatwością znajdziecie tu odniesienia do powszechnie znanych bajkowych postaci. W powieści jest piękna i bestia, Dziadek Mróz i Śnieżynka, znalazło się nawet miejsce dla Baby Jagi. Co prawda otacza ich nie bajkowa aura, ale okrutny świat postapokalipsy – straszne realia Uniwersum Metra 2033.

Jednak nieważne, w jakich barwach maluje się świat przedstawiony, jakie potwory się w nim umieszcza, pozostaje on tylko dekoracją, choćby na swój sposób pociągającą, niezwykłą i samoistną. Jednak dla mnie zawsze najważniejsi pozostawali ludzie. Ważniejsze i bardziej interesujące jest to, co dzieje się we wnętrzu człowieka, a nie na zewnątrz. Bardziej mnie nurtują i pociągają przeżycia bohatera, jego emocje, jego zachowania w tej czy innej sytuacji niż rozpiętość skrzydeł porywającego go potwora i długość jego kłów. Dla mnie bohater powinien się stać na tyle realny, żebym mógł o nim myśleć, wyobrazić go sobie tak, jakby istniał naprawdę i jakbym znał go osobiście. Dopiero wtedy będę mógł zrozumieć jego przesłanki i czyny, dopiero wtedy będę chciał śledzić to, co się z nim dzieje w miarę rozwoju fabuły, to, jak rozwija się on sam.

W tym kontekście najciekawszy jest oczywiście główny bohater powieści – mutant o imieniu Gleb. Na początku opowieści niczego o sobie nie wie, marzy o odzyskaniu pamięci, zrobi wszystko, by osiągnąć ten cel – w finale książki osiąga go, ale teraz chce już czegoś przeciwnego – wrócić w przeszłość i w miarę możliwości zapomnieć to, czego się dowiedział.

Zdawałoby się, że koło się zamknęło i nie ma tu żadnego rozwoju postaci. Ale jakże zmienił się świat wewnętrzny Gleba, jak wiele zyskał przez ten czas! Dowiedział się, czym jest przyjaźń i zdrada, uczciwość i podłość. Zrozumiał, że złość jest zdolna palić, a wierność danemu słowu może uratować ludzkie życie. Zrozumiał też, co to znaczy okazać się zbędnym, nikomu niepotrzebnym, niekompatybilnym z otoczeniem, obcym. Nawet śmierć wydaje mu się od tego lepsza. Jest jednak ważne, by nie mieć kłapek na oczach, nie utonąć całkowicie w swojej rzekomej bezużyteczności i „niczyjności”, ale rozejrzeć się dookoła, przyjrzeć się uważniej i jednak zobaczyć, że ktoś nas bardzo potrzebuje.

W powieści chciałem też pokazać swój stosunek do tak ohydnych zjawiska jak ksenofobia. Niestety nie musiałem niczego wynajdywać czy wymyślać. Rozejrzyjcie się: wszystko to dzieje się tu i teraz, wokół nas! Jakże często uznajemy za obcych tych, którzy mówią innym językiem, odróżniają się od nas kolorem skóry, wykresem oczu czy kształtem nosa. Jak, czasem niemal nieświadomie, odcinamy się od tych, którzy mają fizyczne niedostatki: źle widzą czy słyszą, nie mogą mówić czy normalnie się poruszać albo w ogóle są przykuci do łóżka. Mało tego! Czasem dochodzimy do tego, że jesteśmy gotowi obrzucić kamieniami (dobrze chociaż, jeśli wirtualnymi czy słownymi) ludzi, którzy wiedzą więcej lub mniej od nas, którzy umieją albo nie umieją robić tego co my, którzy mają w jakiejś sprawie inną opinię od naszej! Ale przecież to wszystko ludzie, choćby w czymś się od nas różnili! Jednakowi ludzie nie istnieją z zasady, każdy jest na swój sposób niepowtarzalny. „W tym mieście wszyscy są mutantami”. I co teraz – wszyscy mają odseparować się od pozostałych, żyć wedle zasady „jeden przeciw wszystkim”? Czy łączyć się według jakiejś wydzielonej cechy – koloru skóry, wykroju oczu, przynależności do jakiejś religii (a dlaczego nie według posiadania bądź braku łysiny, umiejętności gwizdania na palcach czy niechęci do mleka w tubce?) – i wypowiedzieć „świętą wojnę” całej reszcie? Tylko pomyślcie: jakże to wszystko mogłoby

się wydać śmieszne i głupie, gdyby nie miało tak strasznych skutków!

Czyżby rację miała Święta z mojej powieści i dla ludzi ważna była tylko wisząca nad nimi „żelazna ręka”, czyżby naprawdę głównym uczuciem człowieka był strach, bez którego wszyscy natychmiast zamienilibyśmy się w rozszalałe stado dzikich bestii? Mam nadzieję, że nie. Mimo wszystko wciąż wierzę w ludzi i ludzki umysł, wierzę w takie pojęcia, jak świadomość, sumienie, godność, honor, szlachetność. Śmieszne? Pewnie tak, jestem staromodny. To nie takie straszne. Znacznie straszniejsze byłoby, gdyby staromodne stały się te pojęcia. Gdyby w niebyt odeszła przyjaźń, umarła wiara, nadzieja i miłość.

Wreszcie kilka słów o miejscu akcji powieści. Dlaczego właśnie Wielki Ustiug, ten właśnie rejon obwodu wołogdzkiego? To bardzo proste. To ojczyzna mojej mamy, Galiny Wasiljewny Butoriny, która wyjechała stąd we wczesnej młodości i której, ku mojemu wielkiemu smutkowi, nie ma już z nami. Teraz we wspomnianej w książce wsi Iljinskoje mieszkają drodzy, ukochani i bliscy mi ludzie. Kiedyś tam (a jeszcze wcześniej po drugiej stronie rzeki Łuzy, we wsi Frołowka) mieszkała moja ukochana babcia – Aleksandra Prokopjewna Wotczicewa. Kiedy byłem dzieckiem, spędzałem w tych stronach letnie miesiące, bywałem tam i później. Włóczyłem się po tamtejszych lasach, łowiłem ryby w rzece Łuzie. Bardzo lubię tamte miejsca i żyjących tam ludzi. I oczywiście sam Wielki Ustiug. Przepiękne miasto, rówieśnik Moskwy, żywa historia! Przyznam, że z bólem „burzyłem” w powieści jego wspaniałe zabytki i cerkwie, żał mi było „kaleczyć” ludzi mieszkających w mieście i wsiach regionu (szczerze ich za to przepraszam!), ale tak też chciałem ostrzec moich czytelników: zobaczcie, jak może być, w co może się zamienić prawdziwe piękno! Więc namawiam was: na tyle, na ile mamy sił i możliwości, postarajmy się do tego nie dopuścić. Niech Dziadek Mróz z Wielkiego Ustiuga daje ludziom śmiech i radość (i prezeenty!), a nie zgryzotę i łzy. Niech wszystko będzie dobrze – na całym świecie i u każdego z nas.

Z poważaniem
Andriej Butorin



- | | |
|---|--|
|  CERKIEWNI |  BANDYCI |
|  MROZOWCY |  ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE |
|  DZIKIE | |

- 1) *Życie jak wyrok* (*Приговоренные к жизни*, [1973]), fragm. (przyp. red.). ↵
- 2) *Mój czarny człowiek* (*Мой черный человек*, [1979]), fragm. (przyp. red.). ↵
- 3) Wielki Ustiug (dawniej Ustiug) to miasto w Rosji, centrum administracyjne wielkoustiugskiego rejonu w obwodzie wołogdzkim. Położone 450 km na północny wschód od Wołogdy na lewym brzegu Suchony, w miejscu zbiegu z Jugiem (połączone rzeki tworzą Dwinę). Jedno z najstarszych miast na północy Rosji; zachowało bogate dziedzictwo kulturowe. W 1999 r. ogłoszone oficjalną siedzibą Dziadka Mroza. (Przypis autora na podstawie Wikipedii). ↵
- 4) Powiatka – pomieszczenie pod dachem budynku gospodarczego. We wsiach obwodu wołogdzkiego słowem *powiet*’ nazywa się strych na siano położony z zasady nad oborą (przyp. aut.). ↵
- 5) Z grec. *arachne* – pająk (przyp. aut.). ↵
- 6) Chorom – na dawnej Rusi drewniany dom bogatego kupca lub bojara (przyp. tłum.). ↵
- 7) A.S. Puszkina, *Ruslan i Ludmiła*, tłum. własne (przyp. tłum.). ↵
- 8) Wiersz Olgi Teteriny (przyp. aut.). ↵
- 9) A.S. Puszkina, *Topielec*, tłum. J. Ważewska (przyp. tłum.). ↵
- 10) Osioł Buridana – paradoks filozoficzny nazwany nazwiskiem Jana Buridana, mimo że był znany jeszcze z prac Arystotelesa, gdzie został postawiony problem: jak osioł, któremu dano dwa jednakowo kuszące poczęstunki, może mimo wszystko dokonać racjonalnego wyboru?

Buridan nigdzie nie wspominał o tym problemie, ale poruszył podobną kwestię, broniąc stanowiska moralnego determinizmu – że człowiek postawiony przed wyborem, powinien wybierać większe dobro. Buridan dopuszczał, by decyzja została opóźniona przez ocenę rezultatów każdego wyboru. Później inni autorzy wzmacniali ten punkt widzenia, przytaczając przykład osła i dwóch jednakowo dostępnych i dobrych stogów siana,

twierdząc, że na pewno umrze z głodu, zanim podejmie decyzję. Ta wersja stała się powszechnie znana dzięki Leibnizowi. (Materiał z Wikipedii, przyp. aut.). ↵

11) Szylkretowa wojna, która ciągnęła się przez prawie pięć stuleci, wybuchła po tym, jak zagraniczny gość zaproszony do pałacu króla Asyrii nie podniósł z ziemi inkrustowanego szylkretowego grzebienia, który upuściła podpita królowa (przyp. aut.). ↵

12) Przez ukradziony perłowy naszyjnik dwa plemiona wikingów prowadził wojnę przez cztery lata i istnieje teoria, że to właśnie przez tę wojnę ukształtowali się Szwedzi i Norwegowie, którzy mogli być jednym narodem (przyp. aut.). ↵